

**Jonathan Kellerman**

**Obsesja**  
*(Obsession)*

*Przełożył Przemysław Bieliński*

*Dla Faye*

Patty Bigelow nie znosiła niespodzianek i robiła, co mogła, by ich uniknąć.

Bóg miał wobec niej inne plany.

Jej koncepcja bytu najwyższego oscylowała między Świętym Mikołajem, wołającym „Ho, ho, ho”, a ciskającym gromy ognistookim Odynem.

Tak czy inaczej, siwobrody gość mieszkający w chmurach. Zależnie od nastroju rozdający prezenty albo grający w kulki planetami.

Gdyby ją przycisnąć, Patty nazwałaby siebie agnostyczką. Kiedy jednak życie zaczynało płać jej figle, czemu nie miałyby winić za to Siły Wyższej, jak wszyscy inni?

Tamtego wieczoru, kiedy Lydia ją zaskoczyła, Patty od paru godzin siedziała w domu i starała się odetchnąć po ciężkim dniu na ostrym dyżurze. Najpierw próbowała uspokoić się piwem, potem drugim, a kiedy to nie poskutkowało, uległa Pragnieniu.

Zaczęła od porządków w mieszkaniu, których nie musiała robić. Doszła do czyszczenia szczoteczką do zębów fug na kuchennym blacie, potem wyszorowała szczoteczkę szczotką drucianą, tę zaś umyła pod gorącą wodą i wyskubała do czysta. Wciąż spięta, najlepsze zostawiła sobie na koniec – ustawianie butów. Każdy mokasyn, adidas i sandał wytarła do czysta irchową ściereczką, posortowała je, a potem ułożyła jeszcze raz według kolorów, zadbała, by wszystkie bez wyjątku były ustawione pod dokładnie takim samym kątem.

Pora na bluzki i swetry...

Rozległ się dzwonek u drzwi.

Dwadzieścia po pierwszej w nocy w Hollywood – kto to może być, do licha?

Patty się zirytowała, potem zaniepokoiła. Trzeba było kupić ten pistolet. Podeszła cicho do drzwi z nożem do mięsa, spojrzała badawczo przez judasza.

Zobaczyła czarne niebo, nikogo nie było... o tak, ktoś jednak był.

Kiedy zrozumiała, co Lydia zrobiła, zmartwiała, niezdolna obwinić za to nikogo.

Lydia Bigelow Nardulli Soames Biefenbach była młodszą siostrą Patty, ale przez trzydzieści pięć lat przeżyła tyle, że Patty wołała o tym nie myśleć.

Lata po wyrzuceniu ze szkoły, lata jako groupie, lata jako barmanka, lata na tylnym siedzeniu harleya. Vegas, Miami, San Antonio, Fresno, Meksyk, Nowy Meksyk, Wyoming, Montana. Nie miała czasu na pocztówki czy siostrzane telefony, a kiedy już się odzywała do Patty, zawsze chodziło o pieniądze.

Lydia zawsze od razu zapewniała, że kolejne aresztowania to jakieś pierdoły, nic poważnego, co by się za nią ciągnęło. W odpowiedzi na milczenie Patty, kiedy dzwoniła z aresztu w jakiejś dziurze na koszt odbierającego i skamlała o pieniądze na kaucję.

Zawsze je zwracała, to Patty musiała przyznać. Zawsze tak samo, pół roku później, co do dnia.

Liddie potrafiła sobie radzić, kiedy chciała, ale na pewno nie z

mężczyznami. Przed każdym z trzech głupich małżeństw, między nim i po nich defilowała z obkolczykowanymi, wytatuowanymi, niedomytymi i pustookimi frajerami, których z uporem nazywała „skarbami”.

Tyle wygłupów, ale cudem boskim tylko jedno dziecko.

Trzy lata temu, po dwudziestu trzech godzinach wysiłku wypchnęła je na świat, sama w jakimś szpitalu osteopatycznym pod Missoula. Tanya Marie, waga: dwa czterysta czterdzieści. Liddie przysłała Patty zdjęcie noworodka, Patty posłała Liddie pieniądze. Większość noworodków wygląda jak czerwone małpki, ale ten był ładny. Dwa lata później Lydia i Tanya pojawiły się w domu Patty, wpadając z wizytą w drodze na Alaskę.

Nie było mowy o tym, dlaczego Juneau, czy z kimś się tam spotykają i czy Liddie jest czysta. Ani słowa o ojcu. Patty zastanawiała się, czy Lydia w ogóle wie.

Patty nie lubiła dzieci i zdrętwiała, kiedy zobaczyła małą trzymającą Liddie za rękę. Spodziewała się jakiegoś rozwrzeszczanego bachora, biorąc pod uwagę okoliczności. Jej siostrzenica okazała się grzeczna i cicha, nawet ładna, z cienkimi kosmykami prawie białych włosów, badawczymi zielonymi oczami, które pasowałyby do kobiety w średnim wieku, i niespokojnymi dłońmi.

„Wpadnięcie z wizytą” przeciągnęło się do dziesięciodniowego pobytu. Patty doszła do wniosku, że Tanya jest urocza i że w ogóle nie przeszkadza, jeśli nie liczyć smrodu brudnych pieluch.

Tak samo niespodziewanie, jak się pojawiły, Liddie oznajmiła, że wyjeżdżają.

Patty ulżyło, ale i poczuła się zawiedziona.

– Świetnie się spisałaś, Lid, to prawdziwa mała dama.

Stała w drzwiach, patrząc, jak Lydia jedną ręką ciągnie małą, w drugiej taszczy poobijaną walizkę. Przed domem czekała taksówka z włączonym silnikiem, plując czarnym dymem. Gdzieś dalej na ulicy słychać było jakieś wrzaski. Chodnikiem po drugiej stronie włókł się włóczęga.

Lydia odrzuciła włosy i wyszczerzyła się w uśmiechu, kiedyś ślicznym, teraz odsłaniającym dwa wyszczerbione przednie zęby.

– Dame? W przeciwieństwie do mnie, Pats?

– Daj spokój, nie doszukuj się podtekstów – powiedziała Patty.

– Hej – odparła Lydia. – Jestem szmatą i jestem z tego dumna. Potrząsnęła biustem i zakręciła pupą. Zaśmiała się tak głośno, że taksówkarz się odwrócił.

Tanya miała dwa lata, ale musiała wiedzieć, że mama zachowuje się nie tak jak trzeba, bo się skrzywiła. Patty była tego pewna. Zapragnęła ją ochronić.

– Chciałam powiedzieć, że jest świetna, możesz ją przywozić, kiedy chcesz.

Uśmiechnęła się do Tanyi, ale dziewczynka patrzyła na chodnik.

Liddie się zaśmiała.

– Mimo tych zasranych pieluch?

Teraz mała wbiła wzrok w dal. Patty podeszła i pogłaskała ją po głowie. Tanya zaczęła się odsuwać, potem zamarła.

Patty nachyliła się do niej.

– Jesteś grzeczną dziewczynką – szepnęła. – Prawdziwą małą damą.

Tanya splotła dłonie przed sobą i zmusiła się do najleśniejszego uśmiechu, jaki Patty w życiu widziała.

Jakby jakiś wewnętrzny głos pouczał ją w sprawach stosunków

siostrzenica-ciotka.

– Zastrane pieluchy nie przeszkadzają? – spytała Lydia. – Super, zapamiętam, Pats, na wypadek, mało prawdopodobny, gdybyśmy się tu znów napatoczyły.

– Co jest w Juneau?

– Śnieg. – Lydia zaśmiała się, a jej cycki podskoczyły, ledwie utrzymywane przez różowy seksowny top. Miała tatuaże, za dużo tatuaży. Jej włosy wyglądały na suche i szorstkie, wokół oczu robiły się zmarszczki, a długie nogi tancerki wiotczały po wewnętrznej stronie ud. Wszystko to plus połamane zęby krzychało: Zaraz Będzie z Górki! Patty zastanawiała się, co się stanie, kiedy urodę Lydii w końcu trafi szlag.

– Nie zmarznij – powiedziała.

– Jasne – odparła Lydia. – Mam na to swoje sposoby. Złapała małą za nadgarstek i pociągnęła do samochodu.

Patty poszła za nimi. Pochyliła się, żeby spojrzeć w oczy dziecku, kiedy Lydia podawała walizkę taksówkarzowi.

– Miło było cię poznać, Tanyu.

Zabrzmiało to niezręcznie. Co ona wiedziała o dzieciach?

Tanya przygryzła mocno wargę.

A teraz, trzynaście miesięcy później, w gorącą czerwcową noc, kiedy powietrze śmierdziało nie wiadomo czym, dziewczynka znów stała pod jej drzwiami, tak samo mała jak wtedy, ubrana w luźne džinsy i postrzępioną białą bluzkę, z włosami bardziej kręconymi i bardziej żółtymi niż białymi.

Dokładnie tak samo przygryzała wargę. Przytulała pluszową orkę, rozłazącą się w szwach.

Tym razem patrzyła prosto na Patty.

Tam, gdzie ostatnio czekała taksówka, stał warczący czerwony firebird. Podrasowany, ze spojlerem, grubymi oponami i jakimiś rurami na masce, która stuknęła jak serce z migotaniem przedsiionków.

Patty podbiegła do samochodu, ale firebird ruszył z piskiem opon; platynowa fryzura Lydii mignęła za przyciemnioną szybą drzwi pasażera.

Patty zdawało się, że siostra jej pomachała, ale nie była pewna.

Dziewczynka nie drgnęła.

Kiedy Patty do niej wróciła, Tanya sięgnęła do kieszeni i wyjęła kartkę.

Tani biały papier, czerwony nagłówek motelu Szalona Noc w Holcomb w Nevadzie.

Niżej odręczne pismo Lydii, o wiele ładniejsze, niż można by się spodziewać po kimś, kto skończył tylko gimnazjum. Lydia nie przykładała się nigdy do nauki pisania czy czegokolwiek innego przez tych dziewięć lat, ale takie rzeczy przychodziły jej z łatwością.

Dziecko zaczęło płakać.

Patty wzięła dziewczynkę za rękę – zimną, dziecięcą i miękką – i przeczytała list.

*Kochana Starsza Siostró*

*Powiedziałaś, że to dama.*

*Może przy tobie rzeczywiście na nią wyrośnie.*

*Młodsza siostra*



Nie „kto zrobił” – powiedział Milo – lecz „czy w ogóle ktoś zrobił”?

– Uważasz, że to strata czasu – stwierdziłem.

– A ty nie?

Wzruszyłem ramionami. Obaj się napiliśmy.

– Mówimy tu o śmiertelnej chorobie, pewnie rzuciło się jej na głowę – zauważył. – To tylko teoria laika.

Przysunął szklanekę bliżej, mieszadłem wzburzył fale. Siedzieliśmy w restauracji parę kilometrów na zachód od śródmieścia, zmagając się z ogromnymi stekami, sałatkami większymi niż niektóre trawniki i martini z lodem.

O wpół do drugiej w chłodne środowe popołudnie świętowaliśmy zakończenie trwającego miesiąc procesu w sprawie o morderstwo. Oskarżona, kobieta, którą artystyczne aspiracje doprowadziły do współudziału w zabójstwie, zaskoczyła wszystkich, przyznając się do winy.

Kiedy Milo wychodził z sali rozpraw, spytałem go, czemu skapitulowała.

– Nie podała powodu. Może ma nadzieję na zwolnienie warunkowe.

– To w ogóle możliwe?

– Teoretycznie nie, ale jeśli pójdziemy z duchem czasu i staniemy się sentymentalni, kto wie?

– Takie wielkie słowa tak wcześnie? – spytałem.

– Etos, atmosfera społeczna, nazwij to, jak chcesz. Chodzi mi o to, że

przez ostatnie lata wszyscy głośno krzyczeli, że trzeba ostro zwalczać przestępczość. Potem my robimy swoje aż za dobrze i przeciętny Smith wariuje ze szczęścia. „Times” niedawno puścił łzawy cykl o tym, jak to dożycie naprawdę oznacza całe życie i jaka to tragedia. Jeszcze trochę i wrócimy do słodkich czasów warunkowego dla każdego.

– Zakładając, że ludzie czytają gazety.

Milo prychnął.

Byłem zaprzysiężony jako świadek oskarżenia, cztery tygodnie czekałem, trzy dni siedziałem na drewnianej ławce w długim, szarym korytarzu gmachu Sądu Karnego przy Tempie.

O wpół do dziesiątej rano, kiedy ślęczałem nad krzyżówką, zadzwoniła do mnie Tanya Bigelow. Powiedziała, że miesiąc temu jej matka umarła na raka i że chciałaby się umówić na sesję.

Minęły lata, odkąd widziałem się po raz ostatni z nią czy jej matką.

– Tak mi przykro, Tanyu. Możemy się spotkać dzisiaj.

– Dziękuję, doktorze Delaware. – Głos uwiązł jej w gardle.

– Chcesz mi może coś powiedzieć?

– Nie, nie o moim smutku. Tylko o... Na pewno pomyśli pan, że to dziwne.

Zaczekałem. Trochę mi opowiedziała.

– Pewnie uważa pan, że to jakaś obsesja.

– Wcale nie – odparłem, kłamiąc w celach terapeutycznych. – Naprawdę nie, doktorze Delaware. Mama by nie... Przepraszam, muszę lecieć na zajęcia. Możemy się spotkać po południu?

– Piąta trzydzieści?

– Bardzo panu dziękuję, doktorze Delaware. Mama zawsze pana

szanowała.

Milo ukroił mięso wzdłuż kości, podniósł kawałek i dokładnie mu się przyjrzał. Oświetlenie sprawiało, że jego twarz wyglądała jak żwirowy plac.

– Czy to dla ciebie wygląda jak *prime*\*? [W USA wołowinę klasyfikuje się wg zawartości tłuszczu – *good, choice, prime* (przyp. tłum. )]

– Smakuje dobrze – odparłem. – Pewnie nie powinienem był ci mówić o tym telefonie, tajemnica zawodowa i tak dalej. Ale gdyby się okazało, że to coś poważnego, wiesz, że bym się wycofał.

Stek zniknął w jego ustach. Milo zaczął pracować szczękami i dzioby na jego policzkach zmieniły się w tańczące przecinki. Wolną ręką odsunął kosmyk czarnych włosów z plamistego czoła. Przełknął.

– Smutna sprawa z tą Patty. – Znałeś ją?

– Spotykałem ją na izbie przyjęć, kiedy wpadałem do Ricka. „Cześć, jak leci, miłego dnia”.

– Wiedziałeś, że była chora?

– Mógłbym się dowiedzieć tylko od Ricka, a mamy nową zasadę: nie rozmawiamy o pracy po pracy.

Kiedy sprawa jest w toku, detektyw wydziału zabójstw pracuje na okrągło. Rick Silverman ma długie dyżury w pogotowiu w Cedars. Obaj ciągle mówią o zwolnieniu tempa, ale z ich planów wciąż nic nie wychodzi.

– A więc nie wiesz, czy pracowała dalej z Rickiem? – spytałem.

– Ta sama odpowiedź. Przyznała się, że zrobiła coś „straszego”, tak? To bez sensu, Alex. Po co ta dziewczyna miałaby wygrzebywać jakieś

brudy z życia matki?

Bo ta dziewczyna nie umie niczego odpuścić.

– Dobre pytanie.

– Kiedy ją leczyłeś?

– Pierwszy raz dwanaście lat temu, miała wtedy siedem.

– Dokładnie dwanaście, ni mniej, ni więcej.

– Niektóre przypadki zapadają w pamięć.

– Ciężki przypadek?

– Poradziła sobie.

– Superdoktor znów zwycięża.

– Fart – powiedziałem.

Popatrzył na mnie. Zjadł jeszcze kawałek steku. Odłożył widelec.

– To jest najwyżej *choice*.

Wyszliśmy z restauracji i wróciliśmy do śródmieścia na ostatnie spotkanie w biurze prokuratora. Pojechałem Szóstą na zachód, gdzie ulica kończy się, łącząc się z San Vicente. Na czerwonym świetle zadzwoniłem do izby przyjęć Cedars Sinai. Poprosiłem doktora Richarda Silvermana i wciąż czekałem, kiedy zapaliło się zielone. Rozłączyłem się, pojechałem dalej do La Cienega, potem na zachód Gracie Allen prosto na rozległe tereny szpitala.

Patty Bigelow zmarła w wieku pięćdziesięciu czterech lat. Zawsze wydawała się taka silna.

Zostawiłem samochód na parkingu dla gości, poszedłem do wejścia na izbę, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz rozmawiałem służbowo z Rickiem po tym, jak przysłał do mnie Patty i Tanyę.

Nigdy.

Mój najlepszy przyjaciel był gejem i detektywem, ale nie przekładało się to na moje częste kontakty z mężczyzną, z którym żył. W ciągu roku rozmawiałem z Rickiem może z sześć razy, gdy podnosił słuchawkę u nich w domu, zawsze pogodny, ale żaden z nas nie chciał przedłużyć pogawędki. Do tego kilka wspólnych kolacji, kiedy była okazja – Robin i ja śmieliśmy się i wznosiliśmy toasty z nimi dwoma – i to wszystko.

Kiedy doszedłem do rozsuwanych szklanych drzwi, przyjąłem swój najlepszy lekarski krok. Do sądu ubrałem się w granatowy, prążkowany garnitur, białą koszulę, żółty krawat i wyglansowane buty. Recepcjonistka ledwie na mnie spojrzała.

Izba przyjęć była cicha, kilku starszych pacjentów omdlewało na wózkach, nie wyczuwało się jednak atmosfery pośpiechu ani tragedii. Gdy podszedłem do biurka dyżurnego, zobaczyłem Ricka idącego w moją stronę z dwójką stażystów. Cała trójka miała na sobie poplamione krwią fartuchy, a Rick długi, biały kitel. Stażyści nosili identyfikatory, Rick nie – wszyscy wiedzą, kim jest.

Zobaczył mnie i powiedział coś do towarzyszącej mu dwójki, a oni sobie poszli.

Skreślił do umywalki, wyszorował ręce betadyną, wytarł je, wyciągnął dłonie.

– Alex.

Zawsze się pilnuję, żeby nie ścisnąć za mocno palców, które zszywają naczynia krwionośne. Uścisk dłoni Ricka był jak zwykle zdecydowany i delikatny zarazem.

Jego pociągłą twarz okalały siwe loki. Wojskowe wąsy zachowały

trochę brązu, ale ich koniuszki spłowiały. Choć wiedział, że nie powinien, wciąż chodził na solarium. Dzisiejsza opalenizna wyglądała świeżo – może zamiast na lunch poszedł się opalać.

Milo mierzy od metra osiemdziesięciu siedmiu do metra dziewięćdziesięciu, zależnie od tego, jak samopoczucie wpłynie na jego posturę. Jego waga waha się od stu dziesięciu kilo do „o wiele za dużo”. Rick ma równo metr osiemdziesiąt dwa, ale czasem wydaje się równie wysoki jak Wielkolud, bo trzyma się prosto i nigdy nie przekracza siedemdziesięciu siedmiu kilo.

Dzisiaj zauważyłem, że lekko się garbi, czego nigdy wcześniej nie widziałem.

– Co cię tu sprowadza? – spytał.

– Wpadłem się z tobą zobaczyć.

– Ze mną? Co się stało?

– Patty Bigelow.

– Patty – powtórzył, zerkając na napis WYJŚCIE. – Przydałaby mi się kawa.

Nalaliśmy sobie kawy z automatu dla lekarzy i poszliśmy do pustego pokoju zabiegowego, przesiąkniętego zapachem alkoholu i metanu. Rick usiadł na krześle lekarza, ja przycupnąłem na krawędzi stołu.

Zauważyłem, że trzeba zmienić papierowe ręczniki na stole.

– Moment – powiedział. Ściągnął pustą rolkę, zmiażdżył ją, wyrzucił, jeszcze raz umył ręce. – A więc Tanya do ciebie dzwoniła. Widziałem ją ostatni raz kilka dni po śmierci Patty. Potrzebowała pomocy w ogarnięciu spraw Patty, nie radziła sobie ze szpitalną biurokracją, ale nawet kiedy jej

z tym pomogłem, miałem wrażenie, że chciała mi coś powiedzieć. Spytałem, czy coś jeszcze, odparła, że nie. Potem, mniej więcej po tygodniu, zadzwoniła, spytała, czy wciąż prowadzisz praktykę, czy już tylko pracujesz dla policji. Powiedziałem, że z tego, co wiem, ciągle jesteś dostępny dla dawnych pacjentów. Podziękowała mi, ale znów miałem wrażenie, że coś ukrywa. Nie mówiłem ci nic na wypadek, gdyby się z tobą nie skontaktowała. Cieszę się, że to zrobiła. Biedny dzieciak.

– Jakiego raka miała Patty? – spytałem.

– Trzustki. Kiedy go wykryto, pożarł jej już wątrobę. Dwa tygodnie wcześniej zauważyłem, że kiepsko wygląda, ale Patty na dwóch cylindrach działała sprawniej niż większość ludzi na pełnym gazie. – Zamrugał. – Gdy tylko zobaczyłem, że ma żółte białka, kazałem jej się przebadać. Trzy tygodnie później już jej nie było.

– O rany.

– Hitlerowscy zbrodniarze wojenni dociągają do dziewięćdziesiątki, a ona umiera. – Potarł jedną dłoń o drugą. – Zawsze widziałem w Patty taką niestrudzoną osadniczkę, która mogła polować na bizona albo robić cokolwiek innego, obdzierać ze skóry, zarzynać, gotować, zmieniać resztki w użyteczne rzeczy. – Skubnął powiekę. – Tyle lat z nią pracowałem i nie mogłem zrobić nic, co by zmieniło koniec. Załatwiłem jej najlepszego onkologa, jakiego znam, dopilnowałem, żeby Joe Michelle, nasz główny anestezjolog, zajął się nią osobiście.

– Spędziłeś z nią pod koniec dużo czasu?

– Nie tyle, ile powinienem – odparł Rick. – Przychodziłem, chwilę rozmawialiśmy o niczym, wyrzucała mnie. Awanturowałem się, by mieć pewność, że mówi poważnie. Mówiła. – Skubnął wąż. – Tyle lat była moja

główną pielęgniarzką ale nie licząc czasem kawy w stołówce, nigdy nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów towarzyskich, Alex. Kiedy tu zaczynałem, byłem palantem, który umiał myśleć tylko o pracy. Personelowi udało się uświadomić mi, na czym polega mój błąd, i trochę się ucywilizowałem. Przyjęcia świąteczne, pamiętanie o urodzinach, pilnowanie, żeby były torty i kwiaty, całe to zamieszanie, które podnosi morale.. – Uśmiechnął się. – Któregoś roku na Boże Narodzenie Wielkolud zgodził się przebrać za Mikołaja.

– Trudno to sobie wyobrazić.

– Ho, ho, ho, mru, mru. Dzięki Bogu, że nie było dzieci, które musiałyby brać na kolana. Do czego zmierzam, Alex: Patty nie było na tym przyjęciu ani na żadnym innym. Zawsze szła prosto do domu, gdy tylko skończyła wypełniać karty. Kiedy próbowałem ją przekonać, żeby została, mówiła: „Kocham cię, Richard, ale jestem potrzebna w domu”.

– Obowiązki samotnego rodzica?

– Chyba tak. Tanya była jedyną osobą, którą Patty tolerowała w swoim pokoju w szpitalu. Dziewczyna jest chyba miła. Chce studiować medycynę, mówiła mi, że myśli o psychiatrii albo neurologii. Może jej zaimponowałeś. – Wstał, wyciągnął ręce nad głowę. Usiadł z powrotem. – Alex, biedaczka nie ma nawet dwudziestu lat i została sama. – Sięgnął po kawę, zajrzał do kubka, nie napił się. – Przyszedłeś tu z jakiegoś konkretnego powodu?

– Zastanawiałem się, czy jest coś na temat Patty, co powinienem wiedzieć.

– Zachorowała, umarła, to do kitu – powiedział Rick. – Dlaczego wciąż mi się wydaje, że nie o to ci chodzi?



Wahałem się, ile mu powiedzieć. Zasadniczo można go było uznać za lekarza polecającego. Albo i nie.

– To, że Tanya poprosiła o spotkanie ze mną – zacząłem – nie ma nic wspólnego ze smutkiem. Chce porozmawiać o „strasznej rzeczy”, do której Patty przyznała się na łożu śmierci.

Głowa Ricka wystrzeliła do przodu.

– Co?

– Tyle powiedziała mi przez telefon. Ma to jakiś sens?

– Nie ma żadnego. Patty była najporządniejszym człowiekiem, jakiego znałem. Tanya jest w stresie. Ludzie wygadują różne rzeczy, kiedy są pod presją.

– Może być i tak.

Chwilę myślał.

– Może ta „straszna rzecz” to poczucie winy Patty, że zostawia Tanyę. A może bredziła, bo była chora.

– Choroba miała wpływ na jej świadomość?

– Nie byłbym zaskoczony, ale to nie moja dziedzina. Porozmawiaj z jej onkolog, Tziporą Ganz.

Zapisał jego pager. Rick przeczytał wiadomość.

– Pogotowie z Beverly Hills, zaraz przywiozą faceta z zakrzepicą... muszę spróbować kogoś uratować, Alex.

Odprowadził mnie za przeszkłone drzwi, a ja podziękowałem mu za pomoc.

– Zrobiłem, co mogłem. Jestem pewien, że ten melodramat skończy się na niczym. – Wzruszył ramionami. – Myślałem, że ty i Wielkolud utkniecie w tym sądzie do końca stulecia.

– Sprawa zakończyła się dzisiaj rano. Niespodziewane przyznanie się do winy.

Pager znów zapiszczał.

– Może to Najwyższy przesyła mi dobre wieści... nie, znów karetka... mężczyzna lat osiemdziesiąt sześć, puls ledwie wyczuwalny... przynajmniej przeżył całe życie. – Schował pager. – Oczywiście nikt tu nie ocenia.

– Oczywiście.

Znów uścisnęliśmy sobie dłonie.

– „Straszną rzeczą” jest przede wszystkim to – powiedział Rick – że Patty odeszła. Jestem pewien, że Tanya po prostu jest zestresowana. Pomożesz jej się z tym uporać, Patty była świetną pielęgniarką – dodał, kiedy się odwróciłem. – Powinna była przyjść na którąś z tych imprez.

Mój dom stoi wysoko nad Beverly Glen, biały jak papier i kanciasty, jasna rana na tle zieleni. Czasami, kiedy podjeżdżam, wydaje mi się obcym miejscem, odpowiednim dla kogoś lubiącego minimalistyczny chłód. W środku wysokie ściany, wielkie okna, drewniane podłogi i miękkie meble łagodzą trochę to wrażenie. Asertywną ciszę mogę znieść, bo Robin wróciła.

W tym tygodniu jej nie było, pojechała na konwent lutników do Healdsburga, gdzie wystawiała dwie gitary i mandolinę. Gdyby nie proces, mógłbym z nią pojechać.

Jesteśmy znów razem po dwóch rozstaniach, chyba w końcu nam się układa. Kiedy zaczynam rozmyślać o przyszłości, sam sobie przerywam. Mądrze nazywa się to kognitywną terapią behawioralną.

Razem z ubraniami, książkami i ołówkami Robin przywiozła ze sobą dziesięciodniową płową suczkę, francuskiego buldoga i odstąpiła mi zaszczyt jej nazwania. Pies uwielbiał towarzystwo obcych, więc nazwałem ją Blanche.

Półroczna teraz Blanche była pomarszczoną kulką błogości o miękkim brzuszku i płaskim pyszczku i większość dnia przesypiała. Jej poprzednik, charakterny, pręgowany twardziel o imieniu Spike, zdechł we śnie w podeszłym wieku. To ja go uratowałem, ale wybrał Robin na obiekt swoich westchnień. Blanche jak dotąd nie dyskryminowała żadnego z nas.

– Można by powiedzieć – oświadczył Milo, kiedy zobaczył ją po raz pierwszy – że ta jest nawet całkiem jakby ładna.

Blanche zamruczała cicho, potarła swoją guzowatą głową o jego podbródek i wywinęła wargi.

– Uśmiecha się do mnie, czy to tylko gazy?

– Uśmiecha się – odparłem. – Ona tak ma.

Milo pochylił się i przyjrzał jej uważniej. Blanche polizała go po rękę, przytuliła się.

– To ten sam gatunek co Spike?

– Pomyśl o sobie i Robin – powiedziałem.

Nie usłyszałem powitalnego szczeknięcia, gdy przeszedłem przez kuchnię do pralni. Blanche spała w swojej skrzynce, z otwartymi drzwiami. Kiedy wyszeptałem „Dzień dobry”, uchyliła jedno wielkie, brązowe oko. Naturalny kikut, który francuskim buldogom służy za ogon, zaczął gwałtownie skakać na boki, reszta jednak pozostała nieruchoma.

– Cześć, śpiąca królewno.

Otworzyła drugie oko, ziewnęła, rozważyła wszystkie możliwości. W końcu wyszła ze skrzynki i się otrząsnęła. Kawałek wątróbki, który jej podsunąłem, Spike’a wprowadziłby w szal jedzenia. Blanche pozwoliła mi trzymać kęs, a sama delikatnie go skubała. Zaniósłem ją do sypialni i posadziłem na fotelu. Westchnęła i z powrotem zasnęła.

– To dlatego że jestem takim fascynującym gościem. Przetrzęsnałem szafkę, szukając karty Tanyi Bigelow, znalazłem ją na dnie szuflady, przejrzałem. Początek leczenia w wieku siedmiu lat, jedno spotkanie kontrolne trzy lata później.

W moich notatkach nie zauważyłem nic ważnego. Nie byłem zaskoczony.

O piątej dwadzieścia rozległ się dzwonek.

Młoda blondynka o jasnej karnacji, w białej bluzce i wyprasowanych dżinsach, stała na podeście.

– Nic się pan nie zmienił, doktorze Delaware.

Niewysokie dziecko przeistoczyło się w drobną młodą kobietę. Poszukałem charakterystycznych rysów: ta sama trójkątna twarz, kanciasty podbródek, jasnozielone oczy. Skłonne do drżenia usta.

Ciekawe, czy poznałbym ją na ulicy.

– Ty się trochę zmieniłaś – powiedziałem i zaprosiłem ją do środka. – Mam nadzieję – odparła. – Gdy się ostatnio widzieliśmy, byłam mała.

Antropolodzy twierdzą, że kolor blond jest tak atrakcyjny, bo niewiele jasnowłosych dzieci zostaje jasnowłosymi dorosłymi, reprezentuje on młodość. Żółte loki Tanyi zmieniły się w długie miodowo-złote fale. Nosiła je zebrane w kok upięty czarnymi pałeczkami.

Żadnego podobieństwa do Patty.

Bo i skąd?

Poszliśmy korytarzem. Kiedy zbliżyliśmy się do gabinetu, wyszła Blanche. Otrząsnęła się, ziewnęła, przydreptała do nas. Podniosłem ją.

– A to już zmiana – powiedziała Tanya. – Ostatnim razem z żywego inwentarza miał pan tylko śliczne rybki.

– Wciąż je mam.

Wyciągnęła rękę, żeby pogłaskać psa, rozmyśliła się.

– Wabi się Blanche. Jest bardziej niż przyjazna i niezwykle towarzyska.

Tanya ostrożnie wyciągnęła palec.

– Cześć, cukierku.

Szczenięcy dreszczyk wstrząsnął okrągłym ciałkiem Blanche jak

galaretką. Wilgotny czarny nos wysunął się w stronę Tanyi. Mięsiste wargi poszły w górę.

– Czy ja antropomorfizuję, doktorze Delaware, czy ona się uśmiecha?

– Ty nie, ona tak.

– Ależ jest słodka.

– Odłożę ją do skrzynki i możemy zaczynać.

– Do skrzynki? Czy to konieczne?

– Będzie się tam czuła bezpieczniej.

Tanya popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Pomyśl o dziecku w kojcu zamiast turlającym się po otwartej przestrzeni – powiedziałem.

– Może – odparła – ale niech jej pan nie wypędza ze względu na mnie.

Uwielbiam psy.

Pogłaskała czubek głowy Blanche.

– Chcesz ją potrzymać?

– Ja... jeśli ona nie ma nic przeciwko temu.

Blanche dała się przekazać z rąk do rąk bez żadnej reakcji. Ktoś powinien przebadać chemię jej mózgu i zacząć ją sprzedawać w paczkach.

– Jaka jest ciepła... cześć, skarbie. To mops?

– Francuski buldog. Jeśli zaczniesz ci ciążyć...

– Niech się pan nie martwi, jestem silniejsza, niż wyglądam.

Usiedliśmy w fotelach naprzeciwko siebie.

– Wygodna skóra – powiedziała Tanya, gładząc poręcz. – To te same...

– Spojrzała na Blanche. – Dobrze ją trzymam?

– Doskonale.

Rozejrzała się po pokoju.

– Tu nic się nie zmieniło, ale reszta domu jest zupełnie inna. Był mniejszy. Z drewnianą elewacją, prawda? W pierwszej chwili myślałam, że pomyliłam adres.

– Przebudowaliśmy go kilka lat temu. – Psychopata podjął tę decyzję za nas, puszczając z dymem wszystko, co mieliśmy.

– Wyszedł wyjątkowo stylowo – pochwaliła.

– Dziękuję.

– A więc. No to jestem.

– Dobrze cię widzieć, Tanyu.

– Pana również. – Powiodła wzrokiem po pokoju. – Pewnie pan myśli, że powinnam pomówić o śmierci mamy.

– Jeśli chcesz.

– Naprawdę nie chcę, doktorze Delaware. Nie wypieram niczego, to był koszmar, nigdy nie przypuszczałam, że spotka mnie coś tak strasznego. Ale radzę sobie z żalem tak dobrze, jak można się było spodziewać. Czy to brzmi jak wyparcie?

– Ty sama możesz to ocenić najlepiej, Tanyu.

– Chyba tak – przyznała. – Nie tłumię swoich uczuć. Wręcz przeciwnie, płaczę. O rany, ile ja płaczę. Budzę się rano i wciąż spodziewam się ją zobaczyć, ale...

Jej oczy zwilgotniały.

– Nie minęło dużo czasu – zauważyłem.

– Często wydaje mi się, że to było wczoraj. A czasami, że nie ma jej od zawsze... Podejrzewałam, że jest chora, zanim ona sama na to wpadła.

– Nie czuła się dobrze?

– Przez parę tygodni nie była po prostu sobą. To samo powiedział Rick.

– Nie, żeby powstrzymywało ją to od pracy na dwie zmiany, gotowania i sprzątanania, ale nie miała apetytu i zaczęła tracić na wadze. Kiedy jej to powiedziałam, odrzekła, żebym nie narzekała, że może wreszcie będzie szczupła. Ale w tym właśnie sęk. Mama nigdy nie mogła zrzucić wagi, nieważne, jak bardzo się starała. Będę studiować medycynę, znam się na biologii dość dobrze, żeby podejrzewać cukrzycę. Któregoś wieczoru, gdy ledwie tknęła kolację, uświadomiłam jej, co się dzieje. Powiedziała, że to tylko menopauza, nic wielkiego. Zaczęła jednak menopauzę dwa lata temu, a kobiety zwykle wtedy przybierają na wadze, a nie chudną. To też, jej wyjaśniłam, ale mnie zlekceważyła. W końcu, tydzień później, została zmuszona się zbadać.

– Zmuszona przez co?

– Doktor Silverman zauważył, że miała poziom białka, i nie odpuścił. Ale nawet wtedy, zanim zgodziła się pójść do lekarza, kazała sobie pobrać krew na izbie przyjęć. Kiedy przyszły wyniki, doktor Silverman polecił zrobić USG. Guz tkwił w samym środku trzustki, były przerzuty na wątrobę, żołądek i jelita. Potem poszło szybko. Czasami się zastanawiam, czy to nie szok wiedzy odebrał jej całą wolę walki. A może to był naturalny przebieg choroby.

Siedziała wyprostowana, z suchymi oczami. Powoli głaskała Blanche. Ktoś, kto by jej nie znał, mógłby pomyśleć, że jest zdystansowana.

– Jak długo chorowała? – spytałem.

– Od dnia diagnozy dwadzieścia pięć dni. Większość z nich spędziła w szpitalu, była za słaba, żeby mieszkać w domu. Na początku była uciążliwa, jak tylko mogła, narzekała, że nie zabierają jej od razu tacy, marudziła, że pielęgniarki się nie starają, że nie ma ciągłej opieki. Na



każdej zmianie kazała sobie odczytywać kartę, sprawdzała, czy wszystko zostało właściwie zapisane. Pewnie dzięki temu czuła, że ma jakąś kontrolę. Mamie zawsze zależało na kontroli. Mówiła panu kiedyś o swoim dzieciństwie?

– Trochę.

– Wystarczająco dużo, żeby pan wiedział, co się jej przydarzyło w Nowym Meksyku?

Kiwnąłem głową.

Małe dłonie zacisnęły się w piętki.

– To cud, że wyrosła z niej taka wspaniała kobieta.

– Była niesamowita – przyznałem.

– Tak, niewiarygodna. – Tanya przyjrzała się rycinie na ścianie po lewej. – Przez ten pierwszy tydzień w szpitalu była absolutną despotką. Potem za bardzo źle się czuła, żeby się wykłócać, głównie spała i czytała szmatławce, tak nazywała magazyny o celebrytach. Wtedy zrozumiałam, że jest z nią naprawdę źle. – Zacisnęła usta. – „Us”, „People”, „Star”, „OK!”. Pisma, z których zawsze się śmiała, kiedy przynosiłam je do domu, żeby poczytać w weekend. Nie jestem niczyją fanką, ale uczę się w bibliotece uniwerka piętnaście godzin tygodniowo, do tego medycyna, czemu nie pozwolić sobie na trochę grzesznych przyjemności? Mama uwielbiała ze mnie żartować. Lubiła czytać książki o inwestowaniu, gazety finansowe i miesięczniki dla pielęgniarek. W głębi serca była intelektualistką. Ludzie często jej niedoceniali.

– Poważny błąd w ocenie – powiedziałem.

Tanya pogłaskała Blanche.

– To prawda, ale image dziewczyny ze wsi mógł też działać na jej

niekorzyść. Powiedziała mi, że zanim poznała doktora Silvermana, jej szefowie nigdy nie traktowali jej tak, jak zasługiwała. On ją doceniał, dbał, żeby dostawała podwyżki... W każdym razie, chyba pan widzi, że radzę sobie z żalem. Niczego nie tłumię. Wręcz przeciwnie, zmuszam się do pamiętania wszystkiego, co mogę. Tak jak kiedy wchodzi drzazga i dłubie się głęboko, żeby ją wyjąć.

Przytaknąłem.

– Czasami – ciągnęła – odbija mi, płaczę, jestem zbyt zmęczona, żeby cokolwiek czuć. Noce są najgorsze. Ciągłe mam sny. To normalne, prawda?

– Sny, w których ona się pojawia?

– To coś więcej. Ona tam jest. Mówi do mnie. Widzę, jak porusza ustami, słyszę dźwięk, ale nie umiem rozróżnić słów, to takie frustrujące... Czasami czuję jej zapach, to, jak zawsze pachniała wieczorem, pastą do zębów i talkiem, to takie żywe. Potem się budzę, jej nie ma, jest za to olbrzymie uczucie deflacji. Ale wiem, że to typowe. Przeczytałam kilka książek o żalu.

Wymieniła pół tuzina tytułów. Znałem cztery. Dwa były dobre.

– Znalazłam je w sieci, wybrałam te, które miały najlepsze opinie. – Skrzywiła się. – Po prostu będę musiała dać sobie z tym radę. To, w czym potrzebuję pomocy... i proszę mi wybaczyć, ale nie wiem nawet, czy jest pan właściwą osobą... – Zaczerwieniła się. – Myślałam, czy nie porozmawiać z doktorem Silvermanem... Wybrałam pana, bo mama pana szanowała. Ja też, oczywiście. Pomógł mi pan... – Znów zacisnęła usta. Stuknęła kciukiem o kciuk. – Uśmiechnęła się do mnie. – Nie wolno panu się gniewać, prawda?

– O co miałbym się gniewać?

– Jeśli nie byłam zupełnie szczerą... dobrze, po prostu to z siebie wyrzucę. Tak naprawdę przyszedłam do pana, bo pracuje pan z tym detektywem, drugą połową doktora Silvermana. Poszłabym prosto do doktora Silvermana, ale nie znam go dobrze, a pan był moim terapeutą, więc mogę panu powiedzieć wszystko. – Głęboki oddech. – Prawda?

– Chcesz, żebym skontaktował cię z detektywem Sturgisem.

– Jeśli myśli pan, że on mógłby pomóc.

– W... ?

– W śledztwie – wyjaśniła. – Chcę się dowiedzieć, co się dokładnie stało.

– Ta „straszna rzecz”, do której przyznała się twoja matka.

– To nie było przyznanie, raczej... jakiś przymus, doktorze Delaware. Przymus i determinacja. Dokładnie taka mama była, kiedy należało rozwiązać jakiś problem. Myśli pan, że mówię od rzeczy, była chora, miała osłabiony mózg. Ale pomimo tego, jak bardzo była chora, chciała wyraźnie, żebym się skupiła.

– Na „strasznej rzeczy”.

Tanya zamrugwała.

– Oczy mnie pieką. Ma pan może chusteczkę?

Wytarła oczy, odetchnęła.

Blanche wydeła fagle.

Tanya spojrzała w dół.

– Czy ona mnie papuguje?

– Uznaj, że to współczucie.

– Ha. To idealny pies dla psychologa. – Nagły uśmiech. – Kiedy zrobi

doktorat?

– Może ty jej przemówisz do rozsądku – powiedziałem. – Chce zostać adwokatem.

– Co to było? – spytała Tanya, kiedy skończyła się śmiać. –

Rozładowanie sytuacji?

– Uznaj to za przerwę na oddech.

– Tak... a więc mogę panu opowiedzieć, jak to dokładnie było?

Za to mi płacą.

– Słucham.

Drugi tydzień to był sam ból – powiedziała. – Wszyscy się na tym skoncentrowali, oprócz mamy. – Bo ona...

– Ona skupiła się na załatwianiu spraw. Mówiła na to „sadzać kury na grzędzie”. Na początku to mnie denerwowało. Chciałam się nią zaopiekować, powiedzieć jej, jak bardzo ją kocham, ale kiedy zaczęłam, przerwała mi. „Porozmawiajmy o twojej przyszłości”. Mówiła wolno, zdyszana, z trudem, a ja pomyślałam, że tu chodzi o przyszłość bez niej.

– Może pomagało jej to zapomnieć o bólu.

Mięśnie wokół jej oczu zadrżały.

– Doktor Michelle, anestezjolog, podłączył jej kroplówkę z morfiną. Chodziło o to, żeby cały czas dostawała dawkę, która maksymalnie łagodziłaby ból. Mama ją zakręcała. Słyszałam, jak doktor Michelle mówił pielęgniarce, że mama na pewno cierpi, ale nic nie może poradzić. Pamięta pan, jaka ona potrafiła być uparta?

– Miała zawsze swoje zdanie.

– „Kury na grzędzie” – powtórzyła. – Zaczęła wykład, a ja musiałam robić notatki, było tyle szczegółów. Poczułam się jak w szkole.

– Jakich szczegółów?

– Finansowych. Zabezpieczenie finansowe było dla niej bardzo ważne. Powiedziała mi o funduszu powierniczym, który założyła dla mnie, kiedy miałam cztery lata. Myślała, że nic o tym nie wiem, ale ja podsłuchałam, jak rozmawiała o tym z doradcą finansowym. Udawałam, że jestem zaskoczona. Miała dwie polisy na życie, których byłam jedyną

beneficjentką. Czuła się dumna, że spłaciła dom, że nie miała długów, że ze swoich zarobków i inwestycji będą mogła płacić podatek od nieruchomości i wszystkie bieżące rachunki. Kazała mi sprzedać mój samochód, podała nawet jego wartość z wyceny, i zatrzymać jej, bo był nowszy i tańszy w eksploatacji. Wyliczyła dokładnie, ile miesięcznie mogę wydawać, powiedziała mi, żebym oszczędzała, jeśli dam radę, ale żebym zawsze dobrze się ubierała, bo pozory mają znaczenie. Potem wyrecytowała numery telefonów: do doradcy finansowego, prawnika, księgowego, hydraulika, elektryka. Ze wszystkimi się skontaktowała, czekali na mój telefon. Musiałam teraz sama zapanować nad swoim życiem, a ona oczekiwała, że będę dość dojrzała, by sobie z tym poradzić. Kiedy doszła do tego, żebym sprzedała jej ubrania na wyprzedaży albo na eBayu, zaczęłam płakać i prosić, by przestała.

– Przestała? – spytałem.

– Łzy zawsze na mamę działały. Wykorzystywałam to, gdy byłam mała.

– Takie planowanie twojej przyszłości musiało być ciężkie do zniesienia.

– Ona opowiada o podatku od nieruchomości, a ja myślę: „Niedługo ona przestanie istnieć”. Miała powód, żeby tak się zachowywać, ale mnie nie było łatwo. Musiałam wyrecytować wszystko, co mi przekazała, na wrywki.

– Pewnie świadomość, że zrozumiałaś, stanowiła dla niej pociechę.

– Mam nadzieję. Żałuję tylko, że nie mogliśmy spędzić razem więcej czasu... To samolubne, chodzi o to, żeby skupić się na cierpiącym,

prawda?

Brzmiało to jak cytat z książki.

– Oczywiście.

Objęła się jedną ręką, drugiej nie zdjęła z Blanche. Suczka polizała jej dłoń. Tanya zaczęła płakać.

Rozpuściła włosy, uwalniając blond grzywę, którą gwałtownie wstrząsnęła, a potem zwinęła z powrotem i upięła pałeczkami.

– W porządku – powiedziała. – Przejdę do rzeczy. Był piątek wieczór. Przyjechałam do szpitala później niż zwykle, bo miałam laboratorium z chemii organicznej i dużo nauki. Mama wydawała się bardzo słaba, nie mogłam uwierzyć, jak zmieniła się od rana. Oczy miała zamknięte, skórę zielonoszarą, dłonie jak zawiniątka patyczków. Szmatławce leżały porozrzucane dookoła, wyglądała, jakby połykały ją papiery. Zaczęłam sprzątać. Otworzyła oczy i wyszeptała coś, czego nie usłyszałam, więc przysunęłam ucho do jej ust. – Przekręciła pałeczkę we włosach. – Na początku nie poczułam nawet jej oddechu i odsunęłam się, spanikowana. Ale ona patrzyła prosto na mnie, w środku ciągle paliło się światło. Pamięta pan jej oczy? Bystre i ciemne? Wtedy też takie były, doktorze Delaware, skupione, patrzyły na mnie, poruszała ustami, ale miała je tak wyschnięte, że nie wydobywał się żaden dźwięk. Zmoczyłam ręcznik, a ona wysunęła wargi jak do buziaka, nachyliłam się, dotknęła ustami mojego policzka. Potem jakoś udało się jej unieść głowę, więc nachyliłam się niżej. Jedną ręką złapała mnie za szyję i pociągnęła. Czułam, jak rurka od kroplówki łaskocze mnie w tył ucha. – Odwróciła wzrok. – Muszę się przejść.

Postawiła Blanche na podłodze i wstała. Suczka podbiegła do mnie i

ułożyła mi się na kolanach.

Tanya dwa razy przemierzyła pokój, potem wróciła do swojego fotela, ale nie usiadła. Kosmyk włosów wysunął się jej z koka i opadł na jedno oko. Jej pierś unosiła się ciężko i opadała.

– Oddech miała jak lód. Znow zaczęła mówić. Dyszała słowa. Powiedziała: „Zrobiłam źle”. Potem to powtórzyła. Odparłam: „Nigdy nie mogłaś zrobić nic złego”. Zasyczała tak głośno, że zabolalo mnie ucho, wyrzuciła:

„Straszną rzecz, skarbie”, a ja poczułam, że drży jej twarz. – Naciągnęła kąciki oczu, puściła, odetchnęła głęboko. – To jest to, czego nie zdradziłam panu przez telefon. Powiedziała: „Zabiłam go. Blisko. Wiedz to. Wiedz”. Wciąż się nad tym zastanawiam. W jej życiu osobistym nie widziałam żadnych mężczyzn, więc nie mogło to znaczyć, że był to ktoś bliski. Przychodzi mi do głowy tylko jedno wytłumaczenie, że trzeba to rozumieć dosłownie. Ktoś, kto mieszkał blisko nas. Łamałam sobie głowę i próbowałam przypomnieć, czy jakiś nasz sąsiad nie zginął w dziwny sposób, ale nic. Tuż przed tym, jak do pana przyszedłam pierwszy raz, mieszkałyśmy w Hollywood i pamiętam, jak słyszałam bez przerwy syreny, a co jakiś czas pijacy dobijali się do naszych drzwi, ale to wszystko. Nie, żebym kiedykolwiek uwierzyła, że mama mogła rozmyślnie zrobić komuś krzywdę. Usiadła.

– Nie wiesz, w co masz wierzyć? – spytałem.

– Uważa pan, że to czyste wariactwo. Ja też tak uważałam. Nie chciałam o tym w ogóle myśleć. Ale nie mogę przestać. Nie przez moje skłonności. Dlatego że mama chciała, bym poznała prawdę. O to jej chodziło, kiedy mówiła: „Wiedz”. Było dla niej ważne, żebym zrozumiała,



bo przez cały tydzień planowała moją przyszłość, a to była jej część.

Milczałem.

– Może to rzeczywiście wariactwo. Ale mogę przynajmniej to sprawdzić. Dlatego pomyślałam, że detektyw Sturgis mógłby znaleźć w komputerze miejsca, w których mieszkaliśmy, i zobaczyć, czy w pobliżu coś się nie stało; pewnie niczego byśmy się nie dowiedzieli i to by było wszystko.

Dziecko epoki elektronicznej.

– System komputerowy LAPD jest dość prymitywny – powiedziałem – ale spytam. Zanim się tym zajmiemy, mogłabyś się zastanowić...

– Czy jestem gotowa dowiedzieć się czegoś okropnego. Odpowiedź brzmi „nie”, raczej nie, ale nie wierzę, że mama rzeczywiście kogoś zabiła. To by było zupełne szaleństwo. Myślę, że w najgorszym razie była zamieszana w jakiś wypadek, za który się winiła, i chciała się upewnić, że mnie to nigdy nie dosięgnie. Jakieś roszczenie. Musiała mieć pewność, że będę przygotowana.

Nachyliła się do przodu, bawiąc włosami, długim kosmykiem zakryła sobie oczy, puściła.

– Jak zareagowałaś – spytałem – kiedy ci to wszystko powiedziała?

– Nijak, bo zasnęła. Tak jakby zrzuciła ciężkie brzemię i mogła wreszcie odpocząć. Po raz pierwszy, odkąd trafiła do szpitala, wyglądała na spokojną. Siedziałam z nią jakiś czas. Przyszła pielęgniarka, sprawdziła czynności życiowe, włączyła kroplówkę z morfiną, powiedziała, że mama będzie spać przynajmniej sześć godzin i że mogę iść, i wrócić później. Zostałam jeszcze trochę, w końcu poszłam do domu, bo musiałam się uczyć do testu. – Palce wbiły się w poręcz fotela. – Zadzwonili o trzeciej

rano. Mama zmarła we śnie.

– Tak mi przykro, Tanyu.

– Zapewnili, że nie cierpiała. Lubię myśleć, że odeszła w spokoju, bo mogła po raz ostatni mi coś powiedzieć. Muszę uczcić jej pamięć i to sprawdzić. Odkąd umarła, wracam do tego każdego dnia. „Straszna rzecz”. „Zabiłam go, blisko”. Czasami wydaje mi się, że to bez sensu, jak ograna scena ze starego filmu: „zabójcą był...”, a potem mówiący pada i zamyka oczy... Ale ja wiem, że mama nie traciłaby czasu i energii, które jej zostały, gdyby to nie było ważne. Porozmawia pan z detektywem Sturgisem?

– Oczywiście.

– Może, jeśli mu pan opowie, jaka mama była, nie pomyśli, że jestem totalną idiotką. Tak się cieszę, że do pana wróciłam. Rozumie pan, dlaczego ona była dla mnie lepsza niż najlepsza matka. Nie urodziłam się z jej Iona, a kiedy Lydia mnie porzuciła, łatwo byłoby mnie gdzieś odesłać i żyć dalej swoim życiem. Zamiast tego ona poświęciła życie mnie.

– Ty również nadałaś jej życiu znaczenie.

– Mam nadzieję.

– Jej duma z ciebie była oczywista, Tanyu.

– To nie to samo, doktorze Delaware. Bez niej byłabym nikim.

Zerknęła na zegarek.

– Mamy jeszcze czas – powiedziałem.

– To właściwie wszystko, o czym chciałam porozmawiać.

Znów wstała. Wyjęła z torebki białą kopertę i podała mi ją. Na zamknięciu wytłoczone „P. L. Bigelow” i adres przy Canfield Avenue. W środku była kartka złożona idealnie na trzy części. Wyśrodkowana,

wydrukowana lista.

Cztery różne adresy, każdy z odręcznie napisanym przez Tanyę komentarzem.

Cherokee Avenue, Hollywood. *Mieszkałyśmy tam cztery lata, miałam trzy do siedmiu lat.*

Hudson Avenue, Hancock Park. *Dwa lata, od siedmiu do około dziewięciu czy jakoś tak.*

Czwarta ulica, dzielnica Wilshire. *Rok, dziewięć do dziesięciu.*

Culver Boulevard, Culver City. *Dwa lata, dziesięć do dwunastu, potem kupiłyśmy dom.*

Ułożyła listę według własnego wieku. Grała dorosłą, ale wciąż kurczowo trzymała się egoistycznego widzenia świata nastolatki.

– Może to coś stało się stosunkowo niedawno – powiedziałem.

Udawałem, że wierzę.

– Przy Canfield? Nie, tam się nic nie działo. A ja byłem starsza, kiedy się przeprowadziłyśmy, wiedziałabym, gdyby w okolicy coś się wydarzyło. Przy okazji, nie zastrzegam poufności, więc może pan powiedzieć detektywowi Sturgisowi cokolwiek pan chce. Proszę, mam to na piśmie.

Wyjęła kolejną kartkę złożoną w kant jak brzytwa. Odręczna notka, napisana sztywnym, prawniczym językiem amatora. Potem czek,

wypełniony na zniżkową kwotę, którą wziąłem od jej matki dziesięć lat temu. Dwadzieścia procent tego, co biorę teraz.

– To wystarczy?

– Oczywiście.

Ruszyła do drzwi.

– Dziękuję, doktorze Delaware.

– Czy matka mówiła ci kiedyś o przypadkach naruszenia etyki zawodowej w szpitalu?

– Nie. Czemu?

– Ostry dyżur to oddział wysokiego ryzyka. A jeśli pacjent, którym się zajmowała, zmarł, a ona czuła się odpowiedzialna?

– Nie ma mowy, żeby doprowadziła do czyjejś śmierci, doktorze Delaware. Wiedziała więcej niż niektórzy lekarze.

– Pozwy sądowe nie zawsze opierają się na prawdzie – zauważyłem. – W sytuacjach związanych ze szpitalem prawnicy czasem rzucają się na każdego, kto choćby mrugnął do pacjenta.

Tanya oparła się o drzwi.

– Etyka zawodowa. O mój Boże, czemu o tym nie pomyślałam? Możliwe, że szykuje się jakiś wielki pozew, a mama martwiła się, że ktoś będzie chciał się dostać do mojego funduszu. Albo domu. Chciała powiedzieć więcej, ale nie starczyło jej sił... jest pan geniuszem, doktorze Delaware.

– To tylko sugestia...

– Ale świetna. Zasada ekonomii myślenia, tak? Trzeba szukać najprostszego wyjaśnienia. Nie mogę uwierzyć, że sama na to nie wpadłam.

– Miałaś dużo na głowie. Zaraz zatelefonuję do doktora Silvermana. Dodzwoniłem się na ostry dyżur. Rick właśnie operował.

– Oddzwoni. Jeśli będzie coś, co powinnaś wiedzieć, obiecuję, że od razu dam ci znać.

– Bardzo panu dziękuję, doktorze Delaware... Bez urazy, ale czy możemy być pewni, że doktor Silverman będzie szczery? Może jego prawnicy kazali mu nie rozmawiać... dobrze, przepraszam, to głupota, dostaję paranoi.

– Wciąż chcesz, żebym porozmawiał z detektywem Sturgisem?

– Tylko jeśli doktor Silverman powie, że nie ma żadnej sprawy o naruszenie etyki, ale coś mi mówi, że pan to już rozwiązał. Zawsze twierdziła, że jest pan genialny.

Terapię, którą przeprowadziłem dziesięć lat temu, można było nazwać różnie, ale na pewno nie genialną. Uśmiechnąłem się i odprowadziłem ją do wyjścia.

– Kiedy już załatwimy tę sprawę – powiedziałem, gdy doszliśmy do jej vana – czy zgodziłabyś się na jeszcze parę sesji?

– Po co?

– Chciałbym dowiedzieć się więcej o twojej sytuacji życiowej, na kogo możesz liczyć.

– Moja sytuacja życiowa się nie zmieniła. Dom jest spłacony, lokatorzy na dole to bardzo miła młoda rodzina, Friedmanowie. Ich czynsz pokrywa wydatki z górką. Wyjechali do Izraela na urlop naukowy doktora Friedmana, ale zapłacili za następny rok i zamierzają wrócić. Ubezpieczenie i inwestycje mamy wystarczająco mi dopóki nie skończę studiów. Jeśli pójdę do prywatnej szkoły medycznej, być może będę

musiała się zapożyczyć. Ale lekarze dobrze zarabiają, spłacę kredyty. Przyjaciele w szkole mi pomagają, jest nas cała grupa, wszyscy przed medycyną, są bardzo fajni i okazują dużo zrozumienia.

– Brzmi nieźle – przyznałem – ale mimo to poczułbym się lepiej, gdybyś nie skreślała z góry możliwości powrotu.

– Wróć, obiecuję, doktorze Delaware. Jak tylko pozdam egzaminy. – Uśmiechnęła się. – Niech się pan nie martwi, nie mam żadnych swoich dawnych problemów. Jestem wdzięczna, że pan o mnie myśli. Mama zawsze mówiła, że dla pana to coś więcej niż praca. Powiedziała mi, żebym się od pana uczyła, co to znaczy troska o pacjenta.

– Ile miałaś lat, gdy ci to mówiła?

– To było... tuż przed drugim razem, kiedy się z panem widziałam, właśnie przeprowadziłyśmy się do Culver, a więc... dziesięć.

– Miałaś dziesięć lat i wiedziałaś, że chcesz być lekarzem?

– Zawsze chciałam być lekarzem. Wierzy pan w życie po śmierci?

– To koncept, który dodaje otuchy.

– Czyli nie?

– To zależy od dnia.

W głowie rozbłysły mi obrazy rodziców. Tata, czerwono nosy, w rajku pijaków. Czy mieli tam niebiańskie procedury radzenia sobie z nieprzewidywalnym zachowaniem?

Może mama w końcu znalazła szczęście w jakimś rajskim odpowiedniku klubu brydżowego.

– No, to przynajmniej szczerą odpowiedź – powiedziała Tanya. – Ze mną jest chyba tak samo. Rozumuję głównie na zasadzie naukowej logiki, pokażcie mi dane. Ale ostatnio zaczynam wierzyć w świat duchowy, bo

wyczuwam ją obok siebie. Nie ciągle, tylko czasami, gdy jestem sama. Robię coś i czuję ją. Możliwe, że to tylko moje emocjonalne potrzeby, ale w dniu, kiedy to się skończy, przyjdę do pana na poważną terapię.

Nie, nic takiego – powiedział Rick – ani teraz, ani w przeszłości. W ogóle mamy ostatnio spokój, jeśli chodzi o różne przekręty. A kiedy sępy zaczynają kołować, unikają pielęgniarek. One za mało zarabiają.

– Czy Patty dorabiała na boku?

– Nie, odkąd pracowała u mnie. Kiedy potrzebowała dodatkowych pieniędzy, brała podwójne dyżury.

– Gdzie pracowała, zanim przyszła do Cedars?

– W Kaiser Sunset, ale tylko przez rok. Daj sobie spokój z tą etyką, Alex.

– Dobra, dzięki.

– Co u Tanyi?

– Dobrze na tyle, na ile można oczekiwać.

– Świetnie. Muszę lecieć. Dzięki, że się z nią spotkałeś.

Krótko i na temat, jak chirurg. Tak samo było, gdy polecił mi ją po raz pierwszy.

– Wiem, że nie zajmujesz się terapią, Alex, ale to mi wygląda raczej na konsultację.

– Kto potrzebuje konsultacji?

– Najlepsza pielęgniarka, z jaką kiedykolwiek pracowałem, niejaka Patty Bigelow. Kilka lat temu siostra podrzuciła jej dzieciaka, a potem wyjechała nie wiadomo dokąd. Potem zginęła w wypadku motocyklowym, a Patty adoptowała dziewczynkę, która teraz ma siedem lat. Chciałaby zadać parę rodzicielskich pytań. Przyjmiesz ją?



– Jasne.

– Jestem wdzięczny...

– Powinienem wiedzieć coś jeszcze?

– O czym? – spytał.

– O Patty, o dziewczynce.

– Dziewczynkę widziałem tylko przelotnie. Ładniutka. Patty jest świetnie zorganizowana. Może trochę za bardzo, jak dla dziecka.

– Perfekcjonistka.

– Można tak powiedzieć. Świetnie się sprawdza na moim oddziale. Trudno było się jej przyznać, że ma problem. Nie wiem, czemu wybrała mnie.

– Ufa ci.

– Możliwe... Podam jej twój numer, muszę lecieć.

Godzinę później zadzwoniła Patty Bigelow.

– Dzień dobry, doktorze. Nie będę kłapać jadaczką przez telefon, bo pan sobie liczy za swój czas, a ja nie będę go panu podkraść. Kiedy ma pan najbliższy wolny termin?

– Możemy się spotkać dzisiaj o szóstej.

– Nie da rady – oznajmiła. – Pracuję do siódmej, a Tanya wychodzi z przedszkola o ósmej, więc wieczór odpada. Jutro mam wolne.

– Dziesiąta rano?

– Świetnie, dzięki. Mam przyprowadzić Tanyę?

– Nie, najpierw porozmawiajmy sami.

– Miałam nadzieję, że tak pan powie. Ile pan sobie liczy?

Powiedziałem, dodałem, że policzę jej połowę.

– To sporo poniżej średniej – zauważyła. – Doktor Silverman uprzedzał mnie, że nie jest pan średni.

Przez chwilę się spieraliśmy. Ja wygrałem.

– Normalnie się nie poddaję, doktorze Delaware – powiedziała Patty. – Możliwe, że jest pan właśnie tym człowiekiem, którego Tanya potrzebuje.

Następnego ranka o dziewiątej czterdzieści dwie stałem na podeście, gdy przed domem zatrzymał się niebieski minivan. Silnik zgasł, ale nic się nie działo.

Kobieta z krótkimi, ciemnymi włosami siedziała za kierownicą, balansując książeczką czekową. Kiedy podszedłem, odłożyła ją.

– Panna Bigelow?

Z okna wystrzeliła dłoń. Kanciasta, z krótko przyciętymi paznokciami.

– Party. Przyjechałam za wcześnie, nie chciałam przeszkadzać.

– Nie przeszkadza pani, proszę wejść.

Wysiadła z samochodu, niosąc czarną teczkę.

– Wyniki badań Tanyi. Ma pan kserokopiarkę?

– Mam, ale najpierw porozmawiajmy.

– Jak pan uważa.

Weszła na schody tuż przede mną. Dawałem jej około czterdziestki. Niska, ciemnooka, o okrągłej twarzy, w granatowym golfie, luźnych džinsach i nieskazitelnie białych tenisówkach. Jej ubrania nie próbowały wyszczuplać szerokiej, krępej sylwetki. Ciemne włosy przetykane siwizną ostrzygła w antystylu, mającym w sobie tyle frywolności, ile klucz nasadowy do kół. Nie malowała się, ale miała dobrą cerę, czerstwą, lekko błyszczącą, bez zmarszczek. Pachniała szamponem.

– Ładnie tu – pochwaliła, kiedy doszliśmy do schodów prowadzących na ganek.

– Fakt.

Idąc do gabinetu, nie rozmawialiśmy. W połowie drogi przystanęła, by palcem poprawić obrazek na ścianie. Trzymała się pół kroku za mną, jakby nie chciała, żebym zauważył. Zauważyłem mimo to, a ona się wyszczerzyła.

– Przepraszam.

– Nie ma problemu. Chętnie przyjmę każdą pomoc.

– Niech pan uważa, co pan mówi, doktorze.

Obejrzała pobieżnie moje dyplomy i przysiadła na krawędzi krzesła.

– Widzę jeszcze parę przekrzywionych.

– Trzęsienia ziemi – wyjaśniłem. – Grunt się tu bez przerwy przesuwają.

– Istotnie, mieszkamy w słoiku z galaretką. Próbował pan kiedyś wosku muzealnego? Mała grudka na środku ramki na dole, a jeśli będzie pan chciał zdjąć obrazek, schodzi bez śladu.

– Dzięki za radę.

Ustawiła teczkę tak, żeby jej przednia krawędź wypadła równo z nogą krzesła.

– Mogę? – spytała i wstała, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

Gdy wszystkie ramki wisiały już prosto, wróciła na fotel i splotła dłonie na kolanach. Na policzkach wykwitły jej niewielkie, brzoskwiniowe rumieńce. Miała wydatne kości policzkowe, jedyne wyraźniej zarysowane elementy okrągłej, gładkiej twarzy.

– Jeszcze raz przepraszam, ale nie umiem się powstrzymać. Mam

mówić o Tanyi czy o sobie?

– Może o was obu?

– Jakież preferencje co do kolejności?

– Niech pani opowiada, jak pani sobie życzy – powiedziałem.

– Dobra. W bardzo dużym skrócie, oto moja historia, żeby mógł pan zrozumieć Tanyę. Moja siostra i ja wychowywałyśmy się na ranchu pod Galisteo, w Nowym Meksyku. Oboje nasi rodzice byli alkoholikami. Matka pracowała jako kucharka, radziła sobie w kuchni, ale matkowanie miała gdzieś. Ojciec był nadzorcą i kiedy się nawalił, przychodził do naszej sypialni i robił nam brzydkie rzeczy... Nie muszę wchodzić w szczegóły, prawda?

– Chyba że pani chce.

– Nie chcę. Inaczej wpłynęło to na mnie, a inaczej na moją siostrę. Ona zdziczała, zaczęła uganiać się za facetami, pić i brać każdy narkotyk, jaki wpadł jej w ręce. Już nie żyje, wypadek motocyklowy. – Krótki, głęboki wdech. – Ja zostałam tą grzeczną. Nie byłyśmy ze sobą bardzo blisko. Jak się okazało, nie interesują mnie mężczyźni. W ogóle. Ani kobiety, jeśli jest pan ciekawy.

– Zawsze jestem ciekawy, ale to mi nie przyszło do głowy.

– Nie? – spytała. – Niektórzy uważają, że jestem babo-chłopem.

Nic nie powiedziałem.

– Poza tym, skoro to Richard, doktor Silverman, przysłał mnie do pana, a ludzie pochopnie wyciągają wnioski, zrozumiałabym, gdyby uznał mnie pan za lesbijkę.

– Bardzo się staram nie wyciągać pochopnych wniosków.

– Nie przeszkadzałyby mi, gdybym była lesbijką, ale nie jestem. Nie

interesuje mnie u nikogo nic poniżej pasa. Jeśli potrzebuje pan szufladki, może „aseksualna”? Według pana książek jestem nienormalna?

– Nie.

Znów ledwo widoczny uśmiech.

– Pewnie mówi pan to tylko po to, by nawiązać, jak to się mówi, nic porozumienia.

– Nie interesuje mnie pani życie seksualne – oświadczyłem. – To pani sprawa. Jak dotąd nie usłyszałem tu nic nienormalnego.

– Ludzie uważają, że to dziwne.

– A więc nie wpuścimy ludzi do gabinetu.

Uśmiechnęła się.

– Idźmy dalej: moja siostra, Lydia, która wołała imię Liddie, nie umiała utrzymać na sobie majtek. Może to taki Boży dowcip? Dwie dziewczyny podzieliły się jednym popędem seksualnym?

– Ona w poniedziałek, pani we wtorek, ale zrobiła się pazerna?

Zaśmiała się.

– Poczucie humoru jest w pana branży ważne.

– W pani też.

– Dużo pan wie o mojej pracy?

– Doktor Silverman powiedział mi, że jest pani najlepszą pielęgniarką, z jaką kiedykolwiek pracował.

– Przesadza – rzuciła, ale oczy jej zaśniły. – Dobrze, może tylko trochę, bo tak z marszu nie przychodzi mi do głowy nikt lepszy. Wczoraj w nocy mieliśmy faceta, ogrodnika, wsadził obie ręce pod kosiarkę. Za dużo współczucia i człowiek ciągle wpada w depresję... skoro mowa o złych rzeczach, sporo ich się zdarzyło mojej siostrze, ale nic takiego, na co

by nie zasługiwała. Zginęła na tylnym siedzeniu harleya w drodze na zlot motocyklistów w Dakocie Południowej. Nie miała kasku, tak samo jak ten geniusz, który prowadził. Źle wszedł w zakręt, wylecieli z drogi.

– Przykro mi to słyszeć.

Skrzywiła się.

– Trochę płakałam, ale... to zabrzmiało bezdusznie... przy tym, jak Liddie żyła, to cud, że nie stało się to wcześniej. W każdym razie opowiadam o tym po to, żeby wyjaśnić, skąd się u mnie wzięła Tanya. To biologiczna córka Liddie, ale pewnego dnia, kiedy miała trzy lata, moja siostra uznała, że już jej nie chce i podrzuciła mi ją pod drzwi. Dosłownie, w środku nocy słyszę dzwonek, wychodzę, znajduję Tanyę tulącą pluszaka, jakąś orkę, pamiątkę z Alaski. Liddie czeka przy krawężniku w sportowej bryce, a kiedy idę z nią porozmawiać, samochód rusza z piskiem opon. To było cztery lata temu i nigdy więcej się do mnie nie odezwała, nie dostałam nawet zawiadomienia o śmierci, dopiero rok po wypadku, bo Liddie miała fałszywe dokumenty, chwilę potrwało, zanim gliniarze ustalili, kim była.

– Jak zareagowała Tanya?

– Przez kilka dni płakała, potem przestała. Od czasu do czasu pytała o Liddie, ale nieregularnie. Zawsze odpowiadałam, że mama ją kochała, że zostawiła ją u mnie, bo ja mogłam się nią lepiej zająć. Kupiłam książkę, jak tłumaczyć śmierć dzieciom, wykorzystałam te fragmenty, które brzmiały sensownie, odrzuciłam inne. Ogólnie Tanya zniosła to raczej nieźle. Zadawała właściwe pytania. Potem zajmowała się własnymi sprawami. Ciągle jej powtarzałam, że mama ją kochała i że zawsze będzie ją kochać. Kiedy mówiłam to chyba po raz tysięczny, Tanya popatrzyła na mnie i powiedziała: „Ty jesteś moją mamą, ty mnie kochasz”. Następnego

dnia zaczęłam procedurę adopcyjną. – Zamrugła, odwróciła wzrok. – Jak na razie przydaje się to, co opowiadam?

– Bardzo – powiedziałem.

– Może odkryje pan coś, co przeoczyłam, ale naprawdę wydawała się radzić sobie z tym bardzo dobrze. To bystre dziecko, jej nauczycielka mówi, że o pół roku wyprzedza resztę klasy. Zachowuje się jak dorosła, co jest uzasadnione, skoro tyle czasu włączyła się z Liddie. Może to też mój wpływ. Nie przepadam za dziećmi, nie znam się na nich. Dlatego traktuję ją, jakby wszystko rozumiała.

– Wygląda na to, że to działa.

– A więc czemu tu jestem, co? – Spojrzała w dół, na swoje buty, zsunęła je razem. Potem rozsunęła na trzydzieści centymetrów. – Pewnie zauważył pan, że jestem trochę dziwna, jeśli chodzi o porządek. Muszę mieć wszystko poukładane, wszystko na swoim miejscu, żadnych niespodzianek. Może to przez to, co mi robił ojciec, ale kogo to obchodzi, najważniejsze, że taka jestem i taką siebie lubię. Mam zorganizowane życie, a gdy człowiek jest zajęty, niech mi pan wierzy, to wielkie ułatwienie.

– Wszystko jest przewidywalne.

– Otóż to. Na przykład to, jak wieszam ubrania. Wszystko jest pogrupowane według koloru, fasonu, długości rękawa. Bluzki osobno, potem dzinsy, potem mundurki i tak dalej. Po co rano marnować czas na poszukiwania? Parę razy, gdy musiałam wstać do pracy, a było jeszcze ciemno, zdarzyła się awaria prądu. W domu jak w grobie. Mogłam się ubrać bez problemu, bo wiedziałam dokładnie, gdzie co wisi.

– To się sprawdza.

– Pewnie – powiedziała. – Ale teraz zaczynam myśleć, że może trzeba było to bardziej ukrywać, a nie pokazywać Tanyi.

– Robi to samo?

– Zawsze była porządna jak na dziecko, tym lepiej dla mnie. Razem sprzątamy, bawimy się przy tym. Ale ostatnio to coś więcej. Ma swoje nawyki, nie zaśnie, dopóki nie zajrzy pod łóżko, początkowo pięć razy, potem dziesięć, teraz dwadzieścia pięć, może nawet więcej. Do tego musi poprawić zasłony i pocałować je, idzie do łazienki pięć razy z rzędu, myje ręce, dopóki nie zużyje całego mydła. Raz do niej weszłam, a ona polerowała kurki.

– Od jak dawna to się dzieje?

– Zaczęło się mniej więcej, kiedy skończyła pięć lat.

– Dwa lata temu.

– Mniej więcej. Ale dopiero niedawno to się zrobiło poważne.

– Jakież zmiany ostatnio?

– Przeprowadziłyśmy się do nowego miejsca, wynajmujemy pokój w domu w Hancock Park. Nie ma tam żadnych problemów. Z Tanyą też, oprócz tych nawyków.

– Czy to się zaczyna zawsze przed porą snu?

– Wtedy się nasila – przyznała – ale przeniosło się też na inne pory i zaczyna mieć wpływ na jej naukę. Nie o to chodzi, że zaniedbuje swoje obowiązki, wręcz przeciwnie. Drze prace domowe i robi je od nowa, raz po raz, aż każe jej przestać. Ostatnio stała się strasznie wybredna, jeśli chodzi o drugie śniadanie do szkoły. Jeśli kanapka nie jest przekrojona pod odpowiednim kątem, każe mi zrobić następną.

Sięgnęła w dół, dotknęła teczeki.



– Chce pan zobaczyć wyniki jej badań?

– Chorowała na coś niezwykłego, odniosła jakieś obrażenia?

– Nie.

– W takim razie wyniki przejrzę później. Ma pani jakieś informacje o jej narodzinach?

– Nic. Musiałam oznaczyć przeciwciała, żeby sprawdzić, czy była szczepiona. Była, muszę to Liddie przyznać. – Nachyliła się do przodu. – Proszę zrozumieć, doktorze, zanim Liddie mi ją podrzuciła, widziałam Tanyę tylko raz, kiedy miała dwa latka. Przyjechały do mnie na dwa tygodnie przed wyjazdem do Juneau na Alasce. Jak już mówiłam, nie lubię dzieci. Ale ją polubiłam. Grzeczna, spokojna, nie plątała się pod nogami. Ciągle taka jest. Nie mogłabym sobie życzyć lepszej córki. Tylko te nowe nawyki sprawiają, że zaczynam się zastanawiać, czy mam dobre podejście. Poczytałam trochę o nerwicy natręctw u dzieci i pisali tam, że to może być dziedziczne, niedobór serotoniny w mózgu, próbują to leczyć różnymi środkami.

– W dzisiejszych czasach prawie wszystko przypisuje się neuroprzekaźnikom.

– Nie poleca pan środków chemicznych z powodów naukowych? Czy nie lubi, bo psychologowie nie mogą ich używać?

– Leki mają swoje zastosowania i jeśli interesuje panią ta droga, z przyjemnością polecę dobrego psychiatrę dziecięcego. Z mojego doświadczenia wynika, że dziecięce nerwice natręctw dają się z powodzeniem leczyć bez chemii.

– Na przykład?

– Kognitywna terapia behawioralna, inne techniki zmniejszania lęków.

Czasami wystarczy dowiedzieć się, co niepokoi dziecko, i temu zaradzić.

– Tanya nie wydaje się zdenerwowana, doktorze. Tylko bardzo skupiona.

– Nerwica natręctw bierze się z lęku. Jej nawyki robią swoje, więc napięcie jest ukryte, ale opisuje pani schemat stopniowego rozwoju.

Zamyśliła się.

– Może i tak... proszę posłuchać, niech się pan nie obraża za tę uwagę o psychologach.

– Nie obrażam się – odparłem. – Jest pani dobrze poinformowanym klientem, który chce jak najlepiej dla swojego dziecka.

– Jestem matką, która ma wyrzuty, bo jej dziecko traci kontrolę nad sobą. A winię siebie samą, bo to ja potrzebuję, żeby wszystko było przewidywalne i wszyscy zadowoleni. A to mniej więcej tak samo realne, jak pokój na świecie.

– Ja też lubię, kiedy ludzie są zadowoleni, panno Bigelow. Gdyby nie to, mógłbym zostać prawnikiem i brać więcej za godzinę.

Zaśmiała się.

– Teraz, kiedy już poprawiłam pana obrazki, wydaje się pan całkiem zorganizowanym gościem. Myśli pan, że może pomóc Tanyi samą rozmową?

– Spróbuję nawiązać, jak to się mówi, nić porozumienia, sprawdzę, czy męczy ją coś, o czym pani nie wie, dowiem się, czy jest zainteresowana zmianą, i pomogę się jej zmienić.

– A jeśli nie będzie chciała się zmienić?

– Z mojego doświadczenia wynika, że dzieci nie są szczęśliwe, gdy mają te wszystkie nawyki. Po prostu nie widzą wyjścia. Rozmawiała z nią

pani o tym?

– Próbowałam – przyznała. – W zeszłym tygodniu, kiedy zaczęła całować zasłony. Chyba straciłam równowagę i powiedziałam, żeby przestała się wygłupiać. Spojrzała na mnie tak, że mnie zakłuło, o tu. – Wskazała lewą pierś. – Jakbym ją zraniła. Natychmiast poczułam się jak wywrotka nawozu i musiałam wyjść, żeby trochę pooddychać. Kiedy zebrałam się na tyle, żeby wrócić i ją przeprosić, światło było zgaszone, a ona leżała w łóżku. Ale gdy się nachyliłam, żeby ją pocałować, była sztywna i wbijała paznokcie w kołdrę, wie pan? Powiedziałam sobie: „Hola, Patty, spieprzysz dzieciaka, pora na poradę profesjonalisty”. Porozmawiałam z Richardem, doktorem Silvermanem, i pierwsze, co padło, to pana nazwisko.

Stwierdził, że jest pan najlepszy. Teraz, kiedy pana poznałam, mam dobre przeczucia. Nie osądza pan, tylko słucha. A te wszystkie dyplomy to też nie byle co. Czy może pan przyjąć Tanyę?

– Mam wolny termin za dwa dni, ale jeśli to pilne, znajdę czas dzisiaj wieczorem.

– Nie trzeba – powiedziała. – Chyba mogę poczekać dwa dni. Może mi pan coś poradzić oprócz tego, żebym się uspokoiła i nie powiedziała nic głupiego?

– Proszę wyjaśnić Tanyi, że zabiera ją pani do doktora, który nie robi zastrzyków i nie wyrządzi jej żadnej krzywdy. Proszę użyć słowa „psycholog” i powiedzieć jej, że pomagam dzieciom, które są zdenerwowane albo zmartwione, rozmawiając z nimi, rysując i grając w gry. Proszę jej powiedzieć, że nie będzie musiała robić niczego, czego nie będzie chciała.

Party otworzyła teczkę, wyjęła notes, zapisała. – Chyba mam wszystko... Brzmi nieźle oprócz tych gier. Tanya nie lubi gier, nie mogę jej namówić, żeby wzięła chociaż talię kart do ręki.

– Co lubi?

– Rysowanie, nieźle jej wychodzi. Robi też wycinanki, papierowe lalki, posługuje się nożyczkami jak zawodowiec. Może zostanie chirurgiem.

– Jak Rick.

– Nie miałabym nic przeciwko temu. A więc o której za dwa dni?

Umówiliśmy się.

– Świetnie, wielkie dzięki – powiedziała i zapłaciła mi gotówką. Z uśmiechem. – Jest pan pewien, że chce tylko połowę?

Odpowiedziałem uśmiechem, skserowałem wyniki badań Tanyi i oddałem Patty oryginały. Zostało nam jeszcze pięć minut, ale stwierdziła: „Wszystko omówiliśmy”, i wstała.

– Sama rozmowa pomaga – spytała po chwili – nawet jeśli to dziedziczne?

– Zaburzenie może mieć częściowo podłoże genetyczne – odrzekłem. – Większość skłonności to połączenie natury i wychowania. Ale skłonności nie są zaprogramowane jak grupy krwi.

– Ludzie się zmieniają.

– Gdyby się nie zmieniali, straciłbym pracę.

Tego samego dnia o piątej zadzwoniła do mnie przez pocztę głosową.

– Doktorze, jeśli spotkanie dzisiaj ciągle jest aktualne, chciałabym skorzystać. Tanya zaczęła odrabiać lekcje, podarła je, zrobiła od nowa, a potem dostała histerii. Krzyczała, że nigdy jej nic nie wychodzi. Mówiła, że się jej wstydzę, że jest niedobra jak Liddie. Nic takiego nigdy nie

powiedziałam, ale może jakoś to przekazałam... Teraz jest spokojna, ale nie podoba mi się to. Jest za bardzo spokojna, normalnie coś szczebiocze. Nie mówiłam jej, że się z panem umówiłam. Jeśli zgodzi się pan na dziś wieczór, wyjaśnię jej to w samochodzie.

– Proszę przyjeżdżać – powiedziałem.

– Święty z pana człowiek.

Przyjechała godzinę później z małą jasnowłosą dziewczynką na ręku. W drugim ręku miała mały biały słoiczek.

– Wosk muzealny – oznajmiła. – Skoro już tujechałam. To jest Tanya Bigelow, moja piękna, mądra córeczka. Tanya, poznaj doktora Delaware'a. On ci pomoże.

Milo dotknął rogu gazety, którą przesunął po blacie stolika.

– Uroczo, co?

Dziesiąta rano, North Hollywood. Upalny piątek w Valley, lokal Dupar na rogu Laurel i Ventura.

Zostawiłem Tanyi wiadomość, że nie było żadnych zarzutów o naruszenie etyki, powiedziałem, że skontaktuję się z detektywem Sturgisem. Godzinę później patrzyłem, jak dziobie widelcem artykuł na pierwszej stronie „Timesa”.

Entuzjastyczny reportaż o programie ochrony zdrowia psychicznego, realizowanym na Tahiti przez byłą agentkę filmową i emerytowanego dyrektora studia. Ona – doktorat z fabryki dyplomów, on – gruby portfel i zauroczenie grudnia majem. Program obejmował cofanie się do poprzedniego wcielenia, chińskie menu gier medytacyjnych i tyle terapii, ile zjesz za dwieście tysięcy, bez zwrotów. Przewidywaną klientelę stanowiły „znane osoby publiczne”.

– Co za news – rzekłem.

– Pewnie jakiś reporter włązidupa ze scenariuszem.

– To się nazywa networking, kolego.

– Klątwa naszego millennium. Hollywoodzkie rekiny handlujące zdrowiem umysłowym, co za pomysł. Gdybyś miał ochotę na tropiki, może szukają pracowników.

Zaśmiałem się i oddałem mu gazetę.

– Hej – rzucił – nie jesteś przed sądem, możesz z własnej woli wyrazić

opinię.

– Za opinie biorę pieniądze. Wymamrotał coś o „dogmatyzmie”.

– Co powiesz na to – ciągnąłem. – Słuchanie porad takich ludzi to jak uczenie się tanga od goryli.

– Bardzo elokwentne. Teraz mogę nawet wysłuchać dalszych szczegółów twojej małej tajemnicy.

Pochłanialiśmy stopy naleśników i piliśmy kawę tak mocną, że przyspieszało mi od niej tętno. U Mila jedzenie łagodzi ten proces.

Przyjechałem do Studio City, bo od dwunastej w nocy był po drugiej stronie wzgórza, zajmując się detalami popełnionego w ramach porachunków gangów zabójstwa w Mar Vista, którego macki sięgnęły Van Nuys i Panorama City. Kolejna duża sprawa, która w końcu miała zostać zamknięta. Jeszcze jedno spotkanie z prokuratorem i Milo miał iść na dwutygodniowy urlop.

Rick miał wyznaczone dyżury i nie mógł nigdzie wyjechać. Niedobrze dla Mila, dobrze dla mnie. Zamierzałem skorzystać z jego wolnego czasu.

Przekazałem mu wszystko, co powiedziała mi Tanya.

– Najpierw „straszna rzecz”, teraz morderstwo? – wyburczał. – Alex, nie chcę wchodzić w szczegóły kliniczne, ale będę brutalnie szczery: czy ta dziewczyna jest normalna?

– Nic nie wskazuje, by było inaczej.

– Czyli masz wątpliwości.

– Funkcjonuje dobrze – odparłem. – Zważywszy na okoliczności.

– Mamuśka wykończyła sąsiada? Ale tak naprawdę wcale nie? Czego ona chce?

– Nie jestem pewien, czy sama wie. Trochę się rozejrzymy, niczego się

nie dowiemy, będę miał solidniejsze podstawy, żeby ją uspokoić. Jeśli nie spróbuję, stracę ją jako pacjentkę. Opowiada, że świetnie sobie radzi z żalem, ale musi jeszcze nad sobą popracować. Jeśli upadnie, chciałbym być w pobliżu, żeby ją podtrzymać.

Milo zaczął się bawić krawędzią gazety.

– Brzmi tak, jakbyś trochę się w to zaangażował.

– Jeśli to za duży problem...

– Nie odmawiam, nakreślam kontekst. Nawet gdybym chciał powiedzieć „nie”, mam zobowiązania w domu. Rick uważa, że Patty była kimś w rodzaju świętej. „Świetnie, że będziesz miał wolny czas, żeby pomóc Aleksowi”.

– Niech żyje duch czasu – powiedziałem.

Rzucił na stół pieniądze, które mu oddałem.

– Dobra, jesteś w wyższej stawce podatkowej.

Wygramolił się z budki.

– Kiedy zaczynamy? – spytałem.

– My?

– Ty wskazujesz drogę, ja będę twoim lojalnym asystentem.

– Jasne – powiedział. – A ja mam dla ciebie poprzednie wcielenie.

Tanio sprzedam.

Odprowadziłem go do służbowego wozu, a on przeczytał listę adresów.

Przepisał ją do notesu.

– Sporo się przeprowadzała, co... a więc dziewczyna ma teorię, że mamusia próbowała ochronić ją przed jakąś zemstą?

– To mniej niż teoria – powiedziałem. – Rzucała ewentualności.



– Oto jedna z nich: mamusia była chora i bredziła.

– Tanya nie jest gotowa tego przyjąć.

– Pytałem Ricka o uszkodzenia mózgu – wyjaśnił. – Nie chciał powiedzieć nic na sto procent, wy, lekarze, tacy jesteście. Dobra, zabierzmy się do tego po kolei, żeby czegoś nie przegapić. Ty pogadasz z onkolog Patty i spróbujesz wyciągnąć z niej jakieś medyczne konkrety. Ja przejrzę księgi wieczyste i dowiem się, gdzie mieszkała Patty, zanim przyjeżdża Tanyę. Jest z południowej Kalifornii?

– Z Nowego Meksyku.

– A dokładniej?

– Spod Galisteo.

– Jeśli ta „straszna rzecz” miała miejsce poza stanem, życzę szczęścia.

– Prychnął. – Posłuchaj mnie. Tak jakby to się naprawdę wydarzyło.

– Jestem wdzięczny...

– Umieszczę twoją wdzięczność w katalogu Rzeczy do Wykorzystania w Stosownym Czasie. Możesz zrobić jeszcze jedno – pobawić się komputerem, zobaczyć, czy Patty widnieje gdzieś w Internecie. Wpisz te cztery adresy. I wszystko inne, co ci przyjdzie do głowy.

– Czy z bazą danych departamentu coś się poprawiło?

– Już dwa razy udało mi się włączyć komputer i nie wywalić korków.

– Jeśli miałbyś adres, mógłbyś znaleźć przestępstwa na sąsiednich ulicach?

– Jasne, robiłem to wczoraj z Billem Gatesem. Nie, to jeden wielki burdel. Niedawne sprawy zostały wprowadzone do sieci, ale większość nadał tkwi w kartonach w archiwum. W pojęciu departamentu idealną do prezentacji dochodzenia jest korkowa tablica, zmieniana raz do roku.

Może nam się poszczęści i okaże się, że to świeża sprawa. „Blisko”, tak? To może być ta sama ulica, ale kawałek dalej, sąsiednia ulica, dwieście metrów w ślepią uliczkę, skręć w lewo, rzuć sól przez lewe ramię. Równie dobrze, Alex, mogło jej wcale nie chodzić o geografę. „Blisko”, w sensie emocjonalnym.

– Tanya mówi, że Patty nie miała żadnych związków z mężczyznami.

– A kobiety? Biseksualny trójkąt mógłby się źle skończyć, było coś takiego parę lat temu na Florydzie, kobieta namówiła swoją dziewczynę, żeby postrzeliła w brzuch jej starego za pieniądze z polisy.

– Patty powiedziała mi, że jest aseksualna.

– Rozmawiałeś z nią o jej orientacji?

– Sama to poruszyła podczas rozmowy wstępnej. – Rozmowa dotyczyła dziecka, czemu więc życie seksualne mamy miałyby mieć znaczenie?

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

– W jakim to było kontekście, Alex? – spytał.

– Chciała mi powiedzieć, że nie jest lesbijką. Ale to nie była obrona. Raczej stwierdzenie faktu, oto kim jestem. Próbowала się dowiedzieć, czy według mnie jest nienormalna.

– A więc denerwowała się, że może uchodzić za lesbijkę. Czyli pewnie nią była. Czyli mogła robić rzeczy, o których Tanya nie wiedziała.

– Możliwe.

– Ludzie z tajemnicami kontrolują to, co chcą, żeby inni o nich wiedzieli, prawda? Jeśli zaczniemy odgrzebywać sekrety życia tej kobiety, Tanya może się dowiedzieć rzeczy, których nie chce poznać. Czy jest na to psychicznie przygotowana?

– Jeśli sama zacznie grzebać, może być jeszcze gorzej.

– Zrobiłaby to?

– To bardzo zdeterminowana młoda kobieta.

– Obsesja? Rick mówił, że Patty ma do tego skłonności. Dziewczyna zaczęła ją naśladować i dlatego ją leczyłeś?

Popatrzyłem na niego.

– Bardzo dobrze, Zygmuncie Freudzie. – Tyle lat chłonę twoją wiedzę, coś musiało mi zostać. – Otworzył drzwi samochodu. – Przygotuj się na nowy, wspaniały świat fałszywych tropów i ślepych zaułków.

– Wzrusza mnie twój optymizm.

– Optymizm to wypieranie dla frajerów bez doświadczenia życiowego.

– A pesymizm? – spytałem.

– Religia bez Boga.

Wsiadł do samochodu, włączył silnik.

– Właśnie coś mi przyszło do głowy – powiedziałem. – A Isaac Gomez? Kompilował całkiem niezłe bazy danych.

– Młody geniusz Petry... tak, może miałby trochę wolnego czasu. W Hollywood przez cały ubiegły rok nie zanotowano żadnego morderstwa. Jak tak dalej pójdzie, chodzą plotki, że Stu Bishop zostanie zastępcą komendanta.

– Co Petra w takim razie robi?

– Pewnie odgrzebuje stare sprawy.

– Pierwszy adres Patty i Tanyi był w Hollywood – przypomniałem. – Wtedy popełniono tam dużo morderstw. Może Petra chciałaby o tym posłuchać.

– nierozwiązana sprawa, nad którą akurat przypadkiem pracuje? To by

dopiero było, jak w scenariuszu. Jasne, zadzwoń do niej. Pogadaj też z doktorem Gomezem, jeśli Petra pozwoli.

– Zrobi się, szefie.

– Tak trzymaj, asystencie, a może coś z ciebie wyrośnie.

Pojechałem Laurel Canyon na południe miasta, na czerwonym świetle przy Crescent Heights i Sunset zadzwoniłem do Hollywood Division i poprosiłem detektyw Connor.

– Nie ma jej – odrzekł cywilny dyżurny.

– Pracuje tam jeszcze Isaac Gomez?

– Kto?

– Student na stażu – wyjaśniłem. – Prowadził badania nad...

– Nie ma go w spisie – uciął dyżurny.

– Może mnie pan połączyć z pocztą głosową detektyw Connor?

– Poczta nie działa.

– Ma pan jakiś inny jej numer?

– Nie.

Pojechałem na wschód. Przy Fuller i Sunset grupa turystów wyglądających na Skandynawów zaryzykowała sprint przez przejście dla pieszych i prawie została rozjechana przez suburbana. Naiwni Europejczycy, wydawało im się, że LA to normalne miasto i że chodzenie pieszo jest tu legalne. Prawie słyszałem śmiech Mila.

Zbliżałem się do La Brea. Budownictwo wydzierało tu coraz więcej terenów: markety, galerie handlowe i sieci restauracji wyrastały przy ulicach, przy których kiedyś stały motele na godziny i punkty sprzedaży jadu kiełbasianego.

Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają: dziwki obu podstawowych i kilku trudnych do określenia płci wciąż z entuzjazmem oddawały się swojej pracy. Musiałem mieć niespokojne oczy, bo kilka do mnie pomachało.

Jadąc na północ do Hollywood Boulevard i skręcając w prawo, minąłem Chinese Theater, Kodak Theater, pułapki na turystów, usiłujące wyżywić się z tłumów, i skierowałem się do Cherokee Avenue. Tuż za gwarem ulicy tkwiło kilka zamkniętych na kłódki klubów, ponurych i smutnych, jak to zwykle bywa z nocnymi lokalami w dzień. Na krawężnikach piętrzyły się śmieci, a chodniki były zapaskudzone przez ptaki.

Dalej na północ ulicę trochę odnowiono; stosunkowo czyste bloki obiecujące „Ochronę” rozpychały się łokciami wśród zrujnowanych, przedwojennych budowli, niedających nawet iluzji bezpieczeństwa.

Pod pierwszym adresem na liście Tanyi znajdował się jeden z tych starych budynków – trzypiętrowy, ceglany, kawałek za Franklin. Prosta fasada, łaciaty trawnik, rozmiękłe klomby za mocno podlewanych sukulentów walczących o oddech. Wyglądał na tak samo zmęczonego, jak bezdomny pchający swój wózek sklepowy donikąd. Rzucił mi przelotne paranoiczne spojrzenie, pokręcił głową, jakbym nie rokował żadnych nadziei, i podreptał dalej.

W środek budynku wcinały się drzwi z przydymionego szkła, ale dwa mieszkania na parterze miały osobne wejścia z ulicy. Tanya pamiętała pijaków, którzy dobijali się do drzwi, uznałem więc, że to musi być jedno z nich.

Wysiadłem i nacisnąłem klamkę szklanych drzwi. Była zimna i

nieprzyjemnie lepka, ale ustąpiła.

Korytarz ciągnący się przez całą szerokość budynku, wyłożony szarym PCV, cuchnął pleśnią i odświeżaczem powietrza o zapachu pomarańczy. Dwadzieścia trzy skrzynki pocztowe tuż za drzwiami. Wzdłuż ciemnej ściany – wiele par drzwi w kolorze wątróbki. Dużo rozmów, gdyby przyszło co do czego.

Drzwi na końcu korytarza otworzyły się i wyjrzał zza nich mężczyzna, drapiący się w zgięcie ramienia. Około sześćdziesiątki, z siwymi włosami, sterczącymi w aureoli bladego światła jak puch dmuchawca. Chudy, ale z brzuchem, w niebieskiej satynowej kurtce Dodgersów i pasiastych spodniach od pizamy.

Znów się podrapał. Poruszył szczęką i opuścił głowę.

– Taa?

– Właśnie wychodziłem – powiedziałem.

Stał tam i patrzył, aż spełniłem obietnicę.

Na południe Highland, przez trzy kilometry laboratoriów filmowych, punktów kopiowania kaset wideo, wypożyczalni kostiumów, sklepów z elementami scenografii. Wszyscy ci ludzie, którym nikt nigdy nie podziękuje w noc oskarowej gali.

Między Melrose i Beverly kilka kamienic kurczowo trzymało się swojej przedwojennej elegancji. Reszta nawet nie próbowała. Skręt w Beverly zaprowadził mnie, wzdłuż południowego krańca Wilshire Country Clubu, do Hancock Park.

Hudson Avenue to jedna z najwspanialszych ulic tej dzielnicy, a dragi

punkt na liście Tanyi przywiódł mnie do wielkiego ceglanego gmachu w stylu Tudorów, o licznych szczytach i dachu krytym płytką łupkową. Dom stał na szczycie biegnącego w dół trawnika, przystrzyżonego krótko jak ekskluzywne pole golfowe. W półtorametrowych mosiężnych donicach stojących po obu stronach drzwi rosły drzewka cytrynowe obsypane owocami. Podwójne drzwi pod łukiem z piaskowca były bogato rzeźbione. Czarna brama z kutego żelaza pozwalała ujrzeć długi, brukowany podjazd. Za zielonym bentleyem flying spur, ręcznie wykończonym w latach pięćdziesiątych, stał biały mercedes kabrio.

Tu właśnie wprowadziły się Patty i Tanya, kiedy przyszły do mnie po raz pierwszy. Wynajmowały pokój w tym domu. Właściciele nie wyglądali na takich, którzy potrzebują dodatkowych dochodów. Patty uważała, że przeprowadzka nie była stresująca dla Tanyi. Uderzający kontrast ze smutnym budynkiem przy Cherokee sprawił, że uwierzyłem w to i zacząłem się zastanawiać nad szczegółami przenosin.

Stałem i podziwiałem widoki. Nikt nie wyszedł z rezydencji ani z sąsiednich budynków. Nie licząc dwóch lubieżnych wiewiórek na sykomorze, nic się nie poruszało. W LA luksus oznacza udawanie, że na całej planecie nie mieszka nikt inny.

Zadzwońłem do onkolog Patty, Tziporah Ganz, zostawiłem wiadomość na jej poczcie.

Jedna z wiewiórek czmychnęła na lewe drzewko cytrynowe, złapała soczysty owoc i pociągnęła. Zanim zdołała dokończyć dzieła kradzieży, skrzydło drzwi otworzyło się i ze środka zaszarżowała z miotłą niska, ciemnowłosa pokojówka. Zwierzę stawilo jej czoło, potem się rozmyśliło. Pokojówka odwróciła się, żeby wejść do środka, i wtedy mnie zauważyła.

Popatrzyła spode łba.

Znów wrogie przyjęcie.

Odjechałem.

Adres numer 3 był niedaleko: Czwarta ulica, przy La Jolla. Tanya wróciła do mojego gabinetu zaraz po tym, jak przeprowadziła się stamtąd do Culver City.

Budynek okazał się dwurodzinnym domem w stylu hiszpańskiego renesansu, stojącym przy sympatycznej, zadrzewionej ulicy w towarzystwie sobie podobnych. Cechą charakterystyczną domu, w którym mieszkały panny Bigelow, był betonowy plac zamiast trawnika. Obok stał jedyny samochód w zasięgu wzroku – ciemnoczerwony austin mini z tablicą PLOTGRL.

Dzielnica klasy średniej, porządna, ale zupełnie inny świat niż Hudson Avenue. Może Patty chciała mieć więcej przestrzeni niż w rezydencji.

Do ostatniego przystanku jechałem dobre czterdzieści minut w korku. Dotarłem na brudny odcinek Culver Boulevard kawałek na zachód od Sepulveda i wiaduktu przy Czterysta Piątej ulicy.

Na działce stało sześć identycznych szarych pudeł krytych papą, otaczających sypiące się resztki gipsowej fontanny. Dwójka brązowoskórych przedszkolaków bawiła się bez opieki w kurzu.

Klasyczne osiedle LA. Schronienie przejezdnych, byłych, przyszłych.

Te domki były niewiele większe od szop, zaniedbane do tego stopnia, że odpadała z nich farba, zwijały się gonty, osiadały fundamenty. Obok ryczały przejeżdżające samochody. Osie podczas spotkań z wybojami wystukiwały synkopowany rytm chórowi silników.

Może dawniej wyglądało to lepiej, ale ta część miasta nigdy nie była



modna.

Patty wspinała się po mieszkaniowej drabinie, a potem to. Sprawiała wrażenie solidnej i zrównoważonej, ale lokale, które wynajmowała, całkiem temu przeczyły.

Czyżby chodziło o oszczędność? Zbierała pieniądze na wpłatę za własny dom. W ciągu dwóch lat z pensji pielęgniarki udało się jej kupić dom niedaleko Beverlywood.

Mimo to mogła wybierać lepiej, a nie przeprowadzać się z Tanya do kolejnej „nieciekawej okolicy”.

Wtedy uderzyła mnie nowa myśl: takie zmiany były typowe dla hazardzistów i innych ludzi, którzy przez swoje nałogi finansowo raz stali lepiej, a raz gorzej.

Patty kupiła dom w Westside, założyła fundusz powierniczy i wykupiła dwie polisy na życie dla Tanyi z pensji pielęgniarki.

Imponujące.

Nawet niezwykle. Może poszczęściło się jej na giełdzie.

Albo znalazła dodatkowe źródło zarobków.

Szpitalna pielęgniarka mająca tak dużo pieniędzy – to prowadziło do oczywistych podejrzeń: kradzież i sprzedaż narkotyków. Wizerunek dilera nie zgadzał mi się z tym, co wiedziałem o Patty, ale z drugiej strony, czy ja ją naprawdę znałem?

Jeśli jednak prowadziła sekretne życie przestępcy, po co robić zamieszanie wyznaniem na łożu śmierci i ryzykować, że Tanya się o wszystkim dowie?

Ludzie z tajemnicami kontrolują to, co chcą, żeby inni o nich wiedzieli.

Chyba że coś burzy ich nawyki. Czy słowa Patty były skutkiem

cierpienia umysłu zamroczonego chorobą? Próbą wyznania i ekspiacji?

Siedziałem w samochodzie i snułem rozważania. Nie ma mowy, to zbyt paskudne. Po prostu nie pasowało.

Brzmi to, jakbyś trochę się zaangażował.

No to co, powiedziałem do nikogo w szczególności.

Umieśniony facet w wełnianej czapce naciągniętej prawie na oczy przeszedł obok z puszczonego luzem, różowonosym białym pitbullem. Pies przystanął, zawrócił, przycisnął pysk do szyby drzwi pasażera, tworząc mały, różowy pulsujący pączek. Nie uśmiechał się. Szyba zadrżała od niskiego warkotu.

Wełniana czapka też się gapił.

Dzień ciepłych powitań. Ruszyłem na tyle powoli, żeby pies nie stracił równowagi.

Nikt mi nie podziękował.

Spotkanie z pitbullem sprawiło, że doceniłem Blanche. Kiedy tylko wróciłem do domu, zabrałem ją na spacer do ogrodu, pilnując, żeby przez swoją ciekawość nie wpadła do stawu.

Jedna wiadomość w poczcie: doktor Tziporah Ganz.

Oddzwoniłem, powiedziałem, że jestem terapeutą Tanyi Bigelow i że mam parę pytań o stan umysłu Party w jej ostatnich dniach.

– Tanya ma problemy psychologiczne? – spytała.

Głos miała cichy, z lekkim akcentem. Europa Środkowa.

– Nie – odparłem. – Tylko typowe przystosowanie. Ciężka sytuacja.

– Tragiczna. Czemu Tanya martwi się demencją?

– To nie ona się martwi, tylko ja. Party obarczyła ją odpowiedzialnością za wiele szczegółów, które mogą się okazać brzemieniem. Zastanawiam się, czy jej intencje należy traktować dosłownie.

– Szczegółów? Nie rozumiem.

– Pośmiertne instrukcje, które według Patty miały wyjść Tanyi na dobre. Dziewczyna studiuje w trybie dziennym, pracuje na pół etatu i została sama. Była bardzo oddana matce, a charakter nie pozwoli jej zignorować życzeń Patty. Ja też nie chciałbym jej do tego namawiać. Ale szukam jakiegoś wyjścia na wypadek, gdyby nie dawała sobie rady.

– Umierający człowiek jeszcze raz próbuje nad czymś zapanować – powiedziała Ganz. – Widywałam coś takiego. A Patty była bardzo wymagająca. Niestety nie mogę dać panu jasnej odpowiedzi co do jej

stanu umysłowego. Ściśle rzecz biorąc, nie istniały żadne kliniczne powody, by choroba miała wpływ na jej myślenie. Nie stwierdzono uszkodzeń mózgu, żadnych wyraźnych neuropatologii. Ale każda poważna choroba i jej skutki, odwodnienie, żółtaczka, zakłócenie równowagi elektrolitów, mogą mieć wpływ na świadomość, a Patty była bardzo chora. Jeśli postanowi pan powiedzieć Tanyi, że Patty nie myślała jasno, nie zaprzeczę. Byłoby mi jednak niezręcznie, gdyby podał mnie pan jako główne źródło informacji.

– Rozumiem.

– Doktorze Delaware, nie chciałabym pana pouczać, ale z mojego doświadczenia wynika, że ci, którzy pozostali żywi, nie chcą uciekać od odpowiedzialności, nawet jeśli jest dla nich ciężarem.

– Z mojego też – potwierdziłem.

– W jakim sensie Patty była wymagająca?

– Próbowала kontrolować wszystkie aspekty swojej hospitalizacji. Nie, żebym miała do niej pretensje.

– Były problemy z posłuszeństwem?

– Nie, bo nie zastosowano leczenia. Jej decyzja.

– Zgodziła się pani?

– Zawsze trudno jest wycofać się i patrzeć, jak ktoś umiera, ale szczerze mówiąc, nie mogłam dla niej nic zrobić. Chodziło tylko o to, żeby ostatnie dni przeżyła jak najłagodniej. Nawet wtedy wybierała niewygody.

– Nie chciała przyjmować morfiny z kroplówki mimo wysiłków anestezjologa.

– Ten anestezjolog to mój mąż – wyjaśniła Ganz. – Oczywiście jestem

nieobiektywna, ale nie ma nikogo lepszego niż Joseph. I tak Patty mu się sprzeciwiała. Mimo to nie osądzam. To była stosunkowo młoda kobieta, która dowiedziała się nagle, że niedługo umrze.

– Mówiła o tym?

– Rzadko i z dystansem. Jakby mówiła o pacjencie. Chyba musiała jakoś zdepersonalizować tę okropną sytuację. Czy z Tanya naprawdę wszystko w porządku? Sprawiała wrażenie dojrzałej jak na swój wiek, ale to też może być problemem.

– Mam oczy szeroko otwarte. Może mi pani powiedzieć coś jeszcze?

– O Patty? Chyba tylko to: w zeszłym roku mój brat trafił na ostry dyżur. Wypadek samochodowy, dość paskudny. To dentysta, martwił się o zgniecioną rękę. Patty była na dyżurze, kiedy przywieźli Gila, i zajęła się nim na tyle dobrze, że napisał list do Izby Pielęgniarek. Powiedział mi, że była opanowana, zupełnie niewzruszona, nic nie było w stanie wytrącić jej z równowagi. Kiedy ją do mnie skierowano, przypomniałam sobie jej nazwisko i ogarnął mnie smutek. Żałuję, że nie mogłam dla niej zrobić nic więcej.

– Dała jej pani, czego potrzebowała – powiedziałem.

– Miło, że tak pan mówi. – Krótki, nerwowy śmiech. – Powodzenia z Tanya.

Petra odebrała komórkę.

– Detektyw Connor.

Opowiedziałem jej o wszystkim.

– Gdzie konkretnie na Cherokee mieszkała ta kobieta? – spytała.

Podaliśmy jej adres.

– Chyba wiem. Surowa sjena na zewnątrz, raczej mało elegancko?

– Zgadza się.

– Przemykałam ludzi w tamtym rejonie, ale nigdy konkretnie w tamtym budynku. Cherokee była wtedy paskudną okolicą. Jeśli wierzyć wszystkim weteranom, którzy rozkoszują się opowiadaniem o swoich czasach. Kiepskie miejsce do wychowywania córki.

– Nie planowała córki.

Wyjaśniłem, w jakich okolicznościach Tanya zamieszkała z Party.

– Dobra samarytanka – powiedziała Petra. – Pielęgniarka z powołania. Nie wygląda na złoczyńcę.

– Wątpię, żeby nim była.

– Wyznanie na łożu śmierci, co? Uwielbiamy to. Przykro mi, Alex, nie widziałam w zamrożonych aktach niczego, co by do tego pasowało. Zajmuję się głównie naprawianiem tego, co inni spieprzyli. Człowiek czyta akta morderstwa i wszyscy wiedzą, kto zabił, ale komuś się nie chciało albo zabrakło dowodów. Ale zajrzę do lodówki jeszcze raz.

– Dzięki. Pracuje jeszcze z tobą Isaac?

– Isaac? A, baza danych. Nie, cudowne dziecko już za mną nie łązi. Obronił doktorat z biostatystyki, w sierpniu zaczyna medycynę.

– Podwójny doktor – powiedziałem. – Ile on ma lat, dziesięć?

– Właśnie skończył dwadzieścia trzy, obija się chłopak. Oczywiście pytanie brzmi: dlaczego nie mam kopii jego płyty CD. Odpowiedź: zaproponował mi ją, ale departament tak się boi oskarżeń o naruszenie prywatności, że kazali mu złożyć oficjalny wniosek do Parker Center.

– Kazali mu składać wniosek, żeby mógł przekazać własne dane?

– W trzech kopiach. Po czym góra okazała wdzięczność, ignorując go

przez kilka miesięcy, przekazywali wniosek do różnych komisji, potem do działu PR, radcy prawnego, stróżów, kierowców firmy cateringowej. Ciągłe nie dostaliśmy odpowiedzi. Jeśli szefostwo nie ruszy swojej kolektywnie rosnącej dupy, być może zupełnie przypadkiem znajdę sobie własną kopię. To jakaś paranoja. Ja przetrząsam kartony i łamię sobie paznokcie, a Isaac ma na dysku dane warte lat pracy. Chociaż ty o tym nic nie słyszałeś.

– O czym nie słyszałem?

– Dziękuję uprzejmie.

– Dlaczego departament tak się boi?

– Mario Fortuno – rzuciła Petra.

– Prywatny detektyw gwiazd. Kiedy to było, trzy lata temu?

– Trzy i pół roku temu posadzili go za materiały wybuchowe, ale poważniejsza sprawa to jego podsłuchy, a z tego, co słyszę, to się dopiero rozkręca.

– Co nielegalne podsłuchy mają wspólnego ze statystykami przestępczości Isaaca?

– Fortuno zdobył dostęp do danych osobistych, śledził i nękał ludzi, i wysyłał mało subtelne groźby do obywateli, którzy podpadli jego klientom. Informacje uzyskiwał między innymi, i znów nie słyszałeś tego ode mnie, przekupując źródła w wydziale komunikacji, u operatorów telefonicznych, w różnych bankach. I w departamencie.

– O! – powiedziałem.

– Właśnie, o! Jeśli Fortuno zacznie sypać, kilku hollywoodzkich bonzów i sławnych adwokatów trafi na ławę oskarżonych.

– Jak dotąd zmowa milczenia?

– Na początku zasłaniał się *omerta*, uwielbia klimat intryg mafii. Ale podobno zostało mu jeszcze sześć lat z dziewięcioletniego wyroku, a życie w więzieniu to nie bajka. Cokolwiek się stanie czy nie stanie, jak tylko góra słyszy „dysk komputerowy”, następuje gonitwa do toalety dla chłopców.

– Czy cokolwiek powstrzymuje mnie, zatroskanego obywatela, przed rozmową z doktorem-doktorem Gomezem, który teraz również jest zatroskanym obywatelem?

– Jejku! – odparła. – To ciekawe pytanie. Oto jego numer.

– Dzięki, Petra. Miło było cię słyszeć.

– Nawzajem – powiedziała. – Chyba dzisiaj skończę wcześniej i wypłuczę archiwalny kurz z włosów.

Isaac Gomez odebrał telefon w mieszkaniu rodziców w dzielnicy Union.

– Cześć, doktorze Delaware.

– Gratulacje, doktorze Gomez.

– Doktor Gomez to jakiś siwy facet w dwuogniskowych okularach – powiedział. – Ale gdyby spytał pan moją matkę, zasłużyłem już na dożywotnią profesurę i tylko czekać, kiedy Komitet Noblowski zapuka do naszych drzwi.

– Kuchnia twojej matki mogłaby rozstrzygnąć o przyznaniu nagrody – zauważyłem. – Szykujesz się do szkoły medycznej?

– Nie wiem, czy w ogóle można się do tego przygotować. W zeszłym semestrze poszedłem na parę zajęć i odniosłem wrażenie, że po liceum to regres, wszyscy siedzą w sali, żadnej elastyczności programu. Jeden



czynnik być może sprawi, że to stanie się przyjemniejsze. W grupie będzie moja dziewczyna.

– Jeszcze raz gratulacje.

– Tak, to wspaniale.

Heather Salcido była drobniutką, ciemnowłosą pięknoscią, którą Isaac uratował przed mordercą. Takie coś bardzo sprzyja romansom.

– Skończyła kursy przygotowawcze, kiedy robiła szkółkę pielęgniarską. Przekonałem ją, żeby podeszła do egzaminów na medycynę. Zdała, dostała się. Ciągle ma pewne obawy, ale jestem pewien, że świetnie sobie poradzi. Mamy nadzieję, że pójdzie jej łatwiej, bo będziemy się widywać codziennie w klasie. Czemu pan dzwoni?

Powiedziałem mu.

– Zrobić panu kopię dysków, bo są dwa, to nie problem. Ale są zakodowane i trudno dostępne, chyba że ma pan doświadczenie z deszyfrowaniem.

– Nie mam, odkąd pracowałem z Nawaho i odkodowywałem tajne przekazy nazistów.

– Ha. Niech mi pan może poda konkretny adres z listy, a ja sprawdzę, czy coś pasuje. Jeśli nic nie znajdę, zaprogramuję funkcję przeszukiwania wynajdującą lokalizacje w poszerzającej się koncentrycznej siatce, gdzie będziemy ustalali promień. Przychodzą panu do głowy jakieś geograficzne kryteria?

Blisko.

– Jeszcze nie – odrzekłem.

– Dobrze, podejmiemy więc do tego empirycznie. Zarzucimy siatkę jak sieć i przeanalizujemy, które prawidłowości nam wyjdą. Mógłbym to

zrobić, powiedzmy, za dwa dni?

– Byłoby wspaniale, Isaac. Naprawdę jestem wdzięczny.

– Jedna komplikacja, doktorze Delaware. Heather i ja jedziemy do Azji, ostatnie wakacje przed harówką. Kiedy już tam dotrzemy, nie będzie ze mną kontaktu, bo na trasie naszej podróży leży Myanmar, czyli to, co kiedyś było Birmą, a tamtejsze władze konfiskują sprzęt komputerowy i odmawiają prawa ponownego przekroczenia granicy każdemu, kto próbuje go wwieźć.

– Może wyjdzie ci to na dobre – zauważyłem.

– Jak to?

– Pełny odpoczynek, żadnych obciążeń.

– Tak mówi Heather, ale dla mnie komputer to nie obciążenie. Podróżowanie bez niego to jak wyjazd bez ręki czy nogi. Interesujące będzie zobaczyć, jak się dostosuję.

Mówił o sobie jak o przedmiocie badań. Przypomniałem sobie dystans Patty. Wszyscy wnosimy mury.

– Na razie – powiedział – niech mi pan poda te ulice, a ja się trochę pobawię.

Dwie godziny moich własnych zabaw z komputerem nie zaowocowały żadnymi informacjami na temat Patty Bigelow ani jej zdjęciem, ani też żadną wzmianką o przestępstwie popełnionym pod którymś z czterech adresów.

Zrobiłem na grillu kanapkę z serem, którą podzieliłem się z Blanche. Kiedy nalewałem kawy, otworzyła pysk i zasapała. Umoczyłem palec w kawie, położyłem na jej języku, a ona się wycofała, pokręciła łebkiem i

splunęła.

– Każdy tylko krytykuje – oburzyłem się. – Następnym razem zaparzę espresso.

Zatelefonowałem do Robin, usłyszałem jej głos z taśmy. Podumałem jeszcze trochę o doborze mieszkań przez Patty i zadzwoniłem do Tanyi.

– Żadnego naruszenia etyki – domyśliła się. – Doktor Silverman jest pewny?

– Jest.

– W porządku... udało się panu czegoś dowiedzieć?

– Detektyw Sturgis przeprowadzi wstępne śledztwo.

– To świetnie – rzuciła.

Bezbarwnym głosem.

– Wszystko w porządku, Tanyu?

– Jestem trochę zmęczona.

– Kiedy będziesz miała więcej energii, chciałbym jeszcze raz z tobą porozmawiać.

– Jasne – zgodziła się. – Kiedyś tam.

– Nie chodzi mi o terapię. Chciałbym dowiedzieć się więcej o tych miejscach, gdzie mieszkałaś z matką. Żeby mieć tło.

– Och – powiedziała. – Oczywiście, mogę opowiedzieć. Mam trochę zaległości do nadrobienia, a potem wracam na uczelnię na zajęcia. Letnia szkoła miała być lżejsza, ale profesorowie chyba o tym nie słyszeli. A w systemie kwartalnym człowiek ledwie ma czas kupić książki, a już się zaczyna sesja... Moglibyśmy się spotkać późno, powiedzmy, o wpół do dziesiątej? Nie, nie chcę się narzucać.

– To nie musi być dzisiaj, Tanyu.

– Nie lubię, kiedy rzeczy mi się nawarstwiają, doktorze Delaware. Gdyby pan miał czas, to ja też, ale tak oczywiście nie musi być. Powinien pan mieć wieczory dla siebie...

– Wpół do dziesiątej mi pasuje.

– Na pewno?

– Na pewno.

– A możemy się umówić za piętnaście, na wszelki wypadek? Mogłabym przyjechać do pana do gabinetu albo pan przyjechałby do mnie, może chciałby pan zobaczyć, jak mama nas urządziła.

– Chciałbym.

– Świetnie! – powiedziała. – Zrobię kawę.

O dziewiątej dwadzieścia, kiedy wkładałem Blanche do skrzynki, zadzwoniła prywatna linia.

– Kocham cię – powiedział miły głos.

– Ja ciebie też. Dobrze się bawisz?

– Wracam do domu dzień wcześniej. Odczyty są niezłe, ale zaczyna to przypominać szkołę. Sprzedałam tę replikę F5, jakiś informatyk ciągle podbijał stawkę.

Robin przez rok zbierała sezonowany klon i szczapy czerwonego świerku na misternie rzeźbioną mandolinę, kolejnych dwanaście miesięcy kleiła, strugała i szlifowała, a gotowy produkt zabrała do Healdsburga tylko na pokaz.

– To musiała być niezła stawka – zauważyłem.

– Dwadzieścia jeden tysięcy.

– Ho, ho. Gratulacje.

– Nie chciałam się z nią rozstawać, ale każda dziewczyna ma swoją cenę. Chyba... Postanowiłam wylecieć w niedzielę rano, byłabym w domu wieczorem. Jak twój rozkład zajęć?

– Elastyczny.

– Czy ta mała blondynka weszła już na moje terytorium?

– Mała blondynka cały dzień je i śpi.

– Cicha woda – powiedziała. – Takie są najgorsze.

Pojechałem do Tanyi, przypominając sobie pierwszy raz, kiedy się

spotkaliśmy.

Chuda, jasnowłosa, mała dziewczynka w sukience, podkolanówkach i lśniących sandałkach. Przyklejona plecami do ściany mojej poczekalni, jakby dywan był bezdenną otchłanią.

Kiedy wyszedłem z gabinetu, Patty łagodnie dotknęła jej policzka. Tanya ponuro kiwnęła głową, tak nieznacznie, że graniczyło to z tikiem. Palce delikatne jak fettuccini ścisnęły mięsistą dłoń matki. Lśniąca stopa tupiała. Druga stała mocno na wyobrażonej linii brzegu.

Nachyliłem się do poziomu oczu dziecka.

– Miło mi cię poznać, Tanyu.

Wymamrotana odpowiedź. Zrozumiałem tylko „pana”.

– Tanya sama wybrała ubranie – wyjaśniła Patty. – Lubi się ubierać, ma świetny gust.

– Bardzo ładnie, Tanyu.

Oddychała ustami; czułem hamburgera i cebulę.

– Wejdźmy – zaproponowałem. – Mama też może wejść, jeśli chcesz.

– Albo nie muszę – powiedziała Patty.

Przytuliła dziewczynkę i nieco się odsunęła. Tanya nie drgnęła.

– Poczekam tu, skarbie. Wszystko będzie w porządku, obiecuję.

Tanya popatrzyła na nią. Wzięła głęboki oddech. Jeszcze raz ponuro kiwnęła głową i zrobiła krok do przodu.

Popatrzyła na rekwizyty na stole do zabawy. Domek dla lalek bez jednej ściany, figurki rodziny, ołówki, świecówki, flamastry, ryza papieru. Przedłużony kontakt wzrokowy z papierem.

– Lubisz rysować?

Skinienie głowy.

– Jeśli masz ochotę teraz porysować, proszę bardzo.

Wzięła ołówek i narysowała powoli cherlawe kółko. Odsunęła się, zmarszczyła.

– Ma górki.

– To dobrze?

Jasnozielone oczy przyjrzały mi się uważnie. Tanya odłożyła ołówek.

– Przyszłam tu skończyć z nawykami.

– Mama ci wyjaśniła?

– Wyjaśniła, że jeśli chcę, mam panu powiedzieć.

– Które nawyki przeszkadzają ci najbardziej, Tanyu?

– Mama opowiedziała panu o wszystkich.

– Tak. Ale chciałbym wiedzieć, co ty o tym myślisz.

Zmieszane spojrzenie.

– To twoje nawyki – wytłumaczyłem. – Ty nimi kierujesz.

– Nie chcę kierować.

– Jesteś gotowa z nimi skończyć?

Mamrotanie.

– Słucham, Tanyu?

– Są złe.

– Złe, czyli straszne?

Pokręciła głową.

– Zabierają mi czas.

Ołówek leżał kilka centymetrów od miejsca, w którym znajdował się na początku. Przesunęła go. Poprawiła czubek, potem gumkę. Poprawiła jeszcze raz, potem bezskutecznie spróbowała wygładzić zawinięty róg

kartki.

– To kółko z górkami – podsunąłem – to mogłaby być twarz.

– Mogę je wyrzucić?

– Pewnie.

Złożyła kartkę na pół, rozłożyła ją i przedarła wzdłuż zagięcia. Powtórzyła to samo z każdą z połówek.

– Gdzie, proszę?

Wskazałem kosz na śmieci. Wrzuciła do niego kawałki, po jednym, patrzyła, jak wpadają, wróciła do stołu.

– A więc chcesz zerwać ze swoimi nawykami.

Kiwnięcie głową.

– Ty i mama się co do tego zgadzacie.

– Aha.

– Ty i mama gracie w jednej drużynie.

Tego chyba nie zrozumiała.

– Ty i mama najczęściej się zgadzacie.

– Kochamy się.

– Kochanie oznacza zgadzanie.

– Aha.

Narysowała dwa kółka, jedno dwa razy większe od drugiego. Zmrużyła oczy, zgarbiła się i dodała prymitywne rysy twarzy.

– Znów górkę – oznajmiła.

Kolejna wycieczka do kosza.

– Nie lubisz górek – powiedziałem.

– Lubię, jak jest dobrze.

Wybrała trzecią kartkę, odłożyła ołówek i zakreśliła koła palcem.



Popatrzyła na sufit. Postukała palcami jednej ręki, potem drugiej.

– Jakie rzeczy ty i mama robicie razem?

Podniosła ołówek. Zakręciła nim w palcach.

– Kiedy byłam malutka, miałam drugą matkę. Ona była za słaba i mama chciała się mną zaopiekować... to mamy siostra.

– Ta druga matka.

– Nazywała się Lydia. Umarła w wypadku. Mamie i mnie jest smutno, kiedy o niej myślimy.

– Często o niej myślisz?

Przekartkowała plik papieru, wzięła lalkę kobietę i postawiła ją w salonie domku.

– Mamy też rybkę.

– W domu?

– W kuchni.

– W akwarium?

– Ee, w kuli.

– Żółtą rybkę?

– Ee, złote rybki są za brudne, powiedział ten pan.

– Jaki pan?

– Ze sklepu z rybkami. Pan Stan Park.

– Jaką rybkę sprzedał wam pan Park?

– Gupika. Malutkiego.

– Czy ten gupik ma jakieś imię?

– Myślałyśmy, że to dziewczynka, ale ma kolorowy ogonek.

– A więc to chłopiec.

– Zmieniłyśmy imię.

– Z dziewczęcego na chłopięce?

– Nazywał się Charlotte, teraz to Charlie.

– Co Charlie myśli o tym, że kiedyś był dziewczynką, a teraz chłopcem?

– To rybka. Ona nie myśli.

– Nigdy o niczym nie myśli? Na przykład: „Ciekawe, kiedy Tanya zmieni mi wodę”?

– Ma za mały mózg.

– A więc tylko pływa w tę i z powrotem i niczym się nie przejmuje – powiedziałem.

Cisza.

– A ty się przejmujesz?

– Rybki nie mają też żołądków – oznajmiła. – Jedzenie wpada i wypada, więc nie dajemy im za dużo jedzenia.

– Dużo wiesz o rybkach.

– Czytałam książkę. – Malutkie dłonie powędrowały do pliku kartek, wyrównały rogi.

– Ja też mam rybki.

– Gupiki?

– Nie, nazywają się koi. To takie wielkie złote rybki, ale w różnych kolorach.

Sceptyczne spojrzenie.

– Gdzie?

– Na dworze, w stawie. Chcesz zobaczyć?

– Jeśli mama pozwoli.

Wyszliśmy do samochodu. Patty spojrzała znad gazety.

– Tak szybko?

– Pan ma wielkie rybki, mamó. – Tanya szeroko rozłożyła ramiona.

– Naprawdę?

– Na dworze, w wielkim stawie.

– Idziemy je nakarmić – wyjaśniłem. – Chce pani iść z nami?

– Hm – mruknęła Patty. – Nie, dam wam spokój, żebyście lepiej się poznali.

Na rogu Beverwil i Pico, około kilometra od domu Tanyi, odezwała się moja poczta głosowa.

– Mówi Flora, doktorze. Dzwonił detektyw Sturgis. Nie będzie go przez jakiś czas, ale może pan skontaktować się z nim za dwie godziny.

– Powiedział, o co chodzi?

– Nie, doktorze. Był sobą.

– To znaczy?

– No, wie pan – powiedziała. – Jak zwykle, pan żartowniś. Zauważył, że z moim głosem powinnam reklamować w radiu apartamenty przy plaży w Kolorado.

– Rzeczywiście ma pani ładny głos, Floro.

– Kiedyś miałam – rzekła. – Gdyby tylko udało mi się rzucić palenie. Z głosu wydaje się całkiem miły. Jest miły?

– Zależy od perspektywy.

Canfield Avenue była wąska, ciemna i cicha, ale nie dostrzegłem ani śladu niczego choćby w przybliżeniu groźnego.

Bo i skąd. Dałem sobie wmówić, że to prawda.

Wystarczy mnie naprowadzić na zagadkę i ognia!

Wiele lat temu byłem idealnym terapeutą dla Patty i Tanyi. Nie wiedziały dlaczego, nigdy nie miały się dowiedzieć.

Alexander jest bardzo inteligentny, ale wydaje się żądać absolutnej doskonałości, co prowadzi do pewnych zadrażeń w klasie. Rzadko

określam dziecko jako zbyt sumienne, ale w tym wypadku tak właśnie może być.

Alexander musi zrozumieć, że nie każdy w trzeciej klasie uczy się tak szybko jak on i że robienie błędów jest dopuszczalne.

Alexander świetnie sobie radzi w gimnazjum, ale musi popracować nad większą samokontrolą, kiedy coś nie idzie po jego myśli.

Alexander jest świetnym uczniem, zwłaszcza z przedmiotów ścisłych, ale wydaje się nie pojmować istoty pracy zespołowej. Miejmy nadzieję, że liceum nauczy go akceptować siebie jako członka zespołu...

Rok po roku sumienni nauczyciele, wychodzący po rozmowach z moimi rodzicami z przekonaniem, że ich uwagi wyjdą mi na dobre.

„Jest dla siebie taki surowy, proszę państwa”.

Tata odpowiadał jowialnym, porozumiewawczym uśmiechem. Mama u jego boku, potulna, cicha, jak dama w czystej sukience i jedynej parze pantofli na obcasach.

Skąd którykolwiek z tych nauczycieli miał wiedzieć, że kiedy tata nie był w jowialnym nastroju, niedoskonałość mogła doprowadzić go do wybuchu szału, nieprzewidywalnego jak ukąszenie węża.

Że niepowodzenie oznaczało gruby, robociarski pas chłuszczący wąskie plecy dziecka, a następnego dnia – opuchlizny i sińce ukryte pod koszulami, swetrami i milczeniem.

Nauczyciele nie mogli przypuszczać, że kiedy dom wypełniało za dużo

dyskusji, mama, bywało, zamykała się w swoim pokoju na wiele dni. Zostawiała tatę wygnanego, obrażonego, śmierdzącego piwem z wódką, miotającego się po pozostałych czterech pokojach w poszukiwaniu kogoś, na kim można by się wyżyć.

Moja siostra Em, z którą nie rozmawiałem od lat, szybko zwęszyła, co się święci, i uciekła. Uznałem to za egoizm, bo zasady zapewniały jej bezpieczeństwo: nie bije się dziewczyn, a już na pewno paskiem.

Chłopcy to inna sprawa...

Dość nostalgii, mięczaku, uzalanie się nad sobą to kiepski aperitif.

Poza tym zostawiłem to wszystko za sobą dzięki ćwiczebnej terapii, wymaganej w moim programie doktoranckim.

Łut szczęścia: przypadkowy przydział do łagodnej, mądrej kobiety. Obowiązkowe sześć miesięcy przeciągnęło się do roku, potem do dwóch lat. Potem do trzech.

Zmiany, które dostrzegłem w sobie, upewniły mnie co do wyboru kariery: jeśli człowiek wiedział, co robi, psychoterapia naprawdę działała.

Na ostatnim roku college'u kognitywne eksplozje i kompulsywne poprawianie zniknęły. Pożegnałem się także z rytuałami, niewidocznymi i widocznymi.

Umarło bliskie religii przekonanie, że symetria jest najważniejsza.

Co nie znaczyło, że od czasu do czasu nie wracały jakieś pozostałości.

Napady bezsenności co jakiś czas, nagłe ataki niewytłumaczalnego napięcia.

Prowadzące donikąd zaabsorbowanie.

Terapia nauczyła mnie akceptować to wszystko jako dowód własnego człowieczeństwa i kiedy rozmawiałem z rodzicami przez telefon,

potrafiłem odłożyć słuchawkę bez krwawego półksiężyca śladów po paznokciach we wnętrzu dłoni.

Najlepszym balsamem było zajmowanie się innymi. Zacząłem z nadzieją że żaden rodzic, który wejdzie do mojego gabinetu, nie zobaczy we mnie nikogo innego poza przyjaznym, spokojnym, pełnym zrozumienia facetem, odpowiednim, by powierzyć mu psychikę swojego dziecka.

Kilka lat sukcesów pozwoliło mi uwierzyć, że dałem radę.

Czasami stosowałem wobec siebie pewną taryfę ulgową. Tak jak wtedy, gdy posłuchałem sugestii Patty Bigelow co do muzealnego wosku. Bo to była kwestia porządku w domu, nie ma nic złego w odrobinie geometrii, prawda?

Wiara moich pacjentów sprawiała, że nie spałem nocami, obmyślając plany leczenia.

Wiara Patty Bigelow przetrwała, a ja nie byłem pewien, czy na nią zasłużyłem.

Teraz ona nie żyła, jej dziecko na mnie liczyło, a ja jechałem na wizytę domową.

Trochę się zaangażowałeś.

Dom był w stylu hiszpańskiego renesansu, podobny do tego przy Czwartej ulicy. Brzoskwiniowe stiuki, okna ze szprosami i wprawionymi witrażowymi błękitnikami, płaski trawnik zamiast parkingu, młoda brzoza papierowa na samym jego środku.

Po lewej stronie na słupku szyld firmy ochroniarskiej. Światła na piętrze. Schody pobielale od blasku mocnych reflektorów.

Tanya otworzyła drzwi, zanim doszedłem na górę. Rozpuszczone włosy opadały jej jak szal na ramiona. Wyglądała na zmęczoną.

– Dzięki Bogu, że się nie spóźniłam – powiedziała.

– Dużo nauki?

– Dużo, ale poszło dobrze. Proszę. Niech pan wejdzie.

Salon miał dębową podłogę, kolebkowe sklepienie i blad różowe ściany. Kremowe płytki w lilie leżały przed kominkiem. Kanapa obita liliowym perkalem stała na wprost zasłoniętego, panoramicznego okna wraz z dwoma fotelami od kompletu. Między nimi stolik z bielonego drewna na złożonych, rokokowych nóżkach.

Patty mówiła, że jest babo-chłopem, ale wybrała delikatny wystrój wnętrza.

Nad kanapą, nisko na ścianie wisiało kilkanaście zdjęć, oprawionych w jednakowe ramki z imitacji drewna wyrzuconego przez morze.

Dzieje Tanyi od niemowlaka do nastolatki. Łatwe do przewidzenia zmiany fryzur, ubrań i makijażu, kiedy uroczy brzdąc wyrósł na ładną dziewczynę, ale w jej stylu nie było żadnych oznak nastoletniego buntu.

Patty pojawiła się dopiero na ostatnim zdjęciu: Tanya w karmazynowym birecie i todze, jej matka w granatowym zakiecie i białym golfie, trzymające dyplom i rozpromienione.

– Właśnie to znalazłam – oznajmiła Tanya, wskazując zdjęcie leżące na stoliku. Oprawioną w czarne ramki fotografię młodej kobiety o szerokiej twarzy, w białym uniformie.

Patty patrzyła z powagą w górę, niemal z komicznym przejęciem. Wyobraziłem sobie jakiegoś wynajętego fotografa, pstrykającego zdjęcie za zdjęciem i recytującego polecenia. „Pomyśl o swojej karierze, moja



droga... broda wyżej, wyżej, jeszcze wyżej, dobrze. Następna!”

– Wygląda na tak pełną nadziei – odezwała się Tanya. – Niech się pan rozgości, przyniosę kawę.

Wróciła z czarną plastikową tacką pokrytą sitodrukiem imitującym lakier. Pięć ciastek oreo leżało na talerzyku, ułożonych w miniaturowy silos. Między dwoma kubkami z emblematami uniwersytetu w miseczce tkwiły paczuszki z zabielaaczem do kawy, cukrem i słodzikiem, upchnięte ciasno jak maleńkie broszurki.

– Śmietanki i cukru?

– Może być czarna – powiedziałem.

Usiadłem na jednym z foteli, ona wybrała kanapę.

– Nie znam nikogo, kto by pił czarną. Moi znajomi uważają że kawa to deser.

– Sojowa mochajava frappe z czekoladą?

Wykrzesła z siebie zmęczony uśmiech, otworzyła trzy torebeczki cukru, wsypała je do swojego kubka.

– Ciasteczko?

– Nie, dziękuję.

– Zwykle piję herbatę, ale kawa jest dobra na długie noce nauki. – Przesunęła się do krawędzi kanapy. – Na pewno nie chce pan ciastka?

– Na pewno.

– Ja chyba zjem. Często się słyszy, że ludzie je rozdzielają ale dużo osób lubi też taki efekt kanapki i ja do nich należę.

Szybko mówiła. Szybko gryzła.

– A więc – zaczęła.

– Przejechałem dzisiaj okolice wszystkich domów z twojej listy

adresów. Niezła kombinacja.

– Rezydencja i te wszystkie mieszkania? – spytała. – W rezydencji zajmowałyśmy jeden pokój. Pamiętam, jak myślałam, że to dziwne, taki olbrzymi dom, a my miałyśmy mniej miejsca niż w mieszkaniu. Martwiłam się, że w nocy starłam się na mamę.

– Czy to się stało?

– Nie – odparła. – Czasem mnie obejmowała. Czułam się wtedy bezpiecznie. – Odłożyła ciastko. – Niekiedy chrapała. – Jej oczy zwilgotniały. – Pozwalali nam korzystać z basenu, kiedy mama miała wolny czas, a ogrody były tam piękne, mnóstwo wielkich drzew. Znajdowałam sobie kryjówki, udawałam, że jestem w lesie.

– Do kogo należał dom?

– Do rodziny Bedardów – powiedziała. – Mieszkał tam tylko dziadek, pułkownik Bedard. Rodzina nieraz go odwiedzała, ale mieszkali gdzieś daleko. Chcieli, żeby mama się nim opiekowała nocami, kiedy dzienna pielęgniarka szła do domu.

– Był stary – zauważyłam.

– Bardzo stary. Zgięty w pół, strasznie chudy. Miał zamglone oczy, kiedyś pewnie niebieskie, ale teraz mleczo-szare. Zero włosów. W domu była olbrzymia biblioteka i tam ciągle przesiadywał. Pamiętam, że pachniał papierem. To nie był obrzydliwy zapach, tylko trochę stęchły, jak to bywa ze starymi ludźmi.

– Był dla ciebie miły?

– Niewiele mówił i robił, siedział tylko w bibliotece z kocem na kolanach i książką w ręku. Twarz miał jakby zeszywniałą, pewnie z powodu jakiegoś udaru, więc kiedy próbował się uśmiechać, nic nie było

widać. Na początku się go bałam, ale potem mama mi powiedziała, że jest miły.

– Przeprowadziła się tam, żeby więcej zarobić?

– Tak myślę. Jak mówiłam, doktorze Delaware, bezpieczeństwo finansowe było dla niej ważne. Nawet w wolnym czasie.

– Czytała książki o ekonomii.

– Chce pan zobaczyć?

Sypialnia na końcu korytarza została przerobiona na funkcjonalny gabinet. Szwedzkie półki i biurko do samodzielnego składania, czarne obrotowe krzesło, białe szafki na dokumenty, komputer i drukarka.

– Przeglądałam jej papiery, to wszystko finanse. – Wskazała półki zastawione grzbietami „Forbesów”, „Barron’s” i „Money”. Zbiór poradników inwestycyjnych zawierał wszystko od rozsądnych strategii po nieprawdopodobną szarlatanerię. Na najniższej półce leżał stos cienkich, błyszczących czasopism. Na okładce numeru na górze widniało zbliżenie twarzy aktorki, której inna aktorka odbiła męża.

Udręczone oczy. Idealna fryzura i makijaż.

– To szmatławce – powiedziała Tanya. – Szpital spakował je razem z rzeczami osobistymi. Nie mogłam ich odzyskać, nie wypełniłam jakiegoś formularza. Widziałam pudełko, stało tuż za ladą, ale jakaś straszna jędza kazała mi iść gdzieś po formularze, a tam było zamknięte. Kiedy się rozpłakałam, zadzwoniła gdzieś, do jakiejś koleżanki, zaczęła z nią plotkować, jakbym nie istniała. Zatelefonowałam do doktora Silvermana, a on po prostu wszedł za biurko i wziął ten karton. W środku leżała bransoletka mamy, jej okulary do czytania i ubranie, które miała na sobie, kiedy ją przyjmowali, no i to.

Otworzyła szufladę biurka, wyjęła pękniętą plastikową opaskę.

– Wrócimy dopić kawę?

– A więc kiedy mieszkaliście na Hudson – odezwałem się dwa łyki później – pracowała na dwa etaty.

– Tak, ale opieka nad pułkownikiem nie była zbyt ciężka, chodził spać o szóstej, a my i tak wcześnie wstawałyśmy, więc mama mogła odwiedzić mnie do szkoły i zdążyć do Cedars.

– Jak się dowiedziała o tej pracy?

– Nie mam pojęcia, może z tablicy ogłoszeń w szpitalu? Nigdy nie rozmawiała ze mną o takich szczegółach, po prostu któregoś dnia oznajmiła, że przeprowadzamy się do wielkiego, pięknego domu w eleganckiej dzielnicy.

– Co wtedy pomyślałaś?

– Byłam przyzwyczajona do przeprowadzek. Z czasów, kiedy żyłam z Lydią. Zresztą na Cherokee nie miałam jakoś za wielu przyjaciół.

– Hollywood potrafiło być wtedy nieprzyjemne.

– Na nas to nie miało wpływu.

– Chyba że pijacy dobijali się do drzwi.

– Nie tak znów często. Mama się tym zajmowała.

– Jak?

– Krzyczała przez drzwi, żeby sobie poszli, a kiedy to nie skutkowało, groziła, że wezwie policję. Nie pamiętam, by rzeczywiście kiedyś wezwała, więc chyba działało.

– Bałaś się?

– Twierdzi pan, że to mogło być to? Jakiś pijak stał się niebezpieczny, a ona musiała mu coś zrobić?

– Wszystko jest możliwe, ale na razie za wcześnie na teoretyzowanie.

Czemu wyprowadziłyście się z rezydencji?

– Pułkownik Bedard zmarł. Któregoś ranka mama poszła do jego pokoju, żeby dać mu leki, a on nie żył.

– Czy wyprowadzka z takiego pięknego miejsca była przykra?

– Raczej nie, miałyśmy bardzo mały pokój. – Sięgnęła po swoją kawę.

– Mama lubiła pułkownika, ale nie jego rodzinę. Kilka razy, kiedy przyjeżdżali, mówiła: „To znowu ci”. Rzadko go odwiedzali, co było smutne. Gdy zmarł, w nocy nie mogłam spać i znalazłam mamę w pokoju śniadaniowym z pokojówką. Nazywała się... Cecilia, jak ja to zapamiętałam? W każdym razie mama i Cecilia siedziały razem i wyglądały na przybite. Mama zaprowadziła mnie z powrotem do łóżka, zaczęła opowiadać, jak pieniądze są ważne jako zabezpieczenie, ale że nie powinny nigdy stać się przyczyną utraty szacunku. Myślałam, że chodzi jej o mnie, więc powiedziałam, że ją szanuję. Zaśmiała się, pocałowała mnie mocno i powiedziała: „Nie ty, skarbie. Jesteś o wiele mądrzejsza niż wielu tak zwanych dorosłych”.

– Rodzina pułkownika go nie szanowała.

– Tak to zrozumiałam.

– Czy wydarzyło się cokolwiek niezwykłego, kiedy mieszkaliście w rezydencji?

– Tylko śmierć pułkownika – odparła Tanya. – Nie nazwałabym tego jednak czymś niezwykłym, skoro był tak stary.

Ogryzła swoje oreo dookoła.

– Dobrze – powiedziałem. – Przejdźmy do Czwartej ulicy.

– To był piętrowy dom, nie taki duży jak ten, ale miałyśmy tam o wiele

więcej miejsca niż kiedykolwiek wcześniej. Znowu dostałam własny pokój, z superwnękową szafą. Sąsiedzi z góry byli Azjatami, bardzo spokojnymi.

– Mieszkałyście tam niecały rok.

– Mama powiedziała, że jest tam za drogo.

– Pierwszy raz przyszedł do mnie tuż po tym, jak przeprowadziłyście się na Hudson Avenue. Drugi raz po przeprowadzce z Czwartej do Culver City.

– Myśli pan, że stresowałam się przeprowadzkami?

– A stresowałaś?

– Naprawdę nie sędzę, doktorze Delaware. Czy mówiłam wtedy cokolwiek o tym, co mi przeszkadza?

– Nie.

– Chyba jestem skryta.

– Bardzo szybko ci się poprawiło.

– Czy to dopuszczalne z punktu widzenia psychologii? Zmiana zachowania bez sięgania w głąb?

– Ty sama jesteś najlepszym sędzią tego, co jest dla ciebie dobre.

Uśmiechnęła się.

– Zawsze pan to powtarza.

Nalała mi jeszcze kawy. Starła kropelki z krawędzi.

– A więc na Czwartej ulicy było za drogo – powiedziałem.

– Czysz był za wysoki. Mama chciała zebrać pieniądze na pierwszą wpłatę, żeby kupić coś na własność. – Zerknęła na zdjęcie matki, spuściła wzrok.

– Culver Boulevard to też nieciekawa okolica – zauważyłem.

– Nie było tak źle. Chodziłam do tej samej szkoły, miałam tych samych przyjaciół.

– Święty Tomasz. Chociaż nie jesteś katoliczką.

– Pamięta pan?

– Twoja matka uznała, że powinienem wiedzieć.

– Że nie jesteśmy katoliczkami?

– Że nie skłamała na temat twojej wiary, by cię przyjęli.

– Cała mama – powiedziała Tanya z uśmiechem. – Była z księdzem szczerą, oświadczyła, że jeśli uda mu się przekonać mnie do katolicyzmu, jej to nie przeszkadza, ale żeby nie robił sobie wielkich nadziei.

– Jak podchodziła do religii?

– Bądź dobry i tolerancyjny... Doktorze Delaware, nie chcę być nieuprzejma, ale muszę się pouczyć. Czy mogę panu coś jeszcze powiedzieć?

– Chyba zrobiliśmy dość.

– Bardzo dziękuję, że pan przyjechał, poczułam się, jakby... prawie tak, jakby mógł pan ją odwiedzić. A teraz nalegam, żeby wziął pan te ciastka, niech pan zaczeka, przyniosę torebkę.

Kiedy szedłem po schodach, stała w drzwiach. Pomachała mi, zanim je zamknęła. Canfield Avenue zrobiła się ciemniejsza; rzadko rozstawione, anemiczne lampy ledwie wydobywały z mroku kontury.

Kiedy podchodziłem do seville'a, mój wzrok przykuło coś na piętrze.

Ruch w tę i z powrotem za zasłonami panoramicznego okna Tanyi.

Spacerująca postać. Znikająca na chwilę i pojawiająca się znów z przeciwnej strony.

I z powrotem.

Odjechałem dopiero po dwudziestym powtórzeniu.



Dzwoniąc do Mila, jadłem oreo.

– Tak? – warknął.

– Obudziłem cię?

– A, to ty... nie, obudzenie znaczyłoby, że śpię. Nie śpię i baluję, mam urlop, pamiętasz?

– Gratulacje.

– Mówisz z pełnymi ustami.

Przełknąłem.

– Już nie.

– Późna przekąska smakosza?

– Ciastko.

– Masz mleko? Mój kumpel z firmy telefonicznej znalazł stare billingi Patty. Cherokee to jej pierwszy adres w LA. Według paru weteranów, z którymi rozmawiała Petra, cały ten kwartał był wtedy narkotykowym bazarem. Interesujący wybór jak na grzeczną, porządną pielęgniarkę, nie? I mieszkała tam sześć lat.

Idealna pora, by zdradzić swoje podejrzenia, ale się powstrzymałem.

– Rick mówi – powiedział Miło – że była oszczędna aż do skąpstwa, więc może przyciągnął ją niski czynsz. Mimo wszystko wychowywanie małego dziecka w najgorszej okolicy Hollywood nie brzmi dobrze.

– Nie spodziewała się, że będzie wychowywać małe dziecko.

– Prawda... Nie miałem czasu poszukać niezamkniętych spraw zabójstw w pobliżu jej mieszkań, oprócz Hancock Park. Jedyne

przestępstwo miało miejsce przy June Street, przecznicę na zachód i dwie na południe. Ofiarą był handlarz diamentami, Wilfred Hong. Trzech zamaskowanych sprawców włamało się do niego o trzeciej nad ranem, wyłączając alarm, bez ostrzeżenia zastrzelili Honga, który siedział w łóżku, ale nie zastrzelili pani Hong ani dwójki dzieci śpiących w pokoju obok. Zmusili ją, żeby otworzyła sejf, związali i uciekli z workami kamieni i gotówką. Chodziły plotki, że Hong był winien pieniądze i klejnoty wielu ludziom. Śmierdzi tu na kilometr zawodowcami, więc jeśli Patty nie należała do jakiegoś zawodowego gangu złodziei brylantów, szkoda na to naszego czasu. Jeżeli nie szkoda go na cokolwiek innego. Masz jakieś nowe pomysły co do ogólnego obrazu?

– Nie. Isaac powiedział, że przeprowadzi parę obliczeń.

– To o wiele lepsze niż ręczne przeszukiwanie starych akt morderstw. Tak sobie pomyślałem, Alex, zanim znów zaczniemy marnować czas na domysły, zajrzyjmy pod każdy z tych adresów, zobaczmy, czy znajdziemy jakichś sąsiadów, którzy by pamiętali Patty. Jeśli nikt nie przypomni sobie niczego choćby odrobinę zabójczego, powiem, że mamy prawo dać sobie spokój, a ty znajdziesz sposób, by przekazać to Tanyi.

– Dobra – zgodziłem się. – Kiedy?

– Zabierz mnie z domu jutro rano, powiedzmy o dziesiątej. Weź kolorowe ubranie, pina coladę i odświętny nastrój.

– Co świętujemy?

– Mam urlop, nie pamiętasz? Tak przynajmniej mówią.

– Kto?

– Bogowie złudnych nadziei.

Mały, schludny domek, w którym mieszka Milo z Rickiem, stoi przy bocznej uliczce West Hollywood, w cieniu szarozielonej bryły Design Center. W tygodniu jest tu spokojnie, w niedziele śpiąco.

Odporne na suszę krzewy, które Rick zasadził podczas suchego roku, porę wilgotną znosiły z różnym powodzeniem. Kiedy podjechałem, Milo klęczał i odłamywał uschnięte gałązki. Wyprostował się szybko, jakbym przyłapał go na czymś wstydlwym, poklepał się w miejsce, gdzie broń wypychała mu marynarkę, i podbiegł do samochodu.

Marynarka była obwisła, brązowa, z czegoś przypominającego tweed, koszula żółta, noniron, z zawijającym się kołnierzykiem. Spodnie w kolorze sadzy marszczyły się na płowych pustynnych butach.

– To strój urlopowy? – spytałem.

– Zasadniczo to dzień pracy. – Przecznicę dalej: – Bez pensji, mógłbym dodać.

– Postawię ci obiad.

– Pójdziemy do jakiegoś drogiego lokalu.

Kiedy skręciłem z Hollywood Boulevard w Cherokee, Milo zmrużył oczy i omiótł wzrokiem kwartał. Zatrzymałem się przed budynkiem w kolorze cegły.

– Zdecydowanie nora. Wiesz, które to było jej mieszkanie?

– Któreś z tych dwóch na dole.

– Nie chciałbym tu mieszkać, ze względu na bezpieczeństwo... dobra, chodźmy komuś pozawracać głowę.

Na pukanie do obu mieszkań na parterze odpowiedziała cisza. Milo pchnął szklane drzwi głównego wejścia.

– Kiedy tu byłem – powiedziałem – wyszedł jakiś starszy facet i zrobił się czujny. Może mieszka tu od jakiegoś czasu.

– Jak to czujny?

– Gapił się, chciał, żebym sobie poszedł.

– Pokaż mi jego drzwi.

Zza brązowych drewnianych drzwi sączyła się muzyka. Janis Joplin oferowała kawałek swojego serca.

Milo mocno zastukał. Muzyka ucichła i mężczyzna, którego wczoraj widziałem, otworzył drzwi, z puszką mountain dew w jednej ręce i batonikiem Kit Kat w drugiej.

Rzadkie, siwe włosy sterczały mu na czubku głowy, końska twarz była obwisła i pomarszczona. Nie spowodowało tego jednak łagodne działanie natury, lecz błotniste, przedwczesne starzenie. Zmieniłem zdanie, dając mu pięćdziesiąt parę lat.

Miał na sobie jasnoniebieską górę od pizamy pod tą samą kurtką Dodgersów. Niebieska satyna była poplamiona tłuszczem i pogryziona przez mole, miejscami wyblakła do różu. Postrzępione czerwone spodnie od dresu odsłaniały białe, bezwłose kostki. Bose stopy zwężyły się do połamanych, żółtych paznokci. Tam, gdzie nie sterczała szczecina zarostu, skórę miał bladą i obwisłą. Matowe piwne oczy z wysiłkiem utrzymywał otwarte.

Pokój za jego plecami w kolorze zastygłej polewy do ciast był zasłany opakowaniami po jedzeniu, pudełkami po daniach na wynos, pustymi kubkami i brudnymi ubraniami. Na korytarz uciekało ciepłe, cuchnące powietrze.

Odznaka Mila nie obudziła mężczyzny. Oparł się o futrynę, napił z puszki, nie zdradził żadnym znakiem, że mnie pamięta.

– Proszę pana, szukamy lokatorki, która mieszkała tu kilka lat temu.

Nic.

– Proszę pana?

Ochryple „Taaa?”

– Zastanawiamy się, czy pan ją znał.

Pociekło mu z nosa, wytarł go rękawem.

– Kogo?

– Kobietę nazwiskiem Patricia Bigelow.

Cisza.

– Proszę pana?

– Co zrobiła? – Zduszony głos.

Bełkotliwa wymowa.

– Dlaczego pan uważa, że coś zrobiła?

– Nie przyszłście tu... bo lubicie... moją kuchnię.

– Gotuje pan?

Mężczyzna ugryzł batonika. W ustach miał więcej dziur niż zębów.

Dzień był ciepły, ale on ubrał się, jakby marzł. Jadł dużo słodkiego, miał zepsute zęby. Nie musiał podwijać rękawów; wiedziałem, że nie zaprosi nas do środka.

– A więc pamięta pan Patty Bigelow – powiedział Milo.

Nic.

– Pamięta pan?

– Aha?

– Ona nie żyje.

Piwnie oczy mrugnęły.

– Szkoda.

– Co może nam pan o niej powiedzieć?

Dziesięć sekund zwłoki, potem długie, powolne, mozolne kręcenie głową. Stary narkoman szturchnął drzwi kolanem. Milo położył swoją wielką dłoń na klamce.

– Hej.

– Jak dobrze znał pan pannę Bigelow?

W piwnych oczach coś się pojawiło. Nowa czujność.

– Nie znałem.

– Mieszkał pan tu w tym samym czasie co ona.

– Inni ludzie też.

– Ktoś z nich tu jeszcze mieszka?

– Wątpię.

– Wprowadzają się i wyprowadzają.

Cisza.

– Od jak dawna pan tu mieszka?

– Dwadzieścia lat. – Spojrzał na swoje kolano. – Muszę się odlać.

Znów bez przekonania spróbował zamknąć drzwi. Milo nie puszczał, mężczyzna zamrugął.

– No bez takich, ja muszę...

– Przyjacielu, ja jestem od morderstw, nie obchodzi mnie, jaki magiczny eliksir pozwala ci przetrwać kolejny dzień.

Mężczyzna zamknął oczy. Zakołysał się. Milo poklepał go po ramieniu.

– Zaufaj mi, kolego, nie rozmawiam z nikim z narkotyków.

Oczy otworzyły się i rzuciły nam spojrzenie z rodzaju „kto, ja?”

– Jestem czysty.

– A ja jestem Condoleezza Rice. Niech pan nam tylko powie, co pan pamięta o Patty Bigelow, i znikamy z pana życia.

– Nie pamiętam nic.

Czekaliśmy.

– Miała dziecko... w porządku?

– Co pan pamięta o dziecku?

– Miała... jedno.

– Z kim się zadawała?

– Nie wiem.

– Miała jakichś przyjaciół?

– Nie wiem.

– Była miła?

Wzruszenie ramionami.

– Nie zadawaliście się ze sobą?

– Nigdy.

– Nigdy?

– Nie mój typ.

– To znaczy?

Kolejne spojrzenie na kolano.

– Nie mój typ.

– Czy kiedy tu mieszkała, w okolicy budynku doszło do jakiegoś przestępstwa?

– Co?

– Morderstwa, gwałtu, napadu i tak dalej wyliczył Milo. – Czy coś takiego się wydarzyło, kiedy mieszkała tu Patty Bigelow?

– Nie.

– Jak pan się nazywa, proszę pana?

Wahanie.

– Jordan.

– To imię czy nazwisko?

– Les Jordan.

– Leslie?

– Lester.

– Ma pan drugie imię?

– Marlon.

– Jak Brando.

Les Jordan przestąpił z nogi na nogę.

– Muszę się wysikać.

Sądząc po plamie rosnącej na jego kroku, mówił prawdę. Popatrzył na nią. Bez wstydu, tylko z rezygnacją. Zatrzepotał powiekami.

– Mówiłem.

– Miłego dnia – powiedział Milo i odwrócił się na pięcie.

Drzwi się zatrzasnęły.

Większości pozostałych lokatorów nie zastaliśmy w domu. Tych kilku obecnych było za młodych, żeby móc coś powiedzieć.

Kiedy wróciliśmy do samochodu, Milo zadzwonił do detektywa Seana Bindry'ego i poprosił o sprawdzenie kryminalnej przeszłości Lestera Marlona Jordana.

– Sean wrócił do zabójstw? – spytałem, gdy czekaliśmy.

– Nie, ciągle marnuje czas na napady z bronią w ręku i inne banały. Ale jest mi wdzięczny za nauki, więc się rewanżuje... Tak, Sean, chwila,



wezmę długopis. Rozłączył się i powiedział: – Uroczy pan Jordan nzbierał sobie wielokrotnych aresztowań. Posiadanie heroiny, co za szok, i zakłócanie spokoju. Pięć oddaleń, trzy wyroki, wszystko sprowadzone do krótkich odsiadek w okręgowym.

– Wybierał właściwego prawnika – zauważyłem.

– Albo jest za drobną płotką, żeby marnować na niego miejsce w więzieniu. Pan Rogers być może kocha wszystkich swoich sąsiadów, ale można by pomyśleć, że Patty będzie bardziej wybredna.

– Może jest ku temu powód.

– Na przykład jaki?

Wzięłem głęboki oddech, wyrzuciłem z siebie narkotykowe podejrzenia.

– Porządna pielęgniarzka sprzedaje na boku szpitalny stuff? – zdziwił się Milo. – Rick uważa ją prawie za świętą, a odniosłem wrażenie, że się z nim zgadzasz.

– Zgadzam. Pomyślałem tylko, że powinienem o tym wspomnieć.

– Handel – powiedział. – Jordan zrobił się trochę nerwowo, gdy zacząłem przyciskać, czy ją znał... Wiesz, co mnie zaciekawilo? Patty, rzekomo porządna obywatelka, mieszka w takiej norze, a po wyprowadzce stąd co parę lat skacze w nowe miejsce. Ale obrzydliwemu ćpunowi takiemu jak Lester Jordan jakoś udaje się zostać w tym samym miejscu dwadzieścia lat.

– Może budynek należy do jego rodziny.

– Albo ma źródło dochodów, które uszło uwagi wymiaru sprawiedliwości.

– Wyroki tylko za zwykłe posiadanie, ale handluje – powiedziałem.

– Tak długo to ciągnie i żyje, Alex. Byłoby mu łatwiej, gdyby miał trochę kontroli nad produktem. Wprowadza się miła, porządna pielęgniarzka, łatwo sobie wyobrazić, że by mu się to podobało.

– Dla dobra Tanyi mam nadzieję, że to tylko teoria.

– To Tanya otworzyła puszkę Pandory.

– To nie znaczy, że jest gotowa na to, co z tej puszkę wyleci.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

– Wciąż nie pojmuję – odezwał się – dlaczego Party w ogóle jej cokolwiek powiedziała. Z drugiej strony, może rzeczywiście była ucziwa, a my w domysłach zbyt popuściliśmy wodzy fantazji. W wolnym czasie zdarzało się nam już uknuć parę niezłych teorii.

– Niektóre okazały się prawdziwe – zauważyłem.

– Posłuchaj siebie. Myślałem, że kluczem jest pozytywne myślenie, stary. Cokolwiek to, do cholery, znaczy.

Milczałem.

– Jeszcze jakieś mądrości? – spytał.

– Nie.

– Jedziemy na Czwartą.

Plamy cienia z dużych drzew upiększały cały kwatera. Na betonowym placu stał ten sam mini cooper. PLOTGRL.

Tanya mówiła, że Azjaci mieszkali nad nią więc ruszyliśmy do drzwi lokalu na parterze. Otworzyła nam szczupła brunetka pod trzydziestkę z włosami związanymi w kucyk. Za jedno ucho miała zatknięty ołówek. Na czarne obcisłe rajstopy zwisał mechaty, różowy sweter. Piegowaty nos, bursztynowe oczy, ostry podbródek. Sweter wypychały miękkie krągłości.

Na widok odznaki Miła zachichotała.

– Policja? Zabawne. Siedzę właśnie nad scenariuszem do filmu o policji. Chcecie zostać doradcami technicznymi?

– Jakiego filmu?

– Pilota – wyjaśniła. – Główny bohater to dziewczyna detektyw, która straciła słuch w wypadku z bronią. Nie słyszy zbliżających się przestępców, więc musi maksymalnie rozwinąć pozostałe zmysły. Żeby jakoś nadrobić braki, rozumiecie. Jest asem języka migowego, a to się okazuje potrzebne do złapania seryjnego mordercy.

– Brzmi ciekawie – powiedział Milo.

– Na razie brzmi do kitu, bo ja jestem dobra w komediach. Ale mój agent mówi, że nikt ich nie chce kupować. Mam nadzieję, że kiedy skończę *Nie słyszeć zła*, nie będzie taki kiepski, ale i nie za inteligentny do kablówek. – Wyciągnęła rękę, energicznie uściśnęła nam dłonie. – Lisa Bergman. Co panów sprowadza w weekend?

Milo się do niej uśmiechnął.

– Badamy tło sprawy. Jest pani za młoda, żeby nam pomóc.

– Jestem starsza, niż wyglądam, ale bardzo mi miło. Może mi pan przynajmniej powiedzieć, co się stało? Bez nazwisk, sama fabuła? Zawsze przyda mi się jakiś materiał.

– Fabuła jest taka – odparł Milo – że pytamy o kobietę, która mieszkała tu dziewięć, dziesięć lat temu.

– Dziewięć, dziesięć lat temu byłam w gimnazjum w Reed – oznajmiła Lisa.

– Widzi pani.

– Mówi pan, że coś się tu wydarzyło?

– Mieszkała tu osoba, która nas interesuje. Kim są pani sąsiedzi z góry?

– Czwórka studentów prawa, młodszych ode mnie. Co zrobiła ta osoba, która was interesuje?

– Zmarła – powiedział Milo.

– Zmarła, w sensie została zamordowana?

– Śmierć z przyczyn naturalnych, ale musimy wyjaśnić kilka szczegółów dotyczących jej życia.

– Jak to?

– Sprawy finansowe. Nic dość ciekawego dla telewizji.

– Na pewno?

– Czy akcje uprzywilejowane i wolne od podatku obligacje komunalne brzmią ciekawie?

– Faj – prychnęła Lisa Bergman. Wysunęła ołówek zza ucha, dotknęła czubkiem ust, tworząc maleńki, chwilowy dołeczek. – Powinniście panowie pójść porozmawiać z Mary Whitbread. Ona jest tu właścicielką.

– Gdzie możemy ją znaleźć?

Lisa wyszła na ganek i pokazała.

– Pięć budynków dalej, zielony, parter. Powinna tam być.

– Domatorka?

– Nie, wychodzi na zakupy, ale najczęściej siedzi w domu. – Skrzywiła się, marszcząc nos.

– Wścibska?

– Tak między nami, wpada częściej, niż musi – przyznała Bergman. – Podobno po to, żeby sprawdzić, czy nieruchomość jest zadbana, ale tak naprawdę po to, żeby ponawiać. Raz popełniłam błąd i zaprosiłam ją na kawę. Godzinę później wciąż u mnie siedziała, a wszystkie pomysły na

pisanie tego dnia uciekły. – Wyszczrzyła się wesoło. – Może to i dobrze.

Milo podziękował jej i życzył powodzenia ze scenariuszem.

– Oby – powiedziała. – Jeśli to nie wypali, będę musiała wrócić do organizowania imprez.

Dwurodzinny dom Mary Whitbread był pomalowany na miętową zieleń z modrymi obramowaniami. Przed wejściem rozciągał się idealnie przystrzyżony trawnik, ocieniony prześlicznie powyginaną sykomorą.

Świeżo zamiecione płytki na ganku, ładne kwiaty w ładnych doniczkach. Wesołe „sekundkę!” poprzedziło otwarcie czarnych, lakierowanych drzwi.

Po opisie Lisy Bergman spodziewałem się myszowatej kobiety w podomce. Mary Whitbread miała pod pięćdziesiątkę, była opalona, szczupła i jasnowłosa, o olbrzymich, niebieskich oczach pod brwiami wyskubanymi w przecinki. Ubrana w białą bluzkę w złote pętelki i trąbki oraz czerwone orchidee – Versace albo podróbka – wsuniętą w szyte na miarę, granatowe spodnie z krepy. Wąska talia, jędrne biodra, sterczące piersi. Czerwone sandały na szpilkach ukazywały paznokcie u stóp pokryte lakierem koloru macicy perłowej. Paznokcie u rąk pomalowała pod kolor sandałów.

– Dzień dobry – zawołała. – Jeśli przyszlście panowie w sprawie mieszkania, przykro mi, zostało wynajęte, zapomnieliśmy zdjąć ogłoszenia.

– A niech to – powiedział Milo i błysnął odznaką.

– Policja? O rany. – Przyjrzała się nam. – Teraz, kiedy się przyglądam, widać wyraźnie, że nie jesteście panowie... z rynku.

– Doprawdy.

Mary Whitbread wyszła na ganek i się uśmiechnęła.

– Chodziło mi o to, że kiedy widzę dwóch mężczyzn szukających razem mieszkania do wynajęcia, zakładam... no, wiecie panowie. Co nie znaczy, że mam coś przeciwko. Tak naprawdę to moi ulubieni lokatorzy. Są tacy skrupulatni, mają świetne wyczucie proporcji. – Przygładziła włosy. Błysnęła zębami. – A więc w czym mogę pomóc policji?

– Szukamy informacji na temat pani dawnej lokatorki.

– Ktoś z moich ludzi wpadł w kłopoty? Kto?

– Nikt nie wpadł w kłopoty, panno Whitbread...

– Proszę mi mówić Mary. – Podeszła jeszcze krok bliżej, wprost w przestrzeń osobistą Milo.

– Nikt nie ma kłopotów, Mary. Jedna z pani dawnych lokatorek zmarła i prowadzimy dochodzenie w sprawach finansowych.

– Finansowych? Przepięstwo w białych rękawiczkach? – zaciekała się. – Jak Enron? WorldCom?

– Nic tak monumentalnego – odparł Milo. – Przykro mi, ale nie mogę rozmawiać o szczegółach.

Mary Whitbread wydeła wargi.

– Niedobry. Teraz mnie pan zaciekał.

Nachyliła się do przodu, jak do pocałunku. Milo cofnął się dwa kroki, Mary Whitbread szybko zajęła opuszczoną przez niego przestrzeń.

– Dobrze, detektywie, biorę. Kim jest ta tajemnicza osoba?

– Patricia Bigelow.

Zatrzepotały sztuczne rzęsy.

– Patty? Umarła? Tak mi przykro. Jak to się stało?

– Rak.

– Rak – powtórzyła. – To okropnie smutne. Nie paliła.

– Pamięta ją pani.

– Lubię ludzi. Niektórzy mieszkają u mnie latami, często zostajemy przyjaciółmi.

– Patty Bigelow nie mieszkała tu długo.

– Nie... raczej nie... rak? Nie była chyba stara. – Zmarszczyła brwi. – Ta jej dziewczynka... Tamara? Straciła matkę... Mówi pan, że Patty była zamieszana w jakieś pranie brudnych pieniędzy czy coś takiego?

Milo przesunął palcem po ustach.

– Przepraszam, detektywie, po prostu ludzie niezmiernie mnie fascynują. Pracowałam kiedyś jako agentka castingowa i rany, to była lekcja psychologii stosowanej. Ale panów praca, podglądanie ciemnej strony życia, dopiero musi być bezgranicznie ciekawa.

– Bezgranicznie. Co może nam pani powiedzieć o Patty Bigelow?

– Cóż – powiedziała. – Płaciła czynsz w terminie, dbała o mieszkanie. Ja nie miałam z nią żadnych problemów.

– Ktoś inny miał?

Znów gimnastyka rzęs.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Mówię tylko, że doskonale się nam układało. Byliście panowie w mieszkaniu, które wynajmowała?

– Lokatorka przysłała nas tutaj.

– Lisa – wyjaśniła Mary Whitbread. – Ładna dziewczyna. Jej ojciec płaci czynsz. Prawnik rozwodowy z Beverly Hills, finansuje kaprysy Lisy od lat. W tym miesiącu to pisanie scenariuszy.

– Kto mieszkał nad Patty? – spytałem.

– Młoda para z... Indonezji. A może Malezji? Z tamtych okolic. Mieli holenderskie imiona i nazwiska, choć byli Azjatami... Henry... nie, Hendrik. Hendrik i Astrid Van Dreesen. On robił studia doktoranckie, jakieś nauki ścisłe, a ona była... jakimś handlowcem... on chyba zajmował się elektroniką, tak mi się wydaje. Nie byli tacy znów porządni, jak można by się spodziewać po Azjatach. Zawsze zakładamy, że będą schludni, prawda? Ale ogólnie byli dobrymi lokatorami. Mieszkali cztery lata, potem wrócili tam, skąd przyjechali.

– Czy w czasie, kiedy panna Bigelow tu mieszkała, w okolicy wydarzyło się coś niezwykłego?

– Niezwykłego w sensie przekrętu, oszustwa czy prania pieniędzy?

– Co tylko pani sobie przypomni – powiedział Milo.

– Coś niezwykłego... Cóż... Nie mamy tu problemów takich, jakie spotyka się w uboższych dzielnicach. Pamiętam jedną kradzież, wyrwanie torebki, biedną staruszkę przewrócił Meksykanin, pomocnik kelnera z restauracji na Wilshire... Ale to było po Patty... Mieliliśmy kilka włamań, ale policja złapała tego, kto za tym stał. – Mlasnęła językiem. – To był rak płuc? Na wniosku o wynajem napisała, że nie pali. A ja nigdy nie widziałam, żeby paliła.

– Mieszkała tu niecały rok – zauważyłem. – Czemu się wyprowadziła?

– Czynsz przekraczał jej budżet – odparła Whitbread. – Kiedy posłała dziecko do szkoły parafialnej, zrobiło się jej ciężko, chociaż nie wiem, po co to komu.

– Nie przepada pani za szkołami parafialnymi?

– Za księżmi? Codziennie nowa afera. Ale to był wybór Patty. Kiedy powiedziała mi, że ma trudności, wyczułam, że chciała, bym obniżyła



czynsz, ale to oczywiście nie wchodziło w grę.

– Oczywiście.

– W branży nieruchomości, detektywie, jeśli chce się mieć porządných lokatorów, trzeba być uczciwym, ale stanowczym. Mieszkanie Patty było w doskonałym stanie, wyposażone w mnóstwo oryginalnych rzeczy z lat dwudziestych. Nie stało puste długo. Dwóch gejów, skoro już o tym mowa, mieszkało tam przez pięć lat i wyprowadzili się tylko dlatego, że kupili dom na wzgórzach. – Zmarszczyła czoło. – Gdzie Patty się przeprowadziła? Nikt nie kontaktował się ze mną w sprawie referencji.

– Culver City – powiedział Milo.

– Au – stwierdziła Whitbread. – Trochę obniżyła poziom. Jej wzrok spoczął na czymś za plecami Mila.

Przy krawężniku zatrzymał się czarny hummer. Whitbread pomachała. Położyła dłoń na moim ramieniu.

– Jest mój syn... Czy coś jeszcze, detektywie?

– Nie, proszę pani.

– W takim razie miło mi było z panami porozmawiać. – Szturchnęła mnie, uśmiechnęła się do Mila. – Jeśli kiedyś będzie panu wolno opowiedzieć obywatelowi parę soczystych szczegółów, proszę o mnie pamiętać.

– Będę pamiętał – obiecał Milo. – Dziękujemy za pomoc.

Minęła nas, stukając czerwonymi obcasami, pospieszyła do hummera i zastukała w okno pasażera. Szyba była czarna. Tak samo kratka chłodnicy i listwy.

Kiedy odjeżdżaliśmy, drzwi kierowcy się otworzyły i wysiadł z nich potężny, młody, czarnoskóry mężczyzna w dresach koloru miedzi i takich

samych sportowych butach. Dwadzieścia parę lat, ogolona głowa, przystrzyżona hiszpańska bródka i wąsy.

– To jej dzieciak? – zdziwił się Milo. – Kocham to miasto.

– Niespodzianki na każdym kroku.

– Zdrzemiesz się przez godzinę i zmieniają ci kod pocztowy.

Mary Whitbread nam pomachała.

Olbrzym zrobił to samo, ale nie włożył w to serca.

Tu jest inaczej – powiedział Milo.

Staliśmy niedaleko wyschniętej fontanny na środku osiedla przy Culver Boulevard. Basen był popękany, pełen martwych owadów i pokryty osadem organicznego chyba pochodzenia. Na boku leżała popsuta, zabawkowa ciężarówka. Kiedy weszliśmy na posesję, dzieci, które bawiły się w piasku, czmychnęły jak wróble.

Przy wypaczonych drzwiach domków nie było dzwonek. Na pukanie Mila odpowiadały zdumione spojrzenia i mamrotane zaprzeczenia po hiszpańsku. Wnętrza, na ile udawało się nam do nich zajrzeć, były ciemne i zniszczone. Zatęchła ponura jednakowość głośno wołała o tymczasowości.

– Mogę spróbować się dowiedzieć, kto był wtedy właścicielem, ale to do niczego nas nie doprowadzi. – Szturchnął butem fontannę. – Patty nie prosiła Gadatliwej Mary o referencje, bo do tej nory żadnych nie potrzebowała.

– O to właśnie mogło chodzić – stwierdziłem.

– To znaczy?

– Przeprowadziła się, żeby zniknąć.

– Nie chodziło o pieniądze? Bała się czegoś, co sprowadziła na nią nielegalna działalność handlowa? Nie wiem, Alex. Jeśli uciekała, czemu została w mieście, nie zmieniła pracy?

– Myślałem raczej o poczuciu winy, nie strachu – powiedziałem. – Mogła uciekać przed sobą.

– Ta rzekoma „straszna rzecz”?

– Krok w dół mieszkaniowej drabiny mógł wydawać się odkupieniem wina.

– Karała samą siebie – dorzucił. – Nie obchodziło jej, że tym samym karze Tanyę?

– Tanya mówiła, że się nie przejmowała.

– Tanya wydaje się dziewczyną, która właśnie coś takiego powie.

– Robi dobrą minę do złej gry – zauważyłem. – Ale dzieci są elastyczne. Najważniejszy był dla niej związek z matką.

– A teraz jest sama.

Poszliśmy do samochodu.

– Może naprawdę chodziło o oszczędności – zasugerowałem.

– Niewinna, dopóki nie udowodni się wina? Jasne, czemu nie. Skoro skończyliśmy już tę nikomu niepotrzebną lekcję geografii, co dalej?

– Może powinniśmy zawęzić obszar. Gdyby coś się stało na Czwartej ulicy, Gadatliwa Mary by to zapamiętała, więc na razie odłóżmy to na bok.

– Chyba że Mary nie chciała oczerniać swojej dzielnicy opowieściami o zbrodniach.

– Moim zdaniem z przyjemnością porozmawiałaby o porządnej zbrodni. Zgadza się, że morderstwo na June Street raczej nie ma związku, a jedyną niezwykłą rzeczą, która wydarzyła się w rezydencji, o ile w ogóle można tak powiedzieć, to śmierć pułkownika Bedarda pod opieką Patty.

– To nic niezwykłego, był stary. – Milo pomasaował twarz, jakby mył ją bez wody.

– Co? – spytałem.

– Jeśli chcesz, żebym był kreatywny, mogę być.

– Dawaj.

– Cierpiący starzec, współczująca pielęgniarzka, można pomyśleć, że robili mu przysługę, przyspieszając nieuniknione.

– Eutanazja?

– Mówiłem, że potrafię być kreatywny.

– Gdyby Patty miała skłonności do zabawy w Boga, czy Rick by o tym nie wiedział?

– Ostry dyżur to jedno, Alex. Ludzi przywozi się tam, żeby ich ratować. Ale patrzeć, jak kruchy staruszek powoli gaśnie? Coś takiego mogło ranić serce, nawet serce kogoś dobrego. Żadnej premedytacji, nie była przestępczynią. Impuls, którego potem żałowała. Zachorowała, dostała déjà vu i wypaplała wszystko Tanyi. Może myśl o własnej śmierci wpędziła ją w obsesję tego, jak przyspieszyła cudzą. A może to całe wyznanie to bzdura i powinieneś skupić się na tym, żeby pomóc Tanyi radzić sobie z samotnością, a ja powinienem swoje dwa tygodnie urlopu spędzić przed telewizorem.

– Głucha detektyw?

– Jezu, co za gówno – westchnął. – Nie, moja koncepcja nirwany obejmuje miesiąc „Sędziny Judy”, podgrzewane chili z mikrofal i spanie.

– Prawda i sprawiedliwość – powiedziałem.

– Do głupich ludzi dociera tylko wrzask. Gdybym był hetero, spróbowałbym się umówić z tą kobietą.

Zaśmiałem się. Wyjrzałem za okno. Żadne z małych brązowych dzieci nie wróciło pod fontannę.

– Najpierw Patty jest dilerką prochów, teraz zabójczynią z litości.

– Powiedziała, że kogoś zabiła, Alex.

– Powiedziała.

– Powiem ci jedno. Nie ma sensu drażnić śmierci pułkownika Bedarda.

Cokolwiek się stało, według świadectwa zgonu przyczyna będzie naturalna.

Ruchem głowy wskazał domki.

– Co do tego edenu, musiało tu być wtedy mnóstwo przestępstw na ulicach, zobaczymy, czy Isaac coś znajdzie. Nie, żebym był bardziej niż wczoraj przekonany, że coś się w ogóle stało. Ale jeśli nie było eutanazji, stawiałbym na coś związanego z rynkiem narkotykowym na Cherokee. Zwłaszcza po spotkaniu z Lesterem Jordanem. Trochę powęszę, złożę mu jeszcze jedną towarzyską wizytę. – Ziewnął, przeciągnął się, zamknął oczy. – Wystarczy na jeden dzień. Jedź.

– Pora na telewizję? – spytałem. Oczy się otworzyły.

– Nie tak szybko, cwaniaku. Stawiasz drogi obiad.

– Jasne – rzuciłem. – Potem możemy wpaść do Jordana. – Nie, za wcześnie. Pojadę sam, jutro.

– Co ja mam robić?

Otworzył okno i odetchnął smogiem.

– Improvizuj. Co jest uprzejmym sposobem powiedzenia, że za cholere nie mam pojęcia.

Wróciłem do domu o trzeciej z brzuchem pełnym tajskiego jedzenia, zabrałem Blanche na spacer dookoła ogrodu, zmieniłem jej wodę, wysłuchałem, jak minął dzień, zaniósłem ją razem z miską do gabinetu.

Ona jadła, a ja jeszcze raz zabrałem się do karty Tanyi.

Zaczynając od początku.

Zapełniona ścieżka dźwiękowa zaburzenia obsesyjno-kompulsywnego jest zasilana przez lęk. Dźwięk można wyłączyć SSRI – lekami, które zwiększają dopływ serotoniny do mózgu. Niewiele jednak wiadomo o tym, jak środki psychoaktywne oddziałują na dzieci na dłuższą metę, a kiedy pacjent przestaje brać pigułki, melodia znów zaczyna grać.

Kognitywna terapia behawioralna trwa dłużej i wymaga aktywnego uczestnictwa ze strony pacjenta, ale nie ma skutków ubocznych i uczy technik samopomocy, które zostają. Kiedy Tanya przyszła do mnie po raz pierwszy, miałem za sobą tuziny dzieci wyleczonych z nerwicy natręctw za pomocą najróżniej szych stosowanych metod.

Każdego pacjenta staram się postrzegać bez uprzedzeń, ale po kilku latach praktyki nie da się uniknąć rutyny, kiedy więc Tanya przyszła, miałem w głowie ułożony plan:

1. Zbudować zaufanie.
2. Znaleźć przyczynę lęków.
3. We właściwym czasie wykorzystać powstrzymywanie myśli, kontrolowany stres, znieczulanie albo jakąś kombinację, by zastąpić napięcie odprężeniem.

Na czwartym spotkaniu nic porozumienia wydawała się już nawiązana i byłem gotów zabrać się do pracy. Tanya wmaszerowała do gabinetu, siadła przy stole z zabawkami i oznajmiła:

- Nie ma ich.
- Kogo?
- Moich nawyków.

– Nie ma – powiedziałem.

– Już ich nie robię.

– To świetnie, Tanyu.

Wzruszenie ramionami.

– Jak ci się to udało?

– Pan powiedział, że się denerwowałam, więc kiedy się zdenerwowałam, przepędziłam nawyki.

– Przepędziłaś je?

– Powiedziałam: „Przestań, to głupie”, i włożyłam inne uczucia do środka. – Stuknęła się w skroń.

Chcesz licencję terapeuty na wynos czy zjesz ją na miejscu?

– Jakie jeszcze uczucia wkładałaś sobie do głowy?

– Spacer z mamą. Wycieczkę do Disneylandu.

– Disneyland to twoje ulubione miejsce?

– Mały Świat jest nudny – powiedziała. – Lubię Wirujące Filizanki. – Zakreśliła dłonią. – Lubię różową.

– Bawiłaś się już z mamą w Wirujące Filizanki?

– Nie – rzuciła ze zirytowaną miną. – Nie bawimy się, mamie robi się niedobrze, jak się kręci. Patrzymy.

– Lubisz się kręcić.

– Udaję, że się kręcę. – Teraz zakreśliła obiema dłońmi. Szybkimi urywanymi ruchami, jak podenerwowany kierowca autobusu.

– Udajesz, że się kręcisz.

– Szybko – dodała.

– I wtedy uczucie zdenerwowania znika.

Jasnozielone oczy wyostrzyło z wątpienie.



– Pan mówił, że nawyki to ze zdenerwowania. – Masz całkowitą rację, Tanyu. Świetnie się spisałaś.

– Nie zrobiłam wszystkiego – powiedziała.

– Ktoś ci pomógł?

Zdecydowane zaprzeczenie.

– Nie zrobiłam wszystkiego od razu.

– Zrobiłaś trochę.

Odwróciła się ode mnie.

– Zajrzałam pod łóżko. Trochę. Parę razy umyłam ręce. Za drugim razem nie zajrzałam pod łóżko i umyłam ręce tylko raz. Musiałam umyć. Żeby były czyste, mama mówi, że mam myć wodą i mydłem, zanim pójde spać, i wyszorować zęby.

– To chyba dobry pomysł.

– Myć tylko raz to dobry pomysł – potwierdziła. – Więcej razy jest głupio.

– Mama powiedziała, że to głupio?

– Nie! Sama to sobie powiedziałam. – Podniosła ołówek, obróciła go, szturchnęła nim domek dla lalek.

– Jestem naprawdę pod wrażeniem, Tanyu.

Brak odpowiedzi.

– Musisz być z siebie dumna.

– Robienie nawyków mnie zmęczyło – rzuciła lekkim tonem.

– A teraz sobie z nimi radzisz.

– Kiedy się denerwuję, mówię: „Denerwujesz się, nie potrzebujesz tych nawyków”.

– Doskonale – pochwaliłem. – Mogłabyś być lekarzem.

Przestawiła lalki. Bardzo się starała zachować pokerową twarz. Poddawała się w końcu i uśmiechnęła.

– Mama mówi, że nikt nie jest doskonały, ale mi niewiele brakuje.

– Mama się zna na takich rzeczach.

Chichot.

– Ee... mogę coś narysować?

Za drugim razem, trzy lata później, spodziewałem się przygnębienia spowodowanego nawrotem, i byłem zaskoczony, kiedy ujrzałem ją wyprostowaną, dziarsko wkraczającą do mojego gabinetu. Wciąż niska jak na swój wiek, ubierała się poważniej – wyprasowane spodnie khaki, biała bluzka pod granatowym swetrem z dekoltem w serek, nieskazitelnie czyste brązowe pantofle. Włosy zaczesła gładko do tyłu. Zapowiedzi dojrzałości zaczęły utwardzać kontury jej twarzy.

Stolik z zabawkami, który tak ją zajmował, gdy miała dziesięć lat, zlekceważyła jednym spojrzeniem. Usiadła na skórzanym fotelu i założyła nogę na nogę.

– I znów tu jestem.

– Dobrze cię widzieć, Tanyu.

– Przepraszam – powiedziała. – Znów to zrobiłam.

– Nawyki?

– Nie. Chodzi mi o to, że ich nie ma.

– Znów się sama wyleczyłaś.

– Mama powiedziała, że mimo wszystko powinnam przyjść.

– To nie jest powód, żeby przepraszać.

– Miałam przyjść kilka tygodni temu, ale było za dużo sprawdzianów,

więc...

– W tym czasie sama zrobiłaś co trzeba.

– Nie chcę marnować pana czasu. I mamy pieniędzy. Mama mimo to chciała, żebym do pana przyszła. Chce się upewnić, że ze mną wszystko dobrze.

– A dobrze się czujesz?

– Aha.

– W takim razie chyba wszystko dobrze – oświadczyłem. – Rany, załatwiłaś to jeszcze szybciej niż za pierwszym razem. Jestem pod wrażeniem.

– Za pierwszym razem to pan tak naprawdę zrobił – odparła. – Wyjaśnił mi pan, że robiłam to wszystko, bo się denerwowałam. Teraz rozumiem. – Wyprostowała się w fotelu. – Nie wiem, dlaczego znów zaczęłam. Przynajmniej tym razem nie było tak źle. Zaczęłam szorować i sprzątać w szafie raz za razem, ale nie sprawdzałam.

– Coś cię zdenerwowało?

– Raczej nie.

– Mama mówiła, że się przeprowadziłyście.

– Podoba mi się tam.

– Czasami nawet zmiana na dobre może kogoś zdenerwować.

Rozważyła to.

– Podoba mi się tam.

– Jak w szkole? – spytałem.

– Raczej łatwo – powiedziała. – Nuda. Miałam paskudny katar tuż przed tym, jak nawyki znów się zaczęły. Mama pomyślała, że może się zmęczyłam i dlatego.

– Czasami tak bywa.

– Muszę uważać za każdym razem, jak łapię katar?

– Nie – powiedziałem. – Ale za każdym razem, kiedy czymś się bardzo zdenerwujesz, dobrze byłoby poćwiczyć relaksowanie... Wciąż używasz Disneylandu jako ulubionego miejsca?

– No pewnie, że nie – odparła. – To niedojrzałe.

– Masz nowe miejsce.

Uciekła wzrokiem w bok.

– Po prostu mówię sobie, że muszę się odprężyć.

– A więc w szkole nie ma problemów.

– Na niektórych zajęciach trochę bardziej się staram, żeby dostać piątkę. – Piątki są ważne.

– Oczywiście.

– Czujesz presję? – spytałem.

– Ze strony mamy?

– Ze strony kogokolwiek.

– Mówi, żebym się starała, to wszystko. Ale...

Zaczekałem.

– Czasami – mówiła dalej – trudno się uczyć, kiedy to takie nudne, ale zmuszam się. Nie lubię pisać wypracowań i nie znoszę studiów społecznych. Fizyka i matematyka są fajne, logiczne. Chcę zostać lekarzem. Pomaganie ludziom jest pożyteczne.

– To właśnie robi twoja matka.

– Mama mówi, że lekarze zawsze będą rządzić, nie pielęgniarki. Nie lubię nikogo o nic prosić.

Długa pauza.

– Mama chyba trochę się denerwowała.

– Czym?

– Nie mówi mi. – Pytałaś ją?

Powolny uśmiech.

– Co w tym śmiesznego, Tanyu?

– Nie ma mowy, żebym ją zapytała.

– Czemu nie?

– Powiedziałyby, że z nią wszystko w porządku, i zaczęłyby dociekać, czy nie mi nie jest.

– Nie chcesz jej martwić.

– Ma dużo zmartwień i bez tego.

Stwierdzenie dorosłego. Zastanawiałem się, ile czasu spędza z dziećmi w swoim wieku.

– Po czym poznajesz, że jest zdenerwowana, Tanyu?

– Nie może usiedzieć w miejscu... poprawia obrazki. Czasami wygląda na zmartwioną. – Zaczęła się wiercić. – Naprawdę dobrze się czuję, chyba nie muszę już więcej przychodzić.

– Skoro już tu jesteś, czy jest coś jeszcze, o czym chciałabyś porozmawiać...

– Na przykład?

– Na przykład o tym, że mama jest zdenerwowana, jak to na ciebie wpływa?

– Proszę, niech jej pan nie mówi, że panu powiedziałam.

– Obiecuję – przyrzekłem. – Taka sama zasada jak za pierwszym razem.

– Nie powie pan, jeżeli nie chcę. Robi to, kiedy pójde do łóżka, myśli,

że nie słyszę.

– Poprawia?

– Wyciera podłogę, chociaż jest czysta. Wyjmuje puszki z półek w kuchni i wstawia je z powrotem. Słyszę, jak otwiera i zamyka drzwi, a kiedy przestawia fotele, czasami szurają o podłogę. Robi to nocami, bo nie chce, żebym się dowiedziała. Może myśli, że się zarażę.

– Jak katarem.

– To możliwe?

– Nie ma zarazków nawyków, ale czasami, kiedy z kimś mieszkamy, zaczynamy go naśladować. Przygryzła wargę.

– Powinnam spróbować pomóc mamie z jej nawykami?

– Jak myślisz, co by powiedziała, gdybyś jej to zaproponowała?

Szeroki uśmiech.

– „Nic mi nie jest, skarbie”. Ale i tak chciałabym jej pomóc.

– Myślę, że najlepsze, co możesz dla niej zrobić, już robisz. Zajmuj się problemami, którymi możesz, ale proś o pomoc, kiedy nie dajesz sobie rady.

Długo to przetrawiała.

– Jeśli znów mi się to przydarzy, wrócę.

– Zawsze miło cię widzieć. Możesz zadzwonić, kiedy wszystko jest dobrze.

– Naprawdę? – powiedziała. – Może zadzwonię.

Nigdy nie zadzwoniła.

Następnego dnia odezwała się do mnie Patty.

– Nie wiem, co pan robi, ale to cud. Idzie do pana i od razu wszystko jej mija.

- Zrobiła się bardzo dobra w rozumieniu samej siebie – powiedziałem.
- Na pewno, ale pan nią wyraźnie kieruje. Bardzo panu dziękuję, doktorze. Dobrze wiedzieć, że jest pan w pobliżu.
- Mogę pani pomóc w czymś jeszcze?
- Nie, nic mi nie przychodzi do głowy.
- Przeprowadzka poszła gładko?
- Wszystko jest w najlepszym porządku. Dziękuję, doktorze. Do widzenia.

Odłożyłem kartę i zacząłem się zastanawiać nad związkiem między dziecięcymi lękami Tanyi a „straszną rzeczą”, która zaciążyła nad ostatnimi godzinami Patty.

A może Milo miał rację i wszystko to sprowadzało się do finalnego wybuchu obsesji u kobiety, której całe życie opierało się na porządku, a która stanęła w obliczu ostatecznego chaosu?

Pierwsza wizyta Tanyi miała miejsce wkrótce po przeprowadzce do rezydencji Bedardów. Na długo przed śmiercią pułkownika, ale może dziewczynka przejęła napięcie Patty, spowodowane opieką nad starcem.

„Zabiłam go”.

Milo stworzył bezpodstawną hipotezę o zabójstwie z litości, ale miał dobry instynkt. Czy Patty, porządna kobieta, zmagająca się z konsekwencjami popełnionego pod wpływem impulsu i miażdżąco nieodwracalnego czynu?

Skąd wiedziałem, że Patty była porządna?

Bo wszyscy tak mówili.

Bo chciałem w to wierzyć.

– Ograniczone myślenie – powiedziałem na głos.

Blanche podniosła łebek, zatrzepotała rzęsami. Opadła z powrotem na posłanie i wróciła do przerwane go przyjemnego psiego snu.

Zastanawiałem się nad wszystkim jeszcze trochę i uświadomiłem sobie, że objawy Tanyi zaczęły się dwa lata przed tym, jak Patty ją do mnie przyprowadziła. Kiedy wciąż mieszkały przy Cherokee.



Drugi epizod nastąpił po przeprowadzce z Czwartej ulicy do Culver City. A więc może zdenerwowanie Tanyi wynikało z przenosin, nie miało nic wspólnego z żadnym przestępstwem.

Blanche znów podniosła łeb.

– Musisz częściej wychodzić na dwór, Blondyneczko. Jedziemy na przejażdżkę.

Hudson Avenue w sobotę była wspaniale imponująca, dojmująco spokojna.

Kryty dachówką dach rezydencji srebrzyło popołudniowe światło. Trawnik miał odcień marcepanowej zieleni; belki zdobiące fasadę – świeżych czekoladek. Nie licząc cytryn zaścielających podest ganku, wszystko było nieskazitelnie czyste.

Bentley i mercedes stały tam gdzie wczoraj.

Samochody – cała okolica – krzyczały o starych pieniądzach, ale nie było powodu zakładać, że posiadłość wciąż należała do rodziny pułkownika Bedarda. Wziąłem Blanche na ręce i podszedłem do podwójnych drzwi. Dzwonek zagrał Debussy'ego czy coś w tym rodzaju. Usłyszałem szybkie kroki, szcęknięcie za judaszem, a potem jedno skrzydło drzwi otworzyło się, ukazując pokojówkę, którą widziałem w pogoni za wiewiórką.

Pod pięćdziesiątkę, przysadzista, o skórze koloru mocnej herbaty i czarnych włosach splecionych w lśniące warkocze. Czujne czarne oczy. Różowy uniform był nieskazitelnie czysty, obrębiony białą koronką. Nogi w pończochach skrzywione, jakby obejmowały wiolonczelę. W dłoni ścisnęła zabrudzoną irchową szmatkę.

Blanche zamruczała i odstawiła swoją sztuczkę z uśmiechem. Pokojówka złagodniała, a ja pokazałem jej swoją odznakę konsultanta policji.

To zafoliowany, przypinany identyfikator, dawno nieważny i właściwie do niczego nieprzydatny, ale zrobił na niej wrażenie wystarczająco duże, by stłumiła cmoknięcie dezaprobaty.

Tanya wymieniła imię pokojówki, która pracowała z Patty... Cecilia. Ta kobieta była dość stara, by móc tu pracować dwanaście lat temu.

– Pani Cecilia?

– Nie.

– Czy właściciele są w domu?

– Nie.

– Państwo Bedardowie?

– Nie w domu. Blanche sapnęła. – Ale mieszkają tu?

– Jaki pies?

– Francuski buldog.

– Drogi?

– Wart swojej ceny.

Zachmurzyła się.

– Pamięta pani pułkownika Bedarda? – spytałem.

Brak odpowiedzi.

– Starca, który...

– Ja nie pracowała dla niego.

– Ale go pani znała.

– Cecilia pracowała dla niego.

– Zna pani Cecilie?

Brak odpowiedzi. Pstryknąłem identyfikatorem.

– Moja siostra – rzuciła.

– Gdzie mogę znaleźć pani siostrę?

Dłuższa pauza.

– Nie ma kłopotów, chcę jej tylko zadać parę pytań.

– Zacapa.

– Gdzie to jest?

– Gwatemala.

Blanche znów mruknęła.

– Ładny pies – powiedziała kobieta. – Jak małpka.

Kiedy cofnęła się, żeby zamknąć drzwi, usłyszałem męski głos.

– Kto to, Americo?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, młody mężczyzna otworzył drugie skrzydło drzwi, ukazując się z wapienia i marmuru dość wielką, by jeździć w niej na wrotkach. We wnękach ścian stały popiersia dawno zmarłych ludzi. Ścianę w głębi zdominował portret sobowtóra Jerzego Waszyngtona w białej peruce. Na prawo od obrazu szklane drzwi, ukazujące zadbane ogród, rozświetlały korytarz.

– Dzień dobry – przywitał się mężczyzna. Średniego wzrostu, dwadzieścia parę lat, kręcone ciemne włosy, niepewne piwne oczy. Cera kogoś, kto dużo czasu spędza w zamkniętych pomieszczeniach, natrętna uroda idola nastolatek, zmiękczone pozostałościami dziecięcego tłuszczu. Trochę się garbił. Miał na sobie pomiętą niebieską koszulę z rękawami podwiniętymi do łokci, oliwkowe bojówki i żółte rozwiązane adidasy. Na palcach – plamy atramentu. Timex na jego lewym nadgarstku sporo już przeszedł. Spodobałby się Milowi.

– Policja – oznajmiła America, ryzykując kolejne dotknięcie czoła Blanche.

Młody mężczyzna popatrzył z rozbawieniem.

– Fajny pies. Policja? W jakiej sprawie?

– Nie jestem policjantem, ale współpracuję z policją przy dochodzeniu w sprawie kobiety, która pracowała tu około dziesięciu lat temu.

– Jak pan współpracuje?

Pokazałem mu identyfikator.

– Doktor? Czego?

– Psychologii.

– Doskonale – powiedział. – Jak wszystko dobrze pójdzie, też taki będę miał. Nie z psychologii, z fizyki. Dziesięć lat temu? To jedna z ciągnących się spraw?

– Nic spektakularnego. To śledztwo finansowe.

– Dotyczące kogoś, kto tu pracował, chodzi panu o Cecilię? Tata nie zapłacił ubezpieczenia?

America zeszywniała.

– Nie Cecylii – wyjaśniłem. – Kobiety nazwiskiem Patty Bigelow. Ale gdyby Cecilia ją pamiętała, bardzo by nam to pomogło.

Mężczyzna spojrział na Americę.

– Ja mówiła, że Cecilia w Gwatemalę.

– Pamiętam Patty – przyznał. – To pielęgniarka, która zajmowała się dziadkiem. – Wyciągnął miękka, upstrzoną tuszem dłoń. – Kyle Bedard. Co zrobiła?

– Umarła, ale nie chodzi o morderstwo. Nie mogę wdawać się w szczegóły.

– Tajne przez poufne – powiedział. – Brzmi interesująco. Wejdzie pan?

– Panie Kyle, pana ojciec mówić... – zaczęła America.

– Wszystko w porządku, nie martw się – przerwał jej Kyle.

Odeszła, ściskając szmatkę, a on wpuścił mnie do środka.

Mnóstwo kamienia obniżało temperaturę o dziesięć stopni. Przyjrzałem się uważniej kolonialnemu obrazowi, a Kyle Bedard parsknął śmiechem.

– Rodzice przepłacili za niego u Sotheby’ego, bo konsultant przekonał ich, że to pamiątka rodowa. Założę się, że jakiś cwaniak tłukł je tuzinami dla wiktoriańskich nuworyszy.

Orzechowe drzwi z wapiennym gzymsem po lewej stronie prowadziły do zapełnionego książkami pomieszczenia. Urządzono je w stylu biblioteki bogacza: masa skórzanych opraw wymagająca zaszlachtowania stada krów, niebieskie, aksamitne zasłony ze złotymi kutasami, spływające z mosiężnego, zdobionego kwasorytami karnisza na nabijany mosiądzem parkiet, olbrzymi niebiesko-beżowy dywan sarouk, zakrywający prawie całą podłogę.

Na rzeźbionym biurku stały gadżety z brązu od Tiffany’ego. Lampa z secesyjnym abażurem rzucała światło w kolorze brandy, skórzane fotele miały wgłębienia tam, gdzie od lat na nich siadano. Kilka strategicznie rozmieszczonych obrazów ze scenami polowań dopełniało całości.

To był ten pokój, który opisała Tanya, to tu stary Bedard siedział w swoim wózku, czytał i drzemał.

Wtargnęły tu jednak elementy rażące: jadownicie zielony puf na środku dywanu, stosy podręczników, notatników i luźnych kartek, trzy puste kubelki po skrzydełkach kurczaka, pudełko po pizzy, torebki chipsów różnych smaków i kolorów, puszki po napojach, puszki po piwie, zmięte

chusteczki, łupież okruszków.

Cienki srebrny laptop stał na pufie, błyskając nieziemskim światłem w rytm zmian wygaszacza ekranu – wyłupiastooki Albert Einstein zmieniał się w Jima Morrisona, potem w Trzech Głupków, zaprzątniętych entuzjastycznym dżganiem się w oczy, potem znów w Alberta. Ładujący się iPod ssał energię przez poskręcany kabel.

Biblioteka bogacza kontra pokój w akademiku.

Nawet zapach przypominał tu akademik.

– Pracuję nad obliczeniami – wyjaśnił Kyle Bedard. – Samotność mi pomaga.

– Kto tu jeszcze mieszka?

– Nikt. Tata jest gdzieś w Europie, a mama przebywa w Deer Valley i Los Gatos.

– Obliczenia do doktoratu?

– Macierz nieskończona.

– Gdzie pan studiował?

– Na uniwerku. Inżyniera zrobiłem w Princeton, myślałem, żeby tam zostać, uświadomiłem sobie jednak, że mam dość lodu, deszczu ze śniegiem i ludzi, którzy uważają się za Anglików.

– Jaką dziedziną fizyki pan się zajmuje?

– Lasery jako alternatywne źródła energii. Jeśli komisja przyjmie moją dysertację, chciałbym zrobić doktorat u geniusza, który prowadzi badania w Laboratorium Lawrence'a Livermore'a. Fajnie byłoby brać udział w czymś, co zmieni nasze millennium.

– Zbliża się pan do końca?

– Mam już wszystkie wyniki, a samo pisanie powinienem skończyć do

końca roku. Ale sam pan przez to przechodził, nie ma żadnych gwarancji. Dochodzi do egzaminów, jakiś członek komisji chce cię załatwić, jesteś załatwiony. Powinienem poćwiczyć włożenie w dupę, ale praca zabiera mi za dużo czasu.

– Ja też tak do tego podszedłem – powiedziałem. – Wszystko dobrze się skończyło.

– Psychologia, tak? Kliniczna?

Kiwnąłem głową.

– Dzięki za ten strzępek podnoszącej na duchu terapii... tam, usiądzie pan? – Zdjął laptop z pufa, klapnął na niego.

Przysunąłem fotel, usiadłem, położyłem sobie Blanche na kolanach.

– To dopiero idiosynkratyczny pies... Podejrzewam tu przynależność do naczelnych – powiedział. – Co to jest, jakiś miniaturowy buldog?

– Francuski.

– Chodzi panu o buldoga wolności?\* [Pełna angielska nazwa frytek to *french fries*, czyli „francuskie frytki”. W 2003 roku, po sprzeciwie Francji wobec interwencji amerykańskiej w Iraku, w ramach bojkotu francuskich produktów Amerykanie przechrzcili je na *freedom fries*, czyli „frytki wolności” (przyp. tłum.)]

Zaśmiałem się. On się uśmiechnął.

– A więc pamięta pan Patty Bigelow.

– Pamiętam, kim była. Dziadek wtedy jeszcze żył, a rodzice wciąż byli razem. Mieszkaliśmy w Atherton, rzadko go odwiedzaliśmy. Zawsze lubiłem tu przyjeżdżać, do tego pokoju, do zapachu książek. Do pokoju, do którego moi rodzice nigdy by nie weszli. Jeszcze by się czegoś nauczyli, nie daj Boże. Miałem więc trochę ciszy i spokoju. Sporo tu

świątecznych rzeczy, bardzo rzadkich wydań. – Wskazał półki. – Jak zmarła Patty?

– Rak.

– Kiepsko. Jakiego rodzaju finansowe dochodzenie to rozpoczęło i dlaczego?

– Mogę panu powiedzieć tylko tyle, że jej śmierć wywołała parę pytań i policja przesłuchuje każdego, dla kogo pracowała.

– A do wariatów pana wysyłają?

Uśmiechnąłem się.

Podrapał się w głowę.

– Chce pan powiedzieć, że Patty coś zdefraudowała? To by się zgadzało z uprzedzeniami mamy.

– Nie, nie jest o nic podejrzana.

– Cichosza, tajne przez poufne? Jasne, rozumiem. Jeśli dostanę to stanowisko u Lawrence'a, to też będzie totalna tajemnica. – Rozprostował nogi, puf zaskrzypiał. – Rak... Wydawało mi się, że nie była stara... Pięćdziesiąt parę lat?

– Pięćdziesiąt cztery.

– O wiele za młoda – stwierdził. – Jedna trzecia zgonów to rak. Fakt, o którym mama mi ciągle przypomina, bo mylą się jej lasery z promieniowaniem i jest przekonana, że się usmażę... Patty miała córkę, młodszą ode mnie, siedmio- czy ośmioletnią. Za każdym razem, jak przyjeżdżaliśmy, uciekała i się chowała, strasznie mnie to śmieszyło. Raz, kiedy zrobiło się nudno, poszedłem na podwórko. Siedziała w krzakach, liczyła liście czy coś innego, mówiła do siebie. Pomyślałem, że wygląda na samotną, ale uznałem, że się przestraszy, gdybym się nagle odezwał,



więc zostawiłem ją w spokoju. Musi być jej ciężko, tak bez mamy.

Pisk pisk.

– Śmieszne, jakie rzeczy się zapamiętuje.

– Pamięta pan coś jeszcze na temat Patricii Bigelow?

– Pomyślmy – powiedział. – Przyzwoicie opiekowała się dziadkiem, a pod koniec nie było z nim prawie kontaktu. Tata ją szanował.

– Mama nie? – spytałem.

– Mama ma wypaczone pojęcie klasy społecznej.

– Defraudacja pasuje do jej uprzedzeń.

– Zakłada, że klasa niższa wcześniej czy później zacznie kraść, a klasa niższa to wszyscy nie tak bogaci jak ona. Kiedy dorastałem, pokojówki musiały otwierać torebki za każdym razem, kiedy wychodziły z domu. Matka jest podejrzliwa z natury. Rzadko ją widuję. – Słaby uśmiech. – Nie jesteśmy zwartą komórką społeczną. – Szturchnął stopą pudełko po pizzy.

– Powinienem tu posprzątać, ale pewnie nie posprzątam. Kiedy tata wróci i się zdenerwuje, powiem, że byłem bardzo zajęty. A prawdziwym powodem nieposłuszeństwa będzie to, żeby zdenerwować tatę. Dziecinada, co?

– Odrzucił głowę w tył, wsadził palec do oka. – Au, kontakt mnie uwiera... dobra, już w porządku.

– Kiedy wraca pana ojciec? – spytałem.

– Za tydzień, dziesięć dni, za miesiąc, za parsek. Kiedy mu się spodoba. On nie pracuje. Żyje z inwestycji dziadka, a dla mnie to trochę klimat z Edith Wharton. Nawet jeśli nie musi się pracować, można robić coś pożytecznego, prawda? Ja miałem zostać maklerem, ożenić się z tęgą bogatą dziewczyną, spłodzić obowiązkowo tępe dziecko czy dwoje,

przejsć wcześniej na emeryturę z wyrachowanego lenistwa. Fizyka doprowadza mamę do szału. „To praca dla ludzi do wynajęcia, dobra dla Żydów albo Chińczyków”. Jest przekonana, że spłodzę dwugłowego potomka.

– Nauka jako bunt – powiedziałem.

– Mogłem zostać niebezpiecznym bandytą ćpunem albo wstąpić do Zielonych, ale etyka pracy wydała mi się bardziej podstępna... A więc co jeszcze pamiętam o Patty Bigelow... pilnowała dziadka, szybko się poruszała, w sensie przemieszczania się. To mi bardzo zapadło w pamięć. Zawsze gdzieś biegła, pilnowała, czy dziadek ma wszystko, czego mu trzeba. Może chciała zaimponować tacie. Jeśli tak, to daremnie. Tata uważa, że niepotrzebne wydatkowanie energii to wada. A dziadka miał w dupie. Nienawidzili się.

– Konflikt ojciec-syn?

– O rany – ożywił się Kyle. – W porównaniu z nimi ja i tata to kumple od kieliszka. Co do powodu, nikt nie wprowadził mnie we wszystkie brudne rodzinne sekreciki. Dziadek doceniał wartość pracy. Do wszystkiego doszedł sam, w trzydziestym dziewiątym wstąpił do wojska, nie z West Point, był podoficerem technicznym w Teksasie, awansował na podpułkownika, projektując systemy łącznościowe w Europejskim Biurze Telekomunikacji. Po zwolnieniu dostał pracę w telewizji, przerzucił się na optykę, potem komponenty elektroniczne. Wynajdował oporniki, akumulatory i sprzęt pomiarowy – oscylatory, tego typu rzeczy. Załatwił sobie sporo patentów i zarobił dość pieniędzy, by mama i tata wmówili sobie, że są arystokracją z „Mayflower”.

Szturchnął stopą pudełko z KFC.

– Nie wiem, po co to panu opowiadam. Może z powodu tego, co wy nazywacie ukrytymi wymaganiami; chce pan, żebym mówił, więc mówię.

– To dość hermetyczny termin.

– Chodziłem na zajęcia z psychologii. Była ciekawa, ale ja potrzebowałem czegoś bardziej konkretnego. Tak czy inaczej, to wszystko, co pamiętam o panie Bigelow.

– Jak zaczęła tu pracować?

– Byłem dzieckiem. Skąd miałbym wiedzieć?

– Mam wrażenie, że był pan dzieckiem uważnym.

– Raczej nie – powiedział. – Właściwie przebywałem głównie we własnym świecie. Tak jak córka Patty, siedząca w krzakach. Naprawdę muszę wracać do obliczeń. Zależy od tego światowe zużycie ropy. Jeśli zostawi mi pan swój numer, kiedy będę rozmawiał z tatą, powiem mu, żeby do pana zadzwonił.

– Dzięki. – Postawiłem Blanche na podłodze i wstałem. Podreptała prosto do niego.

Zaśmiał się i pogłaskał ją po karku.

Uśmiechnęła się do niego.

– Fajny pies. Może tu zostać.

– Ludzie ciągle mi to proponują.

– Charyzma – powiedział. – Z tego, co wiem o dziadku, miał jej na pęczki.

– *Self-made man*.

– Fajny układ – powiedział Kyle. – Mnie wystarczy, jeśli osiągnę cokolwiek.

Isaac Gomez przysłał mi e-maila.

Drogi Doktorze D.

Oto ułożone w porządku chronologicznym otwarte sprawy zabójstw mężczyzn z określonego przez Pana okresu, które udało mi się znaleźć. Zastosowałem geograficzne kryterium doboru – wyznaczyłem promień trzystu metrów. Nie znaleziono żadnych przypadków na podanych przez Pana ulicach. Oczywiście o wiele więcej jest spraw zamkniętych.

**1. Rejon Cherokee Avenue:**

A. Rigoberto Alfredo Martinez, 19, rana postrzałowa głowy

B. Leland William Armbruster, 43, rana postrzałowa piersi

C. Gerardo Escobedo, 22, liczne rany kłute piersi

D. Christopher Blanding Stimple, 20, rany głowy i korpusu po postrzale ze strzelby

**2. Rejon Hudson Avenue:**

A. Wilfred Charles Hong, 43, liczne rany postrzałowe głowy i korpusu

**3. Rejon Czwartej ulicy: żadnych otwartych spraw**

**4. Rejon Culver Boulevard:**

A. D'Meetri Antoine Stover, 34, rana korpusu po postrzale ze strzelby

B. Thomas Anthony Beltran, 20, rany postrzałowe głowy i torsu

C. Cesar Octavio Cruz, 21, rana postrzałowa głowy (Beltran i Cruz zostali zamordowani podczas tego samego incydentu)

Najlepsze życzenia i powodzenia.

Isaac

Przesłałem list do Mila, przez kilka godzin ślęczałem nad papierkową robotą, nie doczekałem się telefonu.

Może rzeczywiście przeszedł w tryb urlopowy.

Może ja też powinienem. Żadnej pracy do końca weekendu.

W niedzielę rano wstałem jednak wcześniej i zacząłem przetrząsać przestrzeń elektroniczną w poszukiwaniu morderstw znalezionych przez Isaaca. Nierozwiązana sprawa zabójstwa handlarza diamentami, Wilfreda Honga, była opisana na jego stronie internetowej. Makabryczne szczegóły i ostrzeżenia dla kolegów, ale żadnych nowych faktów. Nie znalazłem żadnej sprawy z Hollywood, ale podwójne morderstwo Cesara Cruza i Thomasa Beltrana było opisane w archiwum „Timesa”. Cruz i Beltran byli członkami Chłopaków z Westside Venice, mieli długie listy notowań przez policję, a ich morderstwa nazwano „prawdopodobną zemstą w porachunkach gangów”. Wykreśliłem ich razem z Hongiem.

Klikałem do południa, próbując różnych podejść do pozostałych spraw, zaczynając od tych ze strefy Cherokee Avenue. Nic na temat trzech z nich, odgrzebałem jednak notkę o śmierci Christophera Blandinga Stimple’a w dziale nekrologów „Philadelphia Inquirer”. Stimple, pochodzący z Filadelfii, licealista-sportowiec, został uczczony krótką płatną mową pochwalną. Jego śmierć określono jako „przypadkową, kiedy Chris przebywał w Kalifornii”.

Rodzina zatajała szczegóły zabójstwa z użyciem broni? Nie było powodu, by to robić w przypadku morderstwa, ale samobójstwo mogło wywołać wstyd. Może koroner zamknął sprawę jako śmierć z własnej ręki, ale wniosek ten nie dostał się do archiwów policji. Tak czy inaczej, nie umiałem sobie wyobrazić Party Bigelow rozwalającej dwudziestolatka z dwururki i wykreśliłem Stimple'a.

O czwartej po południu poszedłem ostro pobiegać, wziąłem prysznic, zrobiłem kawę, ogarnąłem bałagan w domu. O szóstej trzydzieści przed domem zatrzymała się ciężarówka.

Robin wyskoczyła ze środka i mocno mnie uściskała.

– Dlaczego my się w ogóle rozstajemy?

Wilgotny policzek. Repertuar Robin rzadko obejmował łzy. Spróbowałem odchylić jej twarz do pocałunku. Ścisnęła mnie jeszcze mocniej.

Zarezerwowałem stolik w restauracji hotelu Bel-Air.

– Uwielbiam to miejsce – powiedziała Robin – ale czy byłbyś zawiedziony, gdybyśmy zostali w domu?

– Zdruzgotany i rozbity w pył.

Odwołałem rezerwację i zamówiłem chińszczyznę na wynos z lokalu w Westwood Village.

– Gdzie jest Blondi? – spytała Robin, rozpakowując się.

– Śpi.

– Mądra dziewczyna.

Wykąpała się, wytarła włosy w ręcznik, umalowała delikatnie i wyszła z łazienki, ubrana w białą koszulę bez rękawów i nic poza tym. Kiedy

przyjechało jedzenie, całowaliśmy się w kuchni. Zapłaciłem chłopakowi za dużo, jedzenie nam wystygło.

O dziewiątej siedzieliśmy przy stawie, rzucając karpom resztki sajgonek i kluski.

– To Japończycy – powiedziała Robin – ale chińszczyzną nie gardzą.

– Różnorodność wszędzie jest doceniana.

– Ha... ależ jest cudownie. – Skrzywiła się, potarła szyję.

– Boli?

– Zesztywniała od tyłu godzin jazdy. – Przewrotny uśmiech. – I od tej ostatniej pozycji.

– Dla mnie to też była nowość – przyznałem. – Bardzo twórcza.

– Nie było nic do stracenia.

Wstałem i rozmasowałem jej ramiona.

– Przyjemnie... trochę niżej... niżej... idealnie... Nauczyłam się przez ten weekend jednego. Wszystkie konwencje to przeżytek.

– Za bardzo jak w szkole.

– Nie chodzi o same wykłady – wyjaśniła. – Kwestie towarzyskie też...

Kto zarabia, kto z kim sypia.

– Na tej F5 zarobiłaś niezłe pieniądze.

– Okrągła sumka dla pracującej dziewczyny, choć grosze dla pana Internetowego. – Pokręciła głową. – Jeszcze trochę niżej... tak... może nawet nauczy się grać.

– Ani dźwięku?

– Nawet fałszywego. Kiedy mi zapłacił, chciał się umówić na kolację.

Żeby porozmawiać o historycznych korzeniach lutnictwa.

– Dobry podryw.

– Nie dość dobry. Zostałam w pokoju i oglądałam filmy. – Przewrotny uśmiech. – Fabuła marna, ale pozycje interesujące.

– Widziałem.

– Słonko, nic jeszcze nie widziałeś.

Godzinę później:

– Dobrze być w domu.

– Alex – powiedziała. – To mnie nie było.

– Wszystko jedno.



Milo zadzwonił w poniedziałek tuż po czwartej.

– Wszystkie sprawy z Culver City to porachunki gangów. Tamtejsi detektywi podejrzewają, kto strzelał do Cruza, Beltrana i Stovera, ale nikt nie chciał zeznawać. Idąc dalej w dół listy, Wilfred Hong. Wszyscy zgadzają się co do tego, że maczała w tym palce pani Hong. Została związana, ale niezbyt mocno. Miesiąc po pogrzebie sprzedała dom i wyjechała z dziećmi do Hongkongu.

– Może się bała.

– Nie aż tak, żeby pogardzić nowym chłopakiem. Zgadnij, jak zarabia na życie.

– Sprzedaje klejnoty.

– Brawo. Dalej, do Hollywood. Gerardo Escobedo i Rigoberto Martinez są w lodówce Petry. Escobedo mówił na siebie Marylin, nosił perukę i makijaż. W wieku dziewiętnastu lat sprzedawał się od trzech, wsiadał każdemu do samochodu. Został zadźgany gdzieś indziej, pewnie w parku, sądząc po liściach i gałązkach, i porzucony w zaułku niedaleko Selma. Strasznie zmasakrowany, wszyscy uważają, że źle trafił. Martinez pracował jako ogrodnik z ekipą w Lawndale i miał już dwa wyroki za stręczycielstwo. Wielki koleś, prawie sto pięćdziesiąt kilo. Jak już zostawał z dziewczyną sam na sam, próbował ją zastraszyć, żeby nie płacić. Pewnie wkurzył niewłaściwego alfonsa. Christopher Stimple też był znany z prostytutki, cztery razy go przymykali. Znaleźli go w wynajętym pokoju z leżącą w pobliżu strzelbą, możliwe samobójstwo, ale

ponieważ nikt nigdy nie widział go z bronią, a usytuowanie strzelby nie było jednoznaczne, koroner wpisał, że przyczyna śmierci nie jest znana.

– Widziałem w sieci jego nekrolog – powiedziałem. – Licealna gwiazda futbolu, rodzina podała jako przyczynę śmierci wypadek.

– Tak im pewnie łatwiej. Mimo wszystko nie wyobrażam sobie, żeby Patty rozwaliła jakiegoś chłopaka z problemami. Co doprowadza nas do Lelanda Williama Armbrustera. Biały, uzależniony od heroiny, z wyrokami, ogólnie irytujący mieszkaniec ulicy. Mówili na niego Sęp. – Miał czterdzieści trzy lata, kiedy ktoś wpakował mu w pierś trzy kule kalibru dwadzieścia dwa. Dlaczego nie jestem zaskoczony, dowiadując się, że jednym z jego znanych kolegów był Lester Marlon Jordan?

– Interesujące – przyznałem.

– Może się okazać, że nawet fascynujące. Ciało Armbrustera znaleziono na Las Palmas, przecznicę na zachód i trzy na północ od mieszkania Patty.

– Czy Jordan był podejrzany?

– Nie, po prostu jego nazwisko wyskoczyło w aktach. Detektyw prowadzący tę sprawę zmarł kilka lat temu, ale był dokładny. Przesłuchał Jordana i kilku innych z kręgów towarzyskich Sępa. Wynika z tego jasno, że kiedy Sęp nie był na haju, miał irytującą osobowość. Jeden z informatorów określił jego głos jako „kocie pazury na szkle”. Inny stwierdził, że Sęp powinien mieć nakaz sądowy brania heroiny jako środka uspokajającego. Kolejna ciekawa informacja jest taka, że kiedy nie miał dostępu do hery, zadowalał się czymkolwiek. W tym winem na szczurach, po którym robił się wredny.

– Pijacy dobijali się do drzwi Patty – przypomniałem. – Tanya mówiła,

że większość dawała się odpędzić krzykiem.

– A może ci, co się nie dawali, wymagali zastosowania mocniejszych środków?

– Według Tanyi nie było nigdy potrzeby robić nic więcej.

– Według Tanyi – powtórzył. – Małego dziecka śpiącego w swoim pokoju. Alex, nawet gdyby próbowała się dowiedzieć, co się dzieje, Patty uciszyłaby ją i wysłała do łóżka. Może Sęp i Patty wdali się w kłótnię, która źle się skończyła. Już sobie myślałem, że nie ma mowy, żebyśmy cokolwiek znaleźli, a tu Armbruster. To, że był kumplem Jordana, tłumaczyłoby, dlaczego Jordan tak się zdenerwował, kiedy spytaliśmy o Patty. Armbruster miałby też pretekst, żeby dostać się do budynku. Może któregoś razu zobaczył Patty, zaczął sobie coś wyobrażać. Wrócił późno w nocy, zaczął walić w drzwi. Patty nawrzeszczała, żeby spadał, on sobie poszedł, ale cały czas kombinował, dążył, żeby jego żądza została zaspokojona. Następnym razem, kiedy ona wychodziła, on czekał w zasadzce i, jak to mówią, doszło do konfrontacji.

– Dobrze byłoby wiedzieć, czy Patty miała jakąś zarejestrowaną broń. – Albo niezarejestrowaną. Jeśli chciała mieć coś do obrony na ulicach, musiałaby złamać prawo. Wiesz, jak to jest z pozwoleniami.

– Gwiazdy filmowe, milionerzy i znajomi szeryfa.

– Na pewno nie pielęgniarzka bez forsy. Ta kobieta wychowała się na ranczu, Alex. Była molestowana przez ojca, do wszystkiego doszła sama i zależało jej, żeby dawać sobie radę. Rick mówi, że kojarzyła mu się z pionierką. Potrafię ją sobie wyobrazić z bronią. Dwudziestka dwójka nie byłaby za duża, żeby zmieścić się w damskiej torebce. Armbruster ją atakuje, ona jest przygotowana. Z początku może nawet dobrze się z tym

czuła.

Zamilkł. Nie było sensu drażyć tematu.

Milo zabił kilku ludzi w Wietnamie, kolejnych paru na służbie. Ja zakończyłem jedno życie. W samoobronie, żadnych wątpliwości, że to było konieczne. Ale coś takiego gryzło od środka, w najdziwniejszych momentach. Myślałem czasami o dzieciach, których mój psychopata miał już nigdy nie spłodzić.

– Nosi to w sobie przez wszystkie lata – podjął Milo. – Potem choruje, puszczają jej hamulce i wyrzuca to z siebie przed Tanya. Coś się nie zgadza?

– Jak na razie nic.

– Leland William Armbruster – powiedział Milo, przeciągając nazwisko. – Poszperam jeszcze trochę i jeśli nie natrafie na żadne sprzeczności, powinniśmy moim zdaniem uznać Sępa za naszego truposza i powiedzieć Tanyi, że mama działała w obronie własnej.

– Może to było coś więcej niż obrona własna – podsunąłem. – Skoro Armbruster kręcił się wokół budynku Patty, mógł zauważyć Tanyę. Biorąc pod uwagę osobiste przeżycia Patty i jej oddanie jako matki, na pewno czujnie wypatrywała wszystkiego, co mogło zagrozić córce.

– Sęp obmacuje małe dzieci? Jasne, to mi się podoba jeszcze bardziej. Cholera, nawet jeśli to nieprawda, tak to przedstawimy Tanyi, będzie miała kolejny powód, żeby miło wspominać mamę... Tak, ta teoria podoba mi się tak bardzo, że mógłbym się z nią ożenić. Wielki happy end i wszyscy idziemy na pizzę.

Zatelefonowałem do Tanyi o szóstej. Oddzwoniła o ósmej.

– Przepraszam, że tak długo to trwało, doktorze Delaware.

– Nauka?

– A cóżby innego? – Jak sobie radzisz?

– Raczej dobrze. Jest coś nowego?

– Mam do ciebie pytanie. Nie wiesz, czy twoja matka miała kiedykolwiek broń?

– Miała, teraz ja ją mam. Dowiedział się pan czegoś o jakiejś strzelaninie w okolicy, gdzie mieszkaliśmy?

– Pojawiły się różne rzeczy, ale nic dramatycznego, jak dotąd. Detektyw Sturgis uważa, że jeśli miała broń, dobrze byłoby ją wykluczyć. Co to za pistolet?

– Smith & Wesson półautomatyczny, kaliber 22, ciemne wykończenie, drewniana kolba.

– Brzmi to, jakbyś miała ją w ręku.

– Mama zabrała mnie raz na strzelnicę, żebym nauczyła się strzelać, kiedy miałam czternaście lat. Byłam niezła, ale nie podobało mi się. Gdzieś w Valley, kupa ludzi w przebraniu. Powiedziałam, że nie chcę tam więcej przychodzić. Zgodziła się, ale oświadczyła, że skoro nie mam ochoty się uczyć, będzie trzymać naboje i pistolet osobno, dla bezpieczeństwa. Mówi pan, że detektyw Sturgis naprawdę chce go przebadać?

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Oczywiście, że nie – powiedziała. – Wiem, że nigdy nikogo nie skrzywdziła. Zresztą...

– Czytałem jeszcze raz twoją kartę i za drugim razem, kiedy przysłaś, mówiłaś, że mama była zdenerwowana.

– Tak? – zdziwiła się. – Czy mówiłam dlaczego?

– Nie, ale opowiadałaś, jak sprzątała późno w nocy, kiedy myślała, że śpisz. Właśnie przeprowadziłyście się z Czwartej ulicy, więc zastanawiałem się nad stresem związanym ze zmianą. Ale obie twierdziłyście, że podoba się wam w nowym miejscu.

– Szczerze mówiąc, nic z tego nie pamiętam, doktorze Delaware... Nauki psychologiczne potrafią być niejednoznaczne, prawda? Echa Kyle'a Bedarda.

– Bywa.

– Myślałam o psychiatrii jako specjalności, zastanawiam się, czy potrafiłabym sobie poradzić aż z takim poziomem niejednoznaczności.

– Masz jeszcze dużo czasu, zanim będziesz musiała zdecydować – powiedziałem.

– Chyba tak – odparła. – Ale im człowiek starszy, tym czas szybciej ucieka.

Jeśli nie jesteś chirurgiem transplantologiem czekającym na serce, nie zabierasz telefonu ani pagera do sali jadalnej hotelu Bel-Air.

Robin i ja uznaliśmy, że dzisiejszy wieczór jest w sam raz na odrobinę przepychu. Zarezerwowaliśmy stół, przyjechaliśmy za piętnaście dziesiątą. Robin miała na sobie czerwoną sukienkę bez rękawów i czarne perły, które kupiłem jej wiele lat temu. Kasztanowe loki posmarowała czymś, co ładnie pachniało. Ja włożyłem czarny garnitur, białą koszulę, czerwony krawat i uznałem, że robię wrażenie kogoś, kto przejmuje się wyglądem. Jedzenie było doskonałe, wina łagodne, a kiedy wyszliśmy o jedenastej trzydzieści, czułem się błogo.

Byliśmy w sypialni i właśnie mieliśmy się kłaść, kiedy zadzwonił telefon.

– Obudziłem cię? – spytał Milo.

– Zakładasz, że śpiam.

– Nie zawracałbym ci głowy, ale życie właśnie się skomplikowało.

Hollywood Boulevard po północy to brudne chodniki, nocny opar zmieniający neony w tłuste plamy, ucieczka turystów, gobliny, nietoperze i upiory wypełzające ze swoich kryjówek.

Kluby, w dzień zamknięte na głucho, przyciągają gromady pustookich dzieciaków i tych, którzy na nie polują. Nabuzowani bramkarze szukają kłopotów. Nocne typy wymykające się wszelkim kategoriom kręcą się na obrzeżach tłumu.

Dotarłem do połowy Cherokee, kiedy zatrzymał mnie mundurowy pilnujący policyjnych kozłów.

Gdy usłyszał nazwisko Mila, popatrzył na mnie, kiwnął głową i przeprowadził przyciszoną rozmowę przez krótkofalówkę.

– Proszę zaparkować z boku, proszę pana, i dalej iść pieszo.

Pospieszyłem do budynku koloru cegły. Petra nazwała go surową sjeną. Oko malarki. Ciemność przebarwiła tynk na matowy brąz.

Wielki czekoladowy baton owinięty wstążką żółtej taśmy, oznaczającej miejsce przestępstwa.

Mundurowy przy wejściu machnięciem ręki wpuścił mnie do środka. Milo stał kawałek dalej, przy otwartych drzwiach, i rozmawiał z chudą, rudowłosą kobietą, dość odważną, by nosić fryzurę czeskiego piłkarza.

Na klapie identyfikator biura koronera. Śledczy Leticia Mopp. Milo i tak ją przedstawił.

– Miło mi pana poznać – powiedziała i odwróciła się z powrotem do niego. – Stężenie już minęło. Chce pan jeszcze raz rzucić okiem, zanim go zapakujemy?

– Czemu nie? – odparł Milo. – Zawsze byłem sentymentalny.

Mopp została, a my dwaj przeszliśmy przez salon – zbiorowisko śmieci. Nieliczne czyste powierzchnie zasypane były proszkiem daktyloskopijnym.

Petra Connor stała pod drzwiami zagraconej szarej łazienki w głębi. Chuda jak patyk, o skórze barwy kości słoniowej i ciemnych oczach, miała na sobie swój zwykły czarny kostium. Równie czarne włosy ostrzygła w lśniący klin. Towarzyszył jej inny detektyw z Hollywood, którego nie znałem, jeszcze młodszy.



– Cześć, Alex – rzuciła Petra. – Wygląda na to, że wszystko się jednak łączy. To Raul Biro.

Biro był krępy i barczysty, miał na sobie beżowy garnitur, brązową koszulę i żółty krawat. Uśmiechnął się i skinął mi głową.

– Z przyjemnością bym z wami pogadała, chłopaki – powiedziała Petra – ale na razie swoje już zrobiliśmy. Pogadamy jutro, Milo?

– Możesz na to liczyć.

– Pierwsza nowa sprawa od trzynastu miesięcy – zauważyła. – Myślałam, że mi tego brakuje, ale teraz już nie jestem taka pewna. Raul nie ma nic przeciwko, prawda?

– Przyda mi się doświadczenie – powiedział Biro.

Oboje wyszli, a Milo gestem zaprosił mnie do łazienki.

Lester Jordan siedział zgarbiony na swoim sedesie w fioletowym szlafroku frotte, rozchylonym i ukazującym ciastowate, wyniszczone ciało. Głowę miał nisko zwieszoną. Klapy szlafroka spowijały mu szyję. Gumowa opaska zaciskowa na lewym ręku sprawiła, że na przedramieniu wyskoczyły żyły poskręcane jak ogrodowe węże. Strzykawka lśniła srebrem na brudnych płytkach podłogi po prawej stronie. Nie jakaś domowej roboty szpryca – szpitalnej jakości wielorazowa strzykawka, błyszcząca i pusta. Na szafce stał zestaw łyżeczka-zapalniczka i pusta foliowa torebka.

– Tyle lat i raptem przedawkował? – spytałem.

Milo włożył rękawiczki. Ostrożnie, niemal czule, wziął Jordana za brodę i podniósł głowę nieboszczyka.

Dookoła szyi Jordana zaciskała się druga opaska. Białe, pleciony sznurek, zaciągnięty tak mocno, że prawie niknął w zimnym ciele.

Zawiązany z tyłu na potrójny węzeł, zlewał się kolorem z bladą skórą Jordana. Oczy mężczyzny były na wpół otwarte, suche, a zycia było w nich tyle, ile w guzikach koszuli. Język wypełził mu z ust, czarny i opuchnięty jak miniaturowy bakłażan.

Milo równie ostrożnie opuścił jego głowę.

– Przyjechałem tu o dziesiątej trzydzieści, żeby porozmawiać z nim o Lelandzie Armbrusterze, zastałem koguty i blokady, cały cyrk. W mieszkaniu Petra wystukiwała numer na komórce. Dzwoni mój telefon. To ona do mnie telefonuje. Pyta: „Teleportowałeś się już, Scotty?”

– Karma – powiedziałem.

– Komu podpadłem w poprzednim życiu?

– Kiedy Jordan został zabity?

– Osiem do piętnastu godzin temu. Nikt nie widział żadnych gości i zgadza się to z tym, co tu zastaliśmy. Okno na północnej ścianie było otwarte, na ziemi pod nim coś ustawiono, ale żadnych wyraźnych śladów stóp. Jordan został znaleziony, bo zostawił włączoną muzykę – za głośno, tak jak wtedy, kiedy tu byliśmy. Sąsiedzi mówią, że często tak robił, wniesiono mnóstwo zażaleń, ale właściciel budynku je ignorował. Zazwyczaj ktoś walił w drzwi Jordana tak długo, aż ten wyłączał muzykę. Tym razem nic nie działało i wezwali policję.

– Kim są sąsiedzi?

– Dwie dziewczyny – powiedział Milo. – Tancerki z Pantages. – Popatrzył przeciągle na trupa Jordana. – Mundurowi z patrolu przyjeżdżają pół godziny później, dobijają się do drzwi, nikt nie otwiera. Obchodzą dom dookoła, widzą otwarte okno, wzywają wsparcie. Dzięki Bogu byli dość bystrzy, żeby niczego nie dotykać, może znajdziemy jakieś ślady.

Do łazienki weszło dwóch kierowców ze składanymi noszami na kółkach. Wyszliśmy z budynku, zbliżyliśmy się do samochodu Mila. Dzisiaj nie przyjechał nieoznakowanym; wziął białe porsche 928 Ricka.

– Jordan przeżył tak długo mimo uzależnienia – odezwałem się. – Odwiedzamy go, żeby porozmawiać o Party, i dwa dni później nie żyje.

– W grupie wysokiego ryzyka wszystko może się zdarzyć, ale rzeczywiście, trochę to dziwne. – Okazał to, unosząc swoje krzaczaste brwi. – Nikt choć minimalnie groźny nie wiedział, że rozmawialiśmy z Jordanem, tylko ta scenarzystka, Bergman, i Gadatliwa Mary Whitbread.

– W sobotę pojechałem na Hudson i spotkałem się z wnukiem pułkownika Bedarda, ale nazwisko Jordana nie padło.

– Groźny typ?

– Przeciwnie. – Opisałem wrażenie, jakie zrobił na mnie Kyle Bedard.

– Ale jeśli to ma jakiś związek z Patty – zastanawiał się Milo – Jordan powiedział komuś, że byliśmy w okolicy, i został za fatygę uciszony.

– Jeśli komuś aż tak zależało, żeby przeszłość pozostała pogrzebana, bezpieczeństwo Tanyi może być problemem.

– Gdyby Patty w ogóle nie poruszyła tego tematu, nie rozmawialibyśmy z Jordanem i zapewne w ogóle nie byłoby problemu.

– Może Patty wiedziała, że coś się stanie niezależnie od tego, czy coś powie. Tak czy inaczej, przejadę się pod domem Tanyi.

– Zrób tak – powiedział Milo. – Ja się trochę prześpię i będę rześki i świeży na jutrzejsze wyzwania.

Kiedy jednak odpaliłem seville'a, porsche mrucało za mną. Wystawiłem głowę przez okno, a Milo zrównał się ze mną.

– Co tam – rzucił – zróbmy konwój. Nawet nie myśl, żeby powiedzieć

„Dziesięć-cztery”.

Canfield Avenue o pierwszej trzydzieści pięć w nocy była cicha i spokojna. Milo i ja zaparkowaliśmy i wysiedliśmy. Spojrzał na szyld agencji ochrony na trawniku.

– Dobry początek. Zakradnę się od tyłu, zobaczę, czy nie ma tam nic podejrzanego.

– Tanya ma broń.

– Co ty powiesz.

Opowiedziałem mu o dwudziestcedwójce Patty.

– Taki sam kaliber jak ten, z którego załatwili Sępa Armbrustera – zauważył. Wyciągnął z kieszeni małą latarkę. – Jeśli mnie zastrzeli, możesz sobie wziąć mój Oficjalny Piórniki Detektywa.

Wrócił trzy minuty później, uniesionym kciukiem dał znak, że wszystko w porządku.

– Nic podejrzanego, ma lampę nad tylnymi drzwiami i kraty na oknach. Do tego alarm i mogę to uznać za bezpieczny dom. Wracamy. Jutro zajmę się tym dalej z Petrą.

– Zastanawialiśmy się – powiedziałem – jak Jordanowi udawało się tak długo mieszkać w budynku. Teraz dowiadujemy się, że właściciel nie reagował na skargi na jego muzykę, chociaż to oznaczało, że inni lokatorzy będą się wyprowadzać.

– Koneksje – rzekł Milo. – Rodzina, tak jak mówiłeś.

– Chciałbym wiedzieć, do kogo należy akt własności budynku i czy miał go w czasach Patty.

– Petra zdobyła nazwisko właściciela od tancerek, czekaj. – Wyjął

notes, poświecił sobie latarką, przerzucił kilka kartek. – Nieruchomości Deer Valley w Utah, ale domem administruje firma ze śródmieścia.

– Matka Kyle’a Bedarda mieszka w Deer Valley.

Milo zmarszczył brew, ruszył przed siebie ciemną ulicą.

– Jejku jej.

Następnego ranka o dziesiątej staliśmy na schodach ganku rezydencji przy Hudson Avenue, słuchając melodii dzwonka. Godzinę wcześniej Milo rozmawiał z firmą administrującą budynkiem przy Cherokee, potwierdził, że Lester Jordan był bratem pani Iony Bedard. Jordan widniał na ich liście płac jako „lokalny inspektor”, jego obowiązki jednak były niejasne, a pensja trzystu dolarów tygodniowo przychodziła z Deer Valley.

– Firma się na to zgodziła, żeby zatrzymać budynek na liście administrowanych. – Milo popatrzył na bentleya i mercedesa. – Co ci ludzie robią, że mają tyle pieniędzy?

– Rodzą się w Klubie Szczęśliwej Spermy.

Kobieta o imieniu America otworzyła jedno skrzydło drzwi. Uśmiechnąłem się do niej. Ścisnęła kij od miotły.

– Jest Kyle?

– Nie.

– Wie pani może, gdzie...

– Szkoła.

Moje „dziękuję” zostało ucięte przez świst zamykanych drzwi z drewna orzechowego.

– Ach – westchnął Milo – ciepło domowego ogniska.

Gmach fizyki na uniwerku jest pochodzącym z lat sześćdziesiątych połączeniem szkła, białej cegły i mozaik naściennych, ukazujących wielkie momenty fuzji. Po drugiej stronie odwróconej fontanny wznosi się gmach psychologii, w którym otrzymałem dyplom. Nigdy nie zwracałem uwagi na mniej niejednoznaczne wydarzenia przedstawione kilka metrów dalej.

Milo i ja przyszliśmy tu gotowi wziąć się za bary z sekretarkami wydziału, ale Kyle Bedard siedział na krawędzi fontanny, jadł kanapkę i pił sok pomarańczowy z plastikowego kartonu. Między kęsami rozmawiał z młodą kobietą.

Była drobna, jasnowłosa, ubrana w róż i khaki. Kyle miał na sobie szarą bluzę, workowate džinsy i stare adidas. Kontakty zamienił na okulary w czarnych oprawkach.

Kiedy podeszliśmy, poprawił je, jakby próbował na nowo skupić spojrzenie.

Dziewczyna się odwróciła.

– Cześć, Tanyu – powiedziałem.

Milo wziął Kyle'a za łokieć i zaprowadził go na drugą stronę fontanny. Tanya przycisnęła dłoń do policzka i rozdziawiła usta. Usiadłem obok niej.

– Co się dzieje, doktorze Delaware?

– To porucznik Sturgis. Musi porozmawiać z Kyle'em.

– O czym?

– Jak go poznałaś, Tanyu?

Dłoń przywarła mocniej do policzka, tworząc biały ślad. Tanya odwróciła się do mnie.

– Czy on... chcecie mi powiedzieć, że jest z nim coś nie tak?

Jeszcze nie.

– Nie. Jak...

– Skontaktował się ze mną przez sekretariat, wczoraj zjedliśmy razem lunch, postanowiliśmy powtórzyć to dzisiaj. To nie było spotkanie z nieznajomym, doktorze Delaware. Wyjaśnił mi, że przyszedł do niego policyjny psycholog, żeby porozmawiać o mojej matce i że to przypomniało mu czasy, kiedy byliśmy dziećmi, a on przyjeżdżał z wizytami. Powiedziałam mu, że pana znam i że ja jego też pamiętam. Zawsze czytał jakąś książkę. Robi wrażenie dobrego człowieka i jest bardzo inteligentny.

– Jestem pewien – powiedziałem.

– Jest jakiś problem?

– Nie z Kyle'em.

– A więc co tu robicie?

– Mężczyzna mieszkający w budynku przy Cherokee został wczoraj zamordowany. Budynek należy do matki Kyle’a. Dostała go w ramach podziału majątku po rozwodzie, ale kiedy tu mieszkaliście, był własnością pułkownika Bedarda.

– Czy to się wszystko... wiąże?

– Możliwe, że twoja matka dostała pracę w rezydencji, bo ktoś z Cherokee ją polecił.

– Kto by to zrobił?

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć.

Tanya sięgnęła po opróżniony do połowy kubek jogurtu i ścisnęła go.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego rozmawiacie z Kyle’em. Był wtedy dzieckiem.

– Mężczyzna, którego zamordowano, nazywał się Lester Jordan. Brzmi znajomo?

Pokręciła głową.

– Mieszkał przy Cherokee, gdy wy tam mieszkaliście. Lokal na parterze, na lewo z korytarza, w głębi.

– Nigdy o nim nie słyszałam, doktorze Delaware. Mama nigdy nie pozwalała mi wchodzić samej do budynku. Kto go zabił?

– Jeszcze nie wiemy.

– Myślicie, że Kyle wie?

– Lester Jordan był bratem mamy Kyle’a.

– A teraz jest... o mój Boże, chce pan powiedzieć, że to przez to, co ja zaczęłam?

– Nie, nic na to nie wskazuje, Tanyu.

– Ale uważacie, że to możliwe. – Złapała garść włosów i wykręciła.



– O mój Boże, mogłam dać sobie spokój, a teraz człowiek nie żyje.

– To nie twoja wina – zapewniłem. – Zero odpowiedzialności. – To okropne.

– Tanyu, Lester Jordan był uzależniony od heroiny i prowadził niebezpieczny tryb życia, to cud, że przeżył tak długo. Jeżeli twojej matki nie łączył z nim jakiś związek, nie ma powodu przypuszczać, że coś ją wiązało z jego śmiercią.

– Oczywiście, że nie łączył ich żaden związek. Dlaczego miałyby się zadawać z kimś takim?

– To nie musiał być związek towarzyski – wyjaśniłem. – Narkoman może od czasu do czasu potrzebować pomocy medycznej.

– Chce pan powiedzieć, że pomagała mu, kiedy przedawkował?

– Albo kiedy chciał rzucić nałóg. Albo gdy był na głodzie.

– Nigdy nie widziałam ani nie słyszałam nic takiego – oświadczyła.

– Ale byłam taka mała.

– Nawet jeśli twoja matka rzeczywiście pomagała Jordanowi, to nie znaczy, że miała cokolwiek wspólnego z jego śmiercią. To był mężczyzna z bogatą przestępczą przeszłością. Zadawał się ze złymi ludźmi. Porucznik Sturgis bada jego życie. Musi porozmawiać z rodzicami Kyle'a, ale obojga nie ma w mieście. Dlatego przyjechał do niego.

Puściła włosy, zaczęła się bawić kubkiem jogurtu.

– Naprawdę nie umiem sobie wyobrazić, żeby mama choćby знаła kogoś takiego. Bardzo jej zależało, by chronić mnie przed złymi wpływami.

– A ci pijacy, którzy dobijali się do drzwi? – spytałem. – To mógł być narkoman na głodzie.

– Może. Nie widziałam, żeby otworzyła kiedykolwiek drzwi. O to właśnie chodziło, żeby zostawić ten świat na zewnątrz.

– Nieciekawa okolica – powiedziałem. – Ale mieszkała tam sześć lat.

– O co panu chodzi?

– Może została tam tak długo, bo dostawała ekstrapieniądze za opiekę nad Lesterem Jordanem. Kiedy pułkownik Bedard wymagał opieki, jego krewni przypomnieli sobie, jaka twoja mama była skuteczna, i poprosili, żeby się do niego wprowadziła.

– Nigdy mi o niczym takim nie mówiła.

– Nie było powodu mówić siedmiolatce.

Naszą uwagę przykuło klaśnięcie. Dłoń Mila wylądowała na ramieniu Kyle'a Bedarda. Kyle się wzdrygnął i poszukał wzrokiem oczu Tanyi.

Popatrzyła na niego pusto, a on odwrócił się z powrotem do Mila.

Milo powiedział coś dłuższego, zasalutował niedbale i uśmiechnął się wilczym uśmiechem. Kyle zaryzykował jeszcze jedno spojrzenie na Tanyę, ruszył do gmachu fizyki. Bawiąc się okularami i podciągając spodnie, wszedł do środka.

– Zostawił drugie śniadanie – zauważyła Tanya.

– Możliwe, że stracił apetyt – wyjaśnił Milo. Jego wielka, mięsista dłoń wystrzeliła do przodu. – Milo Sturgis.

– Tanya.

Usiadł obok niej.

– Przepraszam za najście.

– Panie poruczniku, nigdy nie słyszałam o tym człowieku, Jordanie.

– Nie spodziewałem się, że będziesz słyszała, Tanyu.

– To wujek Kyle'a – powiedziałem. – Jak Kyle przyjął tę wiadomość?

– Jest trochę wstrząśnięty – odparł Milo.

– Myśli pan, że to się stało przeze mnie?

Milo popatrzył na mozaiki. Prometejskie postacie unoszące próbówki, trzymające cyrkle, patrzące na snopy iskier.

– To by była wyjątkowo naciągana teoria, Tanyu. Jordan prowadził tryb życia, który nazywamy trybem wysokiego ryzyka.

– Doktor Delaware wszystko to mi powiedział, ale skąd możecie mieć pewność, że to nie ma żadnego związku?

– Nie możemy, dlatego tu jesteśmy. Wyjaśniłaś doktorowi Delaware'owi, że według ciebie twoja matka powiedziała ci o „strasznej rzeczy”, bo próbowała cię chronić.

– To było raczej wrażenie niż racjonalna myśl, panie poruczniku. Ja to wyczułam.

– Nie powiedziała nic, co by ci kazało tak myśleć?

– Nie, była tylko taka przejęta. Jakby uważała za bardzo ważne, żebym się o tym dowiedziała. Często mawiała, że wiedza to potęga. Miałam wrażenie, że to po prostu jeszcze jeden przykład, że kieruje mnie w pewną stronę. Dlatego skontaktowałam się z doktorem Delaware'em. – Spuściła wzrok. – Żeby on mógł skierować mnie do pana.

Milo podrapał się w nos. Gołąb wylądował w strumieniu wody fontanny. Napił się, wykapał, otrząsnął do sucha i odleciał.

– Jesteś świadoma kwestii osobistego bezpieczeństwa?

– Coś mi grozi, poruczniku Sturgis?

– Nie obejmowałbym cię programem ochrony świadków, ale chciałbym, żebyś uważała.

– Na co?

– Na podstawowe rzeczy. Drzwi i okna zamknięte, włączaj alarm, kiedy wracasz do domu, rozglądaj się, zanim wysiądziesz z samochodu, nie rozmawiaj z nieznajomymi. To wszystko, co i tak powinnaś robić.

– Robię – powiedziała. Trójka gołębi zbombardowała fontannę z lotu nurkowego. – Czy Kyle to nieznajomy?

– Chyba już nie... Tanyu, nie mogę ci podać prostego przepisu. Nie ma problemu, jeśli chcesz się z nim spotykać w miejscu publicznym. Właściwie byłoby dobrze, gdybyś podczas tych spotkań dowiedziała się czegoś użytecznego.

– Chce pan, żebym go szpiegowała?

– Czasami różne rzeczy wychodzą podczas normalnej rozmowy.

– Na przykład jakie?

– Może Kyle przypomni sobie coś na temat wuja, co pomoże nam zamknąć tę sprawę.

– Czy Kyle powiedział, że był z nim blisko? – spytała Tanya.

– Powiedział, że nie kontaktowali się od lat. – Milo się uśmiechnął. – Tanyu, moim zdaniem uzależnienie Jordana i jego kryminalna przeszłość to główne przyczyny jego śmierci. Ale doktor Delaware powiedział mi, że jesteś dojrzała i bystra, i ja też mam takie wrażenie. Dlatego jestem z tobą szczery. W tym momencie niczego nie da się wykluczyć.

Zastanowiła się nad tym.

– Brzmi rozsądnie... Wyobrażam sobie, że Kyle nie chciał się zadawać z kimś takim. Najmocniejsze, co łyka, to piwo.

– Skąd się o tym dowiedziałaś? – spytałem.

Zarumieniła się.

– Rozmawialiśmy o... wartościach. Wiem, że to brzmi drętwo.

– Tanyu – powiedział Milo – gdyby więcej ludzi przywiązywało wagę do wartości, miałbym mnóstwo wolnego czasu.

– Rozmawialiście o wartościach i doszliście do narkotyków? – zdziwiłem się.

– Właściwie to ja poruszyłam ten temat. Wspomniałam, że zastanawiam się nad psychiatrią i że interesuje mnie cała ta biologiczna rewolucja. Kyle powiedział, że ma kuzyna, który leczy się na najróżniejsze zaburzenia zachowań, i że po tym, co widział, nie jest pewien, czy to dobra droga. Doszliśmy do dyskusji o tym, gdzie przebiega granica oddzielająca terapię od podtrzymywania chemicznego uzależnienia. O tym właśnie rozmawialiśmy, kiedy przyszliście. – Stuknęła kolanem o kolano.

– Może Kyle ma zastrzeżenia do leków przez problemy swojego wujka.

– Możliwe – powiedziałem.

– Jeśli to ktoś, z kim nie powinnam się zadawać, po prostu mi powiedzcie.

– Miej oczy szeroko otwarte – podsunął Milo – i ufaj instynktowi.

Wzrok Tanyi przesunął się na wejście do gmachu fizyki.

– Czy wewnątrz Bergson Hall to miejsce publiczne?

– Jak na razie tak.

Wstała, zaczęła zbierać jedzenie i chować je do torby.

– Znalazłaś broń mamy? – spytałem.

Znieruchomiała.

– Powinnam się nauczyć nią posługiwać?

– Chciałbym pożyczyć ją na parę dni i przeprowadzić kilka testów.

– Myślicie, że była użyta do popełnienia jakiegoś przestępstwa?

– Jestem pewien, że nie, ale upewnijmy się. Wiesz, gdzie jest?

Kiwnęła głową.

– Mam ją przynieść do pana do pracy?

– Może sam po nią wpadnę? Kiedy będziesz w domu?

– Dzisiaj?

– Im szybciej, tym lepiej.

– Popatrzmy... około piątej, piątej trzydzieści. Szóstej, na wszelki wypadek, jeśli po pracy będę się uczyć. – Zerknęła na zegarek. – Już powinnam być w bibliotece.

– Idź, zobaczymy się o szóstej – powiedział Milo. – Miło było cię poznać.

– Mnie również – odparła. – I dziękuję, że poświęca pan swój czas, żeby mi pomóc. Naprawdę jestem bardzo wdzięczna. – Tym razem to ona wyciągnęła dłoń. Ścisnęła łąsko Mila, a potem szybko uściśnęła mnie. – Wiem, że wszystko skomplikowałam... czuję się bezpieczniej z wami po swojej stronie. Proszę pozdrowić doktora Silvermana, panie poruczniku. Mama go uwielbiała.

Milo zaczekał, aż odeszła.

– Ty też jej kłamiesz?

– No jasne.

– Dobry z ciebie człowiek.

Jedno było prawdą – powiedział Milo, kiedy wyjeżdżaliśmy z campusu.  
– Nie mogę jej chronić całą dobę, musi się rozglądać i uważać. Myślisz, że do niej dotarło?

– Prawdopodobnie – odparłem. – Tyloma emanujesz groźbami. Czego się dowiedziałeś od Kyle’a?

– Wujek Lester był *persona non grata*, nikt z rodziny nie utrzymywał z nim kontaktów. Ostatni raz widzieli się po rozwodzie rodziców Kyle’a – niedługo po śmierci dziadka. Jego mama i tata byli od jakiegoś czasu w separacji i Kyle przyleciał z nią z Atherton, żeby mogła zabrać kilka dzieł sztuki, które uważała za swoje. Kiedy przetrząsała dom, wpadł Jordan i Kyle otworzył mu drzwi. Jordan próbował porozmawiać, matka zobaczyła, kto to, i kazała Kyle’owi iść do środka.

– Kyle domyślał się, po co Jordan wpadł?

– Nie. Ale skoro Jordan był narkomanem, a ona go utrzymywała, stawiałbym, że przyszedł do niej po forszę. O czym nakłamałeś Tanyi?

– Zasugerowałem, że Patty mogła pomagać mu walczyć z nałogiem, ale nie wspomniałem o podtrzymywaniu uzależnienia.

– Tyle prochów szpitalnej jakości w zasięgu ręki i ćpun z bogatą rodziną. Tak, nieźle pasuje, co?

– Patty mieszkała tam sześć lat – powiedziałem – rodzina płaciła jej, żeby trzymała czarną owcę z dala od nich. Stary Bedard zachorował i jego potrzeby przeważały nad Jordanem. Kiedy pułkownik zmarł, dla Patty przyszła pora ruszyć dalej.

– Przeważali ją jak szachowego pionka.

– Matka Kyle'a ma bardzo konkretne pojęcie klasy społecznej. Opowiedziałem mu o codziennych inspekcjach torebek.

– Nędzni odrzuceni – wygłosił Milo. – Mimo to, jeśli masz rację, że Patty pomagała Jordanowi, czemu nie wysłali jej z powrotem na Cherokee, gdy stary już umarł?

– Jordan był krewnym pani Bedard. Pan Bedard mógł nie być zachwycony tym, że jego szwagier mieszka za darmo. Kiedy rozstał się z żoną, koniec tego dobrego.

– Krzyżyk na drogę tobie i twojemu przegranemu braciškowi. Który zupełnie przypadkiem był kumplem Sępa Lelanda Armbrustera, który zupełnie przypadkiem został zastrzelony z dwudziestkidwójki, kiedy Patty mieszkała parę przecznic od miejsca zbrodni i zupełnie przypadkiem miała dwudziestkędwójkę. Wcisnęliśmy Tanyi całą furę pocieszających pierdoł, Alex. Miała rację, że doszukiwała się tu związku. Jordan przeżył dwadzieścia lat waląc sobie w żyłę, my rozmawiamy z nim o Patty i ni z tego, ni z owego znajdujemy go martwego na kiblu. Jeśli balistyka powiąże pistolet Patty z kulą wyciągniętą z Armbrustera, zaczną się komplikacje pierwsza klasa. Z rodzaju tych, które mogą prowadzić do eliminowania świadków.

– Jordan widział, jak Party strzelała do Armbrustera? Dla kogo to groźne?

– Chcę powiedzieć, że Jordan wiedział na temat tej strzelaniny coś, dla czego warto było zabić. – Jego komórka zapiszczała jakąś hawajską melodyjkę. – Sturgis... cześć, jak leci... naprawdę? – Szeroki uśmiech. – To odnawia moją wiarę w technologię, dziecko. Tak, zrobmy tak, za pół



godziny? Doktor też tam będzie, może podrzuci nam parę głębokich wniosków.

Rozłączył się, wciąż wyszczerzony.

– Sean? – spytałem.

– Petra. Kibel Jordana został wytarty do czysta, tak samo wewnętrzny parapet otwartego okna. Ale technicy zdobyli częściowy odcisk dłoni z gzymsu na zewnątrz. Dłonie są w końcu katalogowane w AFIS i mamy trafienie. Niegrzeczny chłopiec przymknięty w zeszłym roku za pobicie. Czy to nie miło, kiedy niegrzeczni chłopcy się nie uczą?

Siedzieliśmy z Petrą w pustej sali przesłuchań Hollywood Division. Raul Biro jeszcze raz przeczesywał budynek Lestera Jordana i przepytывał jego sąsiadów.

Pomieszczenie było pozbawione okien i duszne, pachniało w nim oczarem. Petra zdjęła czarną marynarkę. Pod spodem miała szarą, jedwabną bluzkę bez rękawów. Jej ramiona były białe, gładkie i żylaste, paznokcie pomalowała na ciemny brąz, wpadający w czerń. Szminka w tym samym odcieniu, pół tonu jaśniejsza. Pchnęła przez stół formularz aresztowania z przypiętymi do niego zdjęciami, z profilu i *en face*.

– Panowie – odezwała się – poznajcie Roberta Bertrama Fiska.

Zdjęcie Fiska przedstawiało osobę banalnie typową: kościste, niesymetryczne oblicze, ogolona głowa, blisko osadzone oczy wyprane z uczuć i pociemniałe z wrogości. Wąskie usta ginęły pod gęstymi, czarnymi wąsami, schodzącymi prosto do podbródka jak bramka do krykieta.

Typowy złoczyńca.

Napięta, upstrzona tatuażami szyja, znacząco szersza niż szczęki, była

już przesadą. Ale to było LA, miasto, w którym subtelność mogła być biletem do zapomnienia.

– Chyba żartujesz – powiedział Milo. – Ja bym go wziął za pracownika opieki społecznej, dokarmiającego bezdomnych.

Przesunął palcem do danych osobowych.

Mężczyzna, typ kaukaski, lat dwadzieścia osiem, metr siedemdziesiąt wzrostu, sześćdziesiąt trzy kilo. Galeria tatuaży.

– Maluch – stwierdził Milo.

– Nie przeszkadzało mu to zaczynać z większymi – zauważyła Petra. – Ofiara napaści miała metr osiemdziesiąt pięć i ważyła sto trzydzieści kilo. To było w zeszłym roku w klubie w śródmieściu. Fisk był ochroniarzem, pokłócił się z drugim wynajętym mięśniakiem, Bassettem Bowlandem. – Wygięła palce jak szpony. – Fisk zadał mu parę ciosów karate, a potem jedną ręką złapał Bowlanda za jabłko Adama i zaczął ścisnąć. Prawie zmiądzzył mu tchawicę, zanim go odciągnęli. Bowland przeżył, ale ma trwale uszkodzone struny głosowe.

– Fisk zrobił coś takiego w zeszłym roku i jest już na wolności?

– Zarzut sprowadzono do bójki, odsiedział swoje. Dwa tygodnie, które spędził w okręgowym, czekając na rozprawę, zaliczono za całą odsiadkę. Według akt sprawy Bowland nie chciał współpracować, a świadkowie zniknęli.

– Stosowano jakieś naciski, żeby zniknęli?

– Nie byłabym zdziwiona, ale największą przeszkodą okazał się Bowland. Upokorzony, bo tyłek skopał mu facet o połowę mniejszy od niego, odmówił jakichkolwiek zeznań.

– Fisk ma jakichś kumpli?

– Żadnych powiązań z gangami ani znanych wspólników – powiedziała Petra. – To raczej wolny strzelec, kręci się po scenie klubowej, czasami wchodzi na deski i wydaje mu się, że tańczy.

Przyjrzałem się wykrzywionej twarzy.

– Założę się, że nie dostaje wielu złych recenzji.

Petra się zaśmiała.

– Jedyne, co mogę wam jeszcze o nim powiedzieć, jest to, że walczył w zawodach twardzieli; barbarzyńcy w siatkowej klatce, testosteronowy amok.

– Nie lubisz sportów wyczynowych? – spytał Milo.

Petra pokazała język.

– Miałam pięciu braci, musiałam udawać, że lubię. Teraz jestem już duża i mogę powiedzieć wprost, że są do dupy.

– Fisk gołymi rękami atakuje wielkiego faceta – rzekłem – ale Jordanowi na szyję zakłada opaskę.

– Może nie chciał zostawiać śladów dłoni na skórze Jordana. A może kazano mu użyć opaski.

– Zabójstwo na zlecenie – stwierdził Milo.

– Fisk nie zrobił tego dla prochów. Nie był notowany za narkotyki, wręcz przeciwnie, w sypialni Jordana, w szufladzie, była heroina warta ponad tysiąc baksów. Ale żadnej gotówki, więc może zabrał pieniądze.

Milo skubnął róg raportu z aresztowania.

– Co to znaczy „wręcz przeciwnie”?

– Fisk ma świra na punkcie zdrowia. Irwin Gold, główny detektyw, który zajmował się pobiciem, wymienił trzy różne siłownie, na które Fisk chodził, zanotował, że ćwiczył sztuki walki, jogę, medytacje. Poszliśmy po

niego dzisiaj w nocy o trzeciej. Niestety, Fisk nie mieszka pod swoim ostatnim podanym adresem od pół roku. Wyprowadził się niedługo po tym, jak wyszedł z więzienia, nie zostawił nowego adresu.

– Nie dostał kuratora?

– Wyszedł bez warunku.

– To w końcu zdusił faceta czy wsadzili go za nieprawidłowe parkowanie?

– Fisk nie był notowany, a biorąc pod uwagę gabaryty Bassetta Bowlanda, można było pewnie przekonywać, że to była obrona własna.

– Nie był notowany – powtórzył Milo. – Taki agresywny koleś jest czysty przez dwadzieścia osiem lat?

– Albo nie dał się złapać – powiedziałem.

Petra wyprowadziła kilka ciosów w powietrze.

– Może ukierunkował swoją agresję.

– Kierunkuje agresję, a potem ni z tego, ni z owego dusi Bowlanda, a rok później zostaje mordercą? – zdziwił się Milo.

– Może musiał tylko spotkać właściwą osobę – podrzuciłem. – Kogoś, kto miał coś do załatwienia i był skłonny zapłacić.

Petra kiwnęła głową.

– Podoba mi się to.

– Wnioskując z tego, jak zginął Jordan, na siedząco, bez walki, albo był naćpany, albo nie zaniepokoił go widok Fiska.

– Fisk wchodzi przez okno, a Jordan nie jest zaniepokojony? – zapytał Milo.

– Może ktoś inny wpuścił Fiska.

– Dostawca – powiedziała Petra. – Może diler. Przywiózł towar

Jordanowi, ten daje sobie w żyłę, odpływa. Łatwo byłoby wejść do łazienki, uchylić okno. Fisk czeka pod ścianą budynku, włazi, zakrada się do Jordana od tyłu i zaciska sznurek.

Przez chwilę nikt się nie odezwał.

– Kogo Fisk ochraniał? – spytał Milo.

– W notatkach Golda jest tylko tyle, że nazwał siebie ochroniarzem. A Gold jest na emeryturze, podróżuje gdzieś po południowowschodniej Azji. Chyba pora zacząć odwiedzać siłownie i kursy jogi, co za kiszka.

– Ćwiczeń też nie lubisz?

– Te wszystkie roboty w obcisłych kostiumach, biegnące donikąd, idioci, którym się wydaje, że nigdy nie umrą? Daj spokój.

– Myślałem, że biegasz, dziecko.

– Bo jestem chuda? To geny, proszę pana. Szkoda, że nie widziałeś moich braci, same tyczki. Oprócz Bruce'a, który poszedł trochę wszcz, twierdzi, że to tworczy indywidualizm.

Milo poklepał się po brzuchu.

– Szczęśliwe rozdzie.

– To i stres – dodała Petra. – Łatwiej schudnąć, kiedy człowiek jest za bardzo spięty, żeby jeść.

– Zestresował cię Fisk?

– Chciałabym go mieć tu, na tym krześle. – Odsunęła raport, włożyła go do cienkiej, niebieskiej teczki. – Teraz wasza kolej się wykazać, panowie. Co łączy moją ofiarę i waszą pielęgniarkę? Poproszę tę dłuższą wersję.

– Wasze grzebanie w przeszłości to dla kogoś aż takie zagrożenie? –

spytała, kiedy skończyliśmy. – To ma coś wspólnego z Bedardami?

– Bogaci płacą innym za pranie swoich brudów – powiedział Milo.

Petra przesunęła palcem po gładkiej, czarnej brwi.

– Może to, że Fisk tak łatwo się wyłgał, wynikało z czegoś więcej niż tylko z tego, że Bowland wstydził się zeznawać.

– Spłacili go, żeby trzymał gębę na kłódkę – zasugerował Milo.

– Jeśli stoją za tym Bedardowie, właśnie zabili jednego ze swoich.

– Jednego ze swoich pani Bedard – uściśliłem. – Ona i jej mąż są dawno po rozwodzie.

– Czyli może za tym stać pan Bedard – powiedziała Petra. – Ale budynek należy do pani Bedard. Skąd jej eks miałby się dowiedzieć, że byliście tam porozmawiać z Jordanem? A jeśli pan od dawna ma panią z głowy, czemu miałoby go to obchodzić?

Cisza.

– Może posuwamy się za daleko – zauważył Milo. – Jordan nie był miłym gościem. Ktoś taki mógł wkurzyć wielu ludzi.

– Z drugiej strony – stwierdziła Petra – co innego wkurzyć, a co innego wystawić się na cel płatnego zabójcy. – Odwróciła się do mnie. – Najbardziej nie daje mi spokoju to, że u takiego ćpuna jak Jordan łatwo byłoby upozorować włamanie z tragicznym skutkiem. Otworzyć szuflady, porzrzucić rzeczy. Zamiast tego Fisk ładnie po sobie sprząta, zapomina tylko o jednym odcisku dłoni i heroinie za patola pod gaciami Jordana. Zostawia Jordana siedzącego ze sznurkiem od zasłony na szyi i z ryczącą muzyką. Upewnia się, że Jordan zostanie znaleziony. To była wiadomość dla kogoś. – Zmarszczyła brwi. – Do tego z bardzo pospolitym sznurkiem. Żadnych śladów.

Otworzyła niebieską teczkę, wyjęła zdjęcie z miejsca zbrodni, obejrzała je, pchnęła przez stół.

Lester Jordan, oklapnięty na sedesie. Widziałem go w rzeczywistości, ale na zdjęciu, nie wiedzieć czemu, wyglądał o wiele gorzej.

– Skoro Fisk prysnął – powiedziałem – powinniśmy moim zdaniem porozmawiać z kimś, kto doświadczył jego ciemnej strony.

– Pan Zbyt Zawstydzony Żeby Zeznawać – dorzucił Milo.

– Jego obecny adres mam, North Hollywood. Zadzwońłam do niego. Odezwał się męski głos, dość ochrypły, i odłożyłam słuchawkę. Co wy na to, żeby poddać pana Bowlanda kolejnemu upokorzeniu?

– Przydałoby mi się trochę rozrywki – oznajmił Milo.

– Bylebyśmy tylko nie musieli zakładać dresów – westchnęła Petra.

## 18

Bassett Bowland mieszkał w białym trzypiętrowym bloku przy Laurel Canyon, na południe od Saticoy. Tak daleko Laurel nie jest już liściastym kanionem, lecz zmienia się w hałaśliwą i zadymioną kombinację tanich punktów usługowych i równie tanich mieszkań.

Przez mieniące się drobinki w tynku budynek wyglądał jak styropianowa lodówka. Szyld przed drzwiami informował, że można tu wynajmować mieszkania na miesiące. Dziesięcioletni brązowy camaro na parkingu w głębi odpowiadał numerami rejestracji Bowlanda. Jego kawalerka znajdowała się na najwyższym piętrze, tuż przy otwartej klatce schodowej.

Petra nacisnęła dzwonek. Jego brzęczenie było ledwie słyszalne przez

ryk samochodów.

Miała właśnie spróbować jeszcze raz, kiedy drzwi się otworzyły, ukazując postać.

– Ta? – szepnęła szafa z kończynami.

– Bassett Bowland?

– Aha.

– Detektyw Connor. To jest porucznik Sturgis i Alex Delaware. Bowland pomasował szyję i ściągnął usta. Tłuste policzki wydeły się do wielkości grejpfrutów, prawie zasłaniając mu oczy.

Różowych grejpfrutów; miał kolor skóry typu Trwałe Oparzenie Słoneczne. Tlenione włosy opadały mu na ramiona. Świńskie rysy pasowały do znacznie drobniejszego człowieka. Miał na sobie czarną koszulkę System of a Down, wytarte czerwone szorty; stopy bosc.

Nie był o wiele starszy od Kyle'a Bedarda, ale garbił się jak starzec.

– Możemy wejść?

Bowland odkaszlnął, nie usiłując nawet zasłonić ust. Jego ochryple „chyba tak” zagłuszyły samochody.

Mieszkanie było typowym dla samotnego faceta połączeniem tanich mebli i szerokoekranowego telewizora. Z wyłączoną fonią. ESPN Classic, Ramsi z LA dostawali łomot od Dallas. Już od bardzo dawna Los Angeles nie kibicowało swojej drużynie.

Bowland zerknął na wynik, ziewnął i opadł na czarną, skajową kanapę. Na niebieskim, plastikowym blacie w aneksie kuchennym stał dwulitrowy otwarty karton mleka. Z gałki naściennej szafki zwisał olbrzymi oliwkowozielony mundur. Wojskowe kieszenie, epolety.

– Chcielibyśmy porozmawiać z panem o Robercie Fisku – powiedziała



Petra.

Świńskie oczka skoczyły na boki.

– Po co?

Nawet przy zamkniętych drzwiach i wyciszonym ruchu ulicznym jego głos nie miał siły się przebić.

– Jest podejrzany o przestępstwo i prowadzimy dochodzenie.

– Gnojek. Kogo tym razem wyruchał? – Zdobył się zaledwie na zaflegmiony szept, każde słowo przychodziło mu z wysiłkiem.

– Faceta w Hollywood – wyjaśniła Petra. – Fisk walczy nie fair?

– Skurwiel – rzucił Bowland. – Pierdolony gnojek. – Pięść jak melon uderzyła w dłoń wielkości rękawicy baseballowej. Ramiona i tors Bowlanda się zatrzęsły.

– O co się pokłóciliście?

– O nic.

– O nic?

– Rzucił się na mnie.

– Niech nam pan o tym opowie.

Bowland wciągnął powietrze przez nos, wypuścił ustami.

– Pracowałem. Na bramce.

– W Grzechotniku – uściśliła Petra.

– Tak się wtedy nazywał. – Kolejna przerwa na oddech. Bowland dotknął szyi. – Ciągłe boli. Skurwiel. Powiedzcie mi, gdzie jest, to zaoszczędzę wam czasu.

Podniósł pięść. Rozbiegane oczka sprawiły, że ten gest twardziela wyszedł mu żałośnie.

– Nie dziwi mnie, że tak się pan czuje – przyznała Petra, siadając obok

niego. Bowland ściągnął wargi, przesunął językiem pod policzkiem. Jedno jego udo było rozmiarów całego jej korpusu. – A więc pracował pan w Grzechotniku, i co potem?

– Skurwiel przylazł z jakimiś innymi palantami, wszystko luz. A potem gnojowi się zaczęło wydawać, że może wejść na scenę i zatańczyć z zespołem. Mówię mu, że nie, on się uśmiecha i schodzi ze sceny, jakby wszystko było okej. – Bowland westchnął. – Odprowadzam go od sceny, a on zaczyna nawijać. Ale spoko, on wie, że ja tylko robię swoje, też to robiłem, stary. A ja sobie myślę, co robiłeś? Gościu, jesteś jak z papieru, wiecie, o co mi chodzi?

– To niewielki facet, Bassett... mogę panu mówić Bassett?

– Bass. Jak to piwo. – Bowland potarł kciukiem o palec wskazujący. – Robisz tak i gościa nie ma, pieprzony pajacyk.

– A więc współpracował z panem, udawał przyjaznego.

– Idziemy dalej, dochodzimy do baru, mówię „idź się napij, bracie, wyluzuj”, a on „ja nie piję”. Wyciąga rękę, o tak. – Wyciągnął rękę do luzackiego uścisku, dłonią do góry. – Chcę, żeby było fajnie, więc daję mu rękę, no wiecie? A on wali mnie tu. – Dotknął nadgarstka. – Jebana ręka mi drętwieje, a on mnie kopie w kolano i łapie.

– Za szyję – dodała Petra.

– Jebane imadło – powiedział Bowland. – Walę go w głowę, on mnie kopie. – Pomasował kolano. – Wybił mi kość, czy coś takiego, przewracam się, a on dalej ściska. Powiedzieli mi, że nadepnął mi na plecy, ale mały nie jestem, wiecie, nic mi nie złamał.

Charczenie go zmęczyło. Zasapał się, opadł na oparcie kanapy z taką siłą, że się przesunęła.

– Zaatakował podstępnie – rzekła Petra.

– Tylko tak mógł mnie załatwić. To cała historia. A teraz muszę się przespać.

– Ciężko pan pracuje?

Odpowiedzią było ziewnięcie.

– Co pan robi, Bass?

– W ochronie.

– Gdzie?

– W lombardzie na Van Nuys. U Irańczyków. Muszę nosić ten mundur, płacić za pranie.

– Z kim Fisk przyszedł wtedy do klubu?

– Z innymi sukinsynami. Dostanie za swoje. – Leniwy uśmiech, Bowland wycelował z dłoni jak z pistoletu.

– Współczujemy panu, Bass, ale jesteśmy z policji, więc niech pan uważa.

– Nie o to mi chodziło – zapewnił Bowland. – Bóg mu odpłaci.

– Jest pan wierzący?

Bowland sięgnął pod koszulkę i wyjął mały złoty krzyżyk.

– Każdemu odpłaci.

– Fiskowi nie odpłacił, bo nie chciał pan zeznawać.

Bowland nie odpowiedział.

– Jakby facet zrobił mi coś takiego, Bass, chciałabym, żeby poszedł siedzieć.

Bowland zmierzył wzrokiem jej smukłą sylwetkę.

– Jakby facet zrobił pani coś takiego, powinien dostać karę śmierci.

– A za pana nie?

- Umiem zadbać o siebie.
- Na pewno, ale mimo wszystko...
- Co? – oburzył się Bowland. – Mam iść do sądu poskarżyć, a wszyscy powiedzą, Bass to cipa, bez policji nie daje sobie rady?

Zamknął oczy.

– Co jeszcze może nam pan powiedzieć o Fisku? – spytała Petra.

– Nic.

– Widział go pan przed tamtym wieczorem?

– Parę razy.

– Zawsze z tymi samymi ludźmi?

– Aha.

– Pamięta pan nazwiska?

– Jedno to Rosie – odrzekł Bowland. – Drugi to Blazer.

– Rosie to facet czy dziewczyna?

– Czarny gość, czasami didżejuje.

– W Grzechotniku?

– Nie.

– To gdzie?

– Nie wiem.

– Skąd pan wie, że didżejował?

– Powiedział mi.

– Kiedy?

– Wcześniej.

– Zanim Fisk pana zaatakował.

– Aha.

– Rozmawiał pan z Rosiem.

– Staliśmy przy scenie, on mówił, że kapela jest w porządku, ale sam zrobiłby większy czad swoim didżejowaniem.

– Miał pan z nim kiedyś jakieś problemy?

Pokręcił głową.

– Zawsze spoko.

– Jak miał na nazwisko?

– Nie wiem.

– A Blazer?

– Mały gość, w nazwisku miał coś z Pain.

– Blazer Pain?\* [W wolnym tłumaczeniu „Ognisty Ból” (przyp. tłum. )]

– Coś w tym rodzaju – powiedział Bowland.

– Biały czy czarny?

– Biały. Wydaje mu się, że jest gościem.

– Wciskał się do sali dla VIP-ów?

– Nie było takich w Grzechotniku. Skurwiel po prostu robił z siebie durnia.

– Jak to durnia?

– Zgrywał nie wiadomo kogo.

– Blazer Pain – powtórzyła Petra.

– Coś w tym rodzaju.

– Robert Fisk regularnie z nimi przychodził?

– Chyba tak.

– Nie wie pan?

– Zawsze był tłok.

– Stał pan pod drzwiami, widział pan, kto wchodzi.

Bowland pokręcił głową.

– Czasami stałem pod sceną.

– Tego wieczoru, kiedy Fisk pana zaatakował, gdzie pan stał?

– Pod sceną.

– A więc nie wie pan, czy Fisk przyszedł z Rosiem i Blazerem.

– Widziałem ich w środku. Rosie był z Blazerem, a potem Blazer poszedł i Rosie został pod sceną. Fisk pilnował Blazera, potem wrócił i powiedział, że zatańczy.

– Jak to pilnował Blazera?

– Stał blisko tego skurczybyka, rozglądał się, o tak. – Zmrużył oczy, pokiwał głową.

– Fisk był ochroniarzem Blazera?

Wzruszenie ramion.

– Blazer potrzebuje ochroniarza?

– Może tak mu się zdaje.

– Zna pan jakiś powód, dla którego potrzebowałby ochroniarza?

– Jego spytajcie.

– Chodziło mi o to – wyjaśniła Petra – czy prowadzi jakąś nielegalną działalność.

– Jego spytajcie.

– Gdzie możemy go znaleźć?

Bowland się zaśmiał.

– Może w filmowym mieście. – Ziewnięcie. – Spać mi się chce.

– Dlaczego jest pan taki zmęczony? – spytała Petra. – Nie słyszałam jeszcze o lombardach z nocną zmianą.

– Muszę tam być o ósmej rano.

– Do której? – Do pierwszej.

– Praca na pół etatu – powiedziała Petra.

– Ale męczy jak cały. Stoję tam i gapię się na te idiotyzmy, które ci Irańczycy kupują. Petra wstała.

– Bass, czy to, że nie chciał pan wyjść na mięczaka, to był jedyny powód, dla którego pan nie zeznawał?

– Aha.

– I żadnego innego?

– Niby jakiego?

– Nikt panu nie zapłacił, żeby się pan w to nie mieszał?

– Jakby mi ktoś zapłacił, myślicie, że stałbym i patrzył na te idiotyzmy, które ci Irańczycy kupują?

Położył się na plecach, złożył dłonie na brzuchu i wbił wzrok w sufit. Kiedy byliśmy przy drzwiach, udawał już, że chrapie. Głośno, teatralnie. O wiele głośniej, niż był w stanie mówić.

Stanęliśmy przy hondzie accord Petry.

– Rosie i Blazer Pain – odezwała się. – Może ci z gangów będą ich mieli na liście ksywek.

– Rosie to didżej – przypomniałem. – Robertowi Fiskowi wydaje się, że jest tancerzem, a Blazer ma wizje sławy. „Pain” to może być jego sceniczny pseudonim.

– Albo ksywka sadomaso.

– Scena klubowa – rzekł Milo. – Wiecie, jak to jest. Może Jordan to jeszcze jeden odstrzelony za prochy.

– Siłownie, teraz kluby – westchnęła Petra. – Świetnie. Jedyne miejsce,

do którego nie muszę chodzić, to Grzechotnik. Sprawdziłam, zamknęli go trzy miesiące po napaści Fiska na Bowlanda. Większość takich nor długo się nie utrzymuje. Nie będzie łatwo.

– Kilka takich lokali jest na Cherokee – powiedziałem – przy samej ulicy. W odległości pieszego spaceru od mieszkania Jordana.

– Czyli Jordan mógłby tam przyjść i coś sprzedać albo kupić – powiedziała Petra. – Problem w tym, że znam te lokale. El Bandito i Baila Baila. Grają tam reggaeton, przychodzą Latynosi, białego ani czarnego nie wpuściliby do środka. – Spojrzała na zegarek. – Mam jeszcze trochę czasu, zanim nocne kreatury wypełzną, może zjem kolację z Erikiem. Co teraz robicie, chłopaki?

– Nic skomplikowanego – odparł Milo. – Musimy odebrać broń. – Tę niby od Lelanda Armbrustera. Wciąż próbuję zlokalizować kule, które z niego wyciągnęli. Koroner twierdzi, że je ma, ale tyle lat minęło, wiecie, jak to jest.

– Nie było łusek?

– Nie, albo ktoś je pozbiierał, albo to był rewolwer.

– Patty miała pistolet – wyjaśniłem.

– Czy Patty była kimś, kto by pozbiierał łuski?

Kiwnąłem głową.

– W takim razie – powiedziała Petra – to pewnie nic takiego, dwudziestekdwójek jest na kopy. Na razie poszukam Roberta Fiska.

Skrzyżowała palce.

– Wszystkim nam przydałoby się trochę szczęścia – zauważył Milo.



O szóstej piętnaście zatrzymaliśmy się przed domem Tanyi. Do zmroku pozostała jeszcze godzina, ale lampy na zewnątrz już się paliły, a w oknach zaciągnięto zasłony.

Judasz w drzwiach był zasłonięty klapką, która uchyliła się, nim zapukałem. Przyjrzało mi się jasnozielone oko.

– Sekundkę.

Usłyszałem szcęk odsuwanej zapadki, potem drugiej.

Tanya miała na sobie różową, zapinaną bluzkę i spódnicę khaki, w rękę trzymała talerzyk ciastek. Wielkie okazy rodem z obrazów Dalego, ociekające czekoladą.

– Właśnie wyjęłam je z piekarnika.

Milo wziął jedno, pożarł w dwóch kęsach.

– Podoba mi się twój styl.

– Może kawy?

Kiedy jej nie było, poczęstował się jeszcze jednym ciastkiem.

– Udaje dorosłą i ma przez to wrażenie, że panuje nad sytuacją. Jem to tylko po to, żeby dodać jej otuchy.

– Od samego początku tak podejrzewałem.

Milo obszedł salon, rozsunał zasłony, wyjrzał na ulicę, rozejrzał się.

– Przestronnie tu.

Jak dla małej dziewczynki.

Puścił zasłony, podszedł do stolika i obejrzał zdjęcie Patty.

Tanya wróciła z kubkiem kawy i drewnianym pudełkiem.

– Proszę.

Milo wytarł ręce i wziął pudełko. Wnętrze było wyłożone czarną pianką z wyprofilowanym wgłębieniem, w którym leżał niewielki, oksydowany pistolet. Milo wyjął magazynek. Pusty. Wrzucił go do foliowej torebki i powąchał broń.

– Naoliwiona. Ktoś jej niedawno używał?

– Mama dbała o wszystko, co miała, ale nie widziałam go od lat.

Milo zamknął pudełko, wsadził pod pachę, sięgnął po jeszcze jedno ciastko.

– Naprawdę nie próbujecie dopasować go do jakiegoś konkretnego przestępstwa? – spytała Tanya.

Milo popatrzył na mnie.

– W aktach znaleźliśmy nierozwiązaną sprawę morderstwa – powiedziałem. – Jeszcze jeden narkoman, który znał Lestera Jordana. Został zastrzelony parę przecznic od waszego mieszkania na Cherokee z dwudziestkidwójki, kiedy tam mieszkaliście. Nie ma absolutnie żadnego powodu uważać, że twoja mama miała z tym coś wspólnego. Bardziej prawdopodobne, że ten mężczyzna i Jordan byli zamieszani w narkotykową wojnę. Sprawdzimy to jednak, żebyś mogła spać spokojnie.

– Spać spokojnie? To jest... mój Boże, to nienormalne!

– Nie muszę sprawdzać, jeśli nie chcesz – zapewnił Milo.

– Nie – powiedziała. – Sprawdźcie, chcę wiedzieć. Proszę.

– Skoro już tu jesteśmy, czy mówi ci coś nazwisko Robert Fisk?

– Nie. Kto to?

– Nieprzyjemny ktoś, kogo odcisk dłoni znaleziono na parapecie Lestera Jordana.

- Złapaliście go? – spytała Tanya.
- Nie, szukamy. Poszłoby szybciej, gdybyśmy go zidentyfikowali.
- Robert Fisk – powtórzyła. – Zabił jeszcze kogoś?
- Nic nam o tym nie wiadomo.
- Jest szansa, że go złapiecie?
- Na pewno go złapiemy.

Odwróciła się.

– Cały ten pomysł, że twoja matka zrobiła coś strasznego, musi być bardzo stresujący – zauważył Milo. – Jestem pewien, że nic z tego nie wyniknie.

Ominęła go wzrokiem, zapatrzyła się na płytki kominka.

– Tanyu – zwrócił się do niej – to, że w ogóle do nas z tym przyszłaś, było bardzo odważne. Ale tak jak powiedziałem, jeśli nie chcesz tego ciągnąć, nie ma problemu.

– Nie zdenerwowałby się pan?

– Ani trochę. Oficjalnie jestem na urlopie. Jedno słowo, a wkładam hawajską koszulę.

Uśmiechnęła się słabo.

– Morderstwo Lestera Jordana będzie poprowadzone przez Hollywood Dhdson, ale wszystko, co dotyczy twojej matki, było i dalej pozostanie nieoficjalne.

Cisza.

– Jak chcesz, Tanyu.

– Nie wiem, czego... – Odwróciła się do nas. – Przepraszam, myślałam, że poradzę sobie ze wszystkim, co się może okazać, ale teraz, kiedy ktoś... dwie osoby... zostały zabite...

– To przykra rzeczywistość, ale nie ma powodu łączyć tego z twoją matką.

W jej oczach wezbrały łzy. Milo podał jej chusteczkę, zerknął na ciastka.

– A jeśli coś się naprawdę stało? – spytała.

– Wszystko, co słyszałem o twojej matce, mówi mi, że była wspaniałą kobietą. Prawdopodobieństwo, że zrobiła coś choćby minimalnie przestępczego, jest choler... jest bardzo małe.

Tanya otarła łzę, stuknęła o siebie wierzchem dłoni, opuściła ręce.

– Kiedy mi powiedziała, wyczułam, że pragnęła mnie chronić. Chciałabym tylko wiedzieć przed czym.

– Całkiem możliwe, że przed niczym, była chora – rzekł Milo.

Cisza.

– Teraz my będziemy cię chronić.

Spuściła głowę.

– Tanya? – odezwałem się.

– Wyobrażałam sobie, że jestem samodzielna... Przepraszam, dziękuję wam. Bardzo wam dziękuję. Pan też chciałby ciastko?

– Pewnie.

Podawała tackę najpierw mnie, potem Milowi. Zaczął odmawiać, zmienił zdanie. Trzecie ciastko pochłonął jednym kęsem.

– Jeszcze jedno? – spytała Tanya.

– Nie, ale są pyszne. Mogę zadać ci pytanie o Kyle'a?

Odstawiła tackę.

– Jakie?

– Czy znów z nim rozmawiałaś, a jeśli tak, czy mówił coś o swoim

wujku?

– Rozmawialiśmy bardzo krótko. Ja miałam zajęcia, a on spotkanie ze swoim promotorem. Powiedział mi, że nie może szczerze opłakiwać wuja, bo ledwie go znał. Podejrzywał, że jego matka może to ciężko przeżyć, bo poza Jordanem nie miała rodzeństwa, ale nie był pewien, bo nigdy o nim nie mówiła. Rozmawialiśmy jeszcze trochę o tym, o rodzeństwie, a potem musiałam iść.

– Jeszcze trochę? – spytałem.

– O tym rozmawialiśmy na pierwszym lunchu. Kyle jest jedynakiem, tak jak ja. Pewne aspekty jedynactwa obojgu nam się podobały, inne nie. Dla mnie najgorsze było to, że nie miałam się z kim bawić. Kyle uważa, że grozi mu samolubstwo, więc stara się być altruistą... Karmi bezdomnych, co roku oddaje część dochodów z funduszu na cele charytatywne.

– Miły gość – przyznał Milo, pogryzając czwarte ciastko. – Świetne są.

– Zwykle, z proszku.

– Hej – powiedział – zgarniaj wszystkie pochwały i żadnych zarzutów.

Uśmiechnęła się ze znużeniem.

– Dajesz sobie radę sama?

– Daję – odparła, wzrokiem szukając u mnie wsparcia.

– Tanya umie prosić o pomoc, kiedy jej potrzebuje – zapewniłem.

– Bardzo mądrze – pochwalił Milo. – Ale jeśli potrzebujesz pomocy, wystarczy powiedzieć.

– Dziękuję, panie poruczniku. – Przy drzwiach: – Dobry z pana człowiek, poruczniku Sturgis.

Spod kołnierza Mila wypełził rumieniec.

– Mogę dalej rozmawiać z Kyle'em? – spytała Tanya.

– Chyba że da ci jakiś powód, żeby z nim nie rozmawiać – odparł Milo.

– Na przykład jaki?

– Zrobi się dziwny. Zaprosił cię na randkę?

– Nie, nic takiego. Naprawdę pan myśli, że szybko znajdziecie tego Fiska?

– Wszyscy go szukają. Skoro o tym mowa, mamy jeszcze dwa inne nazwiska: Rosie i Blazer Pain.

– Kim są?

– Dwaj faceci, z którymi Fisk się zadawał.

– Blazer Pain? To brzmi raczej jak nazwa zespołu.

– Robert Fisk uważa się za tancerza – powiedziałem – a jego kolega Rosie didżejuje, więc może łączy ich jakoś muzyka.

– Tancerza? – spytała. – Ale kogoś zabił? – Zadrżała. – Kiedy człowiek zrobi coś takiego, jak może potem ze sobą żyć?

Milo sięgnął do klamki.

– Wyobrażam sobie, że musi być ciężko.

Schował skrzynkę z pistoletem do bagażnika seville'a, opadł na fotel pasażera.

– Porzucić całą tę sprawę z Patty to jak wepchnąć pastę do zębów z powrotem do tubki. Jakie jest oficjalne stanowisko psychologów w sprawie nieprawdy i perfidii?

– Gliniarzom wolno kłamać.

– To się nazywa odpowiedź wprost.

– Nie ma sensu jej niepokoić, jaki tu wybór – powiedziałem. – Przekonałeś sam siebie, że śmierć Jordana ma związek z Patty?

– Nie, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej się ku temu skłaniam. Jak nam się zgodzi ta broń, trudniej będzie tę małą kiwać. Chociaż chyba nie musi o niczym wiedzieć, dopóki nie odkryjemy czegoś, co by jej zagrażało.

– Spróbuj to przed nią ukryć – powiedziałem. – A czego nie powiemy my, może zdradzić Kyle.

– Dokarmia bezdomnych... myślisz, że to był podryw?

– Nie wiem.

– Tanya się w nim podkochuje, prawda? Bądź tu mądry.

– Nie podoba ci się to?

– To fleja, do tego oferma, nie? A z niej ładna dziewczyna.

Ruszyłem.

Dwie przecznice później:

– Stary Kyle lepiej niech będzie taki porządny, jak twierdzi.

– Kiedy zamierzasz pozwolić jej wracać po dziesiątej i robić makijaż? – spytałem.

Popatrzył na mnie ze złością.

– Naprawdę potrafisz trzymać taki dystans?

– Jakaś część mnie chciałaby zabrać ją do domu i kazać Robin jej matkować.

– A inna?

– Inna przypomina mi o wartościach granic.

– Fajnie musi być je mieć. – Skrzyżował ręce na brzuchu. – To mieszkanie jest ładne, ale jakieś takie nienormalne, jakby dziecko bawiło się w dom. W jej wieku mieszkałem w akademiku. Psychologicznie byłem w totalnej rozsypce, ale przynajmniej nie huczała mi w uszach taka cisza.

Chcesz powiedzieć, że ona naprawdę może dać sobie radę w pojedynkę?

– Mam na nią oko.

– Pogadam jeszcze raz z Kyle'em. Żeby wiedział.

– O czym?

– Że jestem zainteresowany.

Robin była w salonie, zwinięta na kanapie, przeglądała *Gitarę akustyczną* Gruhna i Cartera.

Usiadłem i pocałowałem ją.

– Masz jakieś nowe pomysły?

Odłożyła książkę.

– Podziwiam to, jak te stare świetnie się sprawdzają. Ja miałam dobry dzień, a ty?

Streściłem jej wydarzenia.

– Blazer Pain – powiedziała. – Jesteś pewien, że to nie był Blaise De Paine\*? [Fonetycznie brzmi to jak *Bless the Pain*, czyli „Niech będzie błogosławiony ból” (przyp. tłum. )]

Przeliterowała.

– Znasz go?

– Słyszałam to nazwisko na sesjach nagraniowych, i to w niezbyt sympatycznym kontekście. To sampler, wycina cyfrowo fragmenty nagrań innych ludzi i skleja z nich klubowe remiksy. Najpierw muzycy musieli się szarpać z syntezatorami, a teraz z tym.

– Technozłodziejstwo.

– Ale niełatwe do wykrycia. Samplerzy używają króciutkich fragmentów, które trudno rozpoznać. Nawet jeśli uda się taki urywek



zidentyfikować, to kto powiedział, że można sobie przypisać prawo własności sekwencji dźwięków? I jak podejść do kwestii honorariów za prawa autorskie? Goście tacy jak De Paine panoszą się wszędzie, ale nikt ich nie ściga, bo to drobne kręctwo w porównaniu z poważnymi piratami.

– Może sprzedaje też inne rzeczy – powiedziałem. – Słyszałaś coś o narkotykach?

– Nie, ale nie byłabym zdziwiona. Cała scena klubowa szaleje za X, oksykodonem, hit tygodnia.

– Może hit retro. Lester Jordan był ćpunem tradycyjnym.

– Nie nazwałabym heroiny narkotykiem retro. Nigdy do końca nie wyszła z mody.

– Blaise De Paine – powtórzyłem. – Niemożliwe, żeby tak miał w metryce.

– Założę się, że nie, mój drogi. Mam popytać?

– Byłoby miło.

Wstała.

– Niekoniecznie teraz – dodałem.

– Co masz zrobić jutro, zrób dziś. – Zmierzwiała włosy, podniosła pięść.

– Popatrz tylko na mnie, dziewczyna detektyw.

„Blaise De Paine” wyskoczył w sieci dwadzieścia osiem razy, z czego dwadzieścia pięć to były narzekania na czacie [BitterMusician.com](http://BitterMusician.com).

Pozostałe trzy razy nazwisko De Paine’a pojawiło się na listach gości różnych imprez.

Dwa otwarcia klubów i premiera niezależnego filmu, o którym nigdy nie

słyszałem.

Narzekający muzycy umieszczali De Paine'a w „pospolitej szajce cyfrowych złodziei”, ale nie wymieniali go indywidualnie.

Szukanie w grafice zaowocowało czterema rozmazanymi zdjęciami szczupłego, młodego mężczyzny o nastroszonych, czarnych włosach z tlenionymi końcówkami i wielkich zębach, odwracających uwagę od pospolitej twarzy. Na każdym zdjęciu Blaise De Paine miał na sobie długi, dopasowany płaszcz, gołą pierś i złotą biżuterię. Chyba malował oczy. Na zdjęciach grupowych widać było młode, ładne twarze.

Nigdzie ani śladu skrzywionego Roberta Fiska ani żadnych czarnych mężczyzn. Zestawienie „Robert Fisk” i „Rosie” z De Paine'em nic nie dało.

Zdjęcia wciąż widniały na ekranie, kiedy do gabinetu weszła Robin.

– To on? Wygląda młodo, ale to by się zgadzało, siedzą w tym głównie dzieciaki. Podzwoniłam trochę i wychodzi na to, że remiksy De Paine'a to drobne wybryki, prawdopodobnie nie jedyne jego źródło dochodu, bo od jakiegoś czasu nie widziano go w żadnym klubie, a ktoś zdaje się słyszał, że De Paine ma drogi dom na wzgórzach, nad Strip. Możliwe, że jego druga działalność to prochy.

– Ubiera się ekstrawagancko, więc lubi przyciągać uwagę. Ciekawe, dlaczego nie ma strony internetowej.

– To dziwne. Wszyscy mają.

– Ty nie masz.

– Cenię sobie prywatność, a moi klienci wiedzą, jak mnie znaleźć.

– Otóż to – przytaknałem.

– Aha. To grzebanie robi się interesujące, prawda?

Następnego ranka zapoznałem Blanche z lekką smyczą. Dwadzieścia minut wysiłku w zupełności jej wystarczyło: kiedy niosłem ją z powrotem do domu, wsadziła mi łebek pod brodę.

Telefon zadzwonił, kiedy nalewałem jej wody do miski.

– Zła wiadomość – powiedział Milo – to taka, że nie ma śladu Roberta Fiska, druga zła to taka, że nikt w żadnym wydziale nie słyszał o Blazerze Painie ani o Rosiem.

– Dlatego że to Blaise De Paine. – Podałem mu szczegóły.

– Muzyczny złodziejaszek, przekażę to Petrze. Ostatnia zła wiadomość to taka, że magazyn wciąż nie może znaleźć kul z Lelanda Armbrustera. Z teoretycznie pozytywnych rzeczy, Iona Bedard, matka Kyle’a, przyjechała do miasta, żeby porozmawiać z Petrą o braciszku Lesterze. Zatrzymała się w Beverly Hiltonie, jesteście zaproszeni na rozmowę na dziesiątą rano. Jeśli jesteś zainteresowany, czekaj na mnie przed wejściem za pięć. Ubierz się ładnie. Świadomość klasowa i tak dalej.

Westybul Beverly Hilton był jasnym, przestronnym amalgamatem oryginalnej konstrukcji z lat pięćdziesiątych i postmodernistycznej rozbudowy w ziemistych kolorach.

Turyści czekali w kolejce do recepcji. Bystroocy dyrektorzy i ich spłoszeni poddani z identyfikatorami „Cześć, jestem...” spieszyli na spotkania. Milo siedział z boku na czekoladowo-brązowej kanapie zaprojektowanej dla ludzi szczupłych, pił kawę i obserwował gości

hotelowych z podejrzliwością, która go nigdy nie opuszcza.

„Ładne ubranie” było szerokim w ramionach garniturem o ton jaśniejszym niż kanapa, uszytym z jakiegoś cudownego materiału o szorstkim splocie przypominającym sprasowane otręby. Koszulę miał żółtą, krawat opalizujące niebieski. Nie włożył pustynnych butów, tylko lśniące brązowe mokasyny, których wcześniej u niego nie widziałem.

– Nieźle wyglansowane – zauważyłem.

– Mają więcej lat niż Tanya. Nie mogę ich już nosić. Haluksy.

Pomasował bolące miejsce.

– A jednak... – powiedziałem.

– By chronić, służyć i cierpieć. Urodziłeś się katolikiem, umrzesz...

– Cześć, chłopaki.

Petra Connor szła w naszą stronę w brązowym kostiumie o jeden odcień ciemniejszym niż kanapa, niosąc dużą beżową torebkę.

– O rany – zawołała na widok Mila. – Jak bliźniaki.

– Z wyjątkiem doktora Nonkonformisty – powiedział Milo.

Petra dotknęła rękawa mojej szarej, flanelowej marynarki.

– Dzięki za uratowanie nas od kompromitacji, Alex. Dzięki też za informacje o Blaise De Painie, ale nie możemy znaleźć tego domu na wzgórzach, nie ma też samochodu zarejestrowanego na to nazwisko. Nie jestem pewna, czy chcę poświęcać mu dużo czasu, kluczem jest Robert Fisk. Autopsja Lestera Jordana jest wyznaczona za trzy dni, ale przyszły wstępne wyniki. Duże nagromadzenie opiatów i alkohol w ilości trzech koktajli to żadna niespodzianka, znaleźliśmy w jego lodówce prawie pustą butelkę dzinu. I to najdłuższa przemowa, jaką wygłosiłam od dłuższego czasu.

W windzie towarzyszyła nam oszołomiona rodzina Szwedów. Apartament Iony Bedard znajdował się na południowym końcu korytarza na piątym piętrze. Czarnowłosa kobieta otworzyła drzwi, powiedziała: „W samą porę”, odwróciła się do nas plecami i pomaszerowała do fotela. Oparłszy stopy na otomanie, wzięła z popielniczki zapalonego papierosa.

Salon był jasny, przestronny i zimny, z szarym widokiem na Century City. Urządzony w takich samych odcieniach jak westybul, od ecru do czarnej ziemi.

– Teraz będę niewidzialna – mruknęła Petra i zamknęła drzwi. Staliśmy, a Iona Bedard paliła i patrzyła w niebo koloru kredy. Na stoliku rozrzucono pisma o modzie i błyszczące miesięczniki reklamujące kosztowne zabawki. Na ich stosie leżała lśniąca platynowa zapalniczka. Na tacce u stóp Iony Bedard stał dzbanek wody z lodem i pusta szklanka. Nie poproszono nas, żebyśmy usiedli, więc staliśmy.

– Dziękujemy, że zechciała się pani z nami spotkać – powiedziała Petra.

Bedard zaciągnęła się dymem i wypuściła go nosem. Pięćdziesiąt parę łąt, wysoka i długonoga, miała szeroko rozstawione, ciemne, mocno podmalowane oczy pasujące do wysokiej, mahoniowej fryzury. Czarno-różowa marynarka w pepitkę i szare džinsy, skrojone do jej kościstej figury, świadczyły o błędnych wyobrażeniach na własny temat. Jej skóra sławiła nikotynę i słońce. Wyjątkiem było płaskie, lśniące czoło. To i dziwny, paralityczny tik krawędzi oczu zdradzały zastosowanie botoksu.

– Zamierzam wam pomóc – oświadczyła. – Jeśli chcecie rozwiązać morderstwo Jordana, przyjrzyjcie się dobrze mojemu byłemu mężowi.

Macie coś do pisania?

Petra wyjęła notes.

– Myron. Grant. Bedard – podyktowała Iona Bedard. – Pięćdziesiąt siedem lat, metr osiemdziesiąt dwa, sto osiem kilo, chociaż kłamie i mówi, że waży mniej. Jego adresy, proszę zapisywać: Park Avenue 752 mieszkania 13A, 10021 Nowy Jork, Crookback Ranch, Aspen Valley, 81611 Kolorado, i apartament w Londynie, który on nazywa mieszkaniem, bo jest pretensjonalny. Ninę Carlos Place, Mayfair, W1, nie pamiętam tego kretyńskiego angielskiego kodu pocztowego, ale nie powinno być trudno go znaleźć. Zapisała pani wszystko?

– Tak, proszę pani – odrzekła Petra. – Dlaczego powinniśmy szukać pana Bedarda?

– Bo zawsze nienawidził Lestera.

– Konflikt osobowości?

– Bezpodstawna nienawiść – powiedziała Bedard, jakby tłumaczyła coś idiotcie. – Lester nie był najsilniejszym człowiekiem. Myron nie toleruje słabości.

Petra coś zapisała.

– Czy mogłaby pani podać jakiś konkretniejszy motyw morderstwa?

– Nienawiść nie wystarczy?

– Czy pan Bedard i pan Jordan mieli w ostatnim czasie jakiś konflikt?

– Nie zdziwiłabym się.

– Ale nie zna pani żadnych konkretnych...

– Próbuję ci pomóc, moja droga. Gdybym wiedziała coś więcej, powiedziałabym ci.

– Gdzie przebywa obecnie pan Bedard?

– Nie mam pojęcia.

– Pani syn mówił, że jest w Europie – zauważył Milo.

– Jeśli tak powiedział Kyle, to na pewno była prawda. W chwili, kiedy to mówił.

– To znaczy?

– Myron podróżuje. Wystarczy znaleźć gromadkę dziwek, a on nie będzie daleko.

– Przemieszcza się między miejscami zamieszkania? – spytała Petra. – I ośrodkami wypoczynkowymi, i wynajętymi jachtami, i prywatnymi odrzutowcami, i wszystkim, na co akurat ma kaprys.

– Do kogo należy dom przy Hudson Avenue?

Iona Bedard zmrużyła oczy. Jej cień do powiek miał kolor dymu, był błyszczący. Spojrzała na Mila, potem na mnie, jakby Petra nadużyła jej gościnności.

– Ta potworność również należy do Myrona. – Znow do Petry: – Nie wspomniałam o tym, bo zakładałam, że sami wiecie. I dlatego że nigdy go tam nie znajdziecie. Nienawidzi Los Angeles. Uważa się za światowca, podróżnika.

– Mieszka tam ktoś oprócz Kyle'a?

– Kyle wolałby mniejsze mieszkanie, stosowne dla kogoś w jego wieku. Myron nie chce za nie zapłacić.

– Nie jest hojnym człowiekiem.

– Kiedy chodzi o jego własne potrzeby, bywa wprost rozrzutny. – Chce pani powiedzieć, że pan Bedard zamordował pana Jordana i poleciał do Europy?

Westchnienie Bedard było długie, teatralne i pełne znużenia.

– Ludzie tacy jak Myron nie załatwiają niczego własnymi rękami.  
– A więc mówimy o zleconym zabójstwie.  
– Podrzucam ci tylko myśl, moja droga. Połącz kropki.  
– Domyśla się pani, kogo pan Bedard wynająłby do czegoś takiego?  
– Nie zadaję się z takimi ludźmi.  
– Motywem pana Bedarda byłaby niechęć.  
– Myron nienawidził Lestera. Przez całe nasze małżeństwo był dla niego problemem.

– W jaki sposób?

– Myrona gryzło to, że pomagałam bratu. Czy ja prosiłam o wiele? Skromne mieszkanie dla członka rodziny, którego dotknęło więcej nieszczęść, niż zasłużył.

– Mieszkanie na Cherokee – powiedział Milo. – Lester mieszkał tam za darmo?

Iona machnęła papierosem.

– Jedno małe mieszkanie w dwudziestomieszkaniowym budynku. A afera, jakby chciał wynajmować Taj Mahal!

– Pan Bedard się sprzeciwiał, ale w końcu uległ.

– Myron w życiu nie zarobił ani grosza. Jaki miał powód się sprzeciwiać? A Lester zarabiał na swoje utrzymanie. Był administratorem budynku.

– Pan Bedard odziedziczył swoją fortunę – powiedziała Petra.

– Mojej rodziny w żadnym razie nie można nazwać klasą średnią, ale znamy wartość pracy. Mój ojciec był naczelnym doradcą finansowym w Merrill Lynch, a matka światową pięknoscią i utalentowaną malarką, która nigdy nie wychodziła na słońce bez parasola. Kultura odegrała



nieślychanie wielką rolę w moim wychowaniu.

Nie miała powodu się uśmiechać, ale to zrobiła. Grymas uruchomił siatkę zmarszczek w losowych miejscach jej twarzy, jakby cała głowa była przymocowana do niewidocznych sznurków, pociąganych przez ukrytego lalkarza.

– Rodzina Myrona miała środki, by inwestować w kulturę, ale brakło im motywacji. Większość przedmiotów wysokiej jakości w domu teścia kupiono za moją namową. Skończyłam historię sztuki w Weldon College. Muszę starcowi przyznać jedno, był skłonny słuchać. Najwyraźniej to nie jest cecha genetyczna.

– Wszystko, co zechce pani opowiedzieć o przeszłości pana Jordana, może nam pomóc – powiedziała Petra.

– Co to znaczy „o przeszłości”?

– Kim był, jakich miał przyjaciół, czym się interesował. Kiedy zetknął się z narkotykami.

Iona Bedard poprawiła w dłoni różowego papierosa, zapatrzyła się na dym, unoszący się krętą wstążką pod sufit. Podniosła szklanę, zerknęła na dzbanek.

Milo nalał jej wody. Napiła się, zdusiła papierosa, wyjęła nowego. Zerknęła na platynową zapalniczkę.

Milo przypalił jej papierosa.

– Istota Lestera to coś więcej niż jego choroba – powiedziała trzy zaciągnięcia później.

– Jestem pewna – odparła Petra. – Ale mimo to ułatwiłoby nam, gdybyśmy wiedzieli...

– Jego przeszłość jest taka, że był doskonale normalnym młodym

człowiekiem, którego spotkało nieszczęście dorastania w rodzinie, w której normalność nie wystarczała. Moim ojcem był Bertram Seemans.

Zrobiła pauzę, żebyśmy skojarzyli.

– Starszy partner w głównym biurze Merrilla w San Francisco – wyjaśniła. – Matka pochodziła z Doughertych. Bez niej Pałac Sztuk Pięknych byłby niczym. Lester był starszy ode mnie. Nie uczył się tak dobrze jak ja, ale miał talent do muzyki. Jedno czego chciał, to grać, ale moi rodzice tego nienawidzili. Chcieli dobrze, ale Lester źle znosił ich dezaprobatę.

– Na jakim instrumencie grał? – spytała Petra.

– Na klarncie, saksofonie, oboju. Próbował też swoich sił na trąbce.

– W jego mieszkaniu nie znaleźliśmy żadnych instrumentów.

– Lester nie grał od lat. Jego marzenia zostały zmiażdżone.

– Przez państwa rodziców?

– Przez życie – powiedziała Iona Bedard. – Ktoś o mocniejszym charakterze może by wytrwał, ale Lester miał wrażliwą i artystyczną duszę, a artystom często brak charakteru.

Przypomniałem sobie opryskliwe zachowanie Jordana. Może prochy i upływ czasu go zmieniły. A może jego siostra miała złudzenia.

– Lester po raz ostatni spróbował sprzeciwić się ojcu – ciągnęła. – Rzucił studia i dołączył do wędrownego zespołu jazzowego. Wtedy nabrał złych nawyków.

– Heroina – dorzuciła Petra.

Bedard popatrzyła na nią ze złością.

– Przypominanie mi o tym chyba sprawia pani przyjemność.

– Staram się tylko złożyć jasny obraz faktów, pani Bedard. Do jakiego

college'u uczęszczał pan Jordan?

– Stanowego San Francisco. Podczas rozruchów. Azjata w kapeluszu!

– Słucham? – zdziwiła się Petra.

Bedard odwróciła się do nas.

– Panowie jesteście z tych czasów, oświećcie ją.

– Rektorem Stanowego S. F. był w latach sześćdziesiątych Samuel Hayakawa – wyjaśniłem. – To był bardzo rozpolitykowany campus.

– Lester nie brał udziału w tych bzdurach – oznajmiła Iona Bedard. – Nie został też hipisem. Wręcz przeciwnie, nie przepadał za polityką.

– Chciał tylko grać – powiedziała Petra.

– Był porządnym młodym człowiekiem, który wpadł w złe towarzystwo. – Postawiła szklanekę na stosie pism i machnęła ręką. – I tyle.

– Z kim przyjaźnił się w ostatnim czasie? – spytała Petra.

– Nie wiem.

– Obecnie pani jest właścicielką budynku na Cherokee.

– To ochłap rzucony mi przez adwokatów Myrona. Rzadko tam bywam. Wszystko dostałam oprócz jakichś mizernych akcji i domu w Atherton, który to ja chciałam kupić i który ja urządziłam od zera.

– Kyle wspominał o domu w Deer Valley – odezwałem się.

– To mój dom – odparła. – To ja jeżdżę na nartach, Myron nie radzi sobie nawet na oślej łączce, po co mu to? Kiedy będę mogła zabrać Lestera stamtąd, gdzie go trzymacie?

– Podam pani wszystkie szczegóły, proszę pani – rzekła Petra – ale najpierw jeszcze kilka pytań. Nie wie pani nic o nikim, z kim pani brat Jordan spotykał się w ostatnim czasie?

– Czyn ja naprawdę muszę się powtarzać? – Bedard zaciągnęła się

dymem, zakaszłała, zakryła usta dłonią już po fakcie.

– Jako właścicielka...

– Jestem właścicielką tylko na piśmie, młoda damo. Co miesiąc przychodzą do mnie czeki, które sprawdzam bardzo dokładnie, czy firma administrująca nie kradnie więcej niż zwykle.

– Jak się nazywa ta firma?

– Defraudacja sp. z o. o. – Bedard zaśmiała się z własnego dowcipu. – Brass Management. Arthur I. Brass. Żyd. Kiedy chodzi o pieniądze, dobrze ich mieć po swojej stronie. A teraz, jeśli mi państwo wyba...

– Czy Lester próbował kiedyś rzucić nałóg?

– Kilka razy.

– Jak?

– Zapisując się na tak zwane programy odwykowe.

– Kto to finansował?

– Ja. Kolejny problem dla Myrona. Dla niego Lester mógł sobie zgnić.

– Kilka lat temu, proszę pani, w budynku na Cherokee mieszkała pielęgniarka...

– Ta lesbijka – powiedziała Iona Bedard. – Patricia coś tam.

– Patricia Bigelow.

– Właśnie.

– Wie pani, że była lesbijką.

– Na pewno wyglądała na lesbijkę. Strzygła się jak mężczyzna. Nie żebym miała wobec niej jakieś uprzedzenia. Muszę przyznać, że wykonywała swoje obowiązki wyśmienicie.

– Na czym polegały te obowiązki?

– Miała się opiekować Lesterem. To był mój pomysł. Tego dnia, kiedy

Myron pokazywał jej mieszkanie, odwiedzałam Lestera i wpadłam na świetny pomysł.

– Pan Myron osobiście pokazywał mieszkania?

– Wtedy tak. Na polecenie ojca, choć bronił się przed tym rękami i nogami. Kiedy teść dostał wylewu, Myron wynajął firmę administrującą. Nie Brassa, jakichś Ormian, którzy bezczelnie go okradli.

– Ale tamtego dnia, kiedy panna Bigelow oglądała mieszkanie...

– Myron i ja właśnie skończyliśmy partię golfa w Wilshire. Chciałam zjeść lekki lunch, ale Myron powiedział, że musi pokazać mieszkanie przy Cherokee. Dodał, że mogę przy okazji odwiedzić Lestera. Przyjechała Patricia. Po wszystkim mój mąż powiedział, że nie jest pewien, czy jej wynajmie, była w mieście nowa, nie miała żadnych referencji kredytowych ani gotówki. To nie znaczy, że wybierał tylko przykładnych najemców. Ale mieli gotówkę, której sporo chował do kieszeni, nie mówiąc ojcu. Z drugiej strony, powiedział, te mieszkania od frontu na parterze trudniej wynająć. A ona była pielęgniarką, czyli powinna mieć stałe dochody. Zaczął się wahać. To cały Myron, nigdy nie umiał podjąć decyzji, chyba że chodziło o jego osobistą wygodę. Zasugerowałam, że pielęgniarka może się przydać. Od razu pomyślałam o Lesterze, bo Lester dopiero co przeszedł trudne chwile.

– Przedawkował? – spytała Petra.

Iona popatrzyła wilkiem.

– Dobry człowiek od razu by się ucieszył, że może pomóc członkowi rodziny. Ale Myrona drażniło wszystko, co było dobre dla Lestera.

– Panna Bigelow wprowadziła się tam i mieszkała kilka lat.

– To dlatego, moja droga, że wykorzystałam skąpą naturę Myrona i

wytknęłam mu, że szpitale i prywatne pielęgniarki są drogie, a my możemy mieć kogoś na miejscu.

– Wymiana barterowa – skwitowała Petra.

– Przebłysk geniuszu – napuszyła się Bedard.

– Na czym polegała opieka nad panem Jordanem?

– Na zaglądaniu do niego, sprawdzaniu, czy ma jedzenie i kawę.

Patricia była męska, ale znała się na swoim fachu. Przynajmniej trzykrotnie Lester mógł zachorować o wiele poważniej, gdyby nie ona.

– Co robiła?

– Cuciała go, chodziła z nim; wszystko, co się robi w takich sytuacjach.

Raz musiała wzywać pogotowie, ale gdy przyjechało, Lester stanął już na nogi i nie trzeba było go brać do szpitala. Niech mnie pani źle nie zrozumie, moja droga. To nie były tylko tego rodzaju problemy. Kiedy Lester zapadał na przeziębienie albo grypę, Patricia też się nim zajmowała.

– Czy dostarczała mu narkotyki? – spytał Miło.

– Oczywiście, że nie.

– Oczywiście, że nie? – zdziwiła się Petra.

– Powiedziała mi, że nienawidzi narkotyków. Z początku nie chciała nawet przyjąć tej posady ze względu na naturę choroby Lestera. Co było dość bezczelne, ze względu na jej własne skłonności.

– Co ją przekonało?

– Zwolnienie z czynszu i tysiąc dolarów miesięcznie gotówką. Których na pewno nie zgłosiła w urzędzie skarbowym. Dlaczego tak o nią wypytujecie?

– Jej nazwisko pojawiło się w związku ze sprawą pani brata.

– Nie rozumiem, dlaczego. Ale jeśli chcecie mieć dowód nienawistnej

natury Myrona, porozmawiajcie z nią. Po wylewie teścia Myron oznajmił, że potrzeby jego ojca są ważniejsze niż Lestera i że Patricia przenosi się na Hudson. Nie muszę chyba mówić, że ogarnęła mnie wściekłość. Była doskonałą opiekunką, a Lester przywykł, że ma ją przy sobie. Można by pomyśleć, że chociaż ona będzie lojalna, ale nie, Myron dał jej swoje czterdzieści srebrników.

– Dał jej podwyżkę?

– Dodatkowy tysiąc miesięcznie i darmowe mieszkanie w pokoju gościnnym. Jeśli macie kontakty w skarbowym, to taka mała wskazówka.

– Wspominała pani – wtrąciła Petra – że pan Bedard wynajmował mieszkania podejrzanym ludziom, którzy płacili gotówką. Komuś konkretnemu?

– Mniejszościom – odparła Iona Bedard. – I tym podobnym.

– Pani brat nie zadawał się z innymi lokatorami?

Bedard zdusiła drugiego papierosa i z przesadną ostrożnością postawiła szklanekę na podłodze.

– Naprawdę nic pani nie rozumie, prawda?

– Czego nie rozumiem, proszę pani?

– Lester był chory. To nie znaczy, że był jednym z nich.

– Jak sobie radził, kiedy panna Bigelow się wyprowadziła?

– Niezbyt dobrze – przyznała Iona Bedard. – Myron nie chciał opłacać następnej pielęgniarki ani dalszego leczenia. Raz Lestera trzeba było zawieźć do szpitala okręgowego, który, z tego co wiem, jest brudną norą. Myron z rozkoszą powtarzał: „a nie mówiłem”. Nie zdradzę, jakimi określeniami nazywał Lestera.

– Lester miał również pewne problemy z prawem.

– Wszystko przez swoją chorobę. – Iona Bedard strzepnęła popiół w ogólnym kierunku popielniczki. Większość spadła na podłogę. – Niedługo po śmierci teścia moje małżeństwo w końcu doszło do punktu, który powinno osiągnąć wiele lat temu. Rozpadło się. Okoliczności zmusiły mnie do błagania Myrona, żeby pozwolił Lesterowi zostać na Cherokee, a ja źle znoszę błaganie. Po rozwodzie uparłam się i dostałam budynek, i to było wszystko. Lester nigdy nie pokonał swojego problemu, ale ostatnio sprawiał wrażenie, jakby potrzebował trochę mniej narkotyków.

„– Tak bywa z uzależnionymi, jeśli przeżyją dość długo – powiedziała Petra. – Skąd pochodziło finansowe wsparcie Lestera?

Iona Bedard stuknęła się w pierś. Machnęła lekceważąco ręką.

– Dość tego, moi drodzy, dość już za was zrobiłam. Musicie tylko znaleźć tego drania.

Nie drgnęliśmy.

– Proszę – rzuciła Bedard rozkazującym tonem.

– Czy mówi coś pani nazwisko Robert Fisk? – spytała Petra.

– Bobby Fisk chodził ze mną do klasy w gimnazjum w Atherton. Jest teraz chirurgiem w marynarce.

– A Rosie?

– Niciarka?

– Blaise De Paine?

Iona Bedard przyklepała fryzurę. Zaśmiała się.

– Powiedziałam coś śmiesznego, proszę pani? – spytała Petra.

– Młoda damo, to nawet nie jest prawdziwe nazwisko. Dość tego, bierzcie się do roboty.



W drodze na dół mieliśmy całą windę dla siebie. Petra powachlowała się i zaśmiała.

– Ci to dopiero kiepską spisali intercyzę.

– Gdyby voodoo działało – powiedział Milo – stary Myron smażyłby się w oleju.

– Nie wskazała nam żadnych dowodów, że miał cokolwiek wspólnego z Lesterem, ale powinniśmy jej uwierzyć na słowo i szukać go po Europie.

– Nienawiść to świetna motywacja.

– Jestem pewna, że on też ją uwielbia. Ja sama po piętnastu minutach jestem gotowa ją udusić. Ale co z tego? Przez dziesięć lat Lestera w ogóle nie było w jego życiu.

– W przeciwieństwie do tych wszystkich podejrzanych ludzi z „mniejszości” – dorzuciłem – którzy żyli tak samo jak on, ale byli zupełnie inni.

– To dopiero wyparcie – zauważyła Petra. – Co do jednego ma chyba rację. „De Paine” to ksywa.

W milczeniu przeszliśmy przez westybul. Milo i ja zaparkowaliśmy na parkingu hotelowym, ale Petra zostawiła swoją acurę przy Walden Drive, po drugiej stronie Wilshire, więc ją odprowadziliśmy.

Otworzyła samochód i rzuciła torebkę na fotel pasażera.

– Jakież wnioski na pożegnanie, panowie?

– Gdyby ktoś mnie pytał o zdanie, ja bym nie kombinował – powiedział Milo.

– Skupić się na Fisku, wszystko inne to detal. Co do waszej panny Bigelow, nie widzę tu żadnego powalającego związku. Nawet jeśli podsuwała Jordanowi szpitalne prochy, to prehistoria.

– Na to wygląda – zgodził się Milo.

– Masz wątpliwości?

– Jedno mi tutaj śmierdzi, rozmawiamy z Jordanem o Patty, a zaraz potem on nie żyje.

– Jedyne możliwe powiązanie to takie, że napomknął komuś o jakiejś tajemnicy, tak wielkiej i strasznej, że trzeba go było uciszyć. Na przykład jakiej?

Żaden z nas nie miał odpowiedzi.

– Tak czy inaczej – podsumowała Petra – kluczem jest znalezienie Fiska.

– Tańczący płatny zabójca – zadrwił Milo. – To dopiero pomysł na serial.

– Jordan grał kiedyś na dęciakach – dorzuciłem. – Cały czas wracamy do muzyki.

– Jordan nie grał od lat – przypomniała Petra. – Jedynym muzycznym ogniwem są tu prochy.

– Albo niechęć do prochów. Czyli Jordan sprzedający towar niewłaściwej osobie.

– Kim jest niewłaściwa osoba?

– Na przykład dzieciakiem tuza branży muzycznej.

– Tata wystawia kontrakt na Lestera za zaopatrywanie swojej progenitury? Świetnie, przyda nam się więcej podejrzanych, może Fisk zacznie sypać, kiedy go już przymkniemy. Mam opis jego samochodu z

przedawnionych akt. Mustang rocznik 99, czerwony w chwili rejestracji, od pół roku zalega z opłatą rejestracyjną. Złożyłam też wniosek o dostęp do jego billingów, zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli będę miała szczęście, może go zgarnę, zanim Cruella zadzwoni do przełożonych i nagada na nas, prostaków z klasy średniej, którzy nie słuchamy jej kulturalnych poleceń.

– Zamierzasz kryć tyłek i szukać jej byłego? – spytał Milo.

Zakreśliła torebką.

– Zrzucę to na Raula, niech poćwiczy śledztwo na odległość.

– Bystrzak? – zainteresował się Milo.

– Bystry, ale zielony. Za to cichy. Lubię takich. Na razie, chłopaki.

Wróciliśmy na parking Hiltona.

– Spotkanie z Ioną miało jeden pozytywny skutek – powiedziałem. – Teraz wiemy, dlaczego Patty mieszkała tam, gdzie mieszkała.

– Tysiąc miesięcznie gotówką przez trzy lata – policzył Milo – to trzydzieści sześć kawałków bez podatku. Potem stary Myron przeniósł ją na Hudson i dał podwyżkę do dwóch kawałków. Ile tam mieszkała?

– Około dwóch lat.

– Kolejne czterdzieści osiem, w sumie osiemdziesiąt cztery patyki. Do tego pensja w szpitalu, plus pięć lat bez czynszu, i mamy ładną, szesciocyfrową sumkę. To był świetny układ, Alex. Minusem był brak gwarancji zatrudnienia. Stary umarł, do widzenia.

– Przeniosła się na Czwartą ulicę – powiedziałem. – Najładniejszą z dotychczasowych, ale mieszkała tam niecały rok. Może bolało ją, że musi płacić pełny czynsz. A może chciała oszczędzać gotówkę, skoro już jakąś

miała. Osiemdziesiąt cztery tysiące, nawet przy skromnym procencie, może się podwoić w dziesięć lat. Jeśli skorzystała na boomie giełdowym, mogła zarobić znacznie więcej. Przeprowadzka na Culver Boulevard oznaczała mieszkanie w norze, ale dzięki temu stać ją było na dom. Bez nieoczekiwanego przyływu gotówki od Myrona Bedarda mogło jej się to nigdy nie udać. To właśnie jej portfolio podsunęło mi myśl o narkotykach, ale może się okazać, że to po prostu dobre inwestycje.

– I odrobina wykręcania się od podatków.

– To też.

Przeczytałem e-maila od Isaaca Gorneza.

*Cześć, Doktorze D.*

*Jesteśmy w Bangkoku i piszę to z kafejki internetowej, ale łącze jest tu słabe, a my zaraz jedziemy dalej, więc niech pan nie odpisuje. Myślałem rano o tym przestępstwie i uświadomiłem sobie, że popełniłem błąd metodologiczny, ograniczając się do przypadków zakwalifikowanych jako zabójstwa, pomijając nieumyślne spowodowanie śmierci, pobicie ze skutkiem śmiertelnym czy coś w tym rodzaju, co mogło przerodzić się w morderstwo, ale nie zostało przekwalifikowane. Niestety w tej chwili nic na to nie mogę poradzić, ale kiedy wrócę za parę tygodni, pogrzebię jeszcze trochę w danych i zobaczę, co znajdę. Mam nadzieję, że nie przeoczyłem niczego ważnego. Uściski od Heather.*

*Pozdrawiam, IG.*

Zastanowiłem się nad tym, uznałem, że Isaac jest zbyt drobiazgowy. Patty powiedziała, że zabiła człowieka. Wszyscy tańczyli dookoła tego, ale

ja nie mogłem o tym zapomnieć.

Siedziałem na kanapie, zastanawiając się nad rozgrzewającą szklaneczką chivasa, kiedy do gabinetu weszła Blanche i szturchnęła mnie w nogę. Kiedy wstałem, poskakała trochę i wybiegła za drzwi.

Poszedłem za nią korytarzem, przez kuchnię, do tylnego wejścia. Z zaskakującą zwinnością zbiegła po schodkach nad staw. Zatrzymała się przed zamkniętym na klucz pojemnikiem z karmą dla koi i zaczęła szturchać go swoim płaskim nosem.

– Zasmakowały owoce morza? – Wyjąłem kilka granulek i podsunąłem jej pod nos. Odwróciła się z obrzydzeniem.

Znów szturchnęła pojemnik. Popatrzyła na mnie.

Kiedy rzuciłem jedzenie rybom, obróciła się, śledząc granulki. Zasapała.

Zaczęła ochryple szczeekać, dopóki nie rzuciłem następnej porcji.

– Altruizm? – spytałem.

Wiem, że eksperci nazwą to antropomorfizmem, ale przysięgam, uśmiechnęła się z czystej radości.

Robin znalazła nas oboje nad wodą. Blanche zeskoczyła mi z kolan i przywitała się z nią. Ryby zaroily się pod powierzchnią jak robią zawsze, kiedy słyszą kroki na kamiennej ścieżce.

– Są wygłodzone – powiedziała Robin. – Nakarmię je.

– Już jadły – odparłem. – Obficie, bo Blanche mianowała się oficjalnym dostawcą żywności.

– Wiem – przytaknęła. – Wczoraj też to robiła. Jakieś postępy w szukaniu Fiska?

– Na razie nie.

– Popytałam jeszcze trochę o Blaise’a De Paine’a. Mogę jedynie dodać, że być może jego dom na wzgórzach stał przy jednej z ptasich ulic. Ale nie wierz w to za bardzo, skarbie. Ten ktoś, kto mi to powiedział, nie był pewien, gdzie to słyszał ani czy chodziło o De Paine’a, czy innego typu, ani o którego ptaka. Nikt nie słyszał o Fisku ani Rosiem, ale jest niejaki Mosey, który trochę didżejuje.

– Nazwisko?

Pokręciła głową.

– Prawdopodobnie to nie jego szukacie. Ten ktoś, kto go zna, mówi, że to miły gość.

– Gdzie go spotkał?

– Spotkała. Na jakiejś imprezie, ona była tancerką wynajętą przez agencję w Valley, nie pamiętała nazwy.

– Problemy z pamięcią?

– Być może osłabioną przez substancje rozrywkowe.

– Ptasie ulice – powiedziałem. – Mgła nad LA, przyjaciele się gubią.

– Biedny George. Pamiętasz, kiedy go poznałam?

– Dziesięć lat temu, naprawiałaś tego rickenbackera.

– Uroczy facet – rzekła. – Taki utalentowany, taki skromny. Usiadła, oparła głowę na moim ramieniu. Blanche patrzyła, jak się całujemy. Pobieгла do schodów, przyglądając się nam spokojnie.

Z niemal rodzicielską radością.

– Chodźmy do środka – zaproponowała Robin. – Rozwińmy skrzydła.

O czwartej po południu Robin szkicowała, a ja siedziałem przy komputerze i szukałem informacji pod hasłem „mosey didżej”.

Jedno trafienie, żadnych zdjęć.

Moses „Duży Mosey” Grant był wymieniony na długiej liście osób, którym dziękowano za sukces szpitalnego balu charytatywnego.

Western Pediatrics, gdzie uczyłem się i pracowałem.

Bal został zorganizowany rok temu przez oddział endokrynologii na rzecz dzieci z cukrzycą, a składającą podziękowania była kierownik oddziału, doktor Elise Glass. Współpracowaliśmy przy kilku przypadkach. Miałem zapisany jej prywatny numer.

– Cześć, Alex – powiedziała. – Wróciłeś do przyjmowania pacjentów czy to dalej te policyjne sprawy?

– Skoro o tym mowa. – Spytałem ją o Mosesa Granta.

– Kto?

– Didżej na waszym balu w zeszłym roku.

– Mosey? Nie mów mi, proszę, że ma kłopoty.

– Znasz go osobiście?

– Nie, ale pamiętam. Wielki, łagodny, świetnie się dogadywał z dziećmi. Będę rozczarowana?

– Nie ma kłopotów, ale był widziany z kimś, kto ma. Jestem pewien, że nie wyniknie z tego nic poważnego.

– Mam nadzieję. Najpierw obniżył cenę, potem uparł się, że będzie pracował za darmo, został po godzinach. Rozumie, o co walczymy.

– Ma krewnego z cukrzycą?

– Sam jest cukrzykiem. Niestety, chyba zupełnie nad tym nie panuje.

Pod wieczór zaczął szybko słabnąć i musiałam mu dać soku.

– Jak go znaleźliście?

– Zatrudniło go biuro rozwoju. Naprawdę, to był taki wielki misiek, Alex.

– Na pewno. Masz jego numer?

– Powinien być w biurze. Zaczekaj, poproszę Janice, żeby cię przełączyła.

Zaczekałem, a nagrany głos pouczał mnie o zdrowym odżywianiu i ćwiczeniach.

– Biuro rozwoju, mówi Sue.

– Tu doktor Delaware. Planuję imprezę i słyszałem, że macie świetnego didżeja Mosesa Granta. Wie pani, jak mogę się z nim skontaktować?

– Hm, niech sprawdzę.

Kolejne nagranie zapoznało mnie z zaletami działalności charytatywnej.

– Znaleźliśmy go przez pośrednika, „The Party Line”. Oto numer.

Kierunkowy Valley. Zanim zadzwoniłem, wpisałem „Moses Grant” do kilku wyszukiwarek i znalazłem portal genealogiczny oraz pojedynczą wzmiankę o górniku, który zmarł w zachodniej Wirginii sto pięćdziesiąt lat temu.

W „The Party Line” odezwał się ochryply męski głos. – Agencja, Eli Romaine.

– Szukam didżeja, z którym współpracujecie. Mosesa Granta.

– Już nie – powiedział Romaine. – Mam lepszych ludzi. Jaką imprezę



pan organizuje?

– Słodką szesnastkę\* [W USA odpowiednikiem naszych osiemnastych urodzin są szesnaste. W wieku szesnastu lat można tam zrobić prawo jazdy, w wielu stanach jest to też wiek dopuszczający legalne kontakty seksualne (przyp. tłum. )] – odparłem. – Powiedziano mi, że Grant był jednym z najlepszych.

– To nie fizyka kwantowa, wie, które guziki naciskać. O jakiej szesnastce mówimy? Dzieciaki zachowują się jak szesnastki, czy udają, że mają dwadzieścia jeden? Pytam, bo zależnie od tego muzyka będzie inna.

– To zwykle dzieciaki.

Śmiech Romaine'a był nikotynowym warknięciem.

– Dobra, mam gości, którzy potrafią i tak, i tak. Dziewczyny też, ale słodkie szesnastki zawsze chcą chłopaków. Najlepiej niezłych. Mam dwóch, którzy mogliby grać w serialach i też wiedzą, które guziki naciskać. Mam też tancerki, polecam blondynki, żeby rozkręcić imprezę. Kosztuje niewiele więcej.

– Grant nie był taki dobry? – spytałem.

– Woli pan kogoś, kto przyjdzie czy nie?

– Wystawił was.

– Pół roku temu, jaki pan chce wystrój?

– Muszę się zastanowić.

– O Jezu – jęknął. – Tu nie chodzi o szesnastkę. Co, jest panu winien pieniądze? Nie zwracaj mi pan głowy.

Klik.

Zadzwoiłem na komórkę do Petry i podałem jej nazwisko Mosesa Granta.

– Dzięki – rzuciła. – Jadę do San Diego. Mustang Roberta Fiska znalazł się niedaleko długoterminowego parkingu na Lindbergh Field. Być może będę musiała sprawdzić wszystkie linie lotnicze, jedną po drugiej. Dobrze się składa, przy okazji poszukam Granta.

– Powodzenia.

– Jeśli Fisk gdzieś poleciał, będzie mi potrzebne. Cześć. Zostawiłem tę sprawę i pomyślałem o Grancie, który zniknął pół roku temu. W tym samym czasie, kiedy Robert Fisk wyprowadził się z mieszkania i stał się niewidzialny.

Czyżby Grant przestał przyjmować zlecenia od Romaine'a, bo znalazł lepsze zajęcie? Misiek altruista czy nie, scena klubowa z Blaise'em De Paine'em czy inną pijawką muzycznej branży mogła być bardziej kusząca niż granie dla chorych dzieci. Albo imprezy dla szesnastolatek udających, że mają dwadzieścia jeden.

A może zniknięcie Granta nie było dobrowolne. Cukrzyk, który nie kontrolował poziomu cukru we krwi, mógł stanąć w obliczu najróżniejszych komplikacji.

Postanowiłem zacząć od szpitali, a gdyby to nie wyszło, przejść na ostre dyżury i oddziały opieki długoterminowej. Informacje, których potrzebowałem, były poufne i musiałbym przedzierać się przez zastępy medycznej biurokracji. Bezcelność i mój tytuł powinny pomóc.

Numer Granta z kierunkowym 818 sugerował, że powinienem zacząć od Valley. Wtedy przypomniałem sobie szpital, w którym mogłem powiedzieć prawdę.

– Idę właśnie do komputera – powiedział Rick. – Mamy ogólny system

rachunkowy pacjentów hospitalizowanych. Co do tych z ambulatorium nie mam pewności, mogą być ułożeni oddziałami. Myślisz, że ten cały Grant może mieć coś wspólnego z Patty i tym Jordanem?

– Grant był widziany w towarzystwie mordercy Jordana.

– Kickboxera, który zostawił odciski palców.

– Milo ci mówił.

– Męczyłem go, żeby informował mnie na bieżąco. Nie wiem, czy wyczuleś, Alex, ale on zmienił podejście do Patty o sto osiemdziesiąt stopni. Z początku nie mogłem go przekonać, żeby potraktował poważnie obawy Tanyi. Po morderstwie Jordana zmienił zdanie, jest przekonany, że to ma związek z Patty. Jest też przekonany, że to jego wina, bo wydarzyło się tuż po tym, jak rozmawiał z Jordanem.

– Nie wiedziałem, że tak go to męczy.

– Wielkolud żyje poczuciem winy... dobra, wszedłem do systemu rachunkowego... wygląda na to, że potrzebny mi kod... no popatrz. Wisi tu lista kodów, zupełnie na wierzchu, to się nazywa niekompetencja... dobra, wpisuję kod ostrego dyżuru i... proszę. Grant, Moses Byron, mężczyzna, lat dwadzieścia sześć, 7502 Los Ojos, Woodland Hills... o rany.

– Co jest?

– Wygląda na to, że to jeden z naszych. Trafił na ostry dyżur z niedocukrzeniem.

– Kiedy?

– Dwa i pół miesiąca temu.

– Tuż przed tym, jak Patty zachorowała.

– Jeży mi się włos na karku, Alex.

– Przyjechał sam?

– Tego nie będzie w rachunkach, chyba że ktoś inny zagwarantował płatność... zobaczmy... kwota została uregulowana w całości, osiemset sześćdziesiąt dziewięć dolarów dwadzieścia trzy centy, żadnego ubezpieczenia. Albo czek Granta miał pokrycie, albo płacił gotówką. Poszukam jego karty. To może trochę potrwać, wolisz kiepską muzykę czy ciszę?

– Przydałoby mi się trochę spokoju.

Kilka chwil później:

– Pan Grant zawitał w nasze progi ledwie przytomny o trzeciej czternaście nad ranem w sobotnią noc. Miałem wolne, dyżurnym był Pete Berger. Zajrzyjmy do notatek pielęgniarek... o rany, jest Patty. Jeden z jej podwójnych dyżurów.

– Co napisała?

– Podstawowe dane przyjęcia... w porządku, wspomina, że Grant został przywieziony przez „przyjaciół”, bez nazwisk... Jeden z nich powiedział pielęgniarce dyżurnej, że Grant brał zastrzyk insuliny, zrobiło mu się słabo i prawie zemdlał. Podaliśmy mu trochę cukru, sprawdziliśmy funkcje życiowe, znaleźliśmy parę dziwnych rzeczy w falach R jego EEG i zaleciliśmy hospitalizację w celu dalszej obserwacji. Grant odmówił, wypisał się wbrew zaleceniom lekarza, nigdy więcej go nie widzieliśmy.

– Czy Pete Berger by go pamiętał?

– Po tysiącach pacjentów od tamtej pory? Nie ma takiej możliwości. A stażysta był na rotacji z Olive View. Spróbuję skontaktować się z nimi oboma, zaczekaj.

Dziesięć minut później:

– Żaden z nich nie pamięta Granta, a co dopiero jego przyjaciół. Patty

na pewno pamiętałaby wszystko, miała niesamowitą pamięć.

– I o to właśnie mogło chodzić – powiedziałem. – Podczas pobytu Granta wydarzyło się coś, co ją zdenerwowało. Niedługo potem zachorowała, ale to coś zostało jej w głowie.

– Może tak, ale co mogło ją aż tak bardzo męczyć... Mówiłem ci, że wyglądała na wyczerpaną na dwa tygodnie przed diagnozą. Zakładałem, że to choroba odciskała swoje piętno. Mówisz, że to mógł być stres emocjonalny?

– W tym momencie to tylko teoria, ale tworzyłaby kolejne ogniwo łączące Patty i Lestera Jordana. Zajmowała się nim i znajomym facetem, który go zabił.

– Skoro o tym mowa – ciągnął Rick – Milo mówił mi o twoich podejrzeniach, że Patty podkradała narkotyki. Sprawdziłem spisy inwentarza z ostatniego roku i nie znalazłem tam nic podejrzanego. Zawsze bardzo na to uważałem, Alex. Nie łudzę się, że wszystko jest doskonale, sprawdzenie dwunastu miesięcy nie ujawni kradzieży sprzed dwóch lat, ale muszę wierzyć, że gdyby działo się coś większego, wiedziałbym o tym. Poza tym nie wyobrażam sobie Patty zaangażowanej w coś takiego.

– Ja też nie.

– A mimo to Tanya ma fundusz powierniczy – zauważył. – To mnie gryzło.

– Milo nie powiedział ci, jaka jest na ten temat najnowsza teoria?

– Nie. Jestem na dyżurze od dwóch dni, nie widziałem się z nim. Opowiedziałem mu o płatnościach gotówką Myrona Bedarda oraz pięciu latach niepłacenia czynszu.

– Trochę mi teraz lepiej – odetchnął. – Przed chwilą powiedziałem, że bardzo uważałem, prawda? Mogę być w sumie szczery. Kiedy nie mogłem osobiście sprawdzić szafki z narkotykami, kazałem to robić Patty.

– Nie ma dowodów, że kradła narkotyki, Rick.

– Chciałem chyba to właśnie usłyszeć. Mogę zrobić dla ciebie coś jeszcze?

– Nie – odparłem. – Dzięki za pomoc z Grantem.

– Jasne. Słuchaj, może byłoby dobrze, gdyby Wielkolud nie poznał stopnia mojego zaangażowania. Lubi mnie chronić przed złymi rzeczami.

Spotkanie odbyło się następnego wieczoru. O dziewiątej u mnie; Petra przyjechała pierwsza dziesięć minut przed czasem, chociaż jechała z San Diego.

– Pod Irvine przewróciła się ciężarówka, wściekły korek do Newport, a mnie zdechła komórka. Dzięki Bogu, że wyjechałam wcześniej i przebrałam się w samochodowy strój.

To oznaczało czarny top z luźnym, szerokim golfem, aksamitne spodnie dresowe w kolorze węgla drzewnego i białe adidasy. Po wizycie w toalecie Petra przyjęła poczęstunek baterią do komórki i kawą i zaczęła gawędzić z Robin. Kiedy wróciłem, rozmawiały o torebkach, a Blanche siedziała u Petry na kolanach.

– Ten materiał może być hitem – zauważyła Petra.

– Wiem, że strusie nogi brzmią makabryczne – powiedziała Robin – ale podobają mi się bardziej niż sam struś.

– To te z większym wzorem zamiast samych kropek?

– Właśnie.

– O tak, ładne. Biedne ptaszyska... chociaż podobno strusie są wredne, więc jak potrzebujesz wytłumaczenia, jest wyjście.

– Krowy są miłe – rzekła Robin – ale nie ograniczam się do konopi.

Wyszedłem po własną filiżankę.

Milo przybył z resztką pizzy w ręku i sosem pomidorowym na ustach. Ramiona i plecy jego sportowej marynarki pokrywała cienka warstewka kurzu i strzępki papieru. Tweedowe spodnie, które miał na sobie, były o

kilka pór roku za grube na ten ciepły wieczór.

Wyjął z lodówki litrowy karton mleka, otworzył go i zaczął żłopać.

– Ciastko? – spytała Robin.

– Domowej roboty?

– Miętowe milano.

– To miło z twojej strony, dziecko, ale mam wysokie wymagania.

Robin zaśmiała się i zabrała Blanche do sypialni.

Milo, Petra i ja usiedliśmy wokół kuchennego stołu. – A więc znalazłeś kule – zaczęła Petra.

– Po dwóch dniach kopania – odparł Milo. – Jakiś geniusz w magazynie napisał „5” zamiast „3”, a potem następny przerobił to na „8” i dodał niewłaściwy kod roku. Do tego trzymali je po złej stronie pomieszczenia, z pudełkami z sześćdziesiątego drugiego.

– Może mieli nadzieję, że rozwiążesz kilka starych spraw, skoro już tam jesteś. – Petra nachyliła się i otrzepała mu marynarkę z kurzu.

– Namówiłem Boba Deala z balistyki, żeby jutro przeprowadził testy porównawcze. Dowiedziałaś się czegoś w liniach lotniczych?

– Chciałabym. Nazwisko Fiska nie figuruje na żadnej liście odlotów od dnia zamordowania Jordana. Mosesa Granta też nie. Mnóstwo odcisków w mustangu Fiska, ale jak na razie AFIS zidentyfikował tylko jego własne. Stu załatwił, żeby San Diego się tym zajęło, dla oszczędności czasu. Sprawdzili wnętrze i bagażnik, nie znaleźli żadnych płynów ustrojowych. Mam ładny, duży nakaz wydania wszystkich billingów Fiska, ale nie mogę znaleźć żadnego telefonu stacjonarnego, a jeśli korzysta z komórki, to z wynajętej.

– Nawyki przestępcy – rzucił Milo. – Jakies dokumenty w



samochodzie?

– Stara rejestracja, papierki bo batonikach. Czysto tam, ale nie aż tak, jakby niedawno sprzątał. Wróćmy na chwilę do naszego denata. Lester Jordan miał tylko telefon stacjonarny, ale nie prowadził zbyt bujnego życia towarzyskiego, może dwadzieścia rozmów miesięcznie. Zamiejscowe z Ioną w Atherton, ostatni z nich siedemdziesiąt cztery dni temu.

– Zżyta rodzina – zauważył Milo.

– Wprost wzorcowa. Pozostałe numery, pod które telefonował Jordan, to restauracje z jedzeniem na wynos i automaty. Do automatów dzwonił późno w nocy, czyli pewnie wtedy, kiedy potrzebował towaru. Raul dokładnie przepytął wszystkich w budynku. Większość lokatorów nie miała pojęcia, kim był Jordan, to nie jest milusi domek, gdzie ludzie mówią sobie „dzień dobry” na korytarzu. Nikt też nie słyszał, żeby Jordan był tam gospodarzem, więc jeśli Iona tak twierdzi w celach podatkowych, oszukuje. Parę osób powiedziało jednak, że widziało różnych podejrzanych typów kręcących się przy mieszkaniu Jordana po nocy. Mimo wszystko heroina, którą znaleźliśmy, nie oznacza, że Jordan zginął, bo handlował. Może Fisk naprawdę nie znosi narkotyków.

– Nawet w takim wypadku byłby motyw zysku – wtrącił Milo.

– Może – odparła Petra. – Fisk i ten, kto go wpuścił, byli nieostrożni. Zostawili otwarte okno. Co do Mosesa Granta, ma absolutnie czyste konto. Bassett Bowland widział Granta w Grzechotniku z Fiskiem i De Paine’em, ale nie zauważył żadnego podejrzanego zachowania. Dopóki nie dotrzemy do jakichś nowych informacji, moim zdaniem na Granta szkoda czasu.

– Oto nowa informacja – oznajmiłem. – Dwa tygodnie przed zachorowaniem Patty Bigelow zajmowała się Grantem w Cedars.

– Dlaczego?

– Niski poziom cukru. To cukrzyk.

– On jest chory, ona jest pielęgniarką, a Cedars to główny ostry dyżur na Westside. Przechodzą tamtędy tysiące ludzi, Alex.

– Grant przyjechał z przyjaciółmi.

Petra założyła włosy za ucho, potarła kciukiem skroń.

– Kolejna warstwa komplikacji. Dobra, co jeszcze wiemy o Grancie?

– Według jego gospodyni w Woodland Hills – relacjonował Milo – był idealnym lokatorem, żadnych hałasów, żadnych gości, nawet muzyki słuchał w słuchawkach. Potem, pół roku temu, przestał płacić bez uprzedzenia. Gospodyni pozwała go i wygrała, ale nie dostała pieniędzy, bo nie może go znaleźć.

– Pół roku temu – powiedziałem – Robert Fisk zniknął bez płacenia czynszu.

– Obaj zamieszkali razem? – spytała Petra. – Dobrze, będę miała Granta na radarze. Który, jak dotąd, odbiera tylko zakłócenia. – Wyjęła kartkę i przesunęła ją w naszym kierunku. Faks z departamentu policji San Diego, na środku powiększenie prawa jazdy Granta. – Bardzo duży misiek.

Milo spojrzał na zdjęcie. Mięśnie jego szyi się napięły i podał kartkę mnie.

Moses Grant uśmiechał się do obiektywu. Okrągła, ciemna twarz. Ogolona głowa, przystrzyżone wąsy, hiszpańska bródka.

Dwa metry, sto piętnaście kilo – pobożne życzenie.

Olbrzym, który wysiadł z hummera przed domem Mary Whitbread.

O, jest mój syn.

To jej dzieciak? Kocham to miasto.

Milo opowiedział o wszystkim Petrze.

– Mama Granta wynajmowała mieszkanie Patty? – spytała Petra. – Czy wszystko, co ta kobieta zrobiła, ma jakieś ukryte znaczenie?

– Założyliśmy, że Grant był synem Mary Whitbread, bo tylko on wysiadł z samochodu – powiedziałem. – A jeśli przywiózł kogoś innego, kto nie chciał się pokazywać? Szyby hummera były czarne, nie wiadomo, kto jechał w środku.

– Lester Jordan jeszcze wtedy żył – powiedział Milo – ale już niedługo. Mary Whitbread była ostatnią osobą, z którą rozmawialiśmy o Patty. Niedługo potem Jordan zginął.

Petra zabrała kartkę.

– Synem Whitbread jest Robert Fisk? Grant trzyma się z Fiskiem, działa z nim na scenie klubowej, wozi go. Mama Fiska mówi mu o Patty coś, co go martwi, więc rozwiązuje problem... czyli drugim facetem w mieszkaniu mógł być Grant. Chociaż nie wiem, dlaczego Jordan miałby go wpuścić. Chyba że Grant wcale nie był takim niewinnym misiem. – Zaśmiała się. – Znacie sędziego, który podpisze nakaz przeszukania na podstawie czegoś takiego? Nie, żeby wiedziała, co mam przeszukać.

– Jest jeszcze jeden kandydat na syna Mary – oświadczyłem. – Blaise De Paine, sampler muzyki. Fisk i Grant byli przybocznymi De Paine'a. Znalazłem jego zdjęcia w sieci. Jest jasnowłosa jak Whitbread. Ubiera się ekstrawagancko i baluje z pięknymi ludźmi, czyli pasowałaby do niego bajerancka fora.

– Rzućmy okiem na tego chłopaczka – powiedziała Petra.

Poszliśmy do gabinetu. Zapisałem zdjęcia na dysku.

– Wygląda jak dziecko bawiące się w przebieranki... – stwierdziła Petra. – Trochę w stylu retro Sierżanta Peppera. Chociaż sama jestem za młoda, żeby to pamiętać... Mary Whitbread, tak? „Paine” to po francusku „chleb”, czyli „bread”.

Cisza.

Milo przyjrzał się pozom Blaise’a.

– On się nie ubiera, on się przebiera... pozer. Co po francusku oznacza „mistrz kitu”.

– Pretensjonalny i do tego złodziej – dodałem. – Ciekawe, co jeszcze ukrywa.

Petra zalogowała się w krajowym rejestrze kryminalnym przy użyciu swojego służbowego hasła.

System wyrzucił dwóch przestępców o nazwisku Whitbread: Francis Arthur, mężczyzna, typ kaukaski, siedemdziesiąt osiem lat, zwolniony warunkowo z dwudziestoletniego wyroku za napad na bank czterdzieści dziewięć miesięcy temu i zamieszkały w Lawrence w stanie Kansas. Jerry Lee, mężczyzna, Indianin, lat pięćdziesiąt dwa, odsiadujący w więzieniu stanowym w Dakocie Północnej drugą połowę osiemnastoletniego wyroku za napad z bronią w rękę.

W bazie danych aut znalazły się rejestracje Mary Whitbread i Petersona Ewana Whitbreada, wydane cztery lata temu, adres zamieszkania ten sam, przy Czwartej ulicy. Według daty urodzenia Peterson miał dwadzieścia osiem lat. Metr siedemdziesiąt wzrostu, pięćdziesiąt dziewięć kilo, włosy blond, oczy niebieskie.

Cztery lata temu włosy miał długie i przylizane. Z na wpół przymkniętych oczu było znużenie. Bez tuszu do rzęs, żelu i klubowych ciuchów był po prostu jeszcze jednym nijakim cherubinkiem, który usiłuje wyglądać groźnie.

– Peterson Whitbread to mało hiphopowa ksywa – zauważyła Petra.

– Rozumiem, czemu zmienił. Mieszkanie z mamą w wieku dwudziestu czterech lat też nie byłoby dobre dla image'u.

– Jednemu ze źródeł Robin wydaje się – powiedziałem – że Peterson mieszka przy którejś z ptasich ulic.

– Interes musi kwitnąć. Który ptak?

– Nie wiem. – Kim jest źródło?

– Nikim wiarygodnym.

Opowiedziałem im o wszystkim.

Petra nachyliła się do ekranu.

– Ma tusz na rzesach... chyba też pomalowane paznokcie. Michael Jackson albinos. – Odsunęła się. – Takiemu małemu, odpalonemu koleźce na pewno przydałaby się pomoc wynajętych mięśniaków. Ale jeśli wziął zlecenie na wykończenie Lestera Jordana ze względu na coś związanego z Patty, motyw musi pochodzić z czasów, kiedy Patty opiekowała się Jordanem. Blondynek miałby wtedy od dziesięciu do szesnastu lat.

– Okres dojrzewania to tymczasowa psychopatologia, prawda? – spytał Milo.

– Czasami trwała – odparła Petra. – A więc co takiego mogłoby wiązać niegrzecznego nastolatka i porządną pielęgniarkę, by warto z tego powodu zabić?

– Jedyne, co łączy gówniarza, ćpuna i pielęgniarkę, to wiecie co.

– Jeśli Patty pokumała się z młodocianym przestępcą – powiedziała Petra – i zaczęła handlować prochami, po co miałyby lata później wynajmować mieszkanie od mamy tego młodocianego?

– Może „straszna rzecz” wydarzyła się po przeprowadzce na Czwartą – zasugerowałem.

– A więc co w tym robi Jordan?

– To, że nie była sąsiadką Jordana, nie znaczy, że zerwała z nim kontakty.

– Trwały związek? Dobra, w porządku. Ale nie zapominajmy, że Isaac

nie znalazł żadnych zabójstw ani przy Czwartej ulicy ani w jej okolicy w okresie, kiedy mieszkała tam Patty.

– Isaac zmienił zdanie. – Włączyłem skrzynkę odbiorczą i otworzyłem e-mail z Bangkoku.

Petra go przeczytała.

– To właśnie jego inteligencja, nigdy nie jest zadowolony. Ale zastanówmy się nad tym przez chwilę, założmy, że ta niegodziwość, którą popełniła Patty, miała miejsce w okolicach Czwartej, ale nie była morderstwem. Co wtedy, przesadziła w rozmowie z Tanya, bo była śmiertelnie chora i osłabiona? I jak wiedza o przestępstwie niebędącym morderstwem mogła doprowadzić do zamordowania Jordana?

– Może Patty chodziło o to – powiedziałem – że zabiła kogoś, dostarczając mu śmiertelnej dawki prochów.

– Jej handel nie ograniczał się do prywatnego pacjenta? Tak, byłaby wtedy definitywnie złą dziewczyną.

Oboje popatrzyli na mnie.

– Idźcie tym tropem, dokądkolwiek zaprowadzi – rzekłem.

– Teraz już muszę – odparła Petra. – Wracamy do Chlebka. To facet, który żyje z kradzieży muzyki i być może handluje prochami. Raczej nie będzie się przejmował jakimś nastoletnim wykroczeniem sprzed ponad dziesięciu lat.

– A jeśli jednak popełniono morderstwo? – zapytałem. – Coś, czego nigdy nie zgłoszono i dlatego Isaac tego nie znalazł? Patty nie brała w tym udziału bezpośrednio, ale pomagała to ukryć i sumienie gryzło ją przez lata.

– Zanim się na to zgodzę – odezwał się Milo – sprawdźmy, czy jej

pistolet odpowiada kulom wygrzebanym z Lelanda Armbrustera.

Petra odwróciła się od komputera.

– Panowie, zaczynamy na siłę dopasowywać fakty, nie mając żadnych nowych. Ja potrzebuję konkretnych dowodów powiązań między tymi osobami.

– A jeśli przyjaciółmi, którzy przywieźli Mosesa Granta na ostry dyżur – powiedziałem – byli Whitbread/De Paine i Robert Fisk? Patty rozpoznała De Paine’a z czasów mieszkania przy Czwartej. To obudziło jej poczucie winy. Niedługo potem zachorowała, zaczęła mieć obsesję na punkcie tego, czego nie zrobiła, musiała jakoś zareagować. Równie dobrze De Paine mógł też poznać Patty. Wstrząsnęło nim to i zniknął. Wtedy przyszliśmy my, rozpytujac o przeszłość, i jego lęki ponownie się obudziły.

– Mama powiedziała mu, że pytaliście o Patty? – spytała Petra. – Ale co w tym robi Jordan.

– Może Jordan brał udział w tym, co się stało, a ona o tym wiedziała. De Paine nie mógł liczyć, że Jordan będzie trzymał gębę na kłódkę.

– Przez te wszystkie lata trzymał – stwierdził Milo.

– Nie wiem – przyznałem – ale jeśli De Paine robił interesy z Jordanem, to by wyjaśniało okoliczności zbrodni. Jordan wpuścił De Paine’a, a De Paine otworzył okno i wpuścił Fiska. A może De Paine zrobił to sam, a Fiska zabrał do pomocy. Mocno śpiącego Jordana łatwo byłoby zabić.

Petra skrzyżowała nogi, pomasowała kostkę.

– De Paine jest taki wyrachowany, ale nie bierze prochów Jordana?

– Jest dość cwany, żeby być ostrożnym – powiedział Milo.



– Moim zdaniem – sprzeciwiła się Petra – zabranie prochów byłoby cwane, Milo. Łatwo byłoby upozorować kradzież heroiny.

– Ale tu pojawiłoby się ryzyko – zauważyłem – że moglibyśmy dotrzeć do dostawcy Jordana, którym mógł być De Paine.

– A więc jak to się wszystko ma do kolejnych adresów Patty? Rozumiem, że z opiekunki Jordana została osobistą pielęgniarką starszego pana, z podwójną pensją. Ale nadal pozostaje to samo pytanie: jeśli wiedziała, że De Paine jest zamieszany w poważne przestępstwo, dlaczego wynajęła mieszkanie u jego matki? Dobrze, mieszkała tam niecały rok, ale to i tak bardzo długo, jeśli twoje dziecko jest narażone na najgorsze wpływy.

Nie umiałem na to odpowiedzieć.

Petra wstała i przyniosła sobie jeszcze jedną kawę. Milo zadzwonił do Ricka.

– Nie czekaj na mnie.

Kiedy wróciła, usiedli obok siebie na skórzanej kanapie. Petra się zaśmiała.

– Co? – spytał.

– Wyglądamy jak pacjenci w poradni małżeńskiej. – Ścisnęła kolana razem, wykrzywiła się przesadnie. – Doktorze, starałam się, żeby z tego związku coś było, ale on po prostu nie chce mnie słuchać!

– Zrząd, zrząd, zrząd – powiedział Milo.

– Czas się skończył, wyślę państwu rachunek – włączyłem się do zabawy.

Ich uśmiechy szybko zgasły.

– Spoiwem tego wszystkiego wydaje się De Paine – odezwał się Milo.

– Musiał znać Patty z czasów, kiedy mieszkała przy jego ulicy, i zadaje się z Robertem Fiskiem.

– Spróbujmy z drugiej strony – zaproponowałem. – Patty nie знаła De Paine’a, dopóki nie sprowadziła się na jego ulicę. Lester Jordan znał ich oboje, ale Patty dowiedziała się o tym dopiero później.

– A więc jak Patty wynajęła mieszkanie od Mary Whitbread? Jordan ją polecił? Dlaczego miałyby słuchać ćpuna?

– Może znała go lepiej.

– Kumplowali się?

– Była pełną współczucia pielęgniarką, dostrzegła w Jordanie człowieka – powiedziałem. – Kiedy się wyprowadziła, utrzymywali kontakt.

– Albo dalej robili interesy – dodała Petra.

– To też – przyznałem. – Jest jeszcze jeden sposób, w jaki Patty mogła się dowiedzieć o mieszkaniu przy Czwartej. A jeśli Myron Bedard pomógł jej szukać nowego lokum?

– Dlaczego miałyby to robić?

– Dobrze opiekowała się jego ojcem.

– Łaskawy bogacz? – rzekła Petra. – Co go łączy z Whitbread? I jak to wiąże De Paine’a z Jordanem?

– Nieruchomość należy do Bedardów – powiedziałem. – Możliwe, że do Myrona należał dom Whitbread. Albo jakieś mieszkania w sąsiedztwie. A może był z nią powiązany w jeszcze inny sposób, Iona mówiła, że był flirciarzem. Mary to atrakcyjna kobieta. Dziesięć lat temu na pewno nie wyglądała gorzej.

– Myron miał dziewczynę – zaśpiewała Petra. – Upiekł dwie pieczenie,

podsyłając jej lokatorkę i zagłuszając własne wyrzuty sumienia po eksmitowaniu samotnej mamy i jej słodkiej córeczki?

Odwróciła się do Mila.

– To teoria równie dobra, jak każda inna – przyznał.

– Nastoletni szczeniak kumpluje się z ćpunem, który zupełnie przypadkiem jest szwagrem kochasia jego mamy?

– O czym mężczyźni rozmawiają ze swoimi kochankami? – spytałem.

– „Żona mnie nie rozumie” – powiedziała Petra.

– W przypadku Bedarda, „żona mnie nie rozumie i obarcza mnie swoim nic niewartym, zaćpanym szwagrem”. Jeśli Peterson Whitbread był nad wiek rozwiniętym nastoletnim przestępcą z kontaktami w światku narkotykowym, gdyby coś takiego usłyszał, obudziłoby to jego zainteresowanie. Skontaktował się z Jordanem, obaj zaczęli robić interesy. Możliwe, że Patty nie wiedziała o tym, kiedy przenosiła się do budynku Mary. Myślała, że to krok do przodu, do ładnego, przestronnego domu. Zamiast tego wplątała się w zbrodnię, w której udział brali syn jej gospodyni i Jordan.

– Patty powiedziała Tanyi, że zabiła sąsiada – przypomniał Milo. – Na Czwartej ani w okolicy nic się nie wydarzyło.

– Dosłownie powiedziała, że mężczyznę „blisko”. Cherokee, Hudson i Czwarta są od siebie odległe w sensie społecznym i ekonomicznym, ale geograficznie leżą dość blisko.

Wyjąłem z półki plan miasta, otworzyłem odpowiednią stronę, postawiłem trzy czerwone kropki i podałem go Petrze.

– Rzeczywiście, są blisko... – przyznała. – A więc musimy poszerzyć obszar poszukiwań do... czego, całego Hollywood i środkowego Wilshire?

Świetnie.

– Ale jeśli mam rację, że zbrodnia została popełniona, kiedy Patty mieszkała przy Czwartej, zawęźa nam to ramy czasowe do niecałego roku. Tłumaczyłoby to też, dlaczego nie została tam dłużej. Zrobiła albo widziała coś strasznego i chciała od tego uciec.

– Jeśli tak się przestraszyła, dlaczego nie wyjechała z miasta?

– Może to nie była kwestia osobistego bezpieczeństwa, tylko poczucie winy, chciała uciec psychicznie.

Spojrzenia, które wymienili, były oczywiste. Typowy psycholog.

– A jeśli spotkanie z Whitbreadem na ostrym dyżurze było czymś więcej niż nieprzyjemną reminiscencją? – zastanawiał się Milo. – Powiedzmy, rzucił jakąś pogroźkę Patty?

– Jak tam twoja mała córeczka, mryg, mryg – podsunęła Petra. – Ale czy Patty natychmiast by tego nie zgłosiła? Albo nie użyła swojej dwudziestkidwójki? – Do Mila: – Dowiedziałeś się już, kiedy ją zarejestrowała?

– Nie zarejestrowała.

– W czasie pobytu Granta na ostrym dyżurze była już śmiertelnie chora – powiedziałem.

– Nawet gorzej – stwierdziła Petra. – Wiedziała, że umrze. Skoro się bała, że Whitbread skrzywdzi Tanyę, mogła go znaleźć i odstrzelić?

– Wam nie udało się go zlokalizować – zauważyłem. – Czemu jej miałoby pójść lepiej?

– Tyle lat nie puściła pary z ust i nagle jej grozi?

– Może to nie była groźba wprost, tylko subtelna uwaga, która zapadła Patty w pamięć. Ona miała specyficzny rodzaj umysłowości, obsesyjny, jej

mózg bez przerwy działał na wysokich obrotach. Nauczyła się go kontrolować, niektórym się udaje. Ale skłonności pozostają, a stres wydobywa je na wierzch. Do tego problemy poznawcze spowodowane chorobą i nie da się przewidzieć, jak by zareagowała.

Petra przygryzła wargę.

– Mój własny mózg jest gotowy schować się do dziury... Jej mieszkanie przy Culver Boulevard nie jest tak znów daleko od pozostałych trzech, ile, z osiem kilometrów na południowy zachód?

– To inna strona w atlasie – powiedziałem. – Dosłownie i w przenośni. Co więcej, tamto mieszkanie nie miało żadnego związku z Bedardami. Patty chciała się uwolnić.

Petra zamknęła atlas.

– Jedna prosta rzecz, którą mogę zrobić jutro, to dowiedzieć się, do kogo należał wtedy budynek Whitbread. Jeśli na akcie notarialnym będzie nazwisko Myrona, będę uważniejsza. – Skrzywiła się. – Spodoba jej się to.

– Komu?

– Cruelli. Chociaż niechętnie to przyznaję, miała rację. Musimy znaleźć jej byłego i pogadać z nim. Ale jeśli choć raz powie do mnie „młoda damo” tym swoim tonem, to strzelę ją w pysk tak, że spadnie w Kanadzie.

Bawiliśmy się komputerem jeszcze przez godzinę, bezskutecznie próbując dowiedzieć się czegoś więcej o Mosesie Grancie i Petersonie Whitbreadzie, ksywa Blaise De Paine.

– Chłopcy, oczy mi już łzawią – powiedziała Petra – dajmy sobie spokój.

– Jedno pytanie – rzuciłem. – Poziom niebezpieczeństwa Tanyi.

– Jeśli masz rację, że Peterson groził Patty przez jakiś mroczny sekret, jest wysoki. Jak wyglądają zabezpieczenia w jej domu?

– Przyzwoicie – odparł Milo. – Pouczyłem ją, a ona chyba zrozumiała. Przejechałem też parę razy jej ulicą. Jak dotąd nic podejrzanego.

– Dziewiętnaście lat i mieszka sama – zadumała się Petra. – Nie wiem, jak ja dałabym sobie radę. Co konkretnie ona wie o tym wszystkim?

– Powiedzieliśmy jej o zamordowaniu Jordana – wyjaśniłem. – Chciała wiedzieć, czy ma to związek z jej matką a my zapewniliśmy, że nie wskazują na to żadne konkretne dowody.

– Kupiła to?

– Może.

– Cóż – powiedziała Petra. – Jeśli to, co tu dzisiaj wymyślaliśmy, jest chociaż trochę zbliżone do prawdy, nie będziecie mogli wciskać jej tej historyjki dłużej... Prowadzisz jej terapię, Alex?

– Nie przychodzi na regularne sesje, raczej kiedy potrzebuje. Ile mogę jej powiedzieć?

Petra spojrzała na Mila.

– To pani zabójstwo, detektyw Connor – rzekł.

– Hm – mruknęła. – Nie chciałabym, żeby znała wszystkie szczegóły śledztwa, ale musi wiedzieć tyle, żeby nie była nieostrożna. Czy ma jakieś miejsce, do którego mogłaby się przenieść w razie potrzeby?

– Nie ma żadnej rodziny – wyjaśniłem. – Twierdzi, że ma przyjaciół.

– Twierdzi? Myślisz, że kłamie?

– Mówi, że uczy się z innymi studentami, ale nigdy nie wspominała o żadnych czysto towarzyskich kontaktach. A w domu nie ma nic, co by się kojarzyło ze studenckim życiem.

– Brzmi to, jakby była stara za młodu. Strata rodzica czasem tak działa.

Zastanawiasz się, kiedy tama pęknie?

– Mam oko na poziom wody.

– Jeden kontakt towarzyski utrzymuje – zauważył Milo. – Kyle Bedard znalazł ją przez sekretariat, tłumaczył, że zaciekał się po tym, jak z nim rozmawialiśmy o czasach, kiedy Tanya i Patty mieszkały w domu jego dziadka. Ostrzeżliśmy ją, żeby się za bardzo nie angażowała, ale wiesz, jakie są dzieci.

– Myślicie, że łązi za nią w niezdrowych zamiarach?

– Pewnie nie, ale kto wie? Czy to uczciwe podejście, Alex?

Kiwnąłem głową.

– Znowu Bedard – powiedziała Petra. – Alex, może powinienes jej to wyperswadować. Daj jej do zrozumienia, że ta rodzina sięga swoimi mackami po prostu wszędzie.

– Nie zdradzając przy tym szczegółów śledztwa.

Odetchnęła, bawiąc się włosami.

– Mamy moralny obowiązek ją chronić, ale wystraszenie jej bez powodu może jej nie wyjść na zdrowie. Czy można jej zaufać, że nie wypapla nic Kyle’owi ani nikomu innemu?

– Myślę, że tak.

– A więc słuchaj głosu instynktu.

– Kiedy będziesz z nią rozmawiał – zasugerował Milo – może dowiedz się, czy pamięta Blaise’a De Paine’a.

– Zrobi się.

Petra wstała i poruszyła zeszywniałym karkiem.

– Odprowadźcie mnie do powozu, panowie.

Następnego ranka o dziewiątej zostawiłem Tanyi wiadomość z prośbą o telefon.

O pierwszej wciąż jeszcze nie zadzwoniła. Dziesięć po zatelefonował Milo.

– W końcu coś. Kiedy Patty wprowadzała się do domu przy Czwartej, właścicielką była Mary Whitbread, mająca również swój własny i jeszcze dwa inne w okolicy. Ale dwa lata wcześniej wszystkie nieruchomości należały do trustu Bedardów.

– Myron je jej sprzedał?

– Trust to zrobił. Powiernikami byli stary Bedard i Myron.

– Czy dostała dobrą cenę?

– Zniżka dla kochanki? Nie znam się, ale liczby nie wyglądają na zaniżone, może Mary miała własne źródło forsy. Twoje domysły, że Myron wysłał tam Patty, zaczynają wyglądać coraz lepiej. Kolejne monumentalne odkrycie jest takie, że kule wydobyte z Lelanda Armbrustera nie pasują do pistoletu Patty.

– Dobrze i to.

– Raul i Petra rano zabrali się do tropienia Myrona po Europie – oznajmił Milo. – Jak dotąd nic. Ostateczne wyniki autopsji Lestera Jordana nie są zbyt doniosłe: przyczyna śmierci – uduszenie, sposób śmierci – zabójstwo. Robert Fisk wciąż się nie znalazł, a Petra nie może odszukać obecnych adresów Blaise’a De Paine’a oraz Mosesa Granta. Ale gdyby życie było za proste, zaczęłoby się nam wydawać, że jesteśmy czymś więcej niż małpami o rzadkim futrze.

– Nie wierzysz w inteligencję?



– Nie, kiedy czytam gazety.

– Blaise De Paine jest potencjalnie osiągalny – powiedziałem. – Znamy jego mamę.

– Petry pogląd, i mój też, jest taki, że ponowna wizyta u Mary Whitbread już teraz uruchomiłaby za dużo alarmów i zwiększyła ryzyko, że następny kryminalista zniknie. Wymyśliłem za to, żeby powiązać hummera z adresem, to mało popularny samochód. Nie ma takiej bestii zarejestrowanej na De Paine'a ani Petersona Whitbreada, ale mógł używać innego pseudo. Czekam, aż wydział komunikacji przefaksuje mi listę zarejestrowanych hummerów. Dzwoniłem także po salonach sprzedaży, jak dotąd bez powodzenia. Skoro De Paine lubi robić wrażenie, zastanawiałem się, czy to nie mogła być wynajęta maszyna, i zacząłem od Budgeta w Beverly Hills, bo oni zajmują się takimi bajerami, parę lat temu na urodziny wynająłem Rickowi lamborghini. Bolały go po nim plecy, ale to inna historia. Niestety, jedyny czarny hummer na placu jest wynajęty długoterminowo ekipie filmowej. Pozostałe trzy to srebrny, czerwony i żółty kabriolet, to ci dopiero elegancja. Zaraz zadzwonię do Hertza.

– Ten żółty wydaje się w sam raz na twoje następne urodziny.

– Jasne – mruknął. – Nosorożec w garbusie.

Kiedy Tanya nie odezwała się do trzeciej, ja zadzwoniłem do niej.

– O, dzień dobry. – Cichy głos, spięty.

– Nieodpowiednia pora?

– Nie... właśnie miałam do pana dzwonić. Pan Wineman, księgowy mamy, poprosił, żebym poszukała jej zeznań podatkowych i znalazłam coś na dnie jej szuflady.

– Co?

– Ee... nie jestem pewna, co to znaczy. Mogę to panu pokazać? – Oczywiście. Jedną rzecz, którą musisz wiedzieć: pistolet twojej mamy nie jest związany z żadnym znanym przestępstwem i został wyeliminowany ze sprawy, o której ci opowiadaliśmy.

– To świetnie – powiedziała. Z entuzjazmem cyborga.

– Wszystko w porządku, Tanyu?

– Tak... zamierzałam o piątej jechać na uczelnię. Mogę wpaść wcześniej. Jeśli nie jest pan zajęty.

– Będę czekał.

– Czwarta trzydzieści może być?

– Doskonale.

Rozłączyła się w połowie mojego „do zobaczenia”.

Przyjechała pięć minut przed czasem, ściskając bąbelkową kopertę. Na dłoniach miała szare, dziergane rękawiczki, chociaż było ciepło.

W gabinecie rozdarła kopertę, wyjęła ze środka zdjęcie i kartkę papieru w linie, złożoną dwa razy.

Zdjęcie ukazywało Patty i Lestera Jordana stojących obok siebie w brudno-waniliowym pokoju, będącym salonem Jordana. Lester miał ciemne, rzadkie włosy, przylegające do czaszki. Podkrążone oczy, pałakowate nogi. Luźna, szara bluza od dresu dodawała mu masy, na którą nikt nie dałby się nabrać.

Krepe ciało Patty pochylało się do Jordana, jakby była gotowa go podtrzymać.

Tanya rozłożyła kartkę w linie i podała ją mi. Zgięcia były zabrudzone, a krawędzie wytarte. Niebieskim długopisem ktoś napisał:

*Do fałszywej Florence Nightingale: oddaję Ci to, bo masz mnie gdzieś. Nie wiem, dlaczego uważasz, że możesz robić to, co zrobiłaś. Ten stary drań jest bogaty, mógł sobie wziąć kogokolwiek do zmieniania pieluch, ale kto będzie ze mną chodził i mnie cucił, kiedy będę tego potrzebował? Rozumiem, że inni dają się manipulować \$\$\$\$ tego dka, ale czemu Ty, Pat? Zawsze mówiłaś, że \$\$\$\$ Cię nie obchodzą. Zawsze mówiłaś, że najważniejsza jest uczciwość, Pat. Najwyraźniej cała ta gadka o uczciwości to takie samo pieprzenie, jakie serwują na tych wszystkich jebanych odwykach. Nie zrozum mnie źle, Pat, nie jestem wk... wiony,*

*jestem zraniony. Przez duże Z. A Ty wiesz, czym to się u mnie kończy, Pat. Co innego mogę zrobić, Pat? I czyja to będzie wina, jeśli za mocno upadnę, Pat?*

*Milej reszty życia,*

*Les*

– Mówi, że nie jest zły, ale to jest wściekłość – powiedziała Tanya. – Uwierzyłyby pan w taką arogancję? „Chodzić i cucić”? Wyciągnęła go z przedawkowania, prawdopodobnie uratowała mu życie, a on zamiast być wdzięczny, wzbudza w niej poczucie winy? I to ostatnie: „Wiesz, czym to się u mnie kończy”. Grozi, że znów przedawkuje, prawda? Sugeruje, że to będzie jej wina. Jak ktoś może być tak samolubny!

– To narkoman skupiony na własnych potrzebach – wyjaśniłem.

– Pewnie dlatego został narkomanem, że był samolubny. I słaby. Co to za ludzie, nie potrafią się zebrać do kupy.

Jej policzki miały kolor dojrzałych wiśni. Ramiona napięła tak, że kołnierz podjechał jej pod uszy. Potrząsnęła włosami, złapała ich garść, wykręciła.

Usiadłem, gestem pokazałem, żeby zrobiła to samo. Nie drgnęła, po chwili klapnęła na kanapę.

– Doskonale się nim opiekowała – zauważyłem. – To dlatego ojciec Kyle’a chciał, żeby opiekowała się jego ojcem.

– „Dek” z pieniędzmi. Czy nie miał prawa wydawać ich, na co chciał? Pułkownik umierał, doktorze Delaware. Opieka nad nim była dobrym wykorzystaniem czasu mamy.

– A nad Jordanem nie.

– Niech pan popatrzy, jak ją traktował, doktorze Delaware. Nie można tego bełkotu nazwać racjonalnym. Nie obchodzi mnie, jakie miał problemy, coś takiego nie ma wytłumaczenia. To nie tak, że on i mama się przyjaźnili. Kiedy zobaczyłam to zdjęcie, przypomniałam sobie niejasno, że go widywałam, ale nie wiedziałam nawet, jak się nazywał. Kyle też ledwie go znał. Jordan miał szczęście, że obok niego mieszkała wykwalifikowana pielęgniarka. Kiedy przyszła dla mamy pora ruszać dalej, powinien jej podziękować, a nie grozić, że sobie coś zrobi.

Uderzyła dłońmi w uda.

– Tak mam dość niewdzięczników.

– I słusznie – powiedziałem. – Powinien był być wdzięczny. – Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła, powinien jej dziękować na kolanach.

– Twoja matka była jednym z najlepszych ludzi, jakich spotkałem, ale dowiedzieliśmy się, że dostawała pensję za opiekę nad Jordanem.

– Skąd?

– Powiedziała nam matka Kyle’a.

– Ona.

– Znasz ją?

– Kyle powiedział mi, jaka to niewiarygodna egoistka, nigdy nie miała dla niego czasu. Może tamta strona rodziny ma to w genach. – Znów szarpnęła się za włosy. – No dobrze, zapłacili jej. Czemu nie? Ale to nic nie zmienia. Miała prawo się przeprowadzić.

– Oczywiście, że miała – potwierdziłem. – A więc spotykasz się z Kyle’em regularnie?

– Dwa razy spacerowaliśmy po kampusie, a wczoraj poszliśmy do Coffee Bean. I spytałam go, jaki był Jordan, ale jak mówiłam, ledwie go

znał.

– Widział list i zdjęcie?

– Nie. Mam je zachować w tajemnicy?

– Na razie to może być dobry pomysł. Jak wyglądają stosunki Kyle'a z ojcem?

– Dobrze. Czemu?

– Detektyw badająca sprawę zamordowania Jordana chce porozmawiać ze wszystkimi członkami rodziny, jakich znajdzie. Szukała Myrona Bedarda, ale nie udało się jej go znaleźć. Podobno jest w Europie.

– Tak – powiedziała Tanya. – W Paryżu. Dzwonił wczoraj do Kyle'a, proponował, że go do siebie ściągnie, ale Kyle jest za bardzo zajęty doktoratem. Dlaczego ta detektyw chce rozmawiać z dalszą rodziną?

– Od tego często zaczyna się śledztwo.

– Myślałam, że to morderstwo na tle narkotykowym.

– Nikt tak naprawdę nie wie, co to jest, Tanyu.

Westchnęła przeciągle.

– A więc jej zapłacili. I dobrze. Czemu miałyby oddawać swój czas za darmo?

– Nie chciałem cię zdenerwować...

– Nie zdenerwował pan. Doceniam szczerłość. Oznacza, że szanuje pan moją inteligencję.

Wstała i zaczęła chodzić po gabinecie. Spróbowała poprawić obrazek umocowany na stałe woskiem, usiadła i dźgnęła palcem zdjęcie.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego przez tyle lat to trzymała?

– Może coś dla niej znaczyło.

– Chce pan powiedzieć, że rzeczywiście czuła się winna?

– Nie, ale miała w sobie dużo współczucia – odparłem. – Cierpienie Jordana mogło ją wzruszyć.

– Może... Taka jestem zła. To nie jest uczucie, do którego byłabym przyzwyczajona. Nie podoba mi się. – Skryła twarz w dłoniach. Wyprostowała się. – One wracają, moje nawyki. Czuję się, jakbym traciła panowanie nad sobą. W nocy w domu jest tak cicho, to gorsze niż hałas, nie mogę spać. Wczoraj przez pół godziny układałam zasłony, a potem myłam ręce, aż zrobiły się takie.

Zerwała rękawiczkę, pokazała mi kłykcie pozdzierane do żywego.

– Możemy nad tym wszystkim popracować – powiedziałem.

– Możemy czy powinniśmy?

– Powinniśmy.

Co sądzisz o hipnozie?

– Nigdy się nad tym nie zastanawiałam.

– Zasadniczo to głębokie odprężenie i skupiona koncentracja. Dobrze ci pójdzie.

– Tak? Czemu?

– Jesteś inteligentna.

– Jestem podatna na sugestie?

– Każda hipnoza to autohipnoza – wyjaśniłem. – Podatność na nią to umiejętność, którą doskonalili się w miarę ćwiczenia. Inteligentni, twórczy ludzie radzą sobie najlepiej, bo mają rozwiniętą wyobraźnię. Myślę, że w tej chwili to dla ciebie dobra propozycja, bo osiągnęłabyś szybkie rezultaty i wróciła do świetnych postępów, które robiłaś jako dziecko.

Brak odpowiedzi.

– Tanya?

– Skoro tak pan twierdzi...

Zacząłem od rytmicznego, głębokiego oddychania. Po trzecim wydechu Tanya otworzyła oczy.

– Gdzie jest Blanche?

– Śpi w swojej skrzynce.

– Och.

– Zaczekaj.

Przyniosłem psa, położyłem go na kanapie obok Tanyi. Tanya pogładziła Blanche po łebku. Wróciliśmy do oddychania. Po kilku



chwilach ciało Tanyi zaczęło się rozluźniać, a Blanche spała, wydymając fafle.

Policzyłem monotonnym tonem od stu w dół. Dopasowałem rytm wypowiedzianych liczb do chrapania Blanche. Przy siedemdziesięciu czterech usta Tanyi rozchyliły się, a dłonie znieruchomiały. Zacząłem podsuwać sugestie. Podpowiadać, że każdy oddech to sposobność do relaksu.

Przy dwudziestu sześciu zamigotało światełko na moim telefonie.

– Głębiej i głębiej – powiedziałem.

Tanya oklapła. Kiedy zniknęło napięcie, wyglądała jak dziecko. Na razie dobrze. O ile tylko nie będę za dużo myślał o poważniejszych sprawach.

Kiedy minęła godzina, udzieliłem jej posthipnotycznych instrukcji, jak ćwiczyć i wprowadzać się w stan długotrwałego odprężenia i wybudziłem ją.

Dopiero za którymś razem udało się jej otworzyć oczy.

– Czuję się... niesamowicie... dziękuję. Byłam zahipnotyzowana?

– Tak.

– Nie odczuwałam... niczego dziwnego. Nie wiedziałam, czy dam radę.

– Masz talent.

Tanya ziewnęła. Blanche zrobiła to samo. Tanya się zaśmiała, przeciągnęła, wstała.

– Może któregoś dnia zahipnotyzuje mnie pan, żebym się lepiej uczyła.

– Masz problemy z koncentracją?

– Nie – rzuciła pospiesznie. – Ani trochę. Żartowałam.

– Tak naprawdę – powiedziałem – odprężenie pomaga przy egzaminach.

– Poważnie?

– Aha.

– Dobrze, zapamiętam. – Sięgnęła do torebki. – Będę ćwiczyć codziennie... mówił pan coś o tym, prawda?

– Mówiłem.

– Jakie to... dziwaczne. Patrzą na pana, ale jest pan... blisko i daleko jednocześnie. I cały czas słyszę pana głos w głowie. Co jeszcze mi pan kazał robić?

– Nic więcej – odparłem. – To ty się kontrolujesz.

Przetrząsała torebkę.

– Hm... wiem, że mam tu gdzieś czek...

– Kiedy chciałabyś wrócić?

– Mogę do pana zadzwonić? – Wyjęła białą kopertę i położyła ją na biurku. – Podpisany. – Jej spojrzenie spoczęło na liście i zdjęciu Jordana.

– Może pan je zatrzymać, nie chcę ich.

– Przekażę je porucznikowi Sturgisowi.

Zesztywniała.

– Mama pomagała mu, gdy był naćpany, nie widzę, jaki to może mieć związek z jego morderstwem.

– Ja też nie, ale niech porucznik ma wszystkie dane. Chciałbym wyznaczyć termin następnej sesji, Tanyu.

– Naprawdę tak pan myśli?

– Jeśli problemem są pieniądze...

– Nie, ani trochę, w tej kwestii radzę sobie świetnie, mieszczę się w

budżecie.

– Ale...

– Doktorze Delaware, jestem wdzięczna za wszystko, co pan zrobił, co pan wciąż dla mnie robi. Nie chcę po prostu być za bardzo zależna.

– Wcale nie uważam, że jesteś zależna.

– Znów tu jestem.

– Tanyu, ile dziewiętnastolatek mogłoby robić to, co ty robisz?

– Mam prawie dwadzieścia – powiedziała. – Przepraszam, dziękuję za komplement. Po prostu... niech pan popatrzy na Jordana. Tyle wściekłości, bo nie potrafił sam się o siebie zatroszczyć. Mama nauczyła mnie, jak ważne jest być niezależnym. Nie zamierzam stać się jedną z nich.

– Z nich?

– Słabych ludzi, którzy użalają się nad sobą. Nie stać mnie na to.

– Rozumiem. Ale ja widzę tylko kogoś dość inteligentnego, by prosić o pomoc, kiedy jej potrzebuje.

– Dziękuję... naprawdę czuję się dobrze, to, co dzisiaj zrobiliśmy, było niesamowicie pomocne. – Potrząsnęła rękami, żeby zademonstrować.

– Dziewczyna z gumy. Będę ćwiczyć. Jeśli czegoś zapomnę, od razu się odezwę.

Nie odpowiedziałem.

– Obiecuję – zapewniła. – W porządku?

– W porządku.

Odprowadziłem ją do drzwi.

– Dziękuję, że mi pan ufa, doktorze Delaware – powiedziała. – Nie musi mnie pan odprowadzać na dół.

Patrzyłem, jak schodziła do swojej furgonetki. Nie obejrzała się ani

razu.

Migające światełko oznaczało wiadomość w poczcie głosowej. Dzwonił detektyw Sturgis.

Opowiedziałem Milowi o pełnym gniewu liście Lestera Jordana.

– No i był dupkiem – oświadczył. – Sami tyle wiedzieliśmy.

– Może to coś wyjaśnia. Z listu wynika jasno, że Patty pomagała mu dojść do siebie po przedawkowaniu, ale nie ma tam nawet sugestii, że dostarczała mu czegokolwiek poza czułą opieką.

– Świetnie – powiedział Milo. – Tymczasem na wzgórzach aż szumi od podejrzanych. Zlokalizowałem trzyletniego czarnego hummera zarejestrowanego na QuickKut Music, adres przy Oriole Drive. Jestem umówiony z Petrą za godzinę przy Sunset i Doheny, niedaleko sklepu z alkoholem Gila Turnera. Jedź z nami, jeśli masz ochotę.

Ptasie ulice wpełzają na wzgórze ponad Strip, na wschód od osiedla Trousdale, wąskie, kręte, pełne dziur.

Przedrzeźniacza, Lasówki, Skowronka, Sierpotka.

Modrosójki, gdzie George Harrison siedział samotny w wynajętym domu i czekał na jakiegoś agenta prasowego, który pomyliłby drogę, wpatrzony w rozległą panoramę miasta skrytego pod welonem nocy i mgły.

Łatwo tam zabłądzić. Przypadkowe ślepe zaułki i odnogi kończące się bez ostrzeżenia świadczą o tym, że ktoś w biurze planowania lubił grać w rzutki. Stromizny są ostre, a jogging to sport ekstremalny ze względu na brak chodników i rozpędzone porsche czy ferrari. Domy, wiele z nich

ukryto za murami i żywopłotami, reprezentują wszystko – od palladiańskich pałaców po bezstylowe pudła. Stoją ściśnięte jak pasażerowie w godzinach szczytu, balansują na krawędzi ulicy. Tutaj wystarczy odpowiednio zmrużyć oczy i wzgórza wydają się dygotać, choć ziemia jest nieruchoma.

Plusem są zapierające dech w piersi widoki, jedne z najlepszych w LA, i siedmio- do ośmiocyfrowych ceny działek.

Dwudziestoosmioletni złodziej muzyki musiałby mieć poważne dochody, żeby coś tu wyrwać, i oczywistą odpowiedzią były prochy. Mimo to, kiedy przekazywałem Milowi, że Patty nie była zaangażowana w handel narkotykami, tak właśnie myślałem. List Jordana był osobisty, przebijała z niego wściekłość z powodu utraty poczucia bezpieczeństwa, a nie zmartwienie wynikające z odcięcia źródła dostaw.

Grzechem Patty było to, że robiła swoje za dobrze.

A jednak dopuściła się innej zbrodni, czegoś na tyle poważnego, by dręczyło ją sumienie przez całe lata. I właśnie dlatego prawdopodobnie umarł Lester Jordan.

Kiedy dotarłem pod sklep, Milo wysiadł z nieoznakowanego samochodu, rozłożył mapę i zastanawiał się na głos, czy topografia Oriole Drive umożliwia znalezienie dobrego punktu obserwacyjnego. Kopertę bąbelkową wziął bez słowa, wrzucił ją na fotel pasażera i wrócił do mapy.

Przyjechała Petra swoją hondą.

We dwójkę pochylili się nad siatką ulic, postanowili zaparkować na dole Oriole i dalej pójść pieszo. Mieliśmy podjechać samochodem Petry, bo nie rzucał się w oczy.

– Nie jest tak bajerancki jak miejscowe – powiedziała, stukając w maskę – ale może pomyślą, że jestem czyjąś asystentką.

Pojechała na północ Doheny Drive, sprawnie zmieniając biegi.

– Niezła praca drążkiem, detektyw Connor – pochwalił Milo.

– Musiałam prowadzić lepiej niż moi bracia.

– Kwestia samooceny?

– Kwestia przeżycia.

Chyba co druga posiadłość była w budowie albo remontowana i dawało się to we znaki: kurz, hałas, robotnicy przebiegający przez jezdnię, pozostawione przez ciężki sprzęt bruzdy w asfalcie.

Im wyżej wjeżdżaliśmy, tym mniejsze i pospolitsze stawały się domy, niektóre były ewidentnie pozostałościami rozparcelowanych starych posesji. Oriole Drive zaczynała się od numeru tysiąc trzysta. Zaparkowaliśmy i ruszyliśmy stromo pod górę.

Długie, szczupłe nogi Petry były stworzone do wspinaczki, a dla mnie, dzięki bieganiu, stromizna nie stanowiła większego wyzwania. Ale Milo zasapał się i ze wszystkich sił próbował to ukryć.

Petra miała na niego oko. Wysforował się przed nas.

– Umiecie... robić... masaż... serca? – wychrypiął.

– W zeszłym roku powtórzyłam kurs – odrzekła Petra – ale nie śmiej próbować, poruczniku.

Zerknęła na mnie. Załamalem rękę.

Chrobot jego pustynnych butów wyznaczał rytm naszego marszu.

Przy numerze tysiąc czterechsetnym stał znak „nie ma przejazdu”.

Numer tysiąc czterysta sześćdziesiąty drugi znajdował się albo na samym szczycie wzgórza, albo tuż-tuż.

– Och, doskonale – sapnął Milo.

Potarł krzyż i podreptał dalej. Minęliśmy olbrzymi nowoczesny budynek, potem kilka pospolitych pudełek z lat pięćdziesiątych. W Orwellovskim dialekcie znanym jako gadka pośrednika byłyby „uroczymi siedliskami z połowy ubiegłego wieku”.

Fragment o „powalających widokach” byłby prawdą.

Milo parł naprzód. Wytarł twarz chusteczką, wziął głęboki oddech i wskazał palcem.

Pusta działka tam, gdzie powinien stać dom pod numerem tysiąc czterysta sześćdziesiątym drugim.

Pozostała płaska łacha brązowej ziemi, niewiele większa od stanowiska dla przyczepy kempingowej i otoczona drucianą siatką. Brama była otwarta. Na płocie wisiało pozwolenie na budowę.

Na drugim końcu działki, parę kroków od skraju urwiska, mężczyzna wpatrywał się w spowitą smogiem panoramę.

Milo i Petra rozejrzeli się po samochodach w okolicy. Najbliżej stało złote bmw 740, zaparkowane na końcu ulicy.

– Samochód niewiele większy od działki – powiedział Milo. – Dostatki LA.

– Dlatego właśnie nie maluję krajobrazów – oświadczyła Petra.

Nieświadom naszej obecności mężczyzna zapalił papierosa. Milo zakaszłał.

Facet się odwrócił.

Petra pomachała.

Nie odwzajemnił gestu.

Weszliśmy na działkę.

Opuścił papierosa, przyglądając się nam.

Tuż po czterdziestce, około metra siedemdziesięciu pięciu, masywne barki, grube ręce i uda, twardy, okrągły brzuch. W kwadratowej czerstwej twarzy dominował kanciasty podbródek. Mężczyzna miał na sobie bladoniebieską koszulę z wywijanymi mankietami, ciężkie złote spinki w kształcie samolotów, wyprasowane w kant granatowe spodnie i przykurzone, czarne mokasyny z krokodylej skóry. Górny guzik jego koszuli był rozpięty, ukazując siwe włosy i złoty łańcuch. Prawy nadgarstek mężczyzny okalał cienki, czerwony sznurek, przy pasku wisiały komórka i pager.

Przylegające okulary przeciwsłoneczne zasłaniały okna jego duszy. Reszta twarzy zastygła w masce nieufności.

– To teren prywatny. Jeśli chcecie popatrzeć za darmo, jedźcie na Mulholland.

Petra pokazała odznakę.

– Policja? Co on, zwariował?

– Kto, proszę pana?

– On. Troupe, prawnik. – Skinął głową w stronę domu na południu.

– Tłumaczyłem mu, że wszystkie pozwolenia mam w porządku, nic tu nie poradzicie.

Jakiś akcent, znajomy, ale nie mogłem go umiejscowić.

– Co teraz, narzeka na hałasy? Tydzień temu niwelowaliśmy, jak można niwelować bez hałasu?

– Nie przyszliśmy w tej sprawie, panie...



– Avi Benezra. A więc czego chcecie?

Skojarzyłem akcent. Kilka lat temu współpracowaliśmy z izraelskim nadkomisarzem Danielem Sharavim. Akcent Benezry był ostrzejszy, ale podobny.

– Szukamy mieszkańców spod numeru 1462 – wyjaśniła Petra.

Benezra zdjął okulary, ukazując łagodne, orzechowe oczy, zmrużone w wyrazie rozbawienia.

– Cha, cha. Bardzo śmieszne.

– Bardzo byśmy chcieli, żeby to było śmieszne, proszę pana.

– Mieszkańców? Może robaki i dżdżownice. – Benezra się zaśmiał.

– Kto jest waszym źródłem informacji? CIA?

– Od jak dawna nie ma tu domu, proszę pana?

– Od roku. – Gest kciukiem w stronę sąsiedniego domu. – Troupe miał przez rok spokój i się rozpuścił.

– Kłótlivy gość?

– Kłótlivy dupek – odparł Benezra. – Prawnik.

– Jest w domu?

– Nigdy nie ma go w domu – powiedział Avi Benezra. – Dlatego jest wariatem, że narzeka. Może wy mu powiecie, żeby przestał się mnie czepiać. Wiecie, czemu on się wścieka? Chciał kupić tę działkę, zbudować tu basen. Ale nie chciał zapłacić tyle, ile jest warta. A teraz ja nie chcę sprzedawać. Sam się pobuduję. Czemu nie? – Machnął ręką, wskazując widok.

– To będzie coś, samo szkło, widoki na Palos Verdes.

– Ślicznie tu – przyznała Petra.

– Tym się zajmuję – oznajmił Benezra. – Buduję, jestem budowląncem.

Czemu by w końcu nie dla siebie?

– A więc wyburzył pan dom rok temu?

– Nie, nie, nie, rok temu stał pusty. Wyburzyłem pięć miesięcy temu i od razu on mnie zaczął doprowadzać do szału, ten drań, poskarżył się do nadzoru, do burmistrza. – Zakręcił palcem w okolicach skroni. – W końcu dostałem zgodę.

– Od jak dawna jest pan właścicielem tej nieruchomości, panie Benezra?

Benezra się wyszczerzył.

– Chce pani kupić?

– Chciałabym.

– Kupiłem pięć lat temu, dom był rudera, ale to! – Kolejny zamasztył gest w stronę widoku.

Zaciągnął się papierosem, osłonił oczy dłonią, popatrzył na pasażerski odrzutowiec, startujący z Inglewood.

– Dam tyle szkła, ile mi pozwolą te nowe przepisy o energii. Dopiero co skończyłem budować śliczny śródziemnomorski dom na Angelo Drive, osiemset pięćdziesiąt metrów, marmur, granit, kino domowe, już miałem sprzedawać, a tu moja żona mówi, że ona chce tam zamieszkać. W porządku, czemu nie? A potem ja dostaję rozwód, a ona dom. Co, miałem walczyć?

– Wynajmował pan kiedyś ten dom komuś o nazwisku Blaise De Paine?

– O rany – rzucił Benezra. – Temu. Tak, on był ostatni.

– Kłopotliwy najemca?

– Dla pani zdemolowanie wszystkich pokoi i niepłacenie to kłopot? Dla

mnie to kłopot. Moja wina. Złamałem zasady, zostałem wyciupciany.

– Wyciupciany? – zdziwiła się Petra.

– Jestem uprzejmy przy paniach.

Zaśmiała się.

– Które zasady pan złamał?

– Zasady Aviego. Dwa miesiące z góry i kaucja. Od niego wziąłem za miesiąc, bez kaucji. Głupio, mogłem się domyślić po tym, jak wyglądał.

– Jak wyglądał?

– Rock and roli – powiedział Benezra. – Fryzura, wie pani. Ale był polecony.

– Przez kogo?

Benezra założył okulary.

– Przez jednego faceta.

– Jakiego faceta, proszę pana?

– Czy to ważne?

– Być może.

– Co on zrobił?

– Kto go polecił? – spytała Petra.

– Pani posłucha – rzekł Benezra – ja nie chcę żadnych problemów.

– Jeśli nic pan nie zrobił...

– Ja nic nie zrobiłem. Ale ten facet, który go polecił, on jest trochę sławny, wie pani?

– Kto to, proszę pana?

– Nic mi nie wiadomo o jego problemach.

– Czyich problemach?

Benezra wciągnął powietrze do płuc, łapczywie zaciągnął się

papierosem.

– Dla mnie pracował legalnie. Co robił dla innych, to ja nie chcę wiedzieć.

– Proszę pana – zirytowała się Petra – o kim tu w ogóle mowa?

– O facecie, którego wynająłem.

– Do czego?

– Do śledzenia żony. Chciała dom przy Angelo, osiemset pięćdziesiąt metrów, żeby się w nim łądaczyć, w porządku. Chciała biżuterię, w porządku. Ale moją łódź? Nieruchomości, które miałem, zanim się poznaliśmy? Bardzo, bardzo, bardzo nie w porządku. Wiedziałem, co robiła z wie pani kim, może ten facet to udowodni, nie będzie się za bardzo rzucała.

– W Kalifornii mamy rozwody bez orzekania o winie.

– Oficjalnie tak – zgodził się Benezra. – Ale ona miała bogatych przyjaciół, bale charytatywne, lunche w Spago. Nie będzie dobrze wyglądać, jak wszyscy zobaczą, że nie jest taka perfekt. Wynająłem go, żeby zebrał dowody.

– Mówimy o prywatnym detektywie.

– Aha.

– Bo pana żona...

– Jest pani kobietą. Jak pani myśli, co zrobiła?

– Puszczala się?

– Nie puszczała. Jeden facet, jej lekarz od oczu. – Postukał w czarne szkła. – Zapłaciłem dziesięć tysięcy za laserową operację, żeby nie musiała nosić kontaktów, koniec ze swędzeniem. A ona mi odpłaca inną terapią.

Zaśmiał się.

– To dobrze, że potrafi się pan z tego śmiać – zauważyła Petra. – A co, mam dostać wrzodów żołądka?

– Jak się nazywa ten prywatny detektyw?

– To ten sławny – powiedział Benezra. – Fortuno.

– Mario Fortuno.

– Aha. Ciągłe siedzi?

– Z tego co wiem, tak, proszę pana.

– I dobrze. Wziął pieniądze, nic nie zrobił. O tych innych sprawach nie mam pojęcia.

– Czy Fortuno mówił, że zna Blaise'a De Paine'a?

Benezra zaczął odliczać na palcach.

– Znajomy znajomego znajomego znajomego. „Ale to w porządku facet, Avi, zaufaj mi”. – Zaśmiał się głośniej. – Może uciekł mi jeden znajomy.

– Co jeszcze Fortuno mówił panu o De Paine?

– Nic więcej, byłem głupi, ale pomyślałem, że taki facet pracuje dla mnie, czemu miałby mnie wyciupciać? Zszedłem nawet z czynszu, bo to była ruina, miałem ją niedługo wyburzać. – Odwrócił się znów od urwiska.

– Popatrzcie na to.

Petra pokazała mu jedno ze ściągniętych z internetu zdjęć z imprezy.

– Czy to człowiek, o którym mowa?

– To on. Co zrobił?

Na widok zdjęcia z prawa jazdy Mosesa Granta pokręcił głową.

– Tego nigdy nie widziałem. Kto to, gangster z Watts?

Widząc Roberta Fiska uniósł brwi.

– A ten tu był, widziałem go przynajmniej dwa razy. Może tu mieszkał, chociaż umowa dotyczyła tylko jednej osoby, to było pięćdziesiąt pięć metrów, jedna łazienka, jedna sypialnia. W latach pięćdziesiątych stał tu garaż tego drania, kupił dwa lata temu, wszystko chciałby poskładać do kupy, ale nie zapłaci rynkowej ceny. Tak mnie wścieka, zamierzałem zostawić trochę zieleni, ale teraz nie ma mowy, dojdę na centymetry do granicy działki.

Petra pomachała zdjęciem Fiska.

– Czemu pan myśli, że ten człowiek mógł tu mieszkać?

– Raz przyjechałem po czynsz, i tylko on był w domu. Bez koszuli, wariackie tatuaże, robił ćwiczenia pod oknem, na macie, wie pani? Judo, karate, coś takiego, wszędzie dookoła ubrania i śmieci. Próbowałem pogadać. Uczyłem się krav magi, izraelskiego karate, w wojsku. Odpowiada tak, zna, a potem zamyka oczy i wraca do oddychania i prostowania rąk.

Mówię przepraszam, że przeszkadzam, ale co z czynszem. A on, że nic nie wie, że jest w gościach. Te tatuaże, wszędzie tu – dotknął piersi – i na szyi. To zły człowiek?

– Chcielibyśmy z nim porozmawiać. Co jeszcze może nam pan powiedzieć o De Painie i Mario Fortunie?

– To wszystko. – Benezra spojrział na zegarek. – Wynająłem go, żeby ją śledził. On mówi, że ona ciupcia się z doktorem od oczu, dziękuję bardzo, wielki pan detektyw. Tyle to ja wiem sam, bo ma dobry wzrok, a dalej chodzi na wizyty. – Pokręcił głową. – Trzyście tysięcy dolarów za coś takiego, dziękuję bardzo. Powinien zgnić w pudle.

– A więc nic więcej nie zrobił? – spytał Milo.

– Ciągłe wymówki. To wymaga czasu, Avi. Musimy mieć pewność, że to będzie dowód w sądzie, Avi. Gabinet doktora od oczu jest zamknięty, Avi, to może kosztować trochę więcej, Avi. – Szeroki uśmiech niemal rozpołowił jego twarz. – W końcu domyśliłem się, że jestem ciupciany podwójnie. To ja sobie myślę, że może zwrócę się do prawnika od rozvodu, to on polecił mi Fortuno. Dzwonię do niego, a on mówi, że Fortuno jego też orznął.

– Jak?

– Wynajął go, żeby napisał mu jakieś dokumenty, nie zapłacił.

– Nazwisko prawnika, proszę.

– Oj – powiedział Benezra. – To się robi skomplikowane. Dobra, czemu nie, już z nim skończyłem. Marvin Wallace, Roxbury i Wilshire.

Benezra zaciągnął się po raz ostatni papierosem, zdusił go w palcach, pstryknął przez dziątkę.

– Ciągłe tylko wymówki, dlaczego nie robi swojej roboty, ten Fortuno. Wreszcie ma dobrą.

– Jaka? – spytała Petra.

– Tę, którą wy mu załatwiliście. Wsadziliście go do pudła.

Zostawiliśmy Benezrę podziwiającego widoki i poszliśmy w dół Oriole Drive.

Petra zadzwoniła do kapitana Stuarta Bishopa i nakreśliła mu sytuację, po czym się rozłączyła.

– Podzwoni, ale chce się spotkać.

– Kiedy? – spytał Milo.

– Jak tylko wrócimy do Hollywood.

– My?

– Ty i ja, Stu wierzy w komunikację międzywydziałową. – Odwróciła się do mnie. – Twoja osoba również będzie mile widziana. Kazał ci podziękować za pomoc siostrzeńcowi.

W zeszłym roku syn młodszej siostry Bishopa, przedszkolak, wystraszył się wieczornych wiadomości. Dobrze wychowane dziecko, wystarczyło kilka sesji.

Tajemnica zawodowa pozwoliła mi się tylko uśmiechnąć.

Petra odpowiedziała uśmiechem.

– Tak myślałam, że to właśnie powiesz.

Gabinet kapitana Hollywood Division był skromnym, białym narożnym pomieszczeniem; ożywiały go szkolne rysunki szóstki jasnowłosych dzieci Bishopa i mnóstwo rodzinnych fotografii. Biały kubek BYU Cougarsów stał na komodzie w towarzystwie butelek wody. Przez uchylone na pięć centymetrów okno do środka wpadały powietrze, upał i uliczny hałas.



Stu był szczupłym, gładko ogolonym mężczyzną około czterdziestki, o czujnych oczach i falujących włosach, posiwiałych na skroniach. Nosił plecione, skórzane szelki na różowej koszuli, turkusowy krawat, kraciaste spodnie od garnituru i lśniące pantofle. Kraciasta marynarka wisiała na wieszaku z giętego drewna. Sięgnął po wodę, poczęstował nas własnymi butelkami. Milo przyjął.

Syn wpływowej rodziny mormonów z Flintridge odszedł z departamentu jako detektyw trzeciej klasy, przerywając dobrze zapowiadającą się karierę, by zaopiekować się chorą na raka żoną. Kathy Bishop wyzdrowiała, ale Stu dalej pracował w ochronie, czasem dorabiając jako konsultant filmowy, dopóki nowy komendant nie zwabił go z powrotem, mianując kapitanem.

Nowy komendant był kumplem od golfa ojca Stu, oftalmologa, ale mało kto się tego czepiał. Niemoralny mizantrop, którego Stu zastąpił, został zastrzelony przez zazdrosną żonę na parkingu; na jego pogrzeb poszło trzech policjantów, wszyscy z obowiązku. Dodając do tego uliczne doświadczenie Stu, jego reputację człowieka lojalnego wobec kolegów oraz umiejętność obłaskawiania góry bez zaprzędawania duszy, i miesiąc miodowy dał się jakoś znieść.

Jako dawny młodszy partner Stu, Petra mogła awansować do administracji. Na razie trzymała się pracy detektywa.

Stu nalał sobie do kubka wody, napił się i odchylił w fotelu.

– Jeśli chodzi o przyciśnięcie Fortuna, nie mogliście zabrać się do tego w lepszym czasie. Zainteresował się nim rząd federalny i nikt nie chce, żeby przeszkodziło w tym coś tak banalnego, jak morderstwo. Nie mówimy tu o wiedzy powszechnie dostępnej, ale dzwoniłem do San Luis

Obispo, gdzie oficjalnie odbywa karę, i dowiedziałem się, że miesiąc temu został przejęty przez agentów FBI i prokuraturę krajową i przeniesiony do aresztu w śródmieściu. Kiedy zadzwoniłem tam, usłyszałem milczenie, a potem skierowano mnie do biura federalnych w Gmachu Federalnym. Agent specjalny, którego znam, udawał nieśmiałego, ale w końcu sypnął, że Fortuno spędził ostatni miesiąc w hotelu na koszt podatników.

– I sypał od rana do wieczora – podsunął Milo.

– Mogę to sobie tylko wyobrazić.

– Mimo to – dodała Petra – że Fortuno tkwił w tym, co określamy znową milczenia i tak dalej.

– Trochę czasu w celi zmienia człowiekowi światopogląd – stwierdził Milo.

– Żebyś wiedział – powiedział Stu. – Zastępca dyrektora w San Luis mówił, że Fortuno podpadł paru bardzo złym ludziom.

– Myślałam, że San Luis to ośrodek wypoczynkowy.

– Mają tam korty tenisowe i pojedyncze pokoje, ale to jednak więzienie. Siedzą w nim ci durnie, którzy porwali gimbus w Chowchilla, i Charleton Jennings.

– Mordercy policjantów mogą grać w tenisa? – spytał Milo.

– Mogą, jeśli mają do odsiadki ponad trzydzieści lat. Gliniarze dookoła mnie zamilkli.

– Dowiedziałeś się, kogo Fortuno zamierza podkablować? – zainteresowała się Petra.

– Mam nieoficjalny cynk – odparł Stu. – Gdyby religia pozwalała mi się zakładać, postawiłbym na cwaniaków z gatunku adwokatów i bonzów show-biznesu.

Milo zagwizdał.

– Prosto na szczyt piramidy pokarmowej.

– Na pewno zapowiada się interesująco – zauważył Stu. – Niańki Fortuno nie są zadowolone, że mają się nim z nami podzielić, ale nie mogą ryzykować, że załatwimy ich przeciekami do prasy. Umowa jest taka, że możecie się z nim spotkać dzisiaj o siódmej, na godzinę, bez przedłużania. Podałem wszystkie trzy wasze nazwiska, uznałem, że doktor D. może chcieć faceta przeanalizować.

– Hotel oznacza leżankę – powiedziałem – czemu nie.

– Który to hotel? – spytała Petra.

– Jeszcze nie wiem. Ktoś zadzwoni do mnie o szóstej, a ja odezwę się do ciebie.

Zamachała rękami.

– Och, jaka tajemnica.

– Dzięki temu federalnym łatwiej zapomnieć, że przez większość czasu przekładają tylko papierki – zadrwił Stu. Przesunął rozpostartą dłoń po własnym biurku, wyszczerzył się wesoło. – Nie to, co my.

– Jeśli tęsknisz za krwią i flakami, zapraszam – rzuciła Petra.

– Uważaj, o co prosisz. – Stu włożył marynarkę. – Mam spotkanie budżetowe w śródmieściu. Pogadamy o szóstej, Petra. Miło było was zobaczyć, panowie. – Przytrzymał nam drzwi. – Wiem, że nie może pan nic powiedzieć – rzucił, kiedy go mijałem – ale jeszcze raz dzięki za Chada.

Loews Beverly Hills był typowym przykładem oszukańczej reklamy Westside, stojącym na Pico i Beverwil, kilometr na południe od miasta

przepychu. Pojechaliśmy każde swoim samochodem, oddaliśmy kluczyki parkingowemu, spotkaliśmy się w westybulu.

Te same ziemiste kolory, które widzieliśmy w Hiltonie.

Petra natychmiast to wychwyciła swoim okiem malarki.

– Witamy w Beżowym Świecie, wyobraźnię prosimy zostawić przed drzwiami.

Nikt nie zwrócił na nas uwagi, kiedy szliśmy do wind. Żadnych śladów dodatkowej ochrony, a gdy wysiedliśmy na jedenastym piętrze, korytarz był pusty.

Na pukanie Petry do drzwi apartamentu 112 odpowiedziała cisza. Potem stłumione kroki. Zabezpieczone łańcuchem drzwi uchyliły się na kilka centymetrów. Tyle tylko, by odsłonić powiększającą się źrenicę jasnego, piwnego oka.

– Dokumenty – rzucił chłopięcy głos.

Petra pokazała odznakę.

– Wszyscy.

Milo wyciągnął swoją. Na widok mojego identyfikatora głos spytał „Co to?”, ale nie skomentował daty ważności.

– Doktor Delaware to nasz konsultant behawioralny – wyjaśniła Petra.

– To nie jest sprawa dla profilerów – odparł głos.

– Wpuść ich – krzyknął drugi głos zza drzwi. – Nudno mi.

Drzwi się zatrzasnęły. Stłumione głosy najpierw się podniosły, potem umilkły.

Staliśmy w korytarzu.

– Trzeba było zabrać mojego astona martina z katapultowanym fotelem – powiedział Milo. – Wstrzeliłbym się prosto przez cholerne okno...

Drzwi otworzyły się na oścież.

– Agent specjalny Wesley Wanamaker – przedstawił się młody mężczyzna z włosami koloru piasku, w szarym garniturze, białej koszuli i niebieskim krawacie. Twarz miał tak samo chłopięcą jak głos. Spojrzał jeszcze raz na nasze dokumenty, w końcu się wycofał.

Dwupokojowy apartament bez jednego koloru jaśniejszego od ecru. Ściany pomalowane łatwą do mycia farbą obwieszane były dwuznacznymi obrazami. Zaciągnięte zasłony kryły widok, który na pewno spodobałby się Aviemu Benezrze. W powietrzu czuć było pizzę i pot. Na stole stało zatłuszczone pudełko z pizzerii Domino.

Błady siwowłosy mężczyzna pomachał nam z beżowej kanapy na środku salonu. Około sześćdziesiątki, wąski w ramionach, z garbem, nad którym jeżyły mu się włosy. Miał na sobie czarny kaszmirowy sweter z wycięciem w serek, kremowe spodnie, wyglądające na nowe, i czarne mokasyny od Gucciego bez skarpet. W ręku trzymał szklanekę czegoś pomarańczowego. Kiedy podeszliśmy, mrugnął do Petry i ten sam głos, który ponaglał nas do wejścia, powiedział:

– Kopeć lat, panowie. I pani.

– Rzeczywiście kopeć, panie Fortuno – odparła Petra. – Czyli nigdy.

– Gdy człowiek jest zakochany, wszyscy są jego przyjaciółmi – wyrecytował Fortuno.

– W takim razie, skoro wszyscy jesteście kumplami, na pewno z przyjemnością powie nam pan wszystko, co powinniśmy wiedzieć o Petersonie Whitbreadzie, znanym także jako...

Agent specjalny Wesley Wanamaker stanął między nią a Fortuno.

– Zanim przejdziemy dalej, musimy ustalić pewne zasady. Pan Fortuno

jest skazanym przestępcą przebywającym pod opieką FBI. W związku z tym wszystkie jego ruchy i rozmowy muszą być przez cały czas monitorowane przez FBI. Nie wolno zadawać żadnych pytań dotyczących przyszłego federalnego dochodzenia. Będziecie mieli godzinę na rozmowę z panem Fortuno na dozwolone tematy... – Rozpiął marynarkę i wyjął kieszonkowy zegarek. – ... z której minęły już trzy minuty. Zrozumiano?

– Tak jest, sir – potwierdziła Petra.

Milo, stojący za plecami Wanamakera, bezgłośnie powiedział „Dupek”.

Wanamaker się do niego odwrócił.

– Jak wyżej, agencie W.

– Doktorze – zwrócił się do mnie Wanamaker – muszę także usłyszeć pana akceptację, skoro przebywa pan tu w służbie miejscowego wymiaru sprawiedliwości.

– Potwierdzam.

– Dacie wiarę? – wtrącił się Fortuno. – Jakbym był kimś ważnym.

Wanamaker odchylił marynarkę, odsłaniając pistolet pod pachą. Znów zerknął na zegarek.

– Cztery minuty minęły.

– Możemy zaczynać? – spytała Petra.

Wanamaker się odsunął. Fortuno podłubał w nosie.

Nigdzie nie było widać żadnych krzeseł, więc stanęliśmy przed nim. Jego rażny uśmiech osłabiała zielonkawa, więzienna cera. Siwe włosy miał rzadkie, przetłuszczone, ulizane do tyłu i kręcone za uszami. Cofnięty dziobaty podbródek, bulwiasty nos haftowany pijackimi wybroczynami. Zmrużone, rozbiegane oczy koloru popiołu z cygara, ściągane w dół przez obwisłe worki skóry. Znów wsadził palec do nosa, potarł palcem

wskazującym o kciuk.

Kolejny leniwy uśmiech, krzywy i gadzi. Krzyżówka człowieka z legwanem.

– Panie Fortuno – zaczęła Petra – jesteśmy tu w sprawie Petersona Whitbreada, alias Blaise De Paine. Proszę nam powiedzieć wszystko, co pan o nim wie.

– Kto powiedział, że cokolwiek mi o nim wiadomo? – powiedział Fortuno.

Miał bezbarwny środkowozachodni akcent.

– Polecił go pan jako najemcę domu przy Oriole Drive.

– Kiedy to było?

– Niedługo przed tym, jak poszedł pan do więzienia.

– Rany, pamięć mi chyba szwankuje. – Fortuno wskazał pudełko po pizzy. – Może za dużo węglowodanów.

Petra odwróciła się do Wanamakera.

– Kwestie pozafederalne nie podpadają pod obowiązek zeznawania – wyjaśnił.

– Czyli – stwierdził Milo – może się z nami droczyć, a pan będzie nam odmierzał czas.

– Boże broń – oburzył się Fortuno.

– Jeśli nie zamierza pan współpracować, Mario – rzekła Petra – niech pan nam powie od razu, i już nas nie ma.

Fortuno zeszytniał. Zmusił się do uśmiechu.

– Feministka.

Petra odwróciła się na pięcie. My za nią.

– Spokojnie – odezwał się Fortuno, kiedy doszła do drzwi. – Nie ma

czegoś takiego jak darmowy obiad.

– I to mówi ktoś – zauważył Milo – kto jest niańczony przez federalnych w czterogwiazdkowym hotelu.

Wanamaker zmarszczył brwi.

– Pani się nie obraża – powiedział Fortuno. – Nie chcę dania głównego, tylko *amusebouche*, czyli po francusku przystawki. I nie mówię o The Ivy ani Le Dome, ani lokalu Hansa Rockenwagnera, uwielbiam go.

– Znowu jedzenie? – obruszył się Wanamaker. – Już to przerabialiśmy. Nasz dzienny budżet jest z góry ustalony i nikt oprócz FBI nie jest uprawniony do...

– Nie mówię o potrawach, panie Dosłowny. – Do nas: – Ci ludzie nie mają pojęcia o metaforach i przenośniach.

– Anglistyka – rzucił Milo.

– Dziennikarstwo – odparł Fortuno. – Miejski College Chicago, zrobiłem rok, zanim dopadła mnie cała ta perfidia i nieprawda.

Petra dotknęła klamki.

– Jestem zdruzgotany – uzalił się Fortuno. – Dopiero przyszliście.

Nacisnęła klamkę i zrobiła krok na korytarz.

– Chcę pogadać z psychologiem – oświadczył Fortuno.

– Drzwi muszą być cały czas zamknięte – odezwał się agent specjalny Wanamaker.

– Żadnych rozmów solo, Mario – zapowiedziała Petra.

– O rany, następna dosłowna – westchnął Fortuno. – Co to jest, ta telewizja, gry wideo i mikrofałe w mózgu, nikt już nie czyta klasyków? – Machnął ręką. – Wracaj, skarbie, nie obrażaj się, naprawdę jestem towarzyskim człowiekiem.



– I stąd ten plastik i karabiny maszynowe w pana biurze?

– Ten temat jest zastrzeżony, pani detektyw – powiedział Wanamaker.

Aresztowanie Fortuna gazety opisywały od tygodni.

– Proszę zamknąć drzwi, pani detektyw.

Petra posłuchała, rzuciła Fortuno przeciągłe ponure spojrzenie.

– Ma pani wspaniałe, zniewalające oczy – rzekł Fortuno. – Bez obrazy, jestem uprzejmy, a nie lubieżny. Próbuję dać wam do zrozumienia, że być może jestem w stanie zaspokoić wasze oczekiwania w kwestii interesującego was problemu. Ale psycholog może z kolei uszczęśliwić mnie.

– Dziewięć minut – obwieścił Wanamaker.

Petra nie zwróciła na niego uwagi, podeszła bliżej do Fortuna.

– Być może jest pan nam w stanie pomóc?

– Rozwińmy to w „prawdopodobnie”.

– Czego pan chce od doktora Delaware’a?

– Podejdź bliżej, moja droga – zażądał Fortuno. – Od rozmawiania na taką odległość boli mnie gardło. Te sztuczne chłodziwa w klimatyzacji wysuszają zatoki, a oni nie pozwalają mi otworzyć okna. Ani odsunąć zasłon, żyję tu jak suseł.

– I tak jest ciemno – powiedział Wanamaker. – Niech pan przestanie narzekać.

– Skąd mam wiedzieć, że może nam pan pomóc? – spytała Petra.

– Co pani powie na to – odparł Fortuno. – Osobnik, o którym mowa, jest pozbawionym talentu gówniarzem, który kradnie piosenki innym i skleja je w coś, co w mowie potocznej nazywa się miksami.

Wszyscy troje wróciliśmy na poprzednie miejsca przed kanapą.

– Doktorze Alexandrze Delaware – przemówił Fortuno – ma pan na mieście renomę człowieka, który pomaga dzieciom. Lęki, fobie, podobał mi się pana artykuł o problemach z zasypianiem. Przydałoby mi się dla moich własnych. Mam ośmioro. Z pięcioma różnymi żonami, ale to inna sprawa. „Journal of Nervous and Mental Disease”, lipiec, pięć lat temu. Czy pamięć mi służy?

Moje nazwisko podano federalnym kilka godzin temu. Fortuno zdołał mnie sprawdzić.

– Co mogę dla pana zrobić? – spytałem.

– Jeden z moich potomków, Philip, ma sześć lat. Spokojny, bardzo cichy chłopiec, rozumie pan, o co mi chodzi?

– Nieśmiały?

– To też. Wyjątkowo cichy. Siedzi, i rysuje, nie wychodzi na dwór się pobawić, nie lubi sportów. Jego matka jest młoda, niezbyt doświadczona w temacie rodzicielstwa. Philip robi z nią co chce, niemożliwie go rozpuściła. Chodził do prywatnej szkoły, ale teraz jest w publicznej ze względu na to, że mam chwilowe kłopoty finansowe. Czy wyrażam się z sensem?

– Philip ma problemy w nowej szkole.

– Inne dzieci – ciągnął Fortuno – najwyraźniej go nie szanują. Do szkół publicznych chodzą twarde, małe szczury. Silne dziecko, odporne, pewnie by sobie poradziło. Philip, który jest taki cichy, nie daje sobie rady. Gdybym przy nim był, być może mógłbym mu pomóc, ale nie ma mnie i odczuwam przez to wyrzuty sumienia. Jego matka opowiada mi, że Philip wraca do domu z płaczem. Czasami źle sypia. – Odchrząknięcie. – Zaczął także miewać... wypadki. Mniejsze i większe. Nie przysparza mu to

popularności wśród rówieśników. Ja, nie będąc przy nim, czuję się za to częściowo odpowiedzialny. A potem dowiaduję się, że mnie pan odwiedzi, i doznaję objawienia: święta Agnieszka przysłała mi kogoś, kto może zaradzić tym problemom.

– Z przyjemnością przyjmę Philipa.

– Jak mówiłem, moje zasoby finansowe są ograniczone. Przewiduję jednak, że w przyszłości się to zmieni, i kiedy ta chwila nadejdzie, zostanie pan należycie wynagrodzony.

– Rozumiem.

Fortuno klasnął w dłonie, jakby przyzywał służbę.

– Doskonale. Kiedy przyjmie pan Philipa?

– Niech jego mama do mnie zadzwoni.

– Tak zrobi. Mieszkają w Santa Barbara.

– To sto pięćdziesiąt kilometrów stąd. Może lepiej by było, gdybym polecił państwu kogoś na miejscu.

Fortuno zacisnął usta, a jego oczy zmieniły się w czarne kreski.

– Może nie.

– To daleka droga dla małego dzie...

– Pan pojedzie do Philipa – rzekł. – Kiedy będę w stanie, zwrócę panu za paliwo i czas, od drzwi do drzwi, jak się płaci prawnikom. Jak dawniej płacono mnie. Nie mówię o długoterminowej freudowskiej czy jungowskiej psychoanalizie. Jedna wizyta, może dwie, trzy-cztery, konsultacja. W jednym z tych artykułów napisał pan, że dużą część dziecięcych terapii można załatwić krótkoterminowo. „Journal of clinical and consulting...”

– Nie mogę tego zagwarantować w każdym przypadku, panie Fortuno.

– Nie proszę o gwarancję, doktorze Delaware. Dwie sesje, może trzy, cztery. Potem, jeśli uzna pan, że potrzebami Philipa najlepiej zajmie się miejscowy ekspert, zgodzę się. Ale to pan zacznij, doktorze Delaware. Spotka się pan z moim synem twarzą w twarz i przekaże mi, co pan myśli. To bardzo cichy chłopiec.

– W porządku – zgodziłem się.

Znów klaśnięcie.

– Doskonale. Kiedy?

– Niech jego matka do mnie zadzwoni.

– Poproszę coś bardziej konkretnego. – Polecenie, nie prośba.

Wyprostował się, unoszony chwilą władzy.

– Niech zadzwoni, a ja obiecuję, że pojadę do niej i spotkam się z Philipem, gdy tylko będę mógł – powiedziałem. – Pan zrobił, co w pana mocy, reszta zależy od niej.

Fortuno sapnął.

– Niedługo do pana zadzwoni. Może Philip będzie mógł odwiedzić pana w tym ładniutkim białym domku. Obejrzyć te ładne rybki w stawie.

Żołądek mi się ścisnął.

– Z przyjemnością mu je pokażę.

– Dość tych pogawędek – wtrąciła się Petra.

Blaise De Paine – powiedział Fortuno. – Paskudny gówniarz.

– Jak to?

– Nie pochwalam złodziejstwa. Jednak... – Odchrząknięcie. – W moim zawodzie zmuszony jestem stykać się z osobnikami wątpliwej moralności. Tak samo jak państwo, detektywi. – Do mnie: – Pan również, zważywszy na pana długie powiązanie z wymiarem sprawiedliwości. Mój Philip będzie dla pana wytchnieniem.

– Jakie interesy robił pan z De Paine’em? – spytała Petra.

– Przez swój zawód, jakikolwiek by był, przesiaduje w różnych klubach i tym podobnych. Wiele tego rodzaju lokali ma tak zwane łoże VIP-ów, gdzie ludzie robią się mniej ostrożni, nie wspominając o toaletach wyposażonych przez osobników wątpliwej etyki w ukryte otwory i kamery.

– Sprzedawał panu kompromitujące zdjęcia sławnych ludzi.

– Ostrożnie – ostrzegł Wanamaker.

– Wesley, jestem tym dobrym ludziom coś winien.

– Ostrożnie.

Fortuno westchnął.

– Stąpając tu po cienkim jak papier lodzie, mogę, jak sędzę, powiedzieć wam w granicach aprobaty specjalnego agenta Wanamakera, że pan De Paine znalazł się w posiadaniu danych dotyczących różnych osób interesujących mnie z przyczyn, w które nie mogę i nie będę się zagłębiał.

– Czy sprzedaje też narkotyki? – spytała Petra.

Fortuno zerknął na Wanamakera. Agent milczał.

– Nie byłbym wstrząśnięty, gdyby tak było. Nie dysponuję jednak wiedzą z pierwszej ręki o takich transakcjach, a także żywię silną awersję do substancji toksycznych, ponieważ odtleniają organizm. – Podniósł szklankę soku pomarańczowego. – Witamina C.

– Jakimi substancjami handluje De Paine? – Jego działalność określiłbym jako... eklektyczną.

– Heroina?

– Nie byłbym zaskoczony.

– Kokaina?

– Tak samo.

– Ecstasy?

– Detektyw Connor – powiedział Fortuno – omawiany młody człowiek jest bardzo przedsiębiorczy. To typ, z którym oboje, jak miemam, jesteśmy zaznajomieni.

– Jaki to typ?

– Pokolenie, ja”. Tak wielu z nich łaknie gwiazdorstwa, ale nie zostało obdarzonych talentem. Nie wspominając już o moralnym kręgosłupie.

– Co dawał pan De Paine’owi za jego informacje? – spytała Petra.

Wanamaker pokiwał palcem.

– Ee.

– Kupował pan od niego dane osobiste za narkotyki?

– Proszę zmienić temat, pani detektyw – polecił Wanamaker.

Policzki Fortuna zadrżały.

– Wesley, czy w czasie całego mojego związku z tobą, twoimi kolegami i przełożonymi, ktoś, powtarzam, ktoś, znalazł choćby strzęp

dowodu sugerującego, że miałem aktywny kontakt z narkotykami inny niż pomaganie dzieciom moich klientów wyrwać się z nałogu?

Wanamaker popatrzył na zegarek.

– Jak długo współpracował pan z De Paine’em? – spytała Petra.

– Jakiś czas – odparł Fortuno.

– Miesiące czy lata?

– To drugie.

– Ile lat?

– Musiałbym zajrzeć do archiwów.

– Niech pan strzela.

– Pięć to ładna, okrągła cyfra.

– A Robert Fisk?

– Kto to, pani detektyw?

– Znajomy De Paine’a. – Petra pokazała Fortuno zdjęcie.

– Wygląda na wyjątkowo nieciekawą osobę. Złe oczy... To narzędzie przemocy De Paine’a?

– Czemu pan pyta?

– Bo De Paine to mięczak, który unika konfrontacji. Bo nie poświęciłibyście swojego czasu na wizytę u mnie z powodu kradzieży sklepowych.

– Nie zna pan Fiska.

– Nigdy o nim nie słyszałem, nie widziałem go na oczy.

– A Moses Grant? – Zaprezentowała zdjęcie z prawa jazdy.

– Tę osobę widziałem w towarzystwie De Paine’a – przyznał Fortuno.

– Wydaje mi się, że De Paine określał go mianem dyskdzokeja. Kolejny niespełniony muzyk. Jeśli można to nazwać muzyką.

– Co nazwać?

– To, co w mniej postępowych czasach zostałyby nazwane rytmami z buszu. Jako rodowity obywatel Chicago wolę Sinatrę.

– Sinatra był z New Jersey.

– Jego muzyka jest bardzo ceniona w Chicago.

– Proszę mi opowiedzieć o Mosesie Grancie.

– Widywałem go w towarzystwie pana De Paine’a kilka razy, trzy albo cztery. Nigdy się w mojej obecności nie odzywał. Odniosłem wrażenie, że to lokaj. Wydaje mi się, że widziałem go prowadzącego samochód pana De Paine’a.

– Jaki samochód?

– Dwa samochody, ściśle rzecz biorąc. Pałący jak smok hummer i lexus sedan. Lexus należy do matki pana De Paine’a.

– Mary Whitbread.

Fortuno parsknął śmiechem.

– Co w tym śmiesznego? – spytała Petra.

– To, jak doszła do tego nazwiska.

– Zna ją pan.

– To długa historia – odparł Fortuno.

– Mamy czas.

– Czterdzieści jeden minut, mówiąc dokładnie – wtrącił Wanamaker.

Fortuno zdjął mokasy, wcisnął palec między palce u stóp, pogrzebał, podrapał, wyjął coś, co go chyba zaintrygowało.

– Mary Whitbread – przypomniała Petra.

– Po rodzicach nazywa się Maria Baker. Pochodzi z Chicago.

– Dawna sąsiadka? – spytała Petra.



– Dorastaliśmy w innych dzielnicach. Poznałem Marię w wyniku swoich działań w wymiarze sprawiedliwości.

– Był pan policjantem?

– Rozważałem zostanie policjantem. Bardzo krótko, ta perfidia i korupcja... bez urazy, drodzy stróże prawa, ale Chicago było wtedy ciekawym miastem i czasem nie udawało się odróżnić dobrych od złoczyńców.

– Co łączyło pana z policją?

– Byłem doradcą do spraw bezpieczeństwa różnych politycznych figur. Czasami prowadziło to do współpracy z waszymi odpowiednikami z Wietrznego Miasta. Z powodu mojej znajomości z różnymi osobami włoskiego pochodzenia...

– Ee, nie – przerwał Wanamaker.

– Wesley – westchnął Fortuno – w którymś momencie musisz wyrobić w sobie poczucie zaufania. Nie mam zamiaru naruszać naszej umowy, choćby dlatego, że naruszenie jej nie leżałoby w moim interesie. Wydarzenia, które interesują detektyw Connor, są o wiele wcześniejsze niż którekolwiek z tych, które interesują was, i po prostu nakreślam tło...

– Proszę je nakreślić inaczej.

Fortuno ściągnął wargi, podrapał się w blade, różowe dziąsło.

– Poznałem Marię Baker ponad trzydzieści lat temu.

– Gdzie? – spytała Petra.

– Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, pierwszy raz w klubie o nazwie The Hi Hat. Maria tam tańczyła, podobnie jak w innych nocnych lokalach. – Jaszczurczy uśmiech. – Bez ubrania. The Hat i inne należały do różnych osób... śródziemnomorskiego pochodzenia. Od czasu do czasu Maria

wchodziła w romantyczne związki z niektórymi z tych osób, a także z innymi.

– Z innymi?

Fortuno się uśmiechnął.

– Z komikami, perkusistami, najróżniejszą zgrają. Marię było dość... łatwo zadowolić. Niestety, przyszła chwila, kiedy jedna z tych osób, określonego pochodzenia, zmarła w wysoce nienaturalny sposób i Maria Baker zaczęła się obawiać o własne bezpieczeństwo. Ja, niedawno przeprowadzony do Los Angeles, przez swoje znajomości w wymiarze sprawiedliwości w obu miastach, byłem w stanie ułatwić jej przejazd tutaj. Maria szybko się zaaklimatyzowała. Meteorologicznie i zawodowo.

– Jej zawodem był striptiz.

– Oraz inne gałęzie show-biznesu.

– Została agentką castingową – powiedział Milo.

Fortuno roześmiał się serdecznie.

– Co w tym śmiesznego? – spytała Petra.

– Kto wam to powiedział?

– Ona.

– Maria, Maria – westchnął Fortuno. Zanucił kilka taktów melodii z *West Side Story*. – To dopiero była muzyka, Leonard Bernstein... Drodzy państwo, jedyny udział Marii Baker w castingach polegał na zdejmowaniu ubrania przed dżentelmenami w Canoga Park.

– Aktorka porno? – spytała Petra.

– Jestem pewien, że nikt z nas tu nie jest wielbicielem tego gatunku – odparł Fortuno. – Wszyscy jednak wiemy, że prawdziwe Hollywood to właśnie Canoga Park.

– Mary Whitbread to jej sceniczny pseudonim? Nie brzmi zbyt sexy.

– Ten gatunek opiera się na kliszach, pani detektyw. Albo opierał się, kiedy efekt końcowy pokazywano jeszcze w kinach i wierzono, że fabuła ma jakieś znaczenie. Wśród popularnych motywów jest uwodzenie niewinnej pokojówki. Jednym z filmów, które odniosły jakiś sukces, była pełnometrażowa *Utrata niewinności*. Fabuła była wyświechtana, ale skuteczna. Wiktoriańska pokojówka jedzie do Londynu i jest uwodzona przez lordów, diuków i tym podobnych.

– Pokojówką była Mary Whitbread.

– Trzydzieści lat temu – powiedział Fortuno – miała urodę dziewczyny z sąsiedztwa. Reżyser uznał, że nadaje się tak idealnie, że wykorzystał jej prawdziwe nazwisko do stworzenia *nom de film*.

– Zamienił Baker na Whitbread\* [Baker (ang.) – piekarz, Whitbread (ang.) – chleb pszenny (przyp. tłum. )].

Fortuno zamknął oczy.

– Esencja naiwnej wiktoriańskiej czystości. Nawet z penetrowanymi wszystkimi otworami ciała.

– Kto był reżyserem?

– Dżentelmen nazwiskiem Salvatore Grasso. Zmarł.

– W wysoce nienaturalny sposób?

– Jeśli wylew uznać za nienaturalny.

– Naiwna czystość – odezwał się Miło. – Jest pan fanem jej dokonań.

– Wręcz przeciwnie, poruczniku Sturgis. Nudzą mnie. – Przymknął oczy. – Tak samo jak pana, jestem pewny.

– Czy pana stosunki z Mary stały się kiedykolwiek osobiste?

– Dla mnie – zauważył Fortuno – wszystko jest osobiste. – Odwrócił

się od Mila do Petry i uśmiechnął lubieżnie. – Czy ją ruchałem?

Nie drgnęła.

– Odpowiedź brzmi „tak”, ruchałem. Ruchałem ją, kiedy chciałem, na wszystkie sposoby, przy licznych okazjach. Nie czyni mnie to członkiem ekskluzywnego klubu. W relacjach tych nie było też emocji.

– Seks bez zobowiązań.

– Nie pani pokolenie to wymyśliło, moja droga.

– Proszę nam opowiedzieć o tym związku.

– Właśnie opowiedziałem.

– Pomógł jej pan przenieść się do LA, ustawił ją pan w pornobiznesie i skosztował towaru.

– Nie ustawiłem jej. Przedstawiłem ją pewnym osobom. Moje kosztowanie towaru odbywało się za obopólną zgodą.

– Blaise De Paine ma dwadzieścia osiem lat. Zna pan go od urodzenia.

– Znam.

– Co może nam pan o nim powiedzieć?

– Nic ponad to, co już powiedziałem.

– Jak wygląda związek De Paine’a i jego matki?

– Jeśli tak to można nazwać.

– Nie przepadają za sobą?

– Mary pewnie myśli, że jest cudowną matką.

– Nie jest?

– Aktorki – prychnął Fortuno. – Dla nich świat się kręci wokół nich samych.

– Kim jest ojciec?

Fortuno uniósł rękę.

– Jest coś, czego pan nie wie? – zdziwiła się Petra.

– Jest wiele, wiele rzeczy, których nie wiem, detektyw Connor. W tym wypadku ojcostwo byłoby ciężko ustalić. Jak już mówiłem, Mary nie była wybredna.

– Nie była?

– Nie miałem z nią kontaktu od dłuższego czasu.

– Dlaczego?

– Straciła zainteresowanie kurtyzaniem i znalazła sobie zastępczą pasję.

– Jaka? – spytała Petra.

– Nieruchomości. Ma kilka budynków, pobiera czynsze, wierzy, że to ją uszlachetnia.

– Jak zdobyła pieniądze na te budynki?

– W tradycyjny sposób – odrzekł Fortuno. – Pieprzyła się za nie.

– Z kimś konkretnym?

– Wręcz przeciwnie.

– Może jakieś nazwiska darczyńców?

– A może nie – wpadł jej w słowo Wanamaker.

– Nie interesuje nas żadna menda, którą on może wsypać – powiedziała Petra – jeżeli nie jest zamieszana w morderstwo.

– To nic nie zmienia.

– Czyje morderstwo? – spytał Fortuno.

– Mężczyzny, który nazywał się Lester Jordan.

Fortuno nie zareagował, ale włożył trochę wysiłku, żeby się nie poruszyć.

– Nie znam.

– Jest pan pewien?

– Tak pewien, że bardziej się nie da.

– Rany – zadrwiła Petra – już myśleliśmy, że jest pan chodzącym biurem informacji, a tu tyle dziur.

Fortuno znów wsadził palec do nosa, podłubał w nim z upodobaniem.

– Życie – powiedział – potrafi rozczarowywać.

– Z kim jeszcze zadawał się De Paine?

– Nie zwracam uwagi, z kim zadają się gówniarze.

– Nie lubi go pan.

– Nie ma...

– Kręgosłupa moralnego, wiem – rzekła Petra. – W przeciwieństwie do wszystkich innych pana zleceniodawców i klientów.

– Wiedza to potęga, pani detektyw. Prowadzę legalną działalność.

– Rząd federalny ma najwyraźniej inne zdanie.

Wanamaker odchrząknął.

– De Paine zdemolował dom, który wynajął od pana Benezry – wyjaśniła Petra – i nie zapłacił czynszu za kilka miesięcy.

– To mnie nie dziwi.

– Wiedział pan, że to oszust, ale go pan polecił?

– Pan Benezra prosił, żebym pomógł mu znaleźć na krótki czas lokatora do zapuszczonego domu, który i tak zamierzał wyburzyć. Przypadkiem rozmawiałem z Mary, a ona przypadkiem wspomniała, że jej syn szuka lokalu.

– Chociaż nie widzieliście się od jakiegoś czasu?

– Zadzwoiła do mnie.

– Po co?

– Żeby pomóc synowi znaleźć lokal.

– Gdzie wtedy mieszkał?

– Nie powiedziała.

– Mary Whitbread ma kilka domów – powiedziała Petra. – Dlaczego jej syn musiał szukać lokalu?

– Musielibyście ją o to zapytać.

– Nie chciała go mieć blisko siebie?

– To z pewnością możliwe – odparł Fortuno.

– Sprawiał jej kłopoty.

– Nie znam żadnych szczegółów, ale znów, nie byłbym...

– Nie szokuje pana myśl, że mógł być zamieszany w morderstwo.

– Nic mnie nie szokuje, pani detektyw.

– Gdzie De Paine mieszkał, kiedy opuścił dom przy Oriole Drive?

Fortuno powoli pokręcił głową. Białe kosmyki opadły mu na twarz, poprawił je.

– Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

Petra zaczęła.

Fortuno napił się soku pomarańczowego. Wanamaker sięgnął po kieszonkowy zegarek.

– Wiem, duża wskazówka pokazuje biurokrację, a mała pokazuje biurokrację – powiedziała Petra. Do Fortuna: – Niech nam pan zdradzi coś jeszcze na temat De Paine'a.

Fortuno dopił soku, otarł usta rękawem, rękaw o kanapę, pstryknięciem strącił z kanapy strzępek mięszu.

– Na naszym miejscu, Mario, gdzie by go pan szukał?

– Hm – mruknął Fortuno. – Powiedziałbym *cherchez la femme*. To po francusku „kobiety są przebieglejsze od mężczyzn”. W tym wypadku, *la*

*mamacita.*

– Zna pan języki – powiedział Milo.

– Kobiety uwielbiają giętkość języka, poruczniku. Chociaż pana takie sprawy nie dotyczą. Wesley, pora chyba na kolację. Doktorze Delaware, kiedy spotka się pan z Philipem, proszę mu powiedzieć, że tata go kocha.



Siedzieliśmy w hotelowym barze i piliśmy colę.

– Cichy chłopiec – odezwał się Milo. – Fortuno boi się, że jego dzieciak jest gejem.

– O to mu chodziło? – spytała Petra.

Odpowiedzią był lekki uśmiech.

– Dzięki, że zgodziłeś się przyjąć tego małego, Alex – powiedziała.

– W Santa Barbara jest ładnie o tej porze roku.

– Pan Wtyczka nie powiedział nam właściwie nic poza tym, że mama De Paine’a za młodu szalała i że kocha nieruchomości. W LA to nic wyjątkowego. Jaka była pani Whitbread?

– Przyjacielska, zalotna, zadbana – wyliczył Milo.

– Jej syn sprzedaje świńskie filmy – powiedziałem. – Ona je kręciła.

– Witajmy w świecie Freuda.

– De Paine przyjechał do niej z wizytą, kiedy tam byliśmy, więc jakaś relacja wciąż istnieje. Fortuno ma rację. Miejmy na nią oko, a może zaprowadzi nas do niego.

– Kiedy się z nią widzieliśmy, mieliśmy De Paine’a pod samym nosem – zauważył Milo, masując twarz.

Petra odstawiła szklanekę.

– Wszystko, co słyszymy o tym facecie, okazuje się szemrane. Ale nie jest oficjalnym podejrzanym w sprawie Jordana, więc nie mogę załatwić podsłuchu na telefonie jego mamy. Co do obserwacji, Czwarta ulica jest cicha, porządna i stosunkowo nisko zabudowana. To nie są idealne

warunki do zasadzki. Jakież pomysły?

– Po zmroku byłoby łatwiej – podsunął Milo.

– Racja... dobra, pogadam z Raulem.

– Fortuno potwierdził – rzekłem – że Mary weszła w posiadanie nieruchomości z pomocą bogatych kochanków. Wiemy, że Myron Bedard sprzedał jej cztery budynki, w tym dwa dwurodzinne domy przy Czwartej. To potwierdza nasze domysły, że była jego kochanką. Wzmacnia też naszą teorię, że De Paine poznał Lestera Jordana przez Bedardów. Jestem przekonany, że cokolwiek dręczyło Patty, wydarzyło się w ciągu tych kilku miesięcy, kiedy mieszkała przy Czwartej.

– Myron zabiera Mary i jej dzieciaka, kiedy jedzie na Cherokee – powiedział Milo. – Chłopak wpada na Jordana i dostrzega okazję?

– Jakkolwiek by było – rzuciła Petra – nie udało mi się znaleźć Myrona Bedarda. Ani nikogo innego, skoro o tym mowa. Dlaczego mam to przykre wrażenie, że Fortuno nas wykorzystał?

– Wykorzystał mnie, żeby załatwić terapię swojemu synowi – podsumowałem. – Może rzeczywiście zależy mu na chłopcu, ale przede wszystkim musiał poczuć władzę. Ciekawe, że ślizgał się wokół wszystkich tematów, które poruszałaś, z wyjątkiem Mary Whitbread.

– Masz rację, bez namysłu wyśpiewał wszystkie szczegóły. Włącznie z tym, jak ją miał. Co to było, jeszcze jeden pokaz władzy?

– Nie znosi jej. A przynajmniej nie obchodzi go, co się stanie z nią albo z jej synem. Gdyby wiedział więcej, też by nam powiedział.

– Świńskie zdjęcia za prochy – powiedziała Petra.

Z jej torebki dobiegła piskliwa melodyjka i Petra wyłowiła telefon, grający pierwszych osiem dźwięków *Time after time*.

– Connor. Cześć, Raul, co... żartujesz! Daj mi adres. Będę tam za trzydzieści do czterdziestu minut. – Rozłączyła się i wstała. – Znalazł się Moses Grant.

– Doskonale – ucieszył się Milo.

– Niezupełnie.

Miejsce zbrodni należy do policji, ale ciało do koronera.

Wszyscy troje stanęliśmy z boku, w białym świetle reflektorów, a śledcza Sally Johannon z biura koronera włożyła rękawiczki i przystąpiła do przewracania zwalistego trupa Mosesa Granta na plecy. Dwaj detektywi z Central Division, David Saunders i Kevin Bouleau, stali w pobliżu. Obaj byli czarnoskórzy, po trzydziestce, ubrani w dobrze skrojone, ciemne garnitury.

Parę kroków dalej Raul Biro, w sportowej marynarce w jodełkę i szarych spodniach, rozglądał się po miejscu zbrodni.

Johannon po raz trzeci nie udało się przekręcić zwłok.

Grant został porzucony niedaleko Sto Dziesiątej Północnej, tuż nad Chinatown, parę metrów od niego przemykały samochody. Według oceny koronera rozkład i wzdęcie ciała wskazywały, że leżały tu dzień, może dwa. Mimo że staliśmy na otwartym powietrzu, smród był nie do wytrzymania i wdzierał się głęboko do zatok.

Sally Johannon się skrzywiła.

– Krzyż mi chyba strzeli.

Gestem wezwała pomocy. Dwóch kierowców, którzy przyjechali białą furgonetką, włożyło rękawiczki i we trójkę obrócili zwłoki.

Zielony welurowy dres Granta zlewał się z zaroślami i młodymi

eukaliptusami. Znalazła go karczująca krzaki ekipa więźniów z okręgowego. Już ich nie było, zostali zagnani z powrotem do swoich bezpiecznych i wygodnych cel. Podjazd blokował radiowóz, ale autostrada była otwarta i ryk samochodów nie słabł ani na chwilę.

– Jedna tutaj – powiedziała Johannon, wskazując niewielki, okrągły otwór na czole Granta. Jej dłonie przesunęły się w dół wzdętego torsu. – Dwa, trzy... cztery, pięć... i jedna tutaj. – Pokazała rozdarcie weluru na środku krocza olbrzyma. – Ktoś biedaka naprawdę nie lubił.

– Jakież ślady walki? – spytała Petra.

Johannon sprawdziła.

– Nie, nic.

– Napastnik stał przed nim, kiedy zaczął strzelać – zauważył Milo.

– Był prawdopodobnie niższy od Granta – rzekł David Saunders. – Pierwszy strzał oddał w krocze albo w brzuch. Grant padł, a strzelec dalej pakował w niego kulki.

– Strzał w krocze sugerowałby jakąś zemstę – oświadczył Kevin Bouleau. – Czy Grant psuł komuś stosunki małżeńskie?

– Nic nam o tym nie wiadomo – odparła Petra.

– Długo go szukaliście?

– To cała historia.

– Nie mogę się doczekać – powiedział Bouleau.

– Sprawdzę jeszcze nogi... – wtrąciła Sally Johannon. – Nie, to chyba wszystko, moi drodzy. Sądząc po średnicy ran wlotowych, powiedziałabym, że to dwudziestkadwójka, na pewno nic o wiele większego. Nie ma dużo krwi, a więc nie tu go zabito. Nie znajdziecie łusek, chyba że któraś zaplątała się na nim i upadła. – Przyklęła niżej,

obejrzała dres. – Ma to jakieś kieszenie... a tak, są proszę. – Sięgnęła do zapinanej na suwak kieszeni, wywróciła ją na lewą stronę. – Nie ma żadnych dokumentów, przykro mi, moi drodzy.

– Wiemy, kto to jest – uspokoił Raul Biro.

– Dzięki tobie – powiedziała Petra. – Dobra robota.

Biro pozwolił sobie na przelotny uśmiech. Kilka godzin siedział przy biurku i dzwonił, jednocześnie nasłuchując zgłoszeń o zabójstwach na skanerze. Kiedy usłyszał o porzuconych zwłokach w śródmieściu, sprawdził rasę i wzrost ofiary, szybko przyjechał na miejsce i pomógł zabezpieczyć ciało.

– Chwalić Pana – powiedział Saunders. – I Jego wiernego sługę, detektywa Biro.

Wszyscy wiedzieli, co miał na myśli. Kłopot z identyfikacją ofiary to strata wielu dni.

– Co mam teraz robić? – spytał Biro.

– To zależy od nich – odparła Petra.

– Wiecie, czy pan Grant ma jakąś rodzinę w mieście? – dowiadywał się Saunders.

– Ustaliliśmy miejsce jego zamieszkania sprzed roku, mieszkał w Valley. Interesował nas jako znajomy naszego podejrzanego, ale nic nie wskazuje, żeby sam był przestępcą.

– Ktoś najwyraźniej tak uważał.

Johannon wstała.

– Skrzyp, skrzyp, robię się na to za stara. Dawałem jej trzydzieści pięć lat.

Wzięła aparat fotograficzny, obeszła ciało małymi kroczkami,

pstrykając dużo zdjęć.

– Dobra, jest wasz. Gdzie macie techników?

– Jada – oznajmił Saunders.

– Jesteśmy gotowi posłuchać tej historii, Petra – powiedział Kevin Bouleau.

– Ktoś wie, kiedy będziemy mogli jechać? – spytał jeden z kierowców.

Petra streściła to, co wiedziała o Grancie. Saunders i Bouleau wysłuchali jej z uwagą.

– Ten cały Fisk nasuwa się w oczywisty sposób – powiedział Saunders – skoro już raz zabił z powodu tego, co ofiara wiedziała. Grant zadawał się z tymi kolesiami i też pewnie wiedział za dużo. Jedyne, co świadczy przeciwko Fiskowi, to uduszenie poprzedniej ofiary.

– To się stało w budynku mieszkalnym pełnym ludzi – odparła Petra – więc mogło chodzić o zachowanie ciszy. A Grant był jeszcze większy niż Bowland, może za wielki, żeby go udusić.

– A więc mógł zostać zastrzelony na jakimś odludziu. Nie domyślcie się nawet, gdzie mieszkał?

– De Paine i Fisk wynajmowali razem dom w Hollywood Hills. Granta nikt nie widział, ale mógł tam przebywać. Nawet jeśli tak, to było kilka miesięcy temu.

– Klubowcy – rzucił Bouleau. – W naszym rejonie jest sporo klubów. Opuszczone budynki na wschód od Centrum Obywatelskiego to praktycznie okolica przemysłowa, martwa nocą. Klubowcy włamują się, podciągają na dziko prąd, urządzą imprezy techno, sprzedają prochy, zgarniają kasę i pryskają. Jak tylko impreza się kończy, od razu jest cicho i

spokojnie.

– Parę miejsc możemy sprawdzić – zaproponował Saunders. – Zobaczymy, czy znajdziemy większą ilość płynów ustrojowych.

– Na początek ten lokal przy Santa Fe – powiedział Bouleau.

Saunders kiwnął głową.

– To dawna hurtownia tkanin, niesamowite, co w takich miejscach można znaleźć.

– Wszystkich trzech razem widziano w Grzechotniku – przypomniała Petra.

– Dawno nie istnieje – oznajmił Saunders. – Wygląda na to, że będziemy musieli zarwać parę nocek, Key. Ty i tak nie sypiasz, ale moje życie towarzyskie szlag trafi.

– Nie zasługujesz na nie – odciął się Bouleau. – Cierp jak reszta z nas.

Saunders się wyszczerzył.

– Keyowi właśnie urodziło się dziecko.

– Gratulacje – powiedział Milo.

– To super, Key – dodała Petra. – Chłopak czy dziewczyna?

– Dziewczyna, Trina Louella – wyjaśnił Bouleau. – Najpiękniejsze dziecko w znanym wszechświecie, ale nie jest fanką spania.

– Jeśli wytrzyma trzydzieści sześć godzin jednym ciurkiem, może pójść w ślady ojca.

– Nic z tego – sprzeciwił się Bouleau. – Trina będzie lekarką.

Rozmowa zwiędła i detektywi zaczęli sprawdzać okolicę, szukając łusek, których nigdzie nie było. Przyjechała furgonetka policyjnych techników i wysiadło z niej dwóch mężczyzn z czarnymi skrzynkami.

Kiedy zabrali się do pracy, Petra dopadła Raula Biro i poprosiła, żeby zaczął obserwować dom Mary Whitbread.

– Mogę to zrobić – powiedział.

– Jesteś wolny dzisiaj wieczorem?

– Mogę być.

Odwróciła się do nas.

– Tyle rozlanej krwi z powodu jakiejś informacji? Jakiegokolwiek wspomnienie Patty wskrzesiła, musiało być z pierwszej ligi. Nie chce mi się wierzyć, że to mogło być coś mniej poważnego niż morderstwo. A więc może Isaac nic nie znalazł, bo to nie zostało zgłoszone, jak mówiliście. Co nie ułatwia nam sprawy.

Popatrzyła na techników kręcących się przy zwłokach.

– Nic tu po nas.

Wróciliśmy do samochodów.

– Wiem, że dwudziestkidwójki są popularne – odezwałem się – ale może sprawdźcie, czy pociski z Granta pasują do tych z Lelanda Armbrustera.

– De Paine zastrzelił Armbrustera trzynaście lat temu – zauważył Miło – i zachował pistolet?

– Trzynaście lat temu De Paine miał piętnaście. Jeśli Armbruster był jego pierwszą ofiarą pistolet miałby znaczenie psychologiczne.

– Wartość pamiątkową.

– Poza tym – dorzuciła Petra – uszło mu na sucho, po co więc wyrzucać szczęśliwą broń? Zgadzam się, warto spróbować. Autopsja Granta nie będzie miała priorytetu, bo sześć dziur po kulach to żadna tajemnica. Ale wróćę pogadać z Saundersem i Bouleau, zobaczę, czy oni nie mogą tego



trochę przyspieszyć. Jak tylko wyciągną z niego kule, skoordynuję badania balistyczne. Raul, zostań ze mną i pogadamy o dzisiejszym wieczorze. Na razie, panowie.

Wjechałem na Sto Dziesiątą i popędziłem na południe.

– Możesz już zwolnić – powiedział Milo.

– Jadę do Tanyi – odparłem. – Dwie osoby zginęły, żeby jakaś tajemnica nie wyszła na jaw. Ona nic nie wie, ale De Paine i Fisk o tym nie wiedzą.

– Rozmawiałeś z nią o znalezieniu tymczasowego mieszkania?

– Jeszcze nie.

– Pora była nieodpowiednia?

– Powinienem był się postarać, żeby była odpowiednia. Zrób mi przysługę i zadzwoń do niej.

Milo zadzwonił na stacjonarny i na komórkę. Na obu włączyła się poczta głosowa.

– Pewnie się uczy.

– Miejmy nadzieję.

– Jedno działa na jej korzyść: skoro De Paine i Fisk udają Osameę, może nie zaryzykują odsłonięcia się.

– Zastrzelić Granta się nie bali. Mam cię wysadzić przy twoim samochodzie, czy jechać prosto do niej?

– Prosto jest zawsze najlepiej – rzucił Milo. – Że tak powiem.

Na podjeździe Tanyi nie było furgonetki. Światła ze środka nadawały zasłonom w salonie bursztynowy poblask.

Lampy punktowe na zewnątrz wydawały się świecić jaśniej i wyraziłem swoje spostrzeżenie.

– Pewnie wkręciła mocniejsze żarówki – powiedział Milo. – Grzeczna dziewczyna, słucha, co się do niej mówi. Pewnie jest na uczelni, kuje do testu czy coś w tym rodzaju. Ale rozejrzę się, żebyś się nie denerwował.

Kiedy zaczął wysiadać, samochód po przeciwnej stronie ulicy ruszył i pojechał w stronę Pico.

Biały mercedes kabrio. Klasyczny model, rzucający się w oczy w dzielnicy klasy średniej.

– Wsiadaj – nakazałem. – Co...

– Mercedes, jedzie na północ. Już go widzieliśmy.

Kabriolet zwolnił, przejechał kawałek prosto i skręcił na wschód w Pico bez kierunkowskazu. Ruch był średnio gęsty, więc mogłem łatwo go śledzić. Przy La Cienega skręcił w lewo, przyspieszył, minął La Cienega Park i starą aleję Restauracji, a potem przystanął na światłach przy San Vicente. Potem do Trzeciej i w prawo.

Krótki odcinek wzdłuż nowszych kawiarni i szeregów samochodów odstawionych przez parkingowych, potem na południe Orlando.

– Zwolnij na rogu – polecił Milo.

Patrzyliśmy, jak kabriolet mija kilka przecznic, a potem skręca w lewo w Czwartą. Znow w prawo bez kierunkowskazu.

– Mogę go zatrzymać za łamanie przepisów. Wyłącz światła i podjedź bliżej.

Zatrzymałem się tuż przed skrzyżowaniem Orlando i Czwartej. Patrzyliśmy, jak mercedes jedzie ulicą i zatrzymuje się przed domem Mary Whitbread.

Stał tam, na środku ulicy. Minęła pełna minuta, zanim zgasły światła stopu.

– Wraca na San Vicente – oznajmił Milo. – Jedź, Alex.

Mercedes popędził na wschód Beverly. Trzymałem się o trzy długości samochodu za nim, śledziłem, smukłe, białe nadwozie przez Fairfax do Hancock Park.

Kiedy mercedes skręcił w Hudson Avenue, Milo znów kazał mi poczekać.

– Upewnijmy się, że niespodziankami tylko my będziemy zaskakiwać. Samochód skręcił dokładnie tam, gdzie przewidzieliśmy. Wskoczyłem na Hudson, zjechałem na wschodnią stronę ulicy, ustawiłem seville'a pod prąd tuż przed posiadłością Bedardów.

Biały mercedes stał za zielonym bentleyem. Światła zgaszone, wyłączony silnik. Przez porysowaną, plastikową tylną szybę nie było widać pasażerów.

Nikt nie wysiadał.

Milo wyciągnął z kieszeni marynarki małego maglite'a, wyjął pistolet z kabury i wysiadł. Stanął tuż za mercedesem i wycelował ostry, jaskrawy snop światła w plastik.

– Policja! Kierowco, otwórz drzwi, powoli!

Nic.

– Otwieraj. Kierowco, wysiadaj!

Jego niski głos poniósł się echem wśród spokojnej elegancji. Donośny, ale w sąsiednich domach nie zapaliło się ani jedno światło. Przy Hudson Avenue ludzie sypiali mocno. Albo udawali.

– Wysiadać!

Drzwi kierowcy nieco się uchylły.

– Panie poruczniku? To ja, Kyle.

– Wysiadaj z samochodu, Kyle.

– Ale... to mój własny dom.

– Wysiadaj. Natychmiast.

– To jakiś abs... – rozległ się głos z siedzenia pasażera.

– Pasażer, milczeć. Kyle, wysiadać.

Drzwi otworzyły się szerzej i Kyle Bedard wysiadł, krzywiąc się i mrugając. Miał na sobie mechata, szarą bluzę, oliwkowe bojówki i te same żółte adidas. Końcówki jego włosów lśniły w świetle latarki jak sztuczne ognie na Czwartego Lipca.

– Może mi pan nie świecić w oczy, proszę? – powiedział.

Miło opuścił latarkę.

– Widzi pan, poruczniku, to naprawdę ja. Nikt inny nie nosi tak paskudnych butów.

– Zamierzam cię przeszukać, synu – oznajmił Milo. – Odwróć się.

– Żartuje pan.

– Ani myślę. – Obmacał Kyle'a, kazał mu usiąść na krawężniku. – Teraz pasażer.

– Nie do wiary – powiedział głos z samochodu.

Kyle potarł oczy. Popatrzył na mnie i się uśmiechnął.

– Można powiedzieć, że na pewien surrealistyczny sposób, w rodzaju

Jeana-Luca Godarda, to niezły czad.

Pasażer się zaśmiał.

– Wysiadać!

Kyle podskoczył.

– Nie nazywam się Mohammed – wyjaśnił pasażer – więc po co to zamieszanie?

– Dla śmiechu – odparł Milo. – Paru beztroskich dało się zastrzelić.

– Co w tym śmiesznego?

– Otóż to.

– To jest... – zaczął Kyle.

– Dobrze, dobrze – powiedział pasażer. – Już wysiadam. Nie zastrzelcie mnie, na miłość boską.

Mężczyzna, który wysiadł, był wyższy od Kyle'a i o jakieś trzydzieści kilo cięższy, z wydatnym brzuchem. Pod sześćdziesiątkę, mocno opalony, z łysiną. Resztki włosów miał ciemne i wystarczająco długie, by dało się je zebrać w kucyk opadający za łopatki. Baki gęstsze niż u Mila sięgały miękkiej szczęki. Na haczykowatym nosie tkwiły lenonki. Oba podbródki – wydatne.

Ogólnie sprawiał wrażenie Beniamina Franklina we włoskich ciuchach. Wspaniałe kaszmirowe blezer był skrojony na kogoś szczuplejszego. Czekoladowe spodnie załamywały się idealnie nad karmelowymi, siatkowymi mokasynami. Rozchylony kołnierz mocno niebieskiej koszuli zwieńczony był żółto-lazurowym fularem. Z kieszeni na piersi wystawała chusteczka w kolorze czerwonego wina. Na dwóch dłoniach naliczyłem sześć złotych pierścieni.

Na wąskich wargach zatańczył pogardliwy uśmiech.

– Mam podnieść ręce? Powiedzieć „wuju”? Wyrecytować Ślubowanie Wierności?

– Proszę tylko tam stanąć i się rozluźnić, proszę pana.

– Żeby zaoszczędzić panu czasu, poruczniku kimkolwiek-pan-jest. W prawej kieszeni spodni mam szwajcarski scyzoryk z piętnastoma ostrzami, niech się pan nie skaleczy o otwieracz do puszek. Poza nim jedynym potencjalnie niebezpiecznym przedmiotem jest mój portfel, ale skoro w zasięgu wzroku nie ma żadnych kobiet, nie trzeba się przejmować. – Jego uśmiech się poszerzył, kiedy Milo go obszukiwał. – Skoro już tańczymy, mogę się przedstawić. Myron Bedard.

– W sumie fajnie jest, co, tato? – powiedział Kyle.

Myron Bedard się zaśmiał.

– Synu, chyba będę potrzebował trochę czasu, żeby tak na to spojrzeć.

Kiedy Milo skończył, przeprosił Myrona i pozwolił Kyle’owi wstać z krawężnika.

Chłopak otrzepał siedzenie spodni i stanął obok ojca.

– Myślisz, że sąsiedzi to widzieli, tato?

– Jeśli tak – odparł Myron Bedard – to do diabła z nimi. – Do Mila: – Czy to było naprawdę konieczne?

– Niestety tak.

Bedard zdjął okulary i wytarł je skrajem blezera.

– Robi pan swoje... nie mam pretensji. Właściwie to nie rozumiem. To znaczy, ma pan rację, zachowując ostrożność dla własnego bezpieczeństwa, ale Kyle powiedział, że pan go zna, więc po co to było, u diabła?

– Spotkałem Kyle’a raz, panie Bedard. Nie znam go aż tak dobrze, żeby być czegokolwiek pewnym.

– Och, to...

– Zauważyliśmy panów, jak obserwowaliście dom Tanyi Bigelow.

– Zauważyliście? My tylko... – Zerknął z ukosa na syna.

Kyle milczał.

– Wy tylko co? – spytał Milo.

Kyle spuścił wzrok.

– Mój syn zakochał się w tej dziewczynie – powiedział Myron Bedard.

– Mogę to zdradzić?

Kyle zaklął pod nosem.

– Już to zrobiłeś.

– Martwi się o nią, chce mieć pewność, że wszystko u niej w porządku, to tyle. Żeby pokazać panom rozmiar jego oddania, odebrał mnie z lotniska i zamiast jechać prosto do domu, uparł się, żeby...

– Tato!

– Oni są z policji, synu. Nie ma sensu kręcić.

Kyle odwrócił się do nas.

– To była głupota, przepraszam.

– Dlaczego martwisz się o Tanyę, synu? – spytał Milo.

– Ja płacę za jego naukę, więc tylko ja mogę tak do niego mówić – powiedział Myron Bedard. Klepnął Kyle’a w plecy. – Żartowałem, niech pan kontynuuje, poruczniku... nie dosłyszałem nazwiska...

– Sturgis.

Bedard wyciągnął rękę. Milo nią potrząsnął.

– Sturgis – rzucił Myron. – Jak ten zlot harleyowców. Był pan tam

kiedyś, poruczniku?

– Nie.

– Powinien pan, to świetna impreza. Jeździłem tam dwanaście lat z rzędu. Używam na zmianę fatboya 95 i starego speedstera 883 custom XL z dwa tysiące czwartego. Czarne Góry w sierpniu są absolutnie niepowtarzalne, zatrzymujemy się w Keystone, niedaleko Mount Rushmore. Nieźle się tam imprezuje. – Szturchnął Kyle’a. – W przyszłym roku ci nie odpuszczę i pojedziesz tam ze mną, synu.

Kyle nie odpowiedział.

– Ani tak, ani nie – ciągnął Myron. – Taki się robi, kiedy zaczynam być upierdliwy. Pan też powinien tam pojechać, poruczniku. Zakładam, że jeździ pan motorem.

– Dlaczego?

– Przecież wszyscy gliniarze jeżdżą.

– Ten nie.

– Może pomyliło mi się z patrolami autostrady. Co się dzieje z Erikiem Estradą?

Milo odwrócił się do Kyle’a.

– Dlaczego martwisz się o Tanyę?

– Z tych samych powodów co wy.

– Czyli?

– Wujek Lester został zabity tuż po tym, jak rozmawialiście z nim o mamie Tanyi. Tanya mieszka niedaleko Mary i Pete’a. Czyli związek Mary i wujka Lestera.

– Pete to Peterson Whitbread.

– Nie znosił, jak się tak na niego mówiło.



- Znasz go.
- Nie przyjaźniliśmy się.
- Znasz go – powtórzył Milo.
- Widywałem go od czasu do czasu.
- Kiedy?
- Kiedy byliśmy mali.
- Jak do tego doszło?

Myron Bedard zasłonił sobą syna.

– Czy możemy kontynuować tę rozmowę w środku, proszę? Nie chcę robić widowiska.

Bedard otworzył drzwi rezydencji i wyłączył alarm.

– *Entrez-vous.*

Poszliśmy za nim przez marmurowo-wapienny hol, obok sobowtóra Jerzego Waszyngtona i biblioteki, w której Kyle założył swoje stanowisko badawcze. Śmietnik zrobił się jeszcze większy; spod pomiętych papierów ledwie prześwitywała podłoga.

Myron przystanął i przyjrzał się bałaganowi.

– Wiem, tato.

– W końcu będziesz musiał się zorganizować, Kyle.

– Ja właśnie się tak organizuję.

– Geniuszy zasady nie dotyczą? – Znów klepnął syna w ramię.

Kyle się skrzywił. Myron pomaszerował przed nim, kołyszając kucykiem, zapalił światło, przystanął, by przejrzeć plik korespondencji na onyksowym stoliku, rzucił ją z powrotem.

Wapienne, łukowe przejście zaprowadziło nas do przestronnego, sześciokątnego pokoju ze szklanymi drzwiami w głębi, ukazującymi subtelnie podświetlony ogród. Drzewa, w których Tanya się kiedyś ukrywała, były chińskimi wierzgami i sykomorami, przystrzyżonymi, ale bujnymi. W piętnastometrowym basenie, dość starym, by mieć jeszcze trampolinę, odbijały się kontury ażurowej altanki. W barze pod zachodnią ścianą pomieszczenia stało dość butelek, by wyposażyć statek wycieczkowy.

Myron Bedard ruszył prosto do barku, przystając, żeby pobawić się z

oświetleniem – włączyć, wyłączyć, ciemno, ciemniej, jaśniej. Wybrał ciężką, pomarańczową poświatę, wziął kryształową szklanę, podniósł ją do światła i się skrzywił.

Kyle stanął pod drzwiami, wbijając wzrok w buty. Pierwszy raz, odkąd go widziałem, wyglądał jak bezdomny. Dwudniowy zarost wzmagał to skojarzenie. Zważywszy na otaczający nas przepych, nie byłem pewien, czy Milo i ja lepiej tu pasujemy.

Pokój był większy niż w większości domów, obity szantungiem koloru krwi. Na kopulastym sklepieniu wiły się gipsowe zakrętasy, podkreślone sztukateriami. Na stolikach z drewna drzew owocowych stały chińskie konie, wielbłądy i posążki zdumionych bożków, wszystkie pokryte takim samym, zielonozłotym szkliwem. Wyjątkowość kolekcji zaznaczały złożone gabloty ze szkła, porcelany i srebra.

Miejsca wystarczało na trzy duże skupiska foteli i tyle samo perskich dywanów. Kanapy obite adamaszkiem, fotele tapiseriami, a także skórą dla rozbicia monotonii, strategicznie rozmieszczone intarsjowane stoliki.

Myron Bedard otworzył srebrne wiaderko z lodem.

– Komuś drinka?

– Nie, dziękuję.

– Jak wyżej.

– W takim razie napiję się sam. – Zmieszał sobie manhattana z bourbonem i lodem, podszedł do nas, popijając, opadł na jedną z kanap, kopnięciem zrzucił buty i rozparł się wygodnie. Pociągnął większy łyk, pokazał podniesiony kciuk i westchnął z rozkoszy. – Niedawno to odkryłem, Knob Creek, pierwszej klasy Jim Beam. Najlepsze, co mieli w samolocie, to Wild Turkey, a rzucało jak na morzu. – Oblizał usta, wyjął

wisienkę, ugryzł ją, otarł szkarłatny sok z brody, połknął. – Dlaczego wszyscy stoją?

Milo i ja usiedliśmy tak blisko niego, jak się dało przy tym ustawieniu mebli. Kyle zawahał się i pozostał w dużej odległości od nas wszystkich.

– Och, daj spokój, młody, minęły całe miesiące – powiedział Myron i gestem przywołał go bliżej. Kyle przygryzł wargę i wybrał fotel stojący prostopadle do kanapy Myrona.

– Na początek – odezwał się Milo – chcielibyśmy usłyszeć coś o związku łączącym Mary Whitbread i Lestera Jordana.

Żaden z Bedardów nie odpowiedział.

– Nagła plaga nieśmiałości?

– Chyba ja powinienem to przyjąć na klatkę – oświadczył Myron.

– Zgadłeś, tato.

– Synu, może powinieneś iść zrobić jakieś obliczenia albo coś.

– Do stołu dla dzieci?

– Kyle, nigdy cię nie ochraniałem, ale niektóre rzeczy należy mówić na osobności.

– Ja o wszystkim wiem, tato.

– Zrób mi tę przysługę, synu.

Kyle ani drgnął.

– To kwestia przyzwoitości, Kyle – powiedział Myron.

Chłopak zaczął majstrować przy bucie. Jego czubek był pęknięty.

– Teraz to jest w modzie? – spytał Myron.

– Udawana nędza?

– W dupie mam modę, tato. – W jego głosie pojawił się jękliwy ton. Dobrze zapowiadającego się naukowca zastąpił rozkapryszony nastolatek.

Obecność rodzica czasem tak działa.

– A ja nigdy nie wywierałem na ciebie żadnej presji w tych sprawach, prawda, Kyle?

Kyle nie odpowiedział.

– Może idź odetchnąć, ale nie odchodź za daleko – poradził Milo.

Zanim Kyle zdołał odpowiedzieć, Myron się poderwał, rozchlapując drinka, i znów stanął między nami a swoim synem. Dotknął jego policzka. Kyle zeszywniał. Myron cofnął dłoń, ale pocałował go w to samo miejsce. Broda Kyle'a drgnęła.

– Przepraszam, synu. Za wszystkie niegodziwości, które teraz przychodzą ci do głowy, i te niezliczone, o których jeszcze nie pomyślałeś, ale na pewno pomyślisz. Być może jednak powinieneś rozważyć okoliczności. Mam pięćdziesiąt siedem lat, nałogowo przesadzam z jedzeniem i trunkami, gardzę ćwiczeniami, ignoruję poziom cholesterolu. A więc moja długowieczność jest...

– Tato!

– ... poważnie zagrożona. Dlatego też, jeśli...

Mówił szybko, ale lekko bełkotał. Wild Turkey jednak nadawał się na przystawkę podczas lotu.

– Przestań, tato – rzucił Kyle. – Nienawidzę, kiedy to robisz.

Myron nakreślił krzyżyk na sercu.

– Mea culpa. Moja wieczna mantra. Zmierzył Kyle'owi włosy.

– Daj spokój, bracie, pozwól mi zachować trochę godności i spokoju.

Kyle zerwał się na nogi i wybiegł.

– Pogadamy później, synu. Chcę ci opowiedzieć, jak było w Wenecji.

– Ma do mnie ambiwalentny stosunek, jak mogłoby być inaczej? –

powiedział Myron, kiedy jego syn wyszedł. – Ale ja kocham go bezwarunkowo. Gdybym mógł mieć tylko jedno dziecko, wybrałbym jego. Był grzeczny od pierwszego dnia, nigdy nie miał w sobie krzty złości. Do tego genialny, i to w znaczeniu zupełnie innej intelektualnej stratosfery. Ma dopiero dwadzieścia cztery lata, a za rok otrzyma doktorat, z fizyki plazmowej. Ja nawet nie wiem, co to znaczy. – Ojcowska duma ustąpiła miejsca napięciu, które o połowę zwęziło jego usta. – To się odbywa co drugie pokolenie. Jak często powtarzał mi ojciec. On też był typem naukowca. Samouk, ale miał patentów na pęczki. Kyle’owi się wydaje, że jest ideowcem, ale też się obłowi, wbrew sobie, prawdopodobnie dzięki jakiemuś wynalazkowi. Któregoś dnia otworzycie „Forbesa” i on tam będzie, na liście. Kiedy to już się stanie, mam nadzieję, że trochę mnie polubi. Czy któryś z panów ma dzieci?

– Nie, proszę pana – odrzekł Milo.

– To bardzo kształcące. Wszystko na to wskazuje, że byłem głównianym ojcem. Wtedy oczywiście myślałem, że radzę sobie bardzo dobrze.

– Kiedy, proszę pana?

– Kiedy Kyle był mały. Nigdy specjalnie go nie kontrolowałem ani nie starałem się dominować, ale mam skłonności do zachowań impulsywnych i chyba to mogło...

Podniósł drinka, opróżnił szklanę, wrócił do baru, nalał sobie podwójnego. Gdy wrócił na kanapę, połowy już nie było.

– Pana impulsywność miała wpływ na Kyle’a?

– To skomplikowane, poruczniku. – Bedard zamknął oczy, jego oddech zwolnił.

– Jak to?

Bedard ani drgnął. Milo skinął głową, dając znak, żebym włączył się do rozmowy.

Wzmianka o Petersonie Whitbreadzie sprawiła, że Bedard zapragnął schronić się w domu. Kiedy już się w nim znalazł, nie chciał rozmawiać przy Kyle'u.

– Myśli pan o zabieraniu Kyle'a na wizyty do swojej kochanki? – spytałem.

Bedard zatrzepotał powiekami.

– Kochanki. – Rozbawiło go to słowo. – Mary była przyjemnym epizodem, niczym więcej.

– Dużo pan ich miewa? – dociekał Milo.

– Cóż mogę rzec, kocham kobiety. Uwielbiam je wszystkie co do jednej. – Bedard napił się, pogryzł kostkę lodu i jedną ręką nakreślił w powietrzu gitarowy zarys kobiecej sylwetki. – Można chyba powiedzieć, że jestem zakochany w połowie świata, ile to będzie, trzy miliardy? Poza moją byłą żoną. Boże, wyobrażacie sobie, panowie, przedzieranie się przez taki gąszcz kobiecości? Sama myśl o tym onieśmiela. – Znow uniósł szklanę. – Za chromosom X.

– Kiedy zaczął pan wpadać do Mary Whitbread? – spytał Milo.

– Pomyślmy... dawno, jakieś piętnaście lat temu.

– Wciąż pan to robi?

– Ona ma ponad pięćdziesiąt lat. Jest dla mnie o wiele za dojrzała.

– Była epizodem, ale sprzedał jej pan cztery budynki.

– Nie da się ukryć.

– Coś za coś?

Bedard się zaśmiał.

– Mary zapłaciła uczciwą cenę rynkową. To, że odpadła prowizja pośrednika, pozwoliło mi na pewną elastyczność, a ona nie musiała czekać na pieniądze.

– Zapłaciła gotówką?

– Czekałem na okaziciela, ściśle rzecz biorąc.

– O jakiej sumie tu mówimy?

– Hm – zastanowił się Bedard. – Tak dawno temu, powiedziałbym... milion, półtora.

– Skąd wzięła takie pieniądze?

– Nie mam pojęcia. Co takiego zrobiła, że się nią interesujecie?

– Kto zainicjował sprzedaż? – spytał Milo.

– Same pytania, żadnych odpowiedzi, co? Decyzja była wspólna. Mary mieszkała w Carthay Circle, sprzedała jakieś mieszkania w Valley i szukała czegoś dla siebie. Mieliśmy dwurodzinne domy dość długo, by wyciągać z nich ładne zyski, ale dochody z samego wynajmu nie były wystarczające. Nie chciałem tracić czasu na nieruchomości poniżej dwunastu mieszkań, dlatego idealnie się zgraliśmy. – Zakołysał szklanką, zapatrzył się w fale na powierzchni alkoholu. – To jak gra w monopol, zamienia się domy na hotele. Istnieje szkoła, która mówi, trzymaj, nigdy nie sprzedawaj, ale ja uważam, że to nieprzyjemny zastój.

Znów zacisnął usta.

– To szkoła pana ojca? – zapytałem.

Szkła jego okularów błysnęły, kiedy odwrócił się do mnie.

– Bawi się pan ze mną w psychologa. Ale tak, ma pan rację. I bez wątpienia ojciec też by się przy tym upierał. Te cztery budynki musiały



być warte pięć, sześć milionów. Ale nieźle zarobiłem na tych, które kupiłem.

Tym razem to w jego głosie pojawiło się napięcie niedojrzałości. Kyle mówił mi, że jego ojciec i dziadek nienawidzili się wzajemnie. Kaszmir i jedwab były przyjemne, ale kiepsko nadawały się na bandaże.

– Wciąż jestem zaintrygowany panów zainteresowaniem osobą Mary – powiedział. – To dlatego, że Patty Bigelow mieszkała w jednym z jej domów? Nie ma w tym żadnej tajemnicy. Wysłałem Patty do Mary, kiedy musiała się stąd wyprowadzić.

– Gdy zmarł pana ojciec.

– Świetnie się nim zajmowała – przyznał Bedard – ale nie było już powodu, żeby tu zostawała.

– Wróćmy do Petersona Whitbreada – zaproponowałem. – Jak Kyle go poznał?

– Chodzi o Pete'a? Co zrobił?

– Czy Kyle poznał go podczas pana wizyt? – spytał Milo.

Bedard poprawił fular.

– Nie mam obowiązku z wami rozmawiać.

– Jest jakiś powód, dla którego nie chce pan z nami współpracować?

– Po pierwsze, zmęczenie długą podróżą. Po drugie, Bedardowska krnąbrność. – Promienny uśmiech. – Nie, jestem wyluzowany. Tak przynajmniej słyszałem.

Ludzie lubią mówić o sobie. Na tym opiera się mój zawód. Czasami jednak w ten sposób unikają konkretów.

– Na czym polegał problem między Kyle'em a Pete'em? – drażyłem.

– Kto powiedział, że był jakiś problem?

– Wciąż ucieka pan od tematu.

– Boże – westchnął Myron Bedard – i pomyśleć, że wspierałem pana profesję.

– Czy wolałby pan, żebym ja zadał to pytanie? – spytał Milo.

– Ha... nie, nie próbuję się wykręcać. Po prostu wracanie do tamtych czasów przypomina mi... to dość nieprzyjemny przykład impulsywności, o której mówiłem. Dlatego właśnie nie chciałem, żeby był tu Kyle.

– Zabierał pan ze sobą Kyle'a, jeżdżąc do Mary – powiedziałem – a on zobaczył coś, czego nie powinien.

– A przynajmniej usłyszał. Mary potrafiła być... entuzjastyczna. Tak, nie wiedziałem, co robię, ale musicie zrozumieć, że to ja byłem ważniejszym z rodziców Kyle'a i jeśli mnie przy nim nie było, w ogóle nikt się nim nie interesował. Poznaliście, panowie, moją byłą żonę. Wyobrażacie sobie ją wychowującą kogokolwiek? A więc tak, wszędzie go ze sobą zabierałem. Teraz jestem świadom, że okoliczności i miejsca bywały... nieodpowiednie.

– Ile lat miał Kyle, kiedy jeździł z panem do Mary?

– Pomyślmy... z dziewięć, dziesięć, kto to może pamiętać? Myślałem, że będzie mu się podobać, bo Pete był trochę od niego starszy. Kyle to jedynek. – Napił się. – Wydawało mi się, że to lepsze, niż zostawić go samego w tym przeklętym domu.

– To wielki dom.

– Wielki zimny grobowiec – rzekł Bedard. – Nienawidziłem tu mieszkać. Któregoś dnia go sprzedam. Śledzę rynek.

– Jak Kyle reagował na te wizyty? – spytałem.

– To znaczy?

– Powiedział pan, że bywały nieodpowiednie okoliczności.

– Mówiłem ogólnie. Słuchanie Mary i mnie... Generalnie miałem wrażenie, że Kyle nie miał nic przeciwko tym wizytom.

– Generalnie.

– Kiedyś, ostatnim razem, był jakiś nachmurzony. Udało mi się z niego wyciągnąć tylko tyle, że nie lubi Pete'a i że wolałby tam nie wracać. To były jego słowa: „Tato, wolałbym tam nie wracać”. Zawsze mówił jak dorosły, kiedy był zupełnie malutki, ludzie się dziwili: „Gdzie ten brzuchomówca?”

– Dlaczego nie lubił Pete'a?

– Nie ciągnął tego tematu.

– A pan nie naciskał.

– Nie widziałem powodu. Kyle mnie o coś poprosił, ja to zrobiłem.

Nie odpowiedziałem.

– Proszę mi nie mówić, że działo się tam coś paskudnego – powiedział Bedard. – Nie uwierzę, że Kyle by mi nie powiedział. Większość dzieci nie rozmawia ze swoimi rodzicami. Ale ze mną i Kyle'em było inaczej. Żadne znaki nie wskazywały na coś takiego.

– Nie o to nam chodzi – wyjaśnił Milo – ale jeśli coś pan podejrzewa, teraz jest dobra...

– Nie podejrzewam. I szczerze mówiąc, nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z Patty Bigelow i jej córką. Wciąż nie pojmuję, czemu w ogóle wypytywał pan Kyle'a o Patty i dlaczego on się tak przejął. Patty umarła na raka, a nie w jakichś podejrzanych okolicznościach.

– Co Kyle panu powiedział?

– Że badacie jej śmierć i że być może jest ona powiązana ze śmiercią

Lestera.

– Jak się pan dowiedział o śmierci Lestera?

– Kyle zadzwonił do mnie do Wenecji i mi powiedział.

– Kiedy?

– Wczoraj rano. – Kpiący uśmiech. – Bardzo wczesnie rano. Akurat wtedy, gdy spędziłem dość szaloną noc w Paryżu i próbowałem ją odespać.

– Co jeszcze panu powiedział?

– Nic – rzucił Bedard. – To o Patty wyszło dopiero w drodze z lotniska.

– Kyle wyjaśnił, dlaczego chciał przejechać pod domem Tanyi.

– Nie, żeby to cokolwiek tłumaczyło.

– Dlaczego wrócił pan do LA, proszę pana?

– Kyle mnie o to poprosił.

– Ot tak, bez żadnych wyjaśnień.

– Nie jest pan ojcem, poruczniku. Usłyszałem prośbę w głosie syna i zareagowałem. Próbowałem go namówić, żeby mi to wyjaśnił, ale tylko się bardziej zdenerwował, więc dałem spokój. Nauczyłem się już, że Kyle działa w swoim tempie, widział pan, jak ciężko było go przekonać, żeby wyszedł z tego cholernego pokoju?

– Dlaczego konkretnie Kyle chciał przejechać pod domem Tanyi? – spytał Milo.

– Powiedział, że chce sprawdzić, czy u niej wszystko w porządku. A potem się zaczerwienił i zaczął wiercić. Wywnioskowałem, że oczarowała go ta dziewczyna. Zaskoczyło mnie to, ale raczej przyjemnie. „Kyle” i „kobiety” to nie były słowa, które często wymawiało się jednym tchem.

– Nie jest kobieciarzem.

– Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby wciąż był prawiczkim. – Suchy śmiech. – Gdzie popełniłem błąd?

– Dlaczego Kyle podjechał pod dom Mary Whitbread? – spytałem. – Nie miałem pojęcia, że zamierza to zrobić. Kiedy skręcił w Trzecią zamiast w Beverly, pomyślałem, że jedzie inną trasą, może przez korki, nie byłem w LA od miesiący, dranie z ratusza ciągle rozkopują ulice. Potem wjechał w Orlando i zanim się zorientowałem, staliśmy przed domem Mary. Spytałem go, co u licha wyprawia, a on odwrócił się, popatrzył na mnie dziwnie i zaczął nucić *Auld lang syne*.

– Zrobił to przez pamięć dawnych czasów.

– Ale nie wyglądał na wesołego. Wręcz przeciwnie, był spięty i taki pozostał, nie chciał nic wyjaśnić.

Bedard przełknął reszki bourbona.

– Jazda do domu była nieprzyjemna. Właśnie zostawiłem dla niego Wenecję, a zapewniam, panowie, to miasto jest cudowne o każdej porze roku, jeśli tam nie byliście, uwierzcie, musicie pojechać. Zanim to wszystko pójdzie pod wodę.

– Wrócił pan do domu, bo Kyle wydawał się zdenerwowany – ciągnąłem – ale nie chciał wyjaśnić, dlaczego.

– Próbowałem to z niego wyciągnąć. Dlatego staliśmy na podjeździe, kiedy przeprowadziliście swój komandoski atak. – Przesunął palcem pod węzłem fulara. – Dlaczego nie możecie mi powiedzieć, co się, do diabła, dzieje?

– Cofnijmy się trochę – zaproponowałem. – W jaki konkretnie sposób poznał pan Mary Whitbread?

– Przez swojego szwagra.

– Lestera Jordana?

– Świętej pamięci, nieopłakiwanego.

– Skąd ją znał?

– Jak mówiłem, Mary była towarzyską dziewczyną. Wiecie, panowie, coś o jej przeszłości?

– W Chicago?

– Według niej, a ja bym za to nie dał głowy, w Chicago zadawała się z typami z mafii. Mówiła też, że znała burmistrza Daleya i Kennedych.

Ale przecież one wszystkie tak mówią. Może, gdybyście odpowiednio długo z nią rozmawiali, zaczęłyby twierdzić, że spała z Jimmym Hoffą i Amelią Earhart.

– Kto tak mówi?

– Podstarzałe dziwki. Nie chcę być okrutny, ale umówmy się, tym właśnie jest Mary. Wszystko, co ona mówi, przyprawiałbym sporą szczyptą *sel de mer*.

– Nie ufa jej pan, ale robił pan z nią interesy.

– Jej czek był autentyczny.

– Skąd znała Lestera Jordana?

– Wśród jej najróżniejszych zainteresowań była i muzyka – wyjaśnił Bedard. – Les grał na saksofonie w objazdowej kapeli, która dawała koncert w klubie, gdzie Mary, hm, tańczyła. – Mryg, mryg. – Od słowa do słowa... I nie uwierzylibyście, ten jeden raz Mary nie uważała. Przypadkowa przygoda i trzeba kupować pieluchy. – Pokręcił głową. – Głupota.

– Jordan był ojcem Petersona? – spytał Milo.

– Być może to zmotywowało ją do podwiązania jajowodów. A może to

dla wygody. Zważywszy na jej nowy zawód.

– Porno.

– Aha – przytaknął Bedard. – Wiecie wszystko na ten temat.

Widzieliście, panowie, dzieła Mary?

– Nie, proszę pana.

– Pierwsza klasa, poruczniku. W swoim gatunku.

– Jeśli nie chciała dziecka, czemu nie usunęła ciąży?

– Rozważała to – przyznał Bedard. – Tak mi powiedziała, rozmowy w łóżku i tak dalej. Nie zrobiła tego, bo spotykała się akurat z bogatym starszym facetem. Bogatym, hojnym starszym facetem, któremu chciała spróbować wmówić, że to jego dziecko. Niestety, plan nie wypalił.

– Świeżo upieczony tata się nie ucieszył – powiedział Milo.

– Świeżo upieczony tata zażądał testu ojcostwa, a kiedy Mary się ociągała, kopnął ją w nieco powiększony tyłek i wyrzucił na ulicę. Gdy to się stało, ciąża była już zbyt zaawansowana, żeby Mary mogła ją usunąć bez wyrzutów sumienia.

– Skrupuły.

– Jakież chyba ma. Biedna Mary. Opatrzność dała jej niebiańskie mięśnie pochwy, ale z rozsądkiem u niej czasami krucho. Urodziła dziecko, ale z tego, co widziałem, nie przejmowała się za bardzo jego wychowaniem. W tym jest podobna do mojej byłej żony. – Zwrócił się do mnie: – Nie, moje postrzeganie jej nie było przykładem przewrażliwienia. W najważniejszych sprawach Mary i Iona się różniły. – Zaczął się bawić szklanką. – Tyle się słyszy o instynkcie macierzyńskim, ale spotkałem całkiem sporo kobiet, które wcale go nie miały.

– Kiedy po raz ostatni widział się pan z Mary? – Chyba już mówiłem.

– Powiedział pan, że była za stara.

– Była za stara co najmniej od dziesięciu lat. Dlatego byłem zaskoczony, gdy Kyle zatrzymał się przed jej domem i zaczął nucić. Robię, co mogę, by zapomnieć o starych znajomych.

– Niemile wspomnienia?

– Skądże, doktorze. Wierzę, że trzeba patrzeć przed siebie.

– A więc poznał pan Mary przez Lestera Jordana.

– Ach, Lester – rzucił. – Lester był rakiem mojego małżeńskiego pożycia, kulą u nogi, którą byłem skłonny tolerować, póki czułem coś do Iony. Ale nigdy nie chciałem dawać mu pieniędzy, bo wiedziałem, co się z nimi dzieje. Poznałem Mary, kiedy przyjechałem do Lestera wręczyć mu kolejny czek, a ona tam była. Widok kobiety o takiej urodzie, zadającej się z zasuszonym gnojkiem, takim jak Lester, przykuł moją uwagę.

– Co tam robiła?

– Kłócili się. Humor Lestera mnie nie obchodził, ale widzieć piękną kobietę tak wzburzoną? – Dotknął niebieskiej, jedwabnej piersi. – Wybiegła, ja dałem Lesterowi jego działkę i poszedłem za nią, pozwoliłem się jej wypłakać na moim ramieniu. – Poprawił okulary. – Od słowa do słowa...

– Dlaczego płakała?

– Chciała, żeby Les spotkał się z Pete'em. Pete stale chciał widywać ojca, ale Lester rzadko się zgadzał. Co można było przewidzieć.

– Był narkomanem – zauważył Milo.

– Uzależnienie to folgowanie sobie, prawda? Tak mi powiedziała Patty. Miałem wrażenie, że pozbyła się go z radością. To naturalna reakcja na Lestera każdego rozsądnego człowieka.



– Oprócz jego syna.

Bedard zdjął okulary.

– Synowie tacy bywają.

– Przywiązani – dodałem.

– Wbrew rozsądkowi. Jestem pewien, że odrzucenie zostawia blizny na psychice dziecka, ale proszę mi wierzyć, Pete'owi wychodziło na zdrowie przebywanie z dala od Lestera. To był śmieć.

– A pan musiał go utrzymywać.

– Jak mówiłem, kula u nogi.

– Pana była żona sądzi, że to pan go zabił.

Bedard poluzował fillar i wytarł nim okulary.

– To panom powinno coś powiedzieć o jej braku zrównoważenia. Byłem w Europie przez dwa miesiące.

– Mówi, że nie zrobiłby pan tego sam, tylko kogoś wynajął.

– Na pewno tak bym zrobił. Gdyby moim celem było zabicie Lestera. Niestety dla Iony, Lester zniknął z mojego życia przed laty. Dlaczego miałbym marnować pieniądze, nie mówiąc już o narażaniu się, by rozdeptać karalucha w cudzej kuchni?

– Co jeszcze Patty mówiła panu o Lesterze? – spytałem.

– Nic, nie był częstym tematem rozmów. Patty koncentrowała się na opiece nad ojcem. I robiła to cholernie dobrze, Iona się wściekła, kiedy zabrałem ją od Lestera. W jej spaczonym pojęciu Patty miała obowiązek zostać z Lesterem na zawsze, a ja miałem obowiązek za to płacić. Kiedy wyleciał z trzeciego odwyku, Iona i ja rozmawialiśmy już przez prawników. Po zawarciu ugody ona dostała mniej, niż oczekiwała, i więcej, niż ja chciałem dać. – Szeroki uśmiech. – Małżeństwo polega na

kompromisach, prawda?

– Dostała budynek przy Cherokee – powiedziałem. – I Lestera.

– Już tylko to – przyznał Bedard – warte było kosztów tego cholernego rozwodu. – Ziewnął. – Nie spałem od dwóch dni. Czy będziecie panowie tak mili i sami traficie do drzwi?

– Kyle nas odprowadzi – zaproponował Milo.

– Dajcie chłopcu spokój.

– To on pojechał do Tanyi.

– Mówiłem wam. Zakochał się.

– To nie tłumaczy, dlaczego pojechał do Mary Whitbread.

Bedard z wysiłkiem wstał, zachwiał się, przytrzymał stolika.

– Pewnie nie. Wypiję jeszcze kieliszek przed snem, a potem udam się do krainy snów. Na pewno znajdziecie Kyle'a w bibliotece. Dobranoc, panowie. Powiedzcie mojemu synowi, że go kocham.

Kyle Bedard siedział na podłodze w bibliotece, otoczony stosami kartek. Pod palcami laptop, w dłoni komórka.

Odłożył telefon.

– Tata uraczył was opowieściami o swoich seksualnych wyczynach?

– Kazał ci powiedzieć, że cię kocha – powiedziałem.

– Taki się robi, jak wypije.

– Czuły?

– Ckliwy.

– Często pije?

– Bardzo często.

Milo przycupnął na fotelu chippendale, za małym jak na jego masę. Ja usiadłem obok Kyle'a i wskazałem telefon.

– Udało ci się do niej dodzwonić?

Zaczął mówić „Do kogo?”. Przerwał po drugim „o”.

– Wszystko u niej w porządku.

– Wróciła do domu?

– Przed chwilą.

– Uczyła się do późna z kolegami – podsunąłem.

Wzdrygnął się.

– Czego ode mnie chcecie?

– Wolno ci się o nią martwić – rzekłem.

– Nie słyszę w tym pytania.

– To co powiesz na to: dlaczego denerwuje cię Peterson Whitbread?

– Nie widziałem go od... odkąd byłem dzieckiem.

– Nie słyszę w tym odpowiedzi.

Lewym palcem wskazującym dotknął klawisza laptopa. Wygaszacz ekranu z Einsteinem rozpląnął się w rycinę przedstawiającą długowłosego mężczyznę z wąsami. Sobowtóra Franka Zappy.

– Kartezjusz – wyjaśniłem. – Bystry gość, ale co do paru rzeczy się mylił.

– Na przykład?

– Rozdziału emocji od rozsądku.

– To ma dla mnie jakieś znaczenie?

– Takie, że można mieć swoje uczucia i mimo to być inteligentnym.

Wiemy, że twój ojciec zabierał cię ze sobą kiedy odwiedzał Mary Whitbread. Bawiłeś się z Petersonem. On zrobił coś, co cię zdenerwowało. Na tyle, że poprosiłeś, żeby więcej tam nie jeździć. Teraz martwisz się, że Peterson miał coś wspólnego z zamordowaniem twojego wujka Lestera. Ale naprawdę przeraża cię to, że mógł być zamieszany w to, co dręczyło Patty Bigelow.

Stuk, stuk, stuk. Kartezjusz ustąpił miejsca Arystotelesowi.

– Twój ojciec jest przekonany, że jesteś geniuszem – oświadczyłem.

– Może to prawda. W obecnym kontekście inteligencja oznacza zduszenie instynktownej chęci przeciwstawienia się władzy.

Gwałtowne mrugnięcie.

– Skąd miałbym wiedzieć cokolwiek o tym, co dręczyło Patty Bigelow?

– Bo Tanya o wszystkim ci opowiedziała. Chociaż proszono ją, żeby tego nie robiła.

– Nie wyrządziłbym jej krzywdy. Nigdy.

Milo chrząknął.

– Nie wierzycie mi?

– Moglibyśmy uwierzyć, synu, gdybyś skończył z tym pieprzeniem i odpowiadał na nasze pytania.

– Ja nic nie wiem. To wszystko przypuszczenia.

– Trochę jak w badaniach naukowych – podsunął Milo. – Nam wystarczy.

Kyle sięgnął po plastikowy kubek, zajrzał do środka, zmarszczył się, wyrzucił go. Wyszperał nieotwartą puszkę Freski, otworzył ją, patrzył, jak spieniony napój przelewa się przez krawędź i kapie na jego papiery.

Zaczekaliście, aż się napije.

– Jesteście przekonani, że to, co się stało tyle lat temu, ma znaczenie? – odezwał się.

– A ty nie? – spytałem.

Kyle wsadził palec w rozlany płyn i narysował na dywanie amebę. Bawił się plamą, dopóki nie wsiąkła w wełnę.

– Zaczęło się, kiedy miałem dziewięć lat. Tata i mama byli wciąż małżeństwem i mieszkaliśmy w domu kilka przecznic od dziadka, przy Muirfield, dopiero co kupiliśmy drugi w Atherton. Gdy tata zabierał mnie na swoje randki, nie tylko z Mary, czułem się jak zdrajca wobec mamy. Ale nie chciałem narobić mu kłopotów, bo to on... cholera, po co kręcę... do rzeczy: tak, poprosiłem, żeby mnie tam nie brał, przez Pete'a. To socjopata, czy jak to się tam teraz nazywa. Na początku wydawało mi się, że chce się ze mną kumplować. Był cztery lata starszy. Czułem się przez to strasznie fajny. – Spuścił wzrok. – Odwracało to też moją uwagę od tego, co się działo w sypialni Mary. Przełożył puszkę z ręki do ręki. – Na

początku robiliśmy normalne rzeczy, rzucaliśmy do kosza, graliśmy w piłkę, oglądaliśmy telewizję. Był drobny jak na swój wiek, niewiele większy niż ja, ale wydawał się znacznie bardziej doświadczony.

– W czym?

– Chodzi o ogólne nastawienie, zgrywał cwaniaka. Ale nigdy nie traktował mnie z góry ani jak społecznego wyrzutka, którym tak naprawdę byłem. Dlatego lubiłem się z nim bawić. Potem zaczął podsuwać mi inne rzeczy. Pokazywał gołe dziewczyny, które wycinał z „Penthouse’a” i „Hustlera”, miał tego stosy pod łóżkiem. Kiedy się nie przeraziłem, zaczął mnie zabierać do garażu, gdzie trzymał najostrożniejsze rzeczy. Nie zwykłe porno, to już było przegięcie. Kobiety zakneblowane i związane, seks ze zwierzętami, świństwa, które do tej pory mnie odrzucają. Wtedy już miałem dość. Nie wiem, dlaczego nie powiedziałem tacie. Ale nie powiedziałem, a Pete zrobił następny krok. Do skrzynki narzędziowej, którą trzymał schowaną za jakimiś kłopotami. W środku miał fotki z filmów. – Kyle postawił puszkę na podłodze, popatrzył na Mila, potem na mnie. – Zdjęcia z filmów, które kręciła jego matka. Całe stosy. Nie był skrepowany, wręcz przeciwnie. Podstawiał mi je pod nos i robił obrzydliwe komentarze. „Patrz, jak jej wsadza”. „To właśnie robi teraz twojemu tacie”. A ja wciąż nie chciałem zdradzić, że mnie to brzydzi.

– To był inny chłopiec, który poświęcał ci czas – powiedziałem.

– Nie mam rodzeństwa, w szkole nie byłem lubiany. Zdjęcia były też chyba... podniecające. Chociaż kto wie, co to oznacza w wieku dziewięciu lat?

– Musiałeś być zdezorientowany.

– Wracalem do domu, czujac sie jak w transie. Tata nic nie zauwazył,

po wizytach u Mary zawsze był w świetnym humorze. Potem za każdym razem, kiedy tam jeździliśmy, ona częstowała mnie mlekiem i ciastkami, a ja przypominałem sobie jej zdjęcia, zaczynało mi się kręcić w głowie, byłem pewien, że coś po mnie widać. Ale nikt nic nie zauważał i kiedy tylko Pete i ja zostawaliśmy sam na sam, wyciągał skrzynkę i zaczynał od nowa. Mówił o swojej matce jak o kawałku mięsa. To było dla mnie tym bardziej dziwne, że bardzo starała się być dla mnie miła. Uściski, mleko i ciastka.

– Matczyna.

– Jak telewizyjna mama, ona nawet wyglądała jak telewizyjna mama. Widziałem ją a potem, po dziesięciu minutach, oglądałem ją z trzema facetami, a Pete zaczynał się oblizywać i dotykać. Teraz wiem, że lubił mnie szokować. Ale dalej chodziłem z nim do garażu. – Mrugnięcie. – Któregoś dnia dotknął mnie, gdy pokazywał mi zdjęcie. Odkoczyłem, a on się zaśmiał, powiedział, że tylko żartował, i nie jest pedałem. Potem rozpiął rozporek i zaczął się onanizować. – Kyle mocno podrapał się po głowie. – Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Może gdybym powiedział, Pete trafiłby do jakiegoś specjalisty.

– Z tego, co słyszałem o jego matce – oznajmiłem – nie liczyłbym na nią.

– Wiem, wiem... Taty gust co do kobiet... ale wciąż...

– Nie do ciebie należało naprawianie tego, co tam się działo, Kyle.

– Nie? – Zaśmiał się. – A więc dlaczego teraz o tym rozmawiamy?

Niech pan nie odpowiada, rozumiem... Chodzi mi chyba o to, że cokolwiek zrobił Pete, od początku nie miał żadnych szans.

– Zawsze można wybierać – powiedział Milo.

– Zawsze? Nie umiem nawet ogarnąć własnych obliczeń, a co dopiero ludzkiej natury.

– Witamy w prawdziwym życiu – rzuciłem. – Co sprawiło, że w końcu poprosiłeś, żeby tam nie wracać?

– Wydarzyło się coś jeszcze... o Jezu, dobrze... To była niedziela, długi weekend, dzień prezydenta, coś w tym rodzaju. Jak zwykle mama wybrała się na narty, a ja z tatą siedzieliśmy w domu. Pojechał do Mary, ale tym razem poszli razem coś zjeść. Bałem się zostać sam na sam z Pete'em, ale tata nie zwracał na mnie uwagi. Pete od razu zobaczył, że jestem spięty, powiedział: „Hej, stary, przepraszam, jeżeli cię zbrzydziłem, ale mam ci do pokazania coś super. Coś innego”. – Zgarbił się. – Ulżyło mi. Był taki rozentuzjasmowany.

– Nie bałeś się nigdy, że coś ci zrobi?

– Bałem się tak, jak człowiek, gdy bawi się w chowanego i wie, że ktoś może się ukryć tuż za rogiem. Ale nie, nie licząc tego jednego razu, nigdy mnie nie dotykał i zawsze był przyjazny. Czułem natomiast złość, że nie spędzamy czasu z tatą. Że nie robię normalnych rzeczy, jak syn z ojcem; nie mówcie mu tego, zawsze się starał, na ile mógł. Jego tata nim poniewierał, ale mój nigdy mi nic takiego nie zrobił.

Głęboki oddech.

– A więc Pete był ożywiony – podsunąłem.

– Trzymaj się tematu, Kyle. – Stuknął się w czoło. – Wracamy do garażu. Tą „inną rzeczą” było kolejne pudło, pełne taśm z nagraniami. Pete powiedział, że to pirackie nagrania, które nauczył się sklejać ze sobą i robić w ten sposób własną muzykę... Pokazał mi żyłki, którymi to robił, strasznie niechlujna robota. Potem puścił te domowej roboty kasety na



magnetofonie. Coś okropnego, same trzaski i szумы, i strzępy słów bez sensu. Ale to i tak było o wiele lepsze niż oglądanie zdjęć, więc powiedziałem mu, że to fajne. Ucieszył się, porzucaliśmy trochę do kosza, poszliśmy do domu, zjedliśmy płatki kukurydziane z mlekiem. Pete napił się wina i próbował też namówić mnie, ale odmówiłem. Nie nalegał, nigdy z niczym nie nalegał. Poszedłem z nim z powrotem do garażu jak grzeczny szczeniak, a on od razu podszedł do lodówki, którą tam trzymali. Zawsze była zamknięta na łańcuch, ale teraz łańcuch zniknął. Wyglądała, jakby nikt jej od dawna nie czyścił. W środku znajdowała się tylko duża, przezroczysta foliowa torba, a w niej coś, co wyglądało na kawały surowego mięsa. Śmierdziało strasznie, chociaż było zamknięte w torbie. Zatkąłem nos, zacząłem się krztusić. Pete się zaśmiał, rozłożył na podłodze brezent, taki jasny, niebieski, ogrodniczy, i wywalił na niego zawartość torby. – Kyle zrobił się biały. Złapał się ręką za brzuch. – Nawet teraz to niewiarygodne... Czasami się zastanawiam, czy mi się to nie przyśniło.

Minęło kilka chwil. Kyle wciągnął powietrze.

– Wyrzucił rzeczywiście zwierzęce mięso, ale nie wieprzowinę czy wołowinę. – Jeszcze jeden oddech. – Szczątki. Korpusy, łapy, futro, kości, zęby. I głowy. Wiewiórek, szczurów, widziałem też chyba kota. Nie wytrzymałem, wyskoczyły ze mnie płatki. Pete uznał, że to strasznie zabawne. Wstał, złapał widelec do grilla, który tam trzymali, i zaczął przesuwając nim resztki po brezencie. Jakby je smażył. Cały czas się śmiał. „Pora na obiad, nie, to śniadanie, nie, to podwieczerek, co ty na to, zrobimy sobie podwieczerek”. Potem, nagle, nadział to na widelec i podetknął mi pod nos. Podskoczyłem, wciąż rzygając. Próbowałem się

wydostać z garażu, ale nie mogłem. Drzwi były zamknięte, takie metalowe, odsuwane. Nie miałem pojęcia, jak je otworzyć. Pete cały czas machał tymi ochłapami, częstował mnie, obrzydliwie żartował. Śmierdziało nie do wiary.

– Obrzydlistwo – powiedział Milo. Poważnie.

Kyle oparł dłonie na dywanie, zaparł się, jakby zamierzał lewitować.

– Ja wrzeszczę i rzygam, błagam, żeby mnie wypuścił. On wciąż do mnie idzie, a potem się zatrzymuje, opiera o lodówkę. Rozpina rozporek, wyciąga go sobie, bierze kawał tego świństwa i sobie tam wtyka. I zaczyna się dotykać. Nie potrzebował dużo czasu. Był napalony.

Przeprosił nas, poszedł do łazienki, wrócił z wilgotnymi włosami i czerwonymi oczami.

– Nie chcę już o tym rozmawiać.

– Jak wydostałeś się z garażu? – spytałem.

– Skończył, wypuścił mnie, ignorował przez resztę dnia.

– Jaki kontakt miałeś z nim potem?

– Żadnego. Nigdy więcej go nie widziałem.

– Rodzinne zobowiązania nie przeszkadzały?

– O czym pan mówi?

– Nie wiesz? – spytałem.

Zastanawiałem się, czy faktycznie nie wie.

– Czego nie wiem? – Lester Jordan...

– To jego ojciec, tak, tak, teoretycznie to mój kuzyn, ale nie emocjonalnie. Nie było absolutnie żadnej więzi. A ja dowiedziałem się o tym związku wiele lat później. Cholera, mój własny tata tyle się szlaja, że

mogę mieć kuzynów na całym świecie.

– Kiedy i jak się dowiedziałeś, że Lester był ojcem Pete’a?

– Mieszkałem już w Atherton, to było dwa lata później, zostałem sam z tatą, a on chciał odwiedzić jedną ze swoich dziewczyn. Tym razem się postawiłem i powiedziałem, że jeśli nie chce ze mną spędzać czasu, pójdę do muzeum. Zaczął przeproszać, bić się w piersi, że jest gównianym ojcem. Więc oczywiście go pocieszałem, uspokajałem, że jest świetny. W trakcie tego wszystkiego wyszła sprawa Lestera i Patty. Wydaje mi się, że tata wygłosił mowę o więzach krwi, o tym, że wszystkie dobre geny, jakie odziedziczyłem, dostałem po nim, bo ze strony mamy byli sami nieudacznicy. Po rozwodzie oboje mi to robili, obgadywali się nawzajem.

– Wykorzystał Lestera jako argument – powiedziałem.

– Właśnie. Potem dorzucił, że Lester jest ojcem Pete’a. Stwierdził, że jabłko niedaleko pada od jabłoni.

– Wygląda na to, że wiedział o problemach Pete’a.

– Chyba tak.

– Ale nie pytał, czy Pete kiedyś coś ci zrobił.

– Nie – odrzekł Kyle. – Ciekawość taty ma swoje granice.

– Jak się dowiedziałeś o problemach Pete’a z nauką? – spytałem.

Otworzył szeroko oczy.

– O czym pan mówi?

– Powiedziałeś Tanyi, że masz kuzyna, który był leczony, ale bezskutecznie – powiedziałem. – A może chodziło ci o kogoś innego?

– Ja... nie, to był on. Chyba tak go nazwałem. Ale nie dlatego, że naprawdę uważam nas za krewniaków. Prowadziłem z Tanya teoretyczną dyskusję. Nie spodziewałem się, że ktoś będzie rozbierał moje zdania.

– Jak się dowiedziałeś, że Pete bierze leki?

– Pokazał mi pigułki. Mary pozwalała mu trzymać je na szafce nocnej i brać bez nadzoru. Powiedział mi, że bierze, kiedy potrzebuje energii.

– Ritalin?

– Nie czytałem nalepki, mówił na nie „pastylki energii”, tłumaczył, że przepisali mu je, bo szkoła próbowała go kontrolować. Powiedział, że czuje się po nich dobrze, ale nie będzie nic robił, bo szkoła jest do kitu.

– Widziałeś, żeby brał jakieś narkotyki? – spytał Milo.

– Miał torebkę trawki, trzymał ją na widoku, obok pastylek. Parę razy widziałem, jak pali skręta. Lubił też wino i wszystko, co udało mu się ukraść z zapasów Mary.

– A do tego zwierzęce wnętrzności.

– Nie przypominajcie mi.

– Dlaczego skontaktowałeś się z Tanya?

– Kiedy doktor Delaware tu przyszedł i porozmawiał ze mną o pannie Bigelow, zacząłem sobie przypominać.

– Co przypominać?

– Cały ten okres mojego życia, poruczniku.

– To, jak widziałeś Tanyę w ogrodzie – rzekłem.

– Nie szpiegowałem jej, to nie było nic podejrzanego, ona po prostu tam siedziała. Mama i tata wciąż byli małżeństwem, ale mieszkali osobno, a mnie wożono do Atherton i z powrotem. Dziadek przypominał już warzywo. Nikt nie miał dla mnie czasu oprócz Patty Bigelow. Pytała mnie, jak się mam, robiła mi kanapki. Tanya i ja nigdy nie zamieniliśmy ani słowa. Mówi, że mnie zauważała, ale ja tego nie widziałem. Po tym, jak pan tu przyszedł, znalazłem ją w książce studentów, zobaczyłem, jaka

zrobiła się ładna. Zapisałem jej rozkład zajęć i udałem, że przypadkiem wpadłem na nią w kampusie. Wiem, że to brzmi jak obsesja wariata, ale byłem ciekawy, to wszystko. Nie zamierzałem nawet z nią rozmawiać. Nie jestem podrywaczem. Gdybyście się nie domyślili.

– Udało ci się z nią porozmawiać – powiedziałem.

– Jadła kanapkę. Przy odwróconej fontannie, tam gdzie nas znaleźliście. Obok budynku fizyki, to była... opatrność. Wyniosłem swoje drugie śniadanie, zaczęliśmy rozmawiać, łatwo się z nią rozmawiało. Byłem szczery i od razu jej powiedziałem, jak ją znalazłem. Pamiętała mnie, nie przestraszyła się, nie poczułem się jak skończony palant. To było tak, jakbyśmy się znali od bardzo dawna. Jako przyjaciele... nie dotykałem jej. Nie sądzę, żeby mnie postrzegła w ten sposób.

Popatrzył na nas błagalnie, pragnąc usłyszeć zaprzeczenie.

– A teraz się o nią martwisz – dodałem.

– Jak mam się nie martwić? Rozmawiacie z Lesterem, a następnego dnia on nie żyje?

– Czy podejrzewasz, kto to mógł zrobić? – spytał Milo.

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Zgaduj.

– Pete.

– Dlaczego?

– Nienawidził swojego ojca.

– Powiedział ci to?

– Nigdy nie wspominał Lestera z imienia, ale zawsze mówił, że jego stary to nic niewarty ćpun i że nie mógł go znieść.

– Powiedział to w rozmowie?

- To było wiele lat temu, poruczniku.
- Spróbuj sobie przypomnieć.
- Gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że to było jakieś porównanie. „Twój tata jest fajowy, mój do dupy”.
- Co mu się podobało w twoim ojcu?
- Że był bogaty. Że był „ogierem”.
- Co jeszcze mówił ci o Jordanie?
- Nic, to nie było tak, że cały czas o nim mówił. Jeżeli już miał obsesję na czyimś punkcie, to swojej matki.
- Jakie miał kontakty z Jordanem?
- Co to, podchwytliwe pytanie? Powiedziałem wam już, że Lestera nigdy nie było w moim życiu, a odkąd przestałem jeździć do Mary, nie widziałem już Pete’a.
- Nie miałeś kontaktu z Lesterem, bo twój tata nie mógł go znieść.
- Nikt nie mógł. Mama to jego siostra, a sama nie chciała mieć z nim nic wspólnego.
- Twój tata zwolnił go z czynszu i zatrudnił Patty Bigelow, żeby się nim opiekowała.
- No i?
- Miłe traktowanie jak na kogoś, kogo się nienawidzi.
- Mama prawdopodobnie zrobiła to, żeby mieć Lestera z głowy. Kiedy byli jeszcze małżeństwem, tata dawał jej wszystko, czego chciała, a ona udawała, że nie widzi, gdy się puszczał. Modelowa rodzina, co?
- Dlaczego Lester został zabity? – spytałem.
- Skąd mam wiedzieć?
- Myślisz, że to miało związek z Patty Bigelow?

Cisza.

– Powiedz nam, co wiesz, synu – zażądał Milo. – Natychmiast.

– Tanya opowiedziała mi, co wyznała jej mama przed śmiercią. Proszę, nie krzyczcie na nią. Musiała z kimś porozmawiać, a ja akurat byłem w pobliżu.

– Co konkretnie ci powiedziała?

– Że jej mama uważała, że zrobiła krzywdę jakiemuś sąsiadowi.

– Uważała?

– Ani Tanya, ani ja nie wierzymy, że Party byłaby zdolna skrzywdzić innego człowieka. Jestem pewien, że to przez tę śmiertelną chorobę. W najgorszym razie była świadkiem czegoś, czego nie popierała i miała przez to wyrzuty sumienia.

– Czegoś związanego z Pete'em Whitbreadem? – spytałem.

– To logiczny wniosek, prawda? To socjopata, Tanya i Patty mieszkały kilka domów dalej. Patty pewnie coś widziała.

– Co opowiedziałeś Tanyi o skłonnościach Pete'a?

– Nic. Nigdy nikomu nie mówiłem. – Nagły, szorstki śmiech. – Możemy już kończyć? Mam kupę roboty.

– Dlaczego się wzdrygnąłeś, kiedy wspomniałem, że uczyła się do późna z kolegami?

Zgarbił się, podrapał w głowę.

– Nie mówcie tego Tanyi, ale wiem na sto procent, że nie ma żadnych spotkań z kolegami. Kiedy twierdzi, że robi coś z innymi studentami, tak naprawdę siedzi sama. Gdy nie ma zajęć, uczy się w bibliotece. Zostaje tam długo po godzinach, między regałami. Czasami wychodzi ostatnia. Idzie do samochodu sama, po ciemku. Boję się jak cholera, ale nie mogę

nic powiedzieć, bo nie chcę, by wiedziała, że ją śledzę.

– Myślałeś kiedyś o pracy detektywa? – spytał Milo.

– Nie mówcie jej. Proszę.

– Tyle tajemnic, Kyle – zauważyłem. – Czasami prościej jest przejść z punktu A do punktu B.

– Świetna teoria, ale w życiu mało przydatna. Byłem z wami szczerzy, nie wydajcie mnie. Nie mogę ryzykować, że Tanya uzna mnie za dziwaka.

– Zgoda, na chwilę obecną – przystał Milo – dopóki będziesz współpracował.

– W czym mam jeszcze współpracować? Powiedziałem wam wszystko, co wiem.

– Dlaczego zacząłeś podejrzewać, że nie uczy się z kolegami?

– Nigdy nie wspomniała imion żadnych studentów. Nigdy nie widziałem jej z nikim w kampusie.

– Jak za dawnych czasów – powiedziałem. – Bawiła się wśród drzew. – Dawnych, ale niekoniecznie dobrych – odparł. – Byłem samotny jak diabli, i ona też, ale się nie spotkaliśmy. Teraz jesteśmy przyjaciółmi i chciałbym, żeby tak zostało.

Milo pokazał mu zdjęcia Roberta Fiska i Mosesa Granta. Kyle pokręcił głową.

– Kto to?

– Przyjaciele Pete'a Whitbreada.

– Ten wygląda wrednie. – Pokazał Fiska.

Na widok internetowego zdjęcia Whitbreada/De Paine'a kiwnął głową.

– Zrobił się na punka, ale to on. – Wskazał ładne twarze otaczające



wąskie, blade oblicze De Paine'a. – Wygląda na to, że dobrze sobie radzi z kobietami.

– Księgowość to nie jest – powiedział Milo, wstając.

– Jesteście pewni, że potraficie ochronić Tanyę?

– Zrobimy co w naszej mocy, synu. Oto moja wizytówka, zadzwoń, jeśli coś jeszcze przyjdzie ci do głowy.

– Nie przyjdzie. Czuję się, jakby coś wysssało mi mózg.

Odprowadził nas do frontowych drzwi.

– Jakie są wytyczne, panie poruczniku?

– Czego wytyczne? – Zasady postępowania z Tanya. Nie chcę wam przeszkadzać, ale zależy mi na niej. A wy nie możecie być bez przerwy wszędzie.

– Zamierzasz jej pilnować?

– Mogę przynajmniej przy niej być.

– Bądź, ale nie zrób nic głupiego i nie opóźniaj dochodzenia.

– Umowa stoi.

Wyszliśmy w ciepłą, ciemną ciszę Hudson Avenue.

– A więc wciąż mogę ją widywać! – zawołał za nami Kyle.

– Właśnie to powiedziałem, synu.

– Ale tak towarzysko?

– Idź porób obliczenia, Kyle.

Wróciliśmy do samochodu, wsiedliśmy do niego, ocienieni wyniosłym obliczem rezydencji. Zobaczyłem, że gaśnie światło na piętrze. Księżyc świecił mizernie, reszta kwartału zniknęła we mgle. Wschodni wietrzyk zmierzwił korony statecznych drzew. Hudson Avenue pachniała pomarańczami, mokrymi samochodami i ozonem.

– Szczenięca miłość – rzucił Milo. – Tyle na temat dyskrecji Tanyi. Spieprzyłem sprawę, pozwalając Kyle’owi odgrywać pana Opiekuńczego?

– A mogłeś go powstrzymać?

Pomasował twarz.

– Ufasz mu?

– Przeczucie mi mówi, że jest w porządku.

– A jeśli ma rację, Tanyi przydałby się przyjaciel. Kłamała, że uczy się z kolegami. Zastanawiałeś się nad tym?

– Miło byłoby się mylić – powiedziałem.

– Ja nawet nie umiem sobie wyobrazić samotności w tym wieku. Niewiele opowiedział mi o swoim dzieciństwie, ale z tego, co zdradził, czuł się alienowany, odkąd skończył sześć lat, wielki, gruby irlandzki chłopak, który wyglądał i zachowywał się jak jego bracia, ale wiedział, że jest inny. Tych kilka razy, kiedy mówił o swojej rodzinie, robił to jak antropolog opisujący egzotyczne plemię.

– Tak, to trudne – przyznałem. – Ale myślisz, że daje sobie radę?

– Na tyle, na ile można się spodziewać.

Zaśmiał się.

– Doktor Dyskrecja. Tak czy inaczej, fajnie by było, gdybyśmy mogli to wszystko wyjaśnić i patrzeć, jak ta dwójka oddala się w stronę zachodzącego słońca, tańcząc walca... Chociaż teraz dzieciaki nie tańczą walca. – Błysk zębów. – Nie, żebym sam tańczył... a więc na czym stoimy z kuzynem Pete'em?

– Diagnoza Kyle'a wydaje się trafna.

– Zwierzęce flaki na wacku to coś więcej niż socjopata, Alex.

– Podręcznikowy socjopata – przytaknąłem. – Dawał poważne, niebezpieczne sygnały bardzo wcześnie, ale nikt się tym nie przejął.

– Podbierał zdjęcia mamy.

– Całe jego dzieciństwo było przesiąknięte erotyką. Seks i przemoc mogły się zlać w jedno. To mi nasuwa myśl, że „straszna rzecz” Patty mogła być związana z przestępstwem seksualnym. A jeśli naprawdę kogoś zabiła, drania, którego uważała za zagrożenie dla Tanyi?

– Jakiegoś obleśnego kumpla Pete'a?

Kiwnąłem głową.

– Na drodze Tanyi staje groźny pedofil – powiedział Milo – a Patty wyciąga dwudziestkędwójkę. Czemu miałyby powiedzieć o tym Tanyi właśnie teraz?

– Może bała się, bo nie dokończyła roboty.

– Oszczędziła De Paine'a – ciągnął. – Wiele lat później wpada na niego na ostrym dyżurze, a on rzuca jakąś pogroźkę. Ale jeśli współpracował z jakąś inną mendą przy czymś niewypowiedzianym złym, czemu Patty wykończyła kumpla, a jego oszczędziła?

– Bo był młody – odparłem. – Kiedy Patty i Tanya mieszkały przy Czwartej, miał osiemnaście lat. Był też synem mężczyzny, którym się

opiekowała. I na którym być może jej zależało.

– Wszyscy inni gardzą Jordanem, a ona się nad nim rozczuła?

– Opiekowała się nim tak, jakby się rozczuła. Możliwe też, że jedno zabójstwo przyprawiło ją o traumę i nie miała odwagi zrobić tego drugi raz. U dobrych ludzi tak bywa.

Wiatr powiał mocniej.

– W porządku – powiedział Milo – z jakiegoś powodu nie zastrzeliła małego Pete’a. Czemu nie doniosła na niego na policję?

– Bo wyeliminowała jego współnika i nie chciała mieć z policją żadnego kontaktu.

– Teoretycznego współnika – zauważył Milo. – Kierując się twoją logiką, kogoś starszego. Teraz musimy tylko wywołać tego ducha z nicości. I odkryć jakąś przerażającą zbrodnię seksualną, o której nikt nigdy nie słyszał. Poza tym, jeśli Patty bała się, że De Paine skrzywdzi Tanyę, czemu nie ostrzegła jej wprost?

– Nie wiem. Możliwe, że choroba miała wpływ na jej myślenie. A może nie chciała straszyć Tanyi albo narażać jej na niebezpieczeństwo. Przez takie dwuznaczne ostrzeżenie skierowała ją do mnie, mając nadzieję, że pomożemy jej obaj.

– Może.

– Udało się, prawda?

Założył ręce za głowę.

– Masz niezłą wyobraźnię, przyznaję.

– Kiedy Tanya powiedziała mi, że według niej Patty próbowała ją chronić – wyjaśniłem – złożyłem to na karb idealizowania matki. Ale może dobrze to zrozumiała.

Milo zamknął oczy. Zegarek na desce rozdzielczej wskazywał pierwszą czterdzieści sześć.

– To pasuje także do morderstwa Jordana Lestera, Milo. A jeśli Jordan wiedział, że Patty oszczędziła jego syna? Przychodzimy i pytamy o nią, on się robi nerwowy, zastanawia się, czy junior w końcu zapłaci za swoje grzechy. Albo czy nie wpakował się w coś nowego. Dzwoni do juniora, być może ostrzega go, żeby trzymał się z dala od Tanyi. A może wysyła ostrzeżenie przez Mary. Tak czy inaczej, De Paine zastanawia się, czy Jordanowi można ufać, że będzie trzymał gębę na kłódkę. To podsyca jeszcze gniew, który całe życie czuł do ojca. Odwiedza go pod pozorem dostarczenia mu towaru. Jordan strzela sobie działkę, usypia. De Paine wpuszcza Roberta Fiska.

– Wraki Edypa – powiedział Milo.

– Nie trzeba być Freudem, żeby dostrzec, że to sprawa rodzinna. Jedną z najwcześniejszych podniet seksualnych De Paine'a było oglądanie ujęć z filmów matki. Zaspokajanie nałogu ojca dało mu poczucie władzy.

– Czy socjopaci rozumieją ironię?

– Pojmują ją inaczej niż my.

– To znaczy?

– Rekin zjada płotki, i tak ma być.

– Co w tym wszystkim robi Moses Grant?

– Nie słyszeliśmy o nim nic, co by wskazywało na jakieś przestępcze zachowania, więc może był dużą płotką. Zostawił pracę i mieszkanie i poszedł za De Paine'em, bo wierzył, że pomoże mu w karierze didżeja. Po drodze zobaczył za dużo, zareagował strachem albo obrzydzeniem. Taka słabość mogła sprowadzić niebezpieczeństwo na De Paine'a i Fiska.

– Ekipę sprzątającą – powiedział Milo. – Uważasz, że Grant był z nimi, kiedy wykańczali Jordana.

– Fortuno nazwał go lokajem, a cokolwiek by o nim powiedzieć, jest spostrzegawczy. Wiemy, że Grant prowadził hummera, więc może tej nocy był kierowcą, czekał gdzieś kawałek dalej na ulicy.

Znów długie milczenie.

– Masz talent to okropności – stwierdził Milo, patrząc na rezydencję za mną. – Odpalaj samochód, Jeeves. Od tego miejsca skacze mi poziom cukru.

Druga dwadzieścia trzy w nocy, w moim domu zgaszone światła. Kiedy wszedłem do środka, podskoczyłem, słysząc jakieś dźwięki z salonu.

– Cześć, skarbie – powiedziała Robin.

Gdy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zobaczyłem jej sylwetkę. Leżała zwinięta na kanapie, przykryta kocem tak, że wystawały spod niego tylko włosy, spływające na jedwabną poduszkę. Blanche usadowiła się w trójkącie utworzonym przez brzuch i ramię Robin. Na podłodze dostrzegłem pilota od telewizora.

Robin włączyła słabą lampkę, skrzywiła się i usiadła, trąc oczy i odgarniając włosy z twarzy. Blanche ziewnęła i się uśmiechnęła.

Wyłączyłem światło, usiadłem na skraju kanapy i pocałowałem Robin we włosy. Jej oddech pachniał słodko-kwaśno cytrynowym jogurtem.

– Oglądałam telewizję, widać się zdrzemnęłam.

– Program musiał być fascynujący.

– Ludzie szukali nowych domów. Po prostu dreszcze emocji.

– Nieruchomości – rzuciłem. – To nowy seks.

– Stary seks jeszcze się nie przedawnił... zasadniczo... która godzina?

Powiedziałem jej.

– Ojej. Wielkanoc?

– Nic dramatycznego – odparłem. – Przepraszam, że nie zadzwoniłem.

– W porządku. Była tu moja dziewczyna, miałyśmy mnóstwo do obgadania.

– Na przykład?

– Dziewczyńskie sprawy, nigdy się nie dowiesz. Pomóż mi wstać, *caballero*. Muszę się wyciągnąć w prawdziwym łóżku. Blanche może zostać z nami, jeśli chcesz.

– Ona chrapie.

– Ty też, kochanie.

– Naprawdę?

– Czasami.

– Przeszkadza ci to?

Cmoknęła mnie w policzek i wstała. Odprowadziłem ją, wciąż owiniętą w koc, do sypialni.

– Nie daję ci zasnąć, Rob?

– Mam na ciebie sposób.

– Jaki?

– Kopię cię w tyłek, przewracasz się na drugi bok i przestajesz.

– Żadnego szacunku – powiedziałem.

Zaśmiała się.

– A komu on potrzebny? Przy okazji, wciąż rozpytuję o De Paine'a. Nikt z branży nie traktuje go poważnie i nikt go ostatnio nie widział.

Jeszcze jedna osoba słyszała plotkę o domu na wzgórzach, ale to już załatwiłeś.

Pocałowałem ją.

– Dzięki za starania.

– Tak mam na drugie.

Zadzwoń do Tanyi o ósmej trzydzieści następnego ranka.

– Przed chwilą rozmawiałam przez telefon z Kyle'em – powiedziała. – Wiem, że uważa mnie pan za głupią, bo mu się zwierzyłam, ale ja go naprawdę znam. Podejrzewa, że to, co mama pamiętała, mogło mieć związek z Pete'em Whitbreadem, a dla mnie to brzmi logicznie.

– Co pamiętasz na temat Pete'a?

– Niewiele. Widywałam go na ulicy, ale nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego.

– Zadawał się z kimś konkretnym?

– Nigdy nikogo nie widziałam. Pamiętam, że mama nie lubiła Mary Whitbread.

– Dlaczego?

– Nie wiem, ale widać to było po tym, jak się zachowywała, kiedy Mary wpadała po czynsz. Trochę mnie to krępowało, bo ona była dla mnie miła, czasami przynosiła mi cukierki. Podziwiałam jej urodę. Wychodziłam właśnie z etapu Barbie, ale uważałam, że Mary wygląda jak mama Barbie, śliczna, super-kobieca. Kiedy przychodziła, wyczuwałam, że chciała się zaprzyjaźnić, ale mama nigdy nie zapraszała jej na dłużej. Wręcz przeciwnie, starała się jej jak najszybciej pozbyć. Raz właśnie zaparzyła świeżej kawy, Mary zauważyła, że ładnie pachnie. Mama



powiedziała: „Jest stara, właśnie miałam ją wylać”. To było oczywiste kłamstwo. Mary wyszła z taką miną jakby dostała po twarzy... ups, która jest godzina, muszę lecieć, doktorze Delaware.

– Znowu nauka grupowa?

– Nie, to później. Laboratorium o dziesiątej. Nie wiem, czy cokolwiek z tego wam się przyda, ale nic więcej nie pamiętam. Dziękuję, że nie jest pan zły za Kyle’a.

– Jak ci idzie z autohipnozą?

– Świetnie, doskonale, wczoraj ćwiczyłam. Poleciałam od razu dwanaście razy.

– Aha.

Nerwowy śmiech.

– Przesadziłam?

– To świetnie, że ćwiczysz, ale aż tak dużo może nie trzeba.

– Uważa pan, że jestem beznadziejna.

– Wręcz przeciwnie.

– To znaczy?

– Wiążę z tobą wielkie nadzieje.

– Dziękuję, doktorze Delaware. Potrzebowałam tego.

O dziesiątej dwadzieścia osiem zadzwonił detektyw Raul Biro i spytał, czy dam radę przyjechać na pierwszą na spotkanie w Hollywood Division.

– Jakieś postępy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Petra ujawniła tylko, że chce zwołać naradę. Jest w archiwum, powiedziała, że do pierwszej powinna zdążyć.

– Będę. Jak idzie obserwacja Whitbread?

- Jestem właśnie przecznicę od jej domu. Na razie bardzo spokojnie.
- Dzięki za telefon, Raul. Do zobaczenia o pierwszej.
- Mnie nie będzie – zaznaczył. – Trzymam się tej Whitbread jak guma arabska.

W sali konferencyjnej Hollywood Division pachniało jak w ciężarówce firmy cateringowej.

Na ścianie wisiał plakat z Bin Ladenem w zabrudzonej pielusze. Podpis brzmiał: *Niech ktoś mnie wyciągnie z tej kupy.*

Milo walczył z godnym zapaśnika sumo cheeseburgerem z podwójnym chili, Petra skubała frytki i meksykańską sałatkę, Dave Saunders i Kevin Bouleau pałeczkami wsuwali wieprzowinę lo mein z papierowych talerzyków.

Przed pustym krzesłem leżało zawiniątko.

– Kupiłam ci kanapkę z pieczenia – oznajmiła Petra – ale nie ręczę za jakość.

– Ani za gatunek – dodał Saunders, obracając pałeczkę w palcach.

Podziękowałem jej i usiadłem.

– To był dobry poranek dzięki naszym braciom – powiedziała, szerokim gestem wskazując Saundersa i Bouleau.

Saunders miał pełne usta.

– Znaleźliśmy miejsce zbrodni Granta – wyjaśnił Bouleau – opuszczony budynek przy Santee. Bezdomny, który sypia niedaleko, przypomniał sobie, że widział zatrzymującego się tam hummera i wysiadających z niego jakichś ludzi. Nie jest pewien, czy było ich dwóch czy trzech i nie wie, kiedy wyszli, bo był spity tanim winem. Szczerze

mówiąc, nie jest to człowiek całkiem przy zdrowych zmysłach. Ale to, że widział hummera, to już solidna poszlaka, niewiele ich jeździ po tej okolicy.

Saunders przełknął.

– Zostawili krew na podłodze i ścianach, ale zabrali łuski. Wstępne badanie próbek wykazało zero plus, to grupa Granta, bardzo popularna, ale założę się z wszystkimi chętnymi o wynik DNA.

– To, że zostawili hummera na widoku – powiedziałem – świadczy, że nie bali się wykrycia.

– W nocy nikogo tam nie ma – wyjaśnił Saunders – a faceci, którzy z zimną krwią strzelają do swojego kumpla, prawdopodobnie uznali, że daliby sobie radę ze złodziejem samochodów.

Pomyślałem, że ten temat zasługiwał na szerszą dyskusję, ale nic nie powiedziałem.

– Doskonała robota – pochwalił Milo.

Bouleau się wyszczerzył.

– Tak już mamy.

– Jak dotąd nie udało nam się znaleźć żadnych krewnych Granta – dodał Saunders. – Ale nie ustajemy w wysiłkach.

– Ryczymy jak lwy, ale ryjemy jak krety – rzekł Bouleau. – I czekajcie, dzieciaki, to nie wszystko, mała niespodzianka z autopsji. Pan Grant został zastrzelony, ale najpierw próbowali go udusić. Koroner znalazł otarcie na jego szyi. Grant był tak wielki, że ślad zginął w fałdach tłuszczu, kiedy oglądali go na miejscu. Nie było pęknięcia kości gnykowej, ale zostały siniaki i drobne wybroczyny w gałkach ocznych, w kącikach, trzeba było ich poszukać, żeby znaleźć.

– Jak przypuszczaliście – powiedział Saunders – próbowali go udusić, facet był za duży, więc go zastrzelili.

– Jakież ślady walki? – spytała Petra.

– Nie. A biorąc pod uwagę wzrost Granta, atak na wprost zostawiłby rany biegnące ukośnie do góry. Ślady na ciele Granta wskazują, że podziurawili go, gdy prawdopodobnie już leżał. To pomieszczenie było generalnie pustą skorupą, wielkie i zimne, w kącie jakieś stare części od silników, kiedyś to był warsztat czy coś takiego.

– Taki wielki facet kładzie się na plecy i nie walczy? – spytał Milo.

– Koroner zastanawia się, czy nie podali mu środka usypiającego, zobaczymy, co pokaże badanie toksykologiczne.

– Duszenie jest bardziej osobiste – zauważyłem. – Silniej podnieca.

– Tak też pomyślałem, doktorze – przyznał Bouleau. – Ale kark miał za gruby, więc przeważało praktyczniejsze podejście.

– Próba uduszenia może także oznaczać dwóch ludzi – stwierdziła Petra. – Czyli samochód Fiska zostawiony niedaleko Lindbergh Field mógł być podstępem.

– Pojechał tam, a wrócił innym sposobem? – spytał Saunders. – Jeśli wie, że jest poszukiwany, po co by wracał?

– Bo De Paine go potrzebował – oświadczyłem.

– Facet musi nieźle płacić – stwierdził Bouleau.

– Facet ma nieźle dochody – zauważył Milo. – Sprzedaje heroinę, świńskie obrazki, wszystko, czego ludzie pożąдают. W prochach jest ustawiony tak dobrze, że może zostawić herę wartą patola u Lestera Jordana. Wiemy, że kiedy był mały, łykał prochy i pił, ale przy takiej samokontroli w żyłę prawdopodobnie nie daje. Ale może Moses Grant

dawał i obezwładniło go to tak samo jak Jordana. Kiedy będą wyniki?

– Za parę dni, trzy, cztery – odrzekł Saunders. – Mieliliśmy szczęście, że autopsja dostała priorytet.

– Jak wam się to udało? – spytała Petra.

– Szczerze mówiąc, nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Koroner zobaczył otarcia oprócz dziur po kulach, zaciekawilo go to, przesunął Granta na początek kolejki.

Odpakowałem kanapkę, zobaczyłem dziesięć deka czegoś tłustego, rozmiękczonego dwie połówki czerstwej francuskiej bułki. Bliższe oględziny wykazały obecność poskręcane go kotleta, spalonego prawie na popiół, i sałatę, której przydałaby się viagra.

– Och! – rzuciła Petra. – Przepraszam, podzielę się z tobą sałatką.

– Nie, nie, dziękuję.

– O rany – jęknął Saunders – cokolwiek to jest, zamieniliby drapieżnika w wegana. Trochę chińszczyzny, doktorze?

– Nie, dzięki.

Milo podniósł swojego cheeseburgera.

– Ja nie częstuje.

– Prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie – powiedziałem.

– Dbam o twój cholesterol. – Odłożył kanapkę. – Westside nie może się z wami równać, jeśli chodzi o dowody rzeczowe, ale o panu Whitbread/De Painie można powiedzieć coś więcej niż to, że handluje prochami, i to nie jest nic przyjemnego.

Trzy pary oczu zabłysły ciekawością. Milo im opowiedział.

Zwierzęce flaki – powiedziała Petra. – To dopiero zboczony szczeniaczek.

Odsunęła od siebie sałatkę.

– To paskudne – przyznał Bouleau – ale jeśli Grant naprawdę był porządnym obywatelem, który przypadkiem zadawał się z dwoma złymi facetami, nie widzę żadnego związku z naszą sprawą.

– Jak dotąd nie dowiedzieliśmy się niczego przeciwnego, Key.

– Cholerna szkoda. Wolę, kiedy przedwczesny koniec spotyka tych złych. Więcej śladów, i nie trzeba ich żałować, chyba że mają sympatycznych krewnych.

– Najgorsze są łkające matki – zauważył Dave Saunders.

– Co teraz?

– Wszyscy mamy ten sam cel – odezwała się Petra. – Znaleźć tych dwóch uroczych dżentelmenów. Robert Fisk to maniak siłowni i sztuk walki, do tego lubi tańczyć. Ale wszystkie moje dociekania w tym zakresie do niczego nie doprowadziły. Blaise De Paine odwiedził matkę tuż przed morderstwem Jordana, więc wiemy, że z nią rozmawia. Raul w tej chwili obserwuje dom. Nie udało się zdobyć nakazu na jej billingi, ale jedyną zbrodnią Mary jest to, że urodziła małego drania, a on nie został jeszcze oficjalnie uznany za podejrzanego. Do tego wszystkiego sporo informacji jest utajnionych przez sprawę Fortuna. Jeśli dowiecie się czegoś, co łączy Granta z De Paine'em, spróbuję jeszcze raz.

– Naostrzymy pazury i zaczniemy kopać – powiedział Bouleau. – Jeśli Grant był obywatelem miasta, zostawił ślady. A więc mieliście spotkanie z

Fortunem, tak? Nas, płotek, nigdy nie dopuszczają do sławnych ludzi.

– Nie jest to człowiek imponującego formatu, Key. Nic nie straciłeś.

– Może i nie, ale ciągle poluję na historie, które będę mógł opowiadać wnukom, kiedy będę się ślinił na ganku. – Bouleau spoważniał. – Biorąc pod uwagę związek z Fortunem i to, że De Paine zajmuje się muzyką, widzicie w tym wszystkim jakieś powiązania z show-biznesem?

– Popytałam trochę – wyjaśniła Petra – tak samo jak dziewczyna doktora Delaware’a, która pracuje z muzykami, to ona pomogła zidentyfikować De Paine’a. On nie jest grubą rybą, pęta się po obrzeżach sceny.

– Jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent naiwniaków w Hollywood – skwitował Saunders. Do Petry: – Bez urazy, ale czy wasz kapitan nie ma legitymacji cechu aktorów?

– Ma, ale na nią zapracował.

– Jak? – spytał Bouleau.

– Doradztwem technicznym. – Nie wspomniała o pomniejszych rolach Stu Bishopa.

– Naprawdę? – zaciekawiał się Bouleau. – A może mi załatwić taką legitymację? Mogę doradzać komukolwiek w czymkolwiek.

– De Paine żyje na obrzeżach – powiedział Saunders – ale ma drogi samochód zarejestrowany na lewą firmę. Taki ktoś nie będzie raczej mieszkał w kawalerce pod lotniskiem.

– Może mieszka w domu należącym do matki – rzekłem, – Już to sprawdziłam – oznajmiła Petra. – Cały majątek Mary to cztery dwurodzinne domy w Wilshire, które sprzedał jej Myron, i

sześciomieszkaniowy dom w Encino. De Paine nie mieszka w żadnym z nich.

– To są nieruchomości na jej nazwisko – powiedziałem.

– Ma firmę na lewe papiery? Pewnie to możliwe.

– Pora zajrzeć do baz danych, detektyw Connor? – spytał Dave Saunders.

– Czy z narkotyków mają coś do powiedzenia o De Paine? – zainteresował się Bouleau.

– Nie znają go – odparła Petra.

– Tyle lat handluje i za nic go nie przytknęli? – zdziwił się Saunders.

– Najwyraźniej.

– Ma szczęście – rzucił Bouleau. – Albo kontakty. Fortuno zna wielu prawników. – Powolny uśmiech. – Co dla nich oznacza przymusowy urlop, prawda?

– Wracamy do świata show-biznesu? – zapytał Saunders. – Gdyby tylko, partnerze. – Do nas. – Kevin chce być drugim Willem Smithem.

– Czemu nie? – odparł Bouleau. – Widzieliście panią Smith? Ale co, nie mam racji? Fortuno załatwia różne sprawy, a wszystko wskazuje na to, że ten chłopak coś sobie załatwił.

– Możliwe, że coś zostało wyciszone, zanim doszło do aresztowania – powiedziała Petra – ale jeśli nigdy nie złożono skargi, powodzenia w szukaniu. Powodzenia w szukaniu kogokolwiek, kto przyzna się, że choćby pomyślał o Fortuno.

Saunders wytarł usta serwetką.

– A więc mamy zagadkę pierwszej klasy – oświadczył Bouleau. – Chyba już najwyższy czas... Dobra, a więc Dave i ja będziemy dalej



pracować nad Grantem, a wy róbcie swoje z Lesterem Jordanem, i jeśli nasza droga przetnie się z waszą, będziemy się naradzać. Trzeba mieć na uwadze jakieś kwestie psychologiczne, doktorze?

– Okolica, w której zastrzelono Granta, nie jest gęsto zamieszкана – powiedziałem – ale mimo to Fisk i De Paine byli dość bezczelni, jeżdżąc tam hummerem po nocy. Porzucenie samochodu Fiska w San Diego i powrót tutaj także były ryzykowne, ponieważ mieli łatwy dostęp do meksykańskiej granicy albo mogli uciec na wschód, do Nevady.

– W LA czują się bezpiecznie?

– To chyba coś więcej. Morderstwo Lestera Jordana zostało popełnione przebiegle, ale Fisk zostawił ślad na oknie. Jeśli macie rację, że Grant dostał środki uspokajające, to również chytre. Ale Grant był duży i silny i stawiał opór, więc zastrzelili go z bliska. Zabrali łuski, ale nie chciało im się zmywać krwi. Potem porzucili go w miejscu, gdzie musiał zostać znaleziony.

– Połączenie sprytu i bezczelności – powiedział Milo.

– Wszystko to trąci nieco amatorszczyzną – zauważyłem – udają sprytnych, ale to ekshibicjoniści. To pasuje do teatralnych póz De Paine'a i obsesji siły fizycznej Fiska. Wskazuje też, że motywem mogło być podniecenie. Jordan i Grant mogli zostać usunięci, by coś ukryć, ale morderstwa nabrały własnego znaczenia.

– Jak już się wykończy własnego tatę, potem jest łatwiej – stwierdził Saunders.

– Rozmawiałem z seryjnymi mordercami. Kilku powiedziało mi, że kiedy uchodziło im płazem kilka zabójstw, zaczynali się czuć nietykalni. Plusem jest to, że dzięki temu robią się nieostrożni, i wydaje mi się, że ci

dwaj właśnie zmierzają w tę stronę.

– A minusem? – spytała Petra.

– Biorąc pod uwagę zboczenia De Paine’a, mogą zbierać siły do czegoś bardzo nieprzyjemnego.

– Osobiście byłam w archiwach – powiedziała Petra. – Na Czwartej ulicy ani w okolicy nikt nie został zgwałcony w ciągu pięciu lat przed i po tym, jak mieszkały tam Patty i Tanya. Możliwe, że nie zostało to po prostu zgłoszone, ale być może nie powinniśmy się ograniczać do dawnych mieszkań Patty z powodu jakiejś mglistej uwagi, że ten ktoś był „blisko”.

– Nie trzymam się kurczowo geografii – odezwałem się – ale przynajmniej popytałbym na Czwartej, czy mieszka tam wciąż ktoś z dawnych czasów.

– Zgadzam się – przytaknął Milo. – Trzeba by to zrobić tak, żeby nie zaalarmować Mary Whitbread, bo ona rozpozna nasze twarze.

– Dwóch wysokich, przystojnych Afroamerykanów chodzących od drzwi do drzwi też raczej rzucaloby się w oczy – powiedział Dave Saunders. – Poza tym musimy się skupić na Grancie.

Petra skubnęła kosmyk czarnych włosów i się zaśmiała.

– Czyli zgadnijcie, kto zostaje. Naprawdę uważasz, że warto, Alex?

– Pewnie nie pomoże ci to znaleźć De Paine’a – odparłem – ale za to doprowadzi do pierwotnego motywu.

Zamknęła oczy, pomasowała powieki. Otworzyła je i wycelowała jasne, piwne tęczówki po kolei w każdego z nas.

– Nic innego chyba nie wymyślimy. Jeśli Raul zauważy, że Mary wychodzi z domu, spróbuję. Może kupię sobie mundurek skautowski i będę sprzedawać ciasteczka. – Wstała i zebrała papiery. – To się nazywa

błędne wyobrażenie o sobie.

– Zrób sobie kucyki, nikt się nie skapnie – poradził Milo.

– Mam za krótkie włosy, a ty bezczelnie kłamiesz – rzuciła Petra. – Za co jestem ci bardzo wdzięczna.

Robin napisała liścik, że zabrała Blanche do swojego studia w Venice i że wróci około szóstej. Zadzwoiłem do Tanyi i powiedziałem jej, że musimy się jak najszybciej spotkać.

– Mam laboratorium do czwartej trzydzieści i pracę o szóstej.

– Niech będzie czwarta trzydzieści. Przyjadę pod campus.

– Czy wszystko w porządku, doktorze Delaware?

– To nie jest żaden nagły wypadek, ale muszę z tobą pomówić.

– Martwi się pan o mnie – powiedziała. – O moją nerwicę natręctw.

Pierwszy raz nazwała to po imieniu.

– Jeśli nie daje ci to spokoju, możemy się zająć również tym – obiecałem. – Ale chodzi o śledztwo.

– Złapaliście kogoś?

– Jeszcze nie... porozmawiajmy osobiście, Tanyu.

Informowałem, nie prosiłem.

– Skoro tak pan mówi. Gdzie?

– Jesz obiad przed pracą?

– Nic dużego. Czasami kupuję byle co z automatu i wychodzę na dwór, jeśli jest ładna pogoda.

– Pogoda jest w sam raz. Co powiesz na odwróconą fontannę?

– Dobrze – zgodziła się. – Lubię to miejsce.

Nie biegałem od kilku dni i postanowiłem pięć kilometrów na uniwersytet przejść na piechotę.

Zanim wyszedłem, zadzwoniłem do Robin.

– Myślisz, że wrócisz na kolację? – spytała.

– Zamierzam.

– Może być coś na wynos?

– Pewnie.

– Jakaś konkretna kuchnia?

– Jestem pluralistą.

– Mam ochotę na coś meksykańskiego. Na Barrington jest lokal z dostawą do domu.

– Dobrze.

– Nie słuchasz mnie – zauważyła. – Mogłabym ci równie dobrze zaproponować smażoną tekturę.

– Do szóstej postaram się skupić. Muszę cię o coś spytać, skarbie. Im więcej się dowiaduję o tym De Painie, tym bardziej boję się o bezpieczeństwo Tanyi. Co byś powiedziała, gdyby na jakiś czas zamieszkała u nas? Ona naprawdę nie ma nikogo bliskiego.

– Nie ma sprawy – odparła Robin. – Nawet jeśli nie będzie słać łóżka.

– Ona akurat na pewno będzie. Może też zasłać nasze, jeśli się nie pośpieszymy.

– Hm – mruknęła. – Powinnam o niej wiedzieć coś jeszcze?

– Żyje w wielkim stresie, ale to dobra dziewczyna.

– Przywoź ją.

– Jesteś słodka.

– Tak mówią.

– Kto?

– Głównie ty. Ale bywało parę razy, że wzbudzałam podziw i u innych. W liceum niewiele brakowało, a mogłabym się zadawać z dziewczynami, które były popularne.

Myśl o Blaisie De Painie nigdy nienotowanym przez policję przypomniła mi Mario Fortuna. Powiedział, że jego była żona będzie niedługo dzwonić, ale nie dzwoniła. Czy Fortuno w ogóle zamierzał ją do mnie przysłać? Może negocjacje w hotelu były tylko żalosną próbą odwrócenia uwagi od radości aresztu?

To nie mój problem; Santa Barbara było pięknym miastem, ale ja miałem mnóstwo do zrobienia w LA.

Przyszedłem pod fontannę pięć minut przed czasem, ale Tanya już tam była. Kyle też.

Siedzieli, dotykając się udami, on obejmował ją ramieniem, ona trzymała dłoń na jego kolanie. Postawili plecaki z książkami na ziemi i byli pogrążeni w rozmowie. Tanya wysłuchiwała czegoś, co powiedział Kyle, uśmiechnęła się, odchyliła głowę. On dotknął jej brody, policzka, przesunął palcami po włosach. Potarli się nosami. Lekko pocałowali. Zatracili się nawzajem w swoich oczach i złączyli ustami na dobre pół minuty.

Zaczekałem, aż przerwali, by złapać oddech. Czekałem dalej, kiedy zanurkowali w mocny pocałunek. W końcu musieli odetchnąć.

– Dzień dobry.

Oboje zesztywnieli. Dwa spojrzenia dziecka przyłapanego z ręką w słoju ciastek.

Usiadłem obok Kyle'a. Miał na sobie bluzę z logo Princeton, brudne džinsy z dziurami, zupełnie autentycznymi, i paskudne, żółte adidas. Jego brodę znaczyła rzadka, czarna szczecina. Paznokcie miał obgryzione do żywego.

Dżinsy Tanyi były wyprasowane, na jasnoniebieskim swetrze ani plamki. W jej uszach błyskały maleńkie perły.

– To, czego dowiedziałem się o Blaisie De Painie i Robercie Fisku każe mi martwić się o twoje bezpieczeństwo, Tanyu – poinformowałem. – Jeśli De Paine podejrzewa, że matka powiedziała ci coś groźnego dla niego, może zacząć na ciebie polować. To bynajmniej nic pewnego, ale mówimy o kimś, kto zamordował własnego ojca. Wiem, że jesteś ostrożna, ale nie podoba mi się, że mieszkasz sama, i przyszła pora, żeby być trochę elastycznym. Przeprowadzka to kłopot, ale nie potrwa długo, co powiesz?

Tanya popatrzyła na Kyle'a.

– Już to załatwiliśmy – wyjaśnił. – Tanya przeprowadza się do mnie.

– To optymalne rozwiązanie – przekonywała ona. – Hancock Park to wyjątkowo bezpieczna dzielnica, Kyle ma pierwszej klasy system alarmowy, a ja nigdy nie byłabym sama, bo w domu zawsze ktoś jest. To nawet nie taka duża zmiana, bo kiedyś tam już mieszkałam. – Uśmiechnęła się do Kyle'a. – Wszystkie drzwi i okna mają alarm, a system jest regularnie serwisowany.

Kyle mocniej ścisnął ramię Tanyi. Przysunęła się bliżej, jedną dłoń położyła mu na karku, drugą dalej stuknęła w jego kolano.

– Mówimy tu o czujnikach w siatkach przeciw owadom i detektorach ruchu na podczerwień, które można ustawiać na pokrywające się strefy, i o włączanym ruchem oświetleniu dookoła całej posiadłości.

– Brzmi to jak bardzo nowoczesny system – powiedziałem.

– Dziadkowi zawsze zależało na bezpieczeństwie, ale rozbudował alarmy wiele lat temu po tym, jak zamordowano sąsiada, handlarza diamentów z June Street. Nigdy nawet nie byliśmy blisko włamania.

– Wilfred Hong – rzuciłem.

– Kto to?

– Ten handlarz diamentów.

– Policja badała to w związku z panną Bigelow?

– Policja badała każde nierozwiązane zabójstwo, do którego doszło w pobliżu wszystkich adresów Tanyi i jej mamy.

– I?

– Jak dotąd nic. Na razie ograniczamy się do okolic Czwartej ulicy, być może coś nie zostało zgłoszone. Przypomniałaś sobie coś nowego, Tanyu?

Pokręciła głową.

– Koncentrujcie się na Czwartej, bo tam mieszkał Pete – zauważył Kyle.

– Tak.

– Może zastanowilibyście się nad komputerową bazą danych, jakimś algorytmem, który klasyfikowałby przestępstwa na podstawie wieloczynnikowych indeksów. Dajcie mi dostęp do danych, a ja szybko coś takiego zrobię.

– Już mamy.

– Och – westchnął.

– I wciąż nic?

– Obawiam się, że nie.

– A więc Pete’owi coś uszło na sucho... Dlaczego uważacie, że teraz go

dostaniecie?

– Zaciągamy sieć – powiedziałem. – To tylko kwestia czasu.

– Cóż – stwierdził Kyle – dopóki nie nastanie ten piękny, słoneczny dzień, Tanya zostaje u mnie.

Nie pytał, informował.

– To jest jakiś plan – rzekłem.

– To świetny plan. Mam też broń. Dziadek zgromadził olbrzymią kolekcję broni, w piwnicy jest specjalne pomieszczenie.

– Umiesz strzelać? – spytałem.

– Nie, ale to nie może być trudne.

– Jest tam siedem pokoi, będę miała swój – odezwała się Tanya i się zarumieniła.

Jak kameleon na liściu Kyle nasiąknął tym samym kolorem.

– Będzie bezpieczna, dopilnuję tego.

– Tanyu – zwróciłem się do dziewczyny – zrób, co możesz, żeby był z tobą kontakt. A kiedy jesteś na uczelni, uważaj podwójnie.

Kyle odchrząknął.

– Idąc do i z biblioteki.

Tanya zabrała dłoń z jego kolana.

– Już to przerabialiśmy. Muszę pracować.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możesz wziąć urlopu...

– Kyle...

– ... dobrze, dobrze. Po prostu bądź ostrożna.

– Zawsze jestem.

Pogładził końcówki jej włosów.

– Przepraszam. Nie chciałem być protekcyjny. Poklepała go po



udzie.

Westchnął.

– Pamiętasz, jak wyglądali De Paine i Fisk? – spytałem.

Tanya sięgnęła do plecaka i wyjęła cienkie pismo w błyszczących okładkach. „National Insider”. Krzykliwe kolory, sugestywne nagłówki, na okładce zbliżenie pośladków pewnej gwiazdki, ubezpieczonych na dziesięć milionów. Powyżej tych cennych krągłości aktorka oglądała się przez ramię i kusila fotografa.

Żółtą samoprzylepną kartką zaznaczono stronę pod koniec czasopisma. Tanya je otworzyła.

Grupowe zdjęcia robione w różnych nocnych klubach LA i Nowego Jorku ze złośliwymi komentarzami.

Dźgnęła palcem zdjęcie w lewym dolnym rogu. Nocna impreza w Roxbury. Celami paparazzich byli skończony rockowy perkusista i wulgarna szmata, której zrobił szóstkę dzieci, na drugim planie projektant mody o oczach kokainisty i kierowca wyścigów NASCAR, który powinien był bardziej uważać.

Za tą czwórką, tuż na prawo od rudych dreadów projektanta, wąska, chłopięca twarz. Umalowane rzęsy, cienie do powiek.

Czarne, nastroszone włosy z jasnymi końcówkami, chochlikowaty uśmiech, wiewiórcze zęby. Skraj szkarłatnej tuniki ze złotym kołnierzem.

Napięte mięśnie szyi, bo Pete Whitbread alias Blaise De Paine wyciągał ją, by załapać się do zdjęcia. Udało mu się, ale nie dorobił się podpisu.

– To było w tym pliku, który zabrałaś ze szpitala? – spytałem.

Tanya kiwnęła głową.

– Mama musiała to widzieć. – Wskazała ostre, białe, ukośne zagięcie

kartki, tłuste odciski palców. – Postanowiłam je wyrzucić, niosłam właśnie do kosza, gdy załamalam się i rozbeczałam na tylnych schodach. Sama nie wiem kiedy, zaczęłam je oglądać. Ta kartka była zagięta, zwróciłam na nią uwagę.

Jeszcze raz popatrzyłam na zdjęcie.

– Zobaczyła go tu – powiedziała Tanya – wiedziała, jaki to straszny człowiek, a tu proszę, imprezuje ze sławami. To dlatego mi powiedziała. Jestem pewna, że próbowała mnie chronić.

– To mogło przeważać szalę, ale już wcześniej myślała o De Painie – wyjaśniłem i opowiedziałem Tanyi o wizycie Mosesa Granta na ostrym dyżurze.

– Myśli pan, że jej groził? – spytała.

– Subtelnie albo i nie. Może mówił coś o tobie.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Musiała się tak martwić. Potem zachorowała i nie mogła nic na to poradzić. A potem zobaczyła to. Biedna mama.

Rozplakała się. Kyle ją objął.

– Pytanie brzmi – zaczął, kiedy się uspokoiła – dlaczego nie powiedziała ci wprost, żebyś uważała na De Paine'a.

– Może zamierzała, a potem...

Znów łzy.

– Zrobiła, co mogła, żeby mnie chronić, Kyle.

– Wiem, wiem.

– Moim zdaniem nie wystarczało jej ostrzeżenie cię, Tanyu – stwierdziłem. – Jeśli De Paine groził, chciała, żeby go złapano, i skierowała cię do ludzi, którzy mogli to zrobić.

– Jeśli taki miała zamiar – powiedział Kyle – przeprowadziła to prawie genialnie.

Tanya nie odpowiedziała.

– Zupełnie genialne – dorzucił, wziął ją za rękę, splótł jej palce ze swoimi.

Nie poruszyła się.

– Chronienie ciebie nadało jej życiu sens, skarbie – ciągnął. – I udało się jej. Masz za sobą całą armię.

A ty chciałbyś być generałem.

Robin karmiła Blanche arroz con pollo.

– A już się szykowałam, że będę się zajmować kimś własnego gatunku.

Właśnie skończyłam przygotowywać pokój gościnny.

– Przepraszam – powiedziałem. – Wymyślili we dwoje własny plan.

– Temu chłopakowi można ufać?

– Wydaje się w niej zakochany do szaleństwa.

– Wydaje się?

– Kochają.

– Posłuchaj mnie tylko – rzekła. – Nigdy tej dziewczyny nie spotkałam, a już się wtrącam.

Automatyczna odpowiedź nie wydostała się z moich ust: instynkt macierzyński.

Robin i ja rozmawialiśmy o własnych dzieciach. Wiele lat temu, po naszym pierwszym rozstaniu, zaszła w ciążę z mężczyzną, którego ledwie lubiła, i usunęła ją po sześciu tygodniach. Od tamtej pory nie wracaliśmy do tego tematu.

Przez ten czas ja wyleczyłem setki cudzych dzieci, rozważałem możliwość, że sam nigdy nie zostanę ojcem. Czasami udawało mi się docenić ironię losu. Kiedy to nie działało, zajmowałem sobie głowę patologiami nieznanymi.

Blanche sapnęła, domagając się więcej ryżu, i Robin spełniła jej żądanie.

– Nie możemy przeciążać twojego brzuszka, skarbie – wyjaśniła, kiedy

po kolejnej porcji znów zaczęło się błaganie. Podeszła do zlewu. – Chyba u niego będzie jej najlepiej. Staralibyśmy się być jak najlepszymi gospodarzami, ale dusiłaby się u nas.

Wstałem i położyłem jej dłonie na ramionach.

– Przejedźmy się – zaproponowała.

Kiedy nie mamy żadnego konkretnego celu, najczęściej lądujemy gdzieś na Pacific Coast Highway.

– Co byś powiedział na światła niezbyt wielkiego miasta? – spytała Robin tym razem.

Pojechałem Sunset na wschód przez Hollywood i dzielnicę Los Feliz, skręciłem w Silver Lake, podobno był tu nowy klub jazzowy.

„Stacja Benzynowa” okazała się dawną stacją Union 76, wciąż pomalowaną na niebiesko i cuchnącą olejem silnikowym. W środku stały antyczne pompy grawitacyjne, najróżniejsze plastikowe krzesła i stoły, a na ścianach wisiały powiększone zdjęcia muzycznych geniuszy.

Pięcioro gości w sali przeznaczonej dla czterdziestu. Usiedliśmy blisko sceny, pod przeszywającym spojrzeniem Milesa Davisa.

Kwartet facetów po sześćdziesiątce grał lekki bebop. Robin pracowała nad gibsonem gitarzysty; kiedy ją zauważył, uśmiechnął się i zagrał natchnione solo z *Wellyou needn't* Mońka. Gdy skończyli set, razem z perkusistą przysiedli się do nas i zaczęliśmy powierzchowną, alkoholową rozmowę. Robin udało się poruszyć temat Blaise'a De Paine'a. Żaden z muzyków o nim nie słyszał. Kiedy opowiedziała im o jego miksach, zaklęli ze złością, przeprosili i wyszli na dwór.

Przesiedzieliśmy ich następny numer, do domu wróciliśmy za

piętnaście dwunasta, włożyliśmy piżamy i zasnęliśmy, trzymając się za ręce.

Tuż po trzeciej nad ranem usiadłem na łóżku, wyrwany ze snu przez łomoczące serce i pulsujący ból w skroniach. Gdzieś pod żebrami stado myszy szarpało mi przeponę. Zacząłem głęboko oddychać i trochę mi przeszło.

Wtedy ruszyło jak zapętłona taśma:

Czy Tanya jest naprawdę bezpieczna z Kyle'em?

Znalazł ją przez książkę studentów. Dlaczego De Paine nie miałby postąpić tak samo?

W domu Kyle'a jest mnóstwo broni, ale on nie ma pojęcia, jak jej używać.

Mimo swoich bohaterskich rojeń, nie może być wszędzie.

Tanya to uparta dziewczyna.

Wyobraziłem ją sobie, jak wychodzi sama z biblioteki późnym wieczorem.

Drobna dziewczyna, wielki campus. Tak łatwo... przestań.

Czy Tanya naprawdę będzie bezpieczna z Kyle'em... przestań!

Dobrze, dobrze, ale czy Tanya naprawdę będzie bezpieczna...?

Robin się poruszyła.

Położyłem się.

Książka studentów.

Dlaczego De Paine by nie miał... Wielki campus.

Broń, uparta dziewczyna...

Sto, dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięćdziesiąt osiem, proszę, to działa.

Kilka sekund ulgi.

Uparta dziewczyna... czemu on by nie miał...

Rano udawałem wypoczętego.

– Miałeś ciężką noc? – spytała Robin, kiedy wyszła spod prysznic.

– Dałem mocny koncert?

– Nie, ale się kręciłeś.

– Może to właśnie lekarstwo – powiedziałem.

– Niespokojny sen?

– Substytucja symptomu.

– Wolałabym, żebyś spał spokojnie.

– Nic mi nie jest, skarbie.

Ubraliśmy się w milczeniu.

– Śniadanie, Alex?

– Nie, dzięki, nie jestem głodny.

– Co cię dręczy, kochanie?

– Nic, naprawdę.

Wzięła mnie za rękę.

– Zrobiłeś dla niej, co mogłeś. Tych drani szuka tylu detektywów, że muszą ich znaleźć.

– Na pewno masz rację.

– Napijmy się chociaż kawy, zanim wyjdę.

Kiedy poszła do pracy, ja pojechałem na uniwersytet, zostawiłem samochód na parkingu na południowym krańcu i poszedłem na dziedziniec nauk ścisłych. Chodziły po nim hordy studentów i wykładowców. Ani

śladu Roberta Fiska czy Blaise'a De Paine'a. Ani Tanyi.

Skierowałem się na północ do odwróconej fontanny, przeszedłem przez gmach fizyki. Wyszedłem z tyłu i ruszyłem alejką ocienioną drzewami. Kręciło się tu dużo ludzi, jak na tę porę roku. Kilka sekund później zauważyłem wśród studentów niskiego, muskularnego, łysego mężczyznę. Był ubrany na czarno; wyglądał jak Fisk.

Spacerował po zatłoczonej zewnętrznej ścieżce.

Zbliżyłem się, poszedłem za nim do schodów gmachu antropologii, gdzie na jego powitanie wybiegły dwie młode kobiety w obcisłych dżinsach.

Kiedy się do nich odwrócił, mignęła mi jego twarz. Czterdzieści parę lat, gładko ogolony.

– Dzień dobry, profesorze Loewenthal – zawołała jedna z kobiet. – Możemy zapytać pana o egzamin?

Kupiłem w budce kawę, poszedłem do biblioteki, miałem właśnie wejść do środka, kiedy zapiszczał mój telefon.

– Właśnie przyszły wyniki balistyki kul, które zabiły Mosesa Granta – zaczął Milo. – Idealnie pasują do tych wygrzebanych z Lelanda Armbrustera. Mały Pete był faktycznie nad wiek rozwinięty. Bóg jeden wie, co jeszcze zrobił, a my o tym nie wiemy. Rozmawiałeś już z Tanya?

– Przeprowadza się do Kyle'a.

– Dziewczyna w wielkim domu – powiedział. – A więc teraz to gotyk. Myślisz, że to dobry pomysł?

– Tak postanowili.

– Kyle bawi się w lorda protektora. Za parę lat może zdobędzie minimalne kwalifikacje.



– Jest zielony, ale ma dużo zapachu. Gorsze jest to, że nie może być z nią bez przerwy. Co byś powiedział, żeby przefaksować zdjęcia De Paine’a i Fiska do straży uniwersyteckiej?

– Jasne, ale nie oczekuj zbyt wiele. Pierwsze, co ci powiedzą, to jakie mają braki kadrowe. Później pogadamy, jak ją lepiej zabezpieczyć. Na razie być może jesteśmy odrobinę bliżej tego, co się stało dziesięć lat temu. Mary Whitbread wyszła z domu o dziewiątej trzydziści, a Biro pojechał za nią. Wciąż jej nie ma, mierzy drogie ciuchy w Neiman Marcus. Petra przyjechała na Czwartą piętnaście po dziesiątej, znalazła na Blackburn kogoś, kto pamięta niedobre stare czasy. Mieszka tuż za Mary. Nie chciał rozmawiać w domu ani na posterunku, ale Petra namówiła go, żebyśmy się spotkali w Encino, gdzie ma biuro. O pierwszej.

Przeczytał mi adres.

– Nerwowy gość – zauważyłem.

– Na to wygląda. Może powinien wypróbować na sobie twoje metody. To jeden z waszych.

Zanim pojechałem do Valley, ściągnąłem dane doktora Byrona Staraka ze strony internetowej komisji licencji psychologicznych. Dwadzieścia osiem lat, studia na Cornell, doktorat na uniwersytecie stanowym w Oregonie, projekt badawczy po doktoracie w Portland V. A., świeżo certyfikowany.

Budynek był sześciopiętrowym, lustrzanym klockiem przy Ventura i Balboa, mającym mniej więcej tyle uroku, ile katar. Na drzwiach widniała tabliczka GRUPA BEHAWIORALNA ADWENT. Stark był ostatnim z czternastu nazwisk. Sześcioro psychiatrów, ośmioro psychologów,

specjalizacje – zaburzenia jedzenia, uzależnienia, planowanie strategiczne, doradztwo zawodowe, „porady życiowe”.

Gabinet Starka, z jednym oknem i twardymi, beżowymi meblami, odpowiadał jego statusowi.

Stark był średniego wzrostu, wąski w ramionach, miał na sobie niebieską koszulę w drobną kratkę, bordowy krawat i wyprasowane spodnie khaki. Okrągłą, różową twarz wieńczyły krótko obcięte, jasne włosy. Kosmata bródka robiła wrażenie doklejonej. Jego wąskie usta wyglądały, jakby cały czas były wydęte; wynikająca z tego mina dezaprobaty chyba nie pomagała mu w kontaktach z pacjentami.

Kiedy sam zaczynałem, próbowałem obronić się przed pytaniami: „Ile pan ma lat, doktorze?” za pomocą zarostu. Nosilem gęstą brodę i czasami się udawało. Starkowi jednak wyraźnie przydałoby się inne wzmocnienie autorytetu.

Petra, Milo i ja stłoczyliśmy się przed jego biurkiem.

– Dziękujemy, że się pan z nami spotkał, doktorze – zaczęła Petra.

– Wystarczy Byron – powiedział Stark.

Chłopięcy głos. Używaj swojego tytułu, chłopcze. Chwytaj się, czego możesz.

– Nie spodziewałem się sympozjum, detektyw Connor.

– To ważna sprawa – wyjaśniła Petra. – Przyprowadziliśmy naszego konsultanta psychologicznego. – Wskazała na mnie.

– Co pan dla nich robi, profile? – spytał Stark.

Pokręciłem głową.

– Profilowanie jest tak naprawdę bezużyteczne, kiedy chodzi o szukanie sprawców przestępstw. Współpracuję z policją tylko przy

niektórych sprawach.

– Zastanawiałem się nad pracą biegłego sądowego, ale potem przeczytałem o profilowaniu i odkryłem, że właściwie nie ma żadnych zalet. Subiektywny dobór próby i tak dalej.

Przez chwilę przerzucaliśmy się zawodowym żargonem. Stark się rozluźnił. Kiedy przerwał, żeby odebrać telefon – coś o wystawianiu rachunków za wizyty pacjentów – Petra skinęła mi głową.

– Przepraszam – rzucił, odkładając słuchawkę. – Wciąż się uczę, jak ten system działa.

– Jesteśmy wdzięczni, że zgodził się pan porozmawiać z nami o Petersonie Whitbreadzie – powiedziałem.

– Zabawne, że pan to mówi. Myślałem, że ten dzień nigdy nie nadejdzie.

– Dlaczego?

– Zaraz po tym, jak te dziewczyny zniknęły, mój ojciec zadzwonił na policję. Nic nie wskórał.

– Dziewczyny...

Stark ściągnął usta w różowy pączek.

– Nie przyszliście w tej sprawie.

– Przyszliśmy pana wysłuchać, doktorze – powiedział Milo.

Stark się zaśmiał.

– Zgodziłem się, bo myślałem, że ktoś w końcu zajmie się tą sprawą, jak w tych programach w telewizji. – Do Petry: – To mi właśnie pani wyraźnie zasugerowała, pani detektyw.

– Powiedziałam panu prawdę, doktorze Stark. Badamy przeszłość Petersona Whitbreada. Skupiamy się na kilku przestępstwach, o których

popelnienie w ostatnim czasie jest podejrzany, ale staramy się nie przeoczyć niczego, co mógł zrobić w przeszłości. Jeśli wiadomo panu o jakimś przestępstwie, musi nam pan o nim powiedzieć.

– Nie do wiary – zdumiał się Stark. – A więc jest podejrzany o coś nowego. To żadna rewelacja, jego skłonności były oczywiste nawet dla mnie.

– Nawet?

– Byłem wtedy w liceum.

– Jest pan w tym samym wieku co Pete – zauważyłem.

– Tak, ale się nie kolegowaliśmy. Moi rodzice byli nauczycielami, którzy zadłużyli się, żebyśmy z bratem mogli pójść do Akademii Burtona i na Harvard-Westlake. Cały wolny czas spędzałem na nauce. Pete zawsze biegał po ulicy. Nie jestem nawet pewien, czy chodził do liceum.

– Jakie skłonności pan u niego zauważył?

– Antyspołeczną osobowość – powiedział Stark. – Kręcił się po okolicy o różnych porach, bez żadnego wyraźnego celu. Często się uśmiechał, ale bez sympatii. Był bezczelny aż do granic głupoty – otwarcie palił skręty na ulicy, nie próbował nawet się z tym kryć. Innym razem kręcił się z butelką Jacka Danielsa w tylnej kieszeni spodni.

– Nie poświęcano mu za dużo rodzicielskiej uwagi.

– Nie zauważałem żadnej. Moja matka mówiła, że jego matka to idiotka, bardziej zajęta modą niż wychowywaniem dziecka. Miałem piętnaście lat, kiedy się tam wprowadziliśmy, mój brat był o rok młodszy. Mama bardzo szybko oceniła sytuację i zabroniła nam się z nim zadawać.

– Niektórzy nastolatkwie zbuntowaliby się przeciwko takim ograniczeniom – podsunąłem.

– Niektórzy tak, ja nie – odparł Stark. – Widziałem wyraźnie, że to był ktoś, kto nie wpłynie korzystnie na moje życie. A na potwierdzenie miałem to, co się stało kilka miesięcy po tym, jak się tam wprowadziliśmy. W okolicy była seria włamań. Nocnych, kiedy wszyscy spali. Moi rodzice byli pewni, że maczał w tym palce Pete. Zwłaszcza mój tata był przekonany o jego przestępczych skłonnościach.

– Dlaczego?

– Pete kilka razy mu napyskował. A ja nie lekceważyłbym opinii taty. Pracował jako pedagog w liceum, miał doświadczenie z rozpuszczonymi nastolatkami.

– Niech nam pan opowie o tych dziewczynach – zaproponował Milo.

– Były dwie, latem przed moją ostatnią klasą liceum mieszkały nad panią Whitbread i Pete'em. Starsze ode mnie, dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Kilka miesięcy później, po maturze, ale przed egzaminami na studia, więc to musiał być koniec września albo początek października, zniknęły. Tata próbował zainteresować tym policję, ale nikt nie chciał potraktować go poważnie.

– Gdzie możemy znaleźć pana ojca? – spytała Petra.

– W Eugene w Oregonie. Emerytura jego i mamy starcza tam na wiele więcej, więc kiedy skończyłem studia, sprzedali mi swój dom i kupili sobie nowy, z większą działką.

– Nazwiska i numery, poproszę.

– Herbert i Myra Stark. Nie mogę zagwarantować ich współpracy. Kiedy policja nie odezwała się do taty w sprawie dziewczyn, tak się zdenerwował, że poszedł na skargę do swojego radnego. Ale tam też nic nie wskórał. Nikogo to nie obchodziło.

– Jak się nazywały te dziewczyny? – dociekała Petra.

– Nie poznałem ich nazwisk, na imię miały Roxy i Brandy. Dowiedziałem się, bo do siebie krzyczały o każdej porze dnia i nocy: Brandyyyyyy, Roxyyyyyy.

– Czym się zajmowały?

– Moi rodzice mówili, że to są imiona striptizerek, musiały być striptizerkami, ale ja miałem wątpliwości.

– Dlaczego?

– Striptizerki pracują nocami, prawda? A te dwie wychodziły o nietypowych porach. Czasami nie było ich w dzień, czasami w nocy. Zawsze wychodziły we dwie i we dwie wracały. W weekendy odsypiały, nie pokazywały się. W tygodniu ich nie było, pracowały albo balowały.

– Niech nam pan opowie o tym balowaniu.

– Nie wiem nic na pewno, kieruję się logiką. Przyjeżdżały o trzeciej, czwartej nad ranem, ryczały silnikiem, trzaskały drzwiami, a jeśli to nas nie podrywało, budził nas ich śmiech i szczebiotanie. Były wyjątkowo hałaśliwe, a sądząc po tym, jak bełkotały, także niezbyt trzeźwe.

– Pana rodzice nigdy się nie skarżyli?

– Nie, to nie w ich stylu. Obrażali się, plotkowali i raczyli Galena i mnie umoralniającymi przypowiastkami, używając dziewczyn jako negatywnego przykładu. Oczywiście efekt był taki, że ja i Galen tylko się nimi zainteresowaliśmy. Dwie szalone dziewczyny mieszkające za płotem? Ale nigdy nie próbowaliśmy z nimi rozmawiać, nawet gdyby starczyło nam odwagi, nie mieliśmy sposobności. Kiedy one były w domu, my w szkole, a kiedy my byliśmy w domu, one spały albo wychodziły.

– Wyjeżdżały i wracały razem tym samym samochodem? – spytał

Milo.

– Za każdym razem, kiedy je widziałem.

– Pamięta pan markę i model?

– Pewnie. Biała corvetta, czerwone wnętrze. Tata mówił na niego dziwkomobil.

– Niech nam pan opowie o ich zniknięciu i o tym, dlaczego podejrzewa pan Pete'a – powiedziała Petra.

– Tuż przed maturą siedziałem w swoim pokoju, kiedy usłyszałem głośną muzykę. Z okna miałem widok z ukosa na podwórko pani Whitbread. Dziewczyny opalały się tam przy ryczącej muzyce, jakiejś tanecznej. Miałem już zamknąć okno, ale zaciekawiło mnie to, co się tam działo. Nacierają się olejkiem, chichotały, bawiły się nawzajem swoimi włosami, klepały po pupach. – Stark poprawił krawat. – Całkiem gołe, trudno było tego nie zauważyć.

– To były ładne dziewczyny – zainteresował się Milo.

– Z tego typu – odparł Stark. – Długie jasne włosy, długie nogi, opalenizna z solarium, duże piersi. Były bardzo podobne, mogłyby być siostrami.

– Roxy i Brandy – powtórzył Milo. – Który rocznik corvetty?

– Przykro mi, nie znam się na samochodach.

– Z kim się zadawały?

– Nigdy nie widziałem ich z nikim, ale to nic nie znaczy. Nie licząc tego tygodnia nauki do matury, w dzień prawie ich nie widywałem. Mogę wam za to powiedzieć, że wiedział o nich Pete Whitbread. W połowie tygodnia, kiedy kułem zaawansowane słówka, i naprawdę starałem się skupić, muzyka ponownie zaczęła ryczeć. Znow to samo, gołe

dziewczyny, dużo uciechy. Ale ponieważ byłem grzecznym kujonem, postanowiłem to zignorować. Wtedy zauważyłem Pete'a, skradającego się podjazdem za dom. Mówię, że się skradał, bo głowa latała mu na wszystkie strony, widać było, że jest ostrożny. Przycisnął się do ściany, znalazł sobie miejsce, z którego dziewczyny nie mogły go widzieć. Stał tam przez chwilę i patrzył na nie, a potem rozpiął rozporek i zrobił to, co można było przewidzieć. Ale nie normalnie, szarpał się tak, że pomyślałem, że go sobie zaraz urwie. Z dziwnym uśmiechem na twarzy.

– Jak to dziwnym? – spytałem.

– Szczerzył zęby, jak... jak kojot. Robił sobie dobrze, ale wyglądał na rozłoszczonego. Wściekłego. A może to było tylko seksualne przeżywanie. Tak czy inaczej, zbrzydziło mnie to, odsunąłem się od okna i więcej do niego nie wróciłem. Nawet kiedy muzyka ryczała następnego dnia i jeszcze następnego.

– Dziewczyny nie wiedziały, że są podglądane?

– Czy urządzały dla niego przedstawienie? Też się nad tym zastanawiałem.

– Widział pan kiedyś Pete'a z nimi?

– Nie, ale jak powiedziałem, nie miałem okazji. Powinniście się raczej zainteresować tym, że kilka tygodni później zniknęły. Ot, tak. – Pstryknął palcami. – Nie było samochodu do przeprowadzki, nikt nie ładował ciężarówki. A kiedy się sprowadzały, przywiozły całe tony rzeczy. Wiedziałem, że nie śpią, bo po pierwsze, to nie był weekend, po drugie, światło nie zapaliło się u nich przez dwa dni z rzędu, i po trzecie, drugiego dnia moja matka przechodziła tamtędy i drzwi na piętro były otwarte, a w



środku uwijała się ekipa sprzątająca. Poza tym cały czas stała tam corvetta. Zaparkowana z tyłu, obok garażu, dziewczyny zawsze parkowały na podjeździe. Widziałem ją przez cały tydzień, a potem któregoś wieczoru usłyszałem, że odpala silnik, i wyjrzałem. Ktoś wyjeżdżał z podjazdu. Bardzo powoli, z wyłączonymi światłami. Powiedziałem o tym ojcu i dlatego zadzwonił na policję.

– Dwa dni ciemnych okien – rzekł Milo.

– Jeśli chcecie wierzyć, że wyprowadziły się do Kansas – powiedział Byron Stark – proszę bardzo. Może jednak powstrzymacie się od sądów, dopóki nie opowiem wam reszty. W następną noc mój ojciec poszedł na spacer z psem, o pierwszej w nocy.

– Trochę późno jak na spacer z psem.

Stark się uśmiechnął.

– Mógłbym wam powiedzieć, że pies miał problemy z pęcherzem, ale pewnie tata był ciekawy, wszyscy byliśmy. I opłaciło się. Przy domu pani Whitbread stała furgonetka i dwóch facetów coś do niej ładowało. Kiedy tata podszedł bliżej, zobaczył, że to był Pete z kolegą, pakowali worki na śmieci. Dużo worków. Zobaczyli tatę, wskoczyli do samochodu i zatrzasnęli drzwi. Nie odjechali, siedzieli tam tylko. Tata poszedł dalej, znów obszedł kwartał, zatrzymał się na rogu. Samochód chwilę stał, a potem ruszył z pełną szybkością.

– Czy pies zareagował? – spytałem.

– Pyta pan, czy coś wyczuł? Chester nie był ogarem, tylko czternastoletnim, prawie ślepym, głuchym i zniedołężniałym mieszańcem chow-chow. Tata robił, co mógł, żeby zapewnić mu trochę ruchu. W każdym razie, gdy wrócił do domu, opowiedział mamie o furgonetce i we

dwójkę doszli do wniosku, że stało się tam coś strasznego i że muszą zawiadomić policję. Szczerze mówiąc, Galen i ja uważaliśmy, że przesadzają. Ale kilka tygodni później, kiedy kolega Pete'a został znaleziony martwy, zaczęliśmy im wierzyć. Niestety, wy nie.

– Cofnijmy się trochę, doktorze Stark – poprosiła Petra. – Kim był kolega Pete'a i jak zginął?

– To był starszy od niego facet, koło trzydziestki. Wysoki, chudy, długowłosy, potargana broda, trochę menelowaty. Jeździł motocyklem, ale nie chopperem. Hondą, niedużą. W szkole miałem 350-tkę, a ta była zdecydowanie mniejsza. Hałaśliwe małe ustrojstwo. Zabierał na nią Pete'a i odjeżdżali. Moi rodzice mówili, że nazywał się Roger, ale nie powiem wam, skąd to wiedzieli, i nigdy nie wspominali nazwiska. Raczej „ten menel Roger” albo „znów jedzie Roger na tej swojej głupiej pierdziawce”. Mieli teorię, że Pete sprzedawał w okolicy prochy i robił włamania. Nie zaskoczyłoby mnie to, Roger wyglądał na ćpuna. Wychudzony, rozkojarzony, niepewny krok. – Stark zmierzwił ostrzyżone na jeża włosy. – Wiem, że to brzmi, jakby mama i tata mieli obsesję, ale tak nie było. Owszem, oboje są wielbicielami kryminałów i zagadek, ale to rozsądni ludzie i zupełnie zdrowi na umyśle. Matka uczyła w szkole w śródmieściu przez dwadzieścia lat, więc nie jest naiwna. A tata, oprócz doświadczeń pedagoga, był żandarmem w Wietnamie i służył jako oficer rezerwy w Bakersfield, zanim przeprowadziliśmy się do LA. Tym bardziej był zły, kiedy policja go zlekceważyła.

– Co konkretnie przekazał? – spytał Milo.

– Musielibyście porozmawiać z nim, ale z tego, co pamiętam, zgłosił zniknięcie i to, że tydzień później ktoś zabrał samochód oraz o furgonetce

i workach na śmieci.

– Nie to, jak Pete onanizował się w pobliżu dziewczyn?

Stark się zaczerwienił.

– Nie, nie mówiłem o tym nikomu oprócz brata. Chce pan powiedzieć, że to by coś zmieniło? Powiem panu, że nie. Policja nie była zainteresowana.

– Co powiedziano pana ojcu? – odezwała się Petra.

– Że Roger umarł z przedawkowania, sprawa zamknięta.

– Niech nam pan opowie o tej śmierci, doktorze.

– Z tego, co zrozumiałem, ciało znaleziono w rynsztoku na Czwartej, niedaleko domu Pete'a. Wydarzyło się to w środku nocy i kiedy się obudziłem, było już po wszystkim.

– Jak pan się o tym dowiedział?

– Mój ojciec usłyszał o tym od sąsiada, który nie wiedział, czyje to były zwłoki. Tata zadzwonił na policję, żeby poznać szczegóły, i oczywiście nic nie chcieli mu powiedzieć. W końcu wydobył od nich fakt, że to był Roger. Spróbował więc jeszcze raz wzbudzić zainteresowanie zniknięciem dziewczyn. Ale ten, z kim rozmawiał, upierał się, że nie ma śladów żadnego przestępstwa, dziewczyny były dorosłe, nikt nie zgłosił zaginięcia, a śmierć Rogera została uznana za wypadek.

Petra zmarszczyła czoło, zasłaniając twarz jedną ręką dragą notując.

– Czy potem Pete sprawiał jeszcze jakieś problemy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Ale w grudniu miałem już dziewczynę, nie interesowałem się tym, co się działo w domu. Potem pojechałem do Chin jako wolontariusz Operacji „Uśmiech”, potem na Cornell. Jestem tu z powrotem pierwszy raz od dziesięciu lat.

– Widział pan Pete’a w ostatnim czasie?

– Nie. Co zrobił?

Petra wstała.

– Kiedy będziemy mogli panu powiedzieć, zrobimy to, doktorze Stark.

Dziękujemy za współpracę. – Błysk uśmiechu. – Być może zadzwoniłby pan do rodziców i powiedział im, że jesteśmy gotowi słuchać.

– To może nie wystarczyć. Są ludźmi o silnej woli.

– Mimo swoich podejrzeń – powiedziałem – nie wyprowadzili się.

– Oczywiście, że nie – odrzekł Stark. – W końcu mieli własny dom.

– Trudno przebić coś takiego – przyznał Milo.

– Pewnie, detektywie. Wszystko sprowadza się do własności.

Ograniczenie miejsca i czasu przez Byrona Staraka ułatwiło poszukiwania. Akta koronera w sprawie Rogera „Kimo” Bandiniego zostały znalezione w archiwach przy Mission Road i Petra odebrała faks o czwartej po południu.

Biały mężczyzna, lat dwadzieścia dziewięć, metr osiemdziesiąt siedem, sześćdziesiąt trzy kilo. Liczne stare ślady po igłach, świeże nakłucia, badanie toksykologiczne wykazujące dużą ilość spida i monumentalną dawkę diazepamu – wszystko to wołało „przedawkowanie” i nie trzeba było robić autopsji. Brakowało informacji, gdzie Bandini został pochowany i czy po jego ciało w ogóle ktoś się zgłosił.

O piątej trzydzieści Petra namówiła detektywa z Wilshire Division, żeby znalazł odpowiednie akta policyjne, bardzo cienkie, zawierające głównie kopię raportu koronera. Sierżant J. Rahab, koordynujący sprawę, zapisał, że zgłoszenia dokonał anonim o trzeciej piętnaście w nocy.

W niezręcznej prozie Rahaba tkwiła wzmianka o „komplecie wytrychów” znalezionym pod zwłokami Bandiniego.

Przeszukanie krajowych baz danych ujawniło dziesięcioletnią historię notowań przyjaciela Pete’a Whitbreada przez policję i kilka krótkich pobytów w więzieniu, od Kalifornii po Utah: trzy włamania, jazda po pijanemu, dwa aresztowania za posiadanie marihuany, trzy za metamfetaminę oraz oskarżenie o posiadanie narkotyków z zamiarem sprzedaży, unieważnione z przyczyn proceduralnych na rok przed śmiercią Bandiniego.

Na liście jego kumpli nie było ani Petersona Whitbreada, ani Blaise'a De Paine'a, byli za to Leland Armbraster i Lester Jordan.

– Wszyscy siedzieli w narkotykowym światku Hollywood – powiedziała Petra. – Nie ma jednak odsyłacza do akt zabójstwa Armbrastera, więc Isaac tego nie znalazł. Chłopcy, wciąż żyjemy w Ciemnych Wiekach.

– Mały Pete nie szanuje starszych – zawyrokował Milo. – Wprowadzili go do zabawy i wszyscy nie żyją.

Przeczytałem jeszcze raz raport koronera. Zapało mi dech w piersiach. Wolno wypuściłem powietrze.

– Coś przeoczyliśmy? – spytał Milo.

– Nikt nie sprawdził tego anonimowego telefonu. Mało prawdopodobne, żeby o tej porze ktoś, ot tak, natknął się na zwłoki. Czy to nie ciekawe?

– Ja bym to sprawdziła – zgodziła się Petra.

– Bandini był łajzą i ćpunem, nikogo nie obchodziło, kto go znalazł – powiedział Milo. – Czemu ciebie interesuje?

– Posłuchaj tylko – tłumaczyłem. – Skoro przechodzień jest mało prawdopodobny, logicznie można założyć, że to był sąsiad. Ciało Bandiniego znaleziono jeden budynek na wschód od domu Party. Patty nie chciałaby, żeby Tanya się obudziła i to zobaczyła.

– A Patty wiedziałyby, że na ulicy leżą zwłoki, bo... – domyśliła się Petra.

– „Zabiłam człowieka blisko” – dokończyłem.

Milo i Petra popatrzyli po sobie.

– „Straszna rzecz” – pojął Milo.

– Załatwienie Bandiniego nieźle by pasowało – zauważyłem. – Pomyślcie: we krwi miał spida i relanium. Od lat dawał w żyłę, ale w jego kartotece nie ma ani słowa o środkach uspokajających. Relanium to popularny lek szpitalny.

Milo pomasował twarz.

– Kolejna rzecz, której Isaac by nie znalazł, bo została zakwalifikowana jako wypadek – stwierdziłem.

– Jaki Patty miałyby motyw? – spytała Petra. – I jak to się według ciebie stało?

– Dopóki nie znajdziemy De Paine’a, a on nie zacznie mówić, możemy nigdy nie poznać szczegółów. Moim zdaniem razem z Bandinim nachodził Patty, żeby załatwiła im leki na receptę. Wiedział, że była pielęgniarką, bo opiekowała się jego ojcem i wynajmowała lokal u jego matki, próbował to wykorzystać. Na początku może prosił, napotkał opór, zwiększył nacisk. Najskuteczniejszym sposobem byłaby groźba, że zrobi coś Tanyi, zawoalowana albo i nie.

– Patty uległaby czemuś takiemu?

– Pod wpływem strachu – odparłem. – Mogła nabrać jakichś poważnych podejrzeń, tak jak Starkowie.

Petra pomasowała skronie.

– Zastanawiało ją zniknięcie dziewczyn?

– De Paine uciszył tatusia, bo wiedział o dziewczynach, ale skąd Jordan mógłby się dowiedzieć? Patty rozmawiała z nim o jego krnąbrnym synu.

– Zaczyna wyglądać na to, że o dziewczynach wiedziało sporo ludzi. – Kiedy Starkowie to zgłosili, a departament pokazał im środkowy palec – powiedział Milo – czemu ktokolwiek inny miałby się wyrywać? Jezu.

Petra wyglądała, jakby połknęła robaka.

– Czuję się dumna, że jestem zaprzysiężoną specjalistką wymiaru sprawiedliwości... Alex, naprawdę uważasz, że Patty mogła z premedytacją podać komuś śmiertelną dawkę? I to samo pytanie: jak do tego doszło?

– Powiedzmy, że Bandini i Pete dokonywali włamań i że Bandini próbował tego samego u Patty. Przyszedł późno w nocy ze swoimi wytrychami, otworzył drzwi i zaczął szukać narkotyków. Patty obudziła się, przyłapała go, zaszachowała pistoletem. Nie wezwała policji, bo to by nie rozwiązało problemu na zawsze. Bandini w końcu by wyszedł, może później wrócił, żeby się zemścić. Dlatego rozładowała sytuację, składając mu propozycję nie do odrzucenia.

– Dam ci działkę, a jak będziesz grzeczny, w przyszłości dostaniesz więcej – rozważał Milo. – Ale nie zakradaj się do mnie po nocy... tak, ćpun na głodzie mógł na coś takiego pójść. Siedzi w kuchni, ona przygotowuje działkę, Bandini spodziewa się kopa spida, a ona robi mu koktajl.

– Bez doświadczenia ze środkami uspokajającymi taka ilość relanium mogła mu zatrzymać serce.

– Relanium nie stanowiło problemu – powiedział Milo – łatwo je zwinąć ze szpitala. Skąd by wzięła amfę?

– W badaniu krwi stwierdzono amfetaminę, nie podano szczegółów. Duża liczba stymulantów na receptę dałaby podobny efekt. Dokładniejsze badanie wykazałoby konkrety, ale nikt go nie przeprowadził.

– Wciąż nie mogę sobie tego wyobrazić – odezwała się Petra. – Daje mu działkę, siedzi tam i patrzy, jak on umiera?



– Bandini się włamał – zaznaczył Milo.

– Mimo wszystko to dość okrutne. A jeśli miała stymulanty i środki uspokajające na podorzędziu, wszystko dobrze zaplanowała.

W pomieszczeniu zapadła cisza.

– Patty wprost powiedziała Tanyi, że zabiła człowieka – powiedział Milo. – To my dorabialiśmy do tego jakieś znaczenia symboliczne. Cholera, jeśli Alex ma rację, co do tego doprowadziło – włamania, znikające dziewczyny, może groźby wobec Tanyi – z przyjemnością mogę powiedzieć, że to było usprawiedliwione.

– Cokolwiek się stało, ta kobieta już nie żyje, nie ma sensu osądzać – rzekła Petra. – Wróćmy na chwilę na miejsce zbrodni. Bandini się przekręca, Patty ma w domu trupa, wywleka go na ulicę, czeka chwilę, dzwoni... wszystko się chyba zgadza.

– Na pewno nie można powiedzieć, że się nie zgadza – przyznał Milo.

Petra uśmiechnęła się słabo.

– Ty i twoja gramatyka, panie Po Anglistyce.

– Poruczniku Po Anglistyce. Przekomarzali się, żeby nie myśleć o Patty.

– Jeszcze jedna rzecz pasuje – zauważyłem. – Wytrychy Bandiniego znaleziono pod jego ciałem, jakby ktoś chciał, żeby to wyglądało na przedawkowanie. Ale nie było żadnej wzmianki o igle, którą by miał przy sobie, ani w aktach koronera, ani policji. Ani o nikim, kto by tej igły szukał. Petra przejrzała oba raporty. Pokręciła głową.

– Świeże ślady po igle na ramieniu i nikt tego nie sprawdza. Rany, wymiar sprawiedliwości w swoim najlepszym wydaniu. – Do Mila: – Znasz tego Rahaba?

– Nie.

– Może Stu zna... nie, żeby warto było teraz to odkurzać... kolejne pytanie, Alex: jeśli Patty zabiła Bandiniego, fakt, że mogła zostawić jego wytrychy, aby pokazać, jaki to był zły gość, może narobić trochę zamieszania. Ale czemu nie zrobiła tego samego z igłą?

– Były na niej jej odciski palców – domyśliłem się. – Mogła się bać, że nie zeszły do końca albo że da się je jakoś powiązać ze szpitalem i nią. A może po prostu zapomniała. Sytuacja ją przerastała.

– Chroniła swoje dziecko... Mamy niedźwiedzice potrafią być agresywne – stwierdziła Petra.

Jej własna matka zmarła, gdy ją rodziła.

– Wróćmy do logiki zabijania Bandiniego w ogóle – zaproponował Milo. – Jeśli Patty chciała chronić Tanyę, czemu zostawiła przy życiu Pete'a?

– Był młody i nie uczestniczył bezpośrednio we włamaniach – powiedziałem. – Wysłać kogoś innego do załatwienia brudnej roboty, to pasuje do wszystkiego, co o nim wiemy. Może Patty to zrozumiała, uznała, że sam nie będzie się jej naprzykrzał.

– Do tego – dorzuciła Petra – była osobiście związana z jego ojcem.

– Hierarchia przemocy – rzekł Milo. – Można zastrzelić kojota, ale kiedy pudel sąsiada robi się wredny, człowiek ma opory.

– Albo jedno zabójstwo za dużo ją kosztowało – powiedziała Petra.

– Oglądanie schodzącego faceta może osłabić entuzjizm.

– I do końca życia nie dawać spokoju – zgodziłem się. – Niedługo po śmierci Bandiniego przeprowadziła się na Culver Boulevard, to był duży krok w dół. Zaraz po tym Tanya przyszła do mnie po raz drugi. Mówiła, że

Patty jest zdenerwowana, że obsesyjnie sprząta nocami.

– Lęki – rzuciła Petra.

– Przeprowadzka mogła wynikać z chęci wydostania się z rejonu działania Pete'a, ale może był tu też element kary, wymierzonej sobie samej. W końcu jakoś się ze sobą pogodziła. Potem, po dziesięciu latach, Pete, reinkarnowany jako Blaise De Paine, pojawia się u niej na ostrym dyżurze, poznaje ją, mówi coś, co ją przeraża. Zakładaliśmy, że chodziło o groźbę wobec Tanyi, ale jeśli De Paine straszył, że wyda ją za zamordowanie Bandiniego?

– „Koszmar tamtego lata”? – powiedziała Petra. – Ale De Paine i Patty byli jedynymi ludźmi, którzy wiedzieli, co się stało, i troska o własny los zamykała im usta. Dlaczego więc De Paine miałby do tego wracać?

– Przez całe życie wszystkie zbrodnie uchodziły mu na sucho, jest wystarczająco impulsywny i samolubny, żeby uwierzyć w swoją nietykalność. Spotkał się twarzą w twarz z Patty i nie wytrzymał, musiał się odegrać. Przywołało to wszystkie wspomnienia, które z takim trudem próbowała pogrzebać. I przeraziło ją. Gdyby De Paine postanowił ją obciążyć, jej życie by się rozpadło. Wszystko, dla czego się poświęcała, byłoby stracone. Albo jeszcze gorzej, możliwe, że De Paine postanowił się zemścić i zaatakować ją i Tanyę. Może próbowała zniechęcić go kontratakiem. „Ja wiem, co ty zrobiłaś tamtego lata, te zaginione dziewczyny”. A on ją wyśmiał. Uświadomiła sobie, że to totalny socjopata, i nie można liczyć, że odpuści.

– Poruszanie tematu dziewczyn byłoby ryzykowne – zauważył Milo. – Prościej byłoby go po prostu zastrzelić.

– Ale kiedy De Paine pojawił się na ostrym dyżurze, nie był sam. Patty

mogła wyeliminować ćpuna na głodzie, ale upolowanie i zamordowanie trzech bandziorów przekraczało jej możliwości. Może nawet zastanawiała się, jak to zrobić. Ale potem zachorowała. Jako pielęgniarka wiedziała, że zostało jej bardzo mało czasu, musiała najpierw zająć się porządkowaniem przyszłości Tanyi. Kiedy to już zrobiła, a siły prawie ją opuściły, próbowała ostrzec Tanyę. Odmawiała środków przeciwbólowych, żeby zachować przytomność. Udało się jej skierować Tanyę do mnie, ale ja byłem tylko przystankiem po drodze. To was chciała w to zaangażować.

– O rany – rzucił Milo i się skrzywił. – Zachorować śmiertelnie tuż po tym, jak człowiekowi przypomniano ciężki grzech, to dla wierzącego mogło być jak kara boska. Czy Patty była wierząca?

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy – przyznałem. – Ale nieważne, jakie miała poglądy, świadomość zbliżającej się nieuchronnie śmierci wszystko zmienia. Musiała tyle zrobić w tak krótkim czasie, zdecydować, co powiedzieć Tanyi. Niezależnie od stanu umysłu zmartwienia jej nie opuszczały, bo miała obsesyjną naturę. Ukłucia w gasnącym mózgu.

Milo się skrzywił.

– Kiedy próbowała to wszystko sobie jakoś poukładać – powiedziała Petra – Tanya przyniosła jej pisma; ona je ogląda, widzi De Paine’a na salonach. To mogło być dla niej sygnałem od losu. Postanowiła powiedzieć Tanyi o „strasznej rzeczy”, którą zrobiła, i w ten sposób ją ostrzec, ale była za bardzo chora, żeby opowiedzieć o wszystkim?

– To raz, a dwa, że nie chciała, aby Tanya zajmowała się tym sama.

– Ona sieje, my zbieramy.

– Porozmawiajmy o Brandy i Roxy – wtrącił Milo. – Dwie dziewczyny znikają w porządnej dzielnicy i nikt za nimi nie tęskni?

– Zadzwoiłam do ojca Starka, jeszcze się nie odezwał – zakomunikowała Petra. – Stark junior ma rację, że nie zgłoszono zaginięcia. Co mamy teraz zrobić, zarządzić poszukiwanie dwóch striptizerek, których nikt nie widział od dziesięciu lat? Dziewczyny w tym fachu prowadzą bardzo nieregularny tryb życia. Może wyprowadziły się w środku nocy, chcąc uciec przed długami. Zostawiły corvette z tego samego powodu. Mogło być i tak, że miał ją właśnie zająć komornik.

– Może to nie były striptizerki – podsunąłem. – Zostały lokatorkami Mary Whitbread dzięki znajomościom z pracy.

– Aktorki porno.

– To by tłumaczyło zróżnicowane godziny pracy.

– W dzień zdjęcia – ciągnął Milo – a w nocy dodatkowe zarobki na etatach pań do towarzystwa. Jesteś z Hollywood, znasz kogoś z tej branży, mała?

– Hej – obruszyła się Petra – takie sprawy to Valley.

– Jeśli dziesięć lat temu grały w filmach – zauważyłem – mogą być wymienione na jakiejś filmowej stronie internetowej.

– Aha – przytaknął Milo. – Ścisłość badań.

– Wydaje mi się, że nie powinnam tego robić na służbowym komputerze – powiedziała Petra. – Odkąd Fortuno został przejęty przez FBI sytuacja jest tak napięta, że nawet zawodowe zainteresowanie porno będzie wyglądało podejrzanie.

– Skoro o tym mowa – dodałem – Fortuno może pamiętać te dziewczyny.

Petra wyjęła wizytówkę agenta Wanamakera, wystukała numer. Rozłączyła się.

– Wyłączony. Jak będę miała czas, spróbuję uderzyć do jego przełożonych, a jak to się nie uda, porozmawiam ze Stu. Ale przeczucie mi mówi, że federalni wyczerpali już limit swojej współpracy. Macie coś przeciwko pooglądaniu świńskich stron?

– Ja bym to zrobił – powiedział Milo – ale moja delikatna psychika i tak dalej. Poza tym chciałbym spróbować prawdziwej pracy detektywa, na przykład molestowania paru osób z obyczajówki w mieście, żeby dowiedzieć się, czy Brandy i Roxy dały się kiedyś przymknąć na ich terenie.

Oboje popatrzyli na mnie.

– Jasne – rzuciłem.

– Hej! – zawołał Milo. – Skoro ci się to podoba, tym lepiej.

O siódmej trzydzieści zabrałem Robin na cichą kolację do Pacific Dining Car w Santa Monica. Wróciliśmy o dziewiętej.

– Pogramy w scrabble czy coś? – spytała.

– Przykro mi – odparłem. – Muszę pooglądać świńskie obrazki.

Stronę Vivacious Videos w ciągu ostatnich trzech miesięcy odwiedziło pięć milionów internautów. Filmy i DVD w ciągłej sprzedaży, oferty specjalne, jeśli zdecydujesz się TERAZ!

Strona była przyjazna dla użytkownika, wystarczyło wpisać nazwisko i cieszyć oczy.

Brandee Vixen i Rocksi Roli grały wspólnie w jedenastu filmach, wszystkich dziewczyna z dziewczyną, nakręconych w jednym roku.

Dziesięć lat temu.

Filmy były zaklasyfikowane jako „klasyki starej szkoły”. Reżyser i producent czuli się z nich tak dumni, że podali swoje nazwiska.

Darrel Dollar i Benjamin Baranelli. Może Baranelli nie było pseudonimem.

Jego nazwisko wyskoczyło w wyszukiwarce dwanaście razy, zdjęcie – trzy. Niski, siwowłosy mężczyzna po siedemdziesiątce, z nosem jak kartofel, wręczający dwumetrowej blondynce z kucykami nagrodę za najlepszą scenę oralną na Konwencji Filmów dla Dorosłych w Las Vegas.

Blondynka była topless. Baranelli miał na sobie ametystową aksamitną marynarkę, pomidorowo-czerwony golf, medalion wielkości talerzyka deserowego i groteskowo szeroki uśmiech, ukazujący sztuczną szczękę.

Przeskoczyłem na różne strony teleadresowe. Na nazwisko Baranelli nie była zarejestrowana żadna firma. Dla świętego spokoju zadzwoniłem do informacji, zaszokowało mnie, bo dostałem numer telefonu domowego.

Baranelli, Benjamin A. Tarzana, bez adresu.

Usłyszałem suchy, chrapliwy głos starca.

– Tak?

Szybko wyrecytowałem ogólnikowe przywitanie, wspomniałem o Brandee i Rocksi.

– W końcu coś robicie, durnie – rzucił Baranelli.

– Jacy.

– Wy, gliniarze. To były piękne dziewczyny, co, tak po prostu zniknęły z powierzchni ziemi? Dzwoniłem i dzwoniłem, nic nie wskórałem. Z powodu pracyzmu.

– Pracyzmu?

– Dyskryminacji na podstawie tego, jak kto zarabia na życie. Gdyby to

była jakaś tak zwana aktorka hetero, która ciągnie druta i co tydzień robi bukkake, żeby dostać rolę w serialu, a potem udaje, że urodziła się bez cipy, SWAT przyjechałby w mgnieniu oka. Jesteście pieprzonymi purytańskimi hipokrytami.

– Co może mi pan powiedzieć o...

– Mogę panu powiedzieć, że te dziewczyny czekała świetlana kariera. Nie ma takiej możliwości, to po prostu, kurwa, niemożliwe, żeby po prostu prysnęły i nic mi nie powiedziały. Kręciliśmy film co miesiąc, każdy kolejny podwajał zyski z wcześniejszych, zarabialiśmy niezłe pieniądze. Z powodu czynnika E. Wie pan, co to jest?

– Nie...

– Entuzjizm. Każda dziewczyna, która do mnie przychodzi, ma włosy jak trzeba, cycki, język. Niektóre potrafią nawet oszukać człowieka na przesłuchaniu. A potem kręci się scenę, a one mają tyle entuzjizmu, co Hillary robiąca to z Billem. Chcę powiedzieć, że te dwie nie musiały udawać. One to robiły naprawdę. Kochały się.

– Wie pan, jak się naprawdę nazywały?

– Teraz pan pyta?

– Lepiej późno niż wcale.

– Nie, kiedy chodzi o końcowy wytrysk, he he... ich prawdziwe nazwiska? Brandee, z dwoma „e”, to był mój pomysł, żeby odróżniała się od tych z „y” i „i”, Brandee nazywała się Brenda jakaś tam. Rocksi była Renee coś tam... nie pamiętam nazwisk. Były z Iowa. Albo Idaho, coś w tym rodzaju. Od tych religijnych świrów.

– Z sekty?

– Mówiły mi, że musiały się cały dzień modlić i ubierać jak amiszki



albo zakonnice. Co podsunęło mi pomysł na czwarty film, który zrobiliśmy, *Ostre habity*.

– Pamięta pan, jak się nazywała ta sekta?

– Nie pamiętam rzeczy, o których nigdy nie słyszałem. Czemu miałoby mnie to obchodzić?

– Ile miały lat?

– Wystarczająco dużo. Niech pan nie próbuje...

– Staram się tylko poznać jak najwięcej szczegółów. Co jeszcze mówiły panu o swoim pochodzeniu?

– Nic – odparł Baranelli. – Tak się dzieje, jak się wykorzystuje dzieci.

– To znaczy?

– Ci religijny maniacy zawsze cisną. A więc co robią dzieciaki? Buntują się, prawda? Te dwie wysiadły z autobusu z Iowa, a parę tygodni później miały sztuczne cycki i przekłute języki i były gotowe do akcji.

– Kto zapłacił za operacje?

– Niech mnie pan słucha uważnie! Były pełnoletnie, a to nie przestępstwo pomagać komuś w podniesieniu samooceny. Nic więcej nie powiem. Dobranoc, wyłączam telefon, nie zawracajcie mi głowy.

Następnego dnia: rozkład zajęć.

Raul Biro dalej obserwował dom Mary Whitbread. Rano poszła na zakupy, zjadła samotnie obiad w II Pastaio w Beverly Hills, wydawała się dobrze znać kelnerów. Wróciła do domu o trzeciej, później nie wychodziła. Ani śladu jej syna czy Roberta Fiska.

Czwarty wniosek Petry o nakaz przejrzenia billingów Mary przeszedł i zaczęła papierkową robotę. Kilka razy podobno ktoś widział Blaise'a De Paine'a i Roberta Fiska, ale nic z tego się nie potwierdziło. O siódmej wieczorem Petra była gotowa na naradę z kapitanem Stu Bishopem.

Milo pojechał do Tarzany i spotkał się osobiście z Benjaminem Baranellim. Emerytowany pornograf okazał się zgryźliwym zaniedbanym osiemdziesięciolatkiem, chodzącym o dwóch laskach i odmawiającym współpracy. Milo długo i cierpliwie go słuchał, w końcu Baranelli oddał mu pudełko zdjęć Brandee Vixen i Rocksi Roli. O szóstej Milo siedział przy swoim opornym komputerze na posterunku West LA, logując się do baz danych osób zaginionych i sprawdzając różne sekty w Iowa i Idaho.

Prowadzone przez Dave'a Saundersa i Kevina Bouleau poszukiwania krewnych Mosesa Granta przyniosły owoce, kiedy czeki rentowe Granta zaprowadziły ich do Long Beach. Tam detektywi znaleźli jego ciotkę, która oszczędzała pieniądze siostrzeńca. Załamała się, słysząc o jego śmierci.

Wyprowadziłem Blanche na spacer, nakarmiłem rybki, pozawracałem głowę Robin i myślałem o Patty Bigelow, patrzącej, jak umiera człowiek.

Zadzwońiłem do Tanyi w południe, potem o piątej. Zapewniła mnie, że wszystko jest w porządku, i spytała, czy dowiedziałem się czegoś nowego.

Powiedziałem, że nie. Kłamstwo uleciało z moich ust lekko jak oddech.

Petra zwołała nocną naradę o dziesiątej. Mimo że moja obecność nie była konieczna, pojechałem do Hollywood.

Ta sama sala konferencyjna. Saunders i Bouleau mieli na sobie szare garnitury, białe koszule i świeże krawaty, bez śladu podwójnych zmian. Petra była ubrana w czarny kostium i wyglądała na zamyśloną. Milo włożył półgolf w kolorze błota, granatowe spodnie z poliestru i pustynne buty. W jego zielonych oczach płonął ogień, ale trudno było powiedzieć, co to oznacza.

Przyjechałem ostatni i tym razem zaczęli beze mnie.

– Witamy na prezentacji. Dave i Kevin właśnie pokazywali nam, jakimi są mistrzami detektywistyki.

– Niedawno wróciliśmy od ciotki Granta – oznajmił Bouleau. – Maybelle Lemoyne. Nie przyjęła wiadomości dobrze, musieliśmy wezwać pogotowie, ale nic jej nie jest.

– Sól ziemi – powiedział Saunders. – Wdowa, wychowała siedmioro własnych dzieci, chodzi do kościoła i tak dalej. Moses był synem jej najstarszej siostry, ona i ojciec Mosesa zmarli kilka lat temu. Rodzina ma korzenie w Luizjanie, Baton Rouge i Nawlins. Moses grał w futbol w liceum, myślał o Tulane, potem cukrzyca zabiła te marzenia.

– Stąd renta – dodał Bouleau.

– Dom rodzinny zniszczyła Katrina – ciągnął Saunders. – Brat i siostra Mosesa wyjechali do Teksasu, ale on przyjechał tutaj, żeby zostać

didżem. Pomieszkiwał u ciotki, załapał się na kilka imprez w agencji, wynajął zapuszczoną kawalerkę w Valley i jeździł starą toyotą. Samochód wciąż stoi u ciotki, z rozładowanym akumulatorem, nie był odpalany od miesięcy.

– Od czasu gdy Moses odszedł z agencji i zaczął się zadawać z „ważnymi” ludźmi, jak powiedział starej ciotce Maybelle – wyjaśnił Bouleau. – Dał jej upoważnienie na realizowanie czeków z renty. Przekonał ją, żeby wzięła sobie te pieniądze, bo on zrobi karierę w branży muzycznej. Założyła konto na jego nazwisko, tam wszystko wpłacała.

– Sól ziemi – powtórzył Saunders. – Mówi, że Moses zawsze był grzeczny, chodził do kościoła, słuchał mamy, kiedy jeszcze żyła. Ludzie bali się go, bo groźnie wyglądał, ale kiedy z nim porozmawiali, przekonali się, że jest łagodny.

Przypomniałem sobie Granta, który wysiadł z hummera, parkującego obok Mary Whitbread, kiedy nam machała. Zawahał się, potem uniósł swą wielką dłoń.

– Maybelle nigdy nie widziała ani nie słyszała o Blaisie De Painie, ale zidentyfikowała Roberta Fiska. Przyjechał z Mosesem parę miesięcy temu, został w samochodzie, gdy Moses wszedł po jakieś ubrania. Ciotka uznała to za niegrzeczne, zwłaszcza że pomachała mu, żeby wszedł. Fisk siedział w samochodzie i udawał, że nie widzi. Ciotka spytała Mosesa, czemu zadaje się ze źle wychowanymi ludźmi. Moses odrzekł, że Robert – użył jego imienia – jest w porządku, tylko trochę nieśmiały. Co do motywu, ciotka zapewnia, że Moses przestrzegał prawa i na pewno zgłosiłby, gdyby był świadkiem morderstwa albo jakoś się w nie wplątał.

– Wszystkim się wydaje, że członkowie rodziny to anioły – powiedział

Saunders. – Słyszałem mamy Cripsów zarzekające się, że to niemożliwe, by Latif zastrzelił pięć osób. A my łapiemy Latifa na gorącym uczynku z uzi w rękę. Ale tej kobiecie wierzę. Dostaliśmy od niej numery telefonów w Nowym Orleanie, do pastora Mosesa, jego byłej dziewczyny, nauczycielki. Wszyscy mówią, że facet wyglądał groźnie, ale był łagodny jak baranek.

– Do tego – wtrącił Bouleau – to nie był geniusz. Jeśli De Paine napłócił mu o muzycznej karierze, mógł to kupić. – Opadł na oparcie krzesła. – I to wszystko, moi drodzy.

– Dzięki, chłopaki – odezwała się Petra. Opowiedziała im o zaginionych dziewczynach i śmierci Rogera Bandiniego.

– A więc jeśli ktoś tego Bandiniego załatwił – powiedział Bouleau – to była Patty. Zaraz po tym, jak De Paine i Roger wykończyli dziewczyny.

– Taka jest robocza teoria, przy założeniu, że ktoś w ogóle kogoś załatwił. Nie wiemy nawet, jak się te dziewczyny nazywały.

– Ehem – odchrząknął Milo, otworzył swoją teczkę i rozłożył na środku stołu trzy zdjęcia.

Największe, dwadzieścia na dwadzieścia pięć, było kadrem z filmu *Cycate Laski XI*, z prawami dla Vivacious Videos. Dwie blondynki opalające się przy basenie, nagie, z rozrzuconymi nogami, preżące nadmuchane piersi. Identyczne, gigantyczne fryzury i opalenizna sugerowały fantazje z bliźniaczkami. Brandee Vixen i Rocksi Roli szczyrzyły się wesoło, pieściły i splatały językami.

Pozostałe dwa były kolorowymi faksami czegoś, co wyglądało jak zdjęcia ze szkolnej księgi pamiątkowej.

Ciemnowłosa dziewczynka około szesnastu lat, w białej bluzce z

wykrochmalonym, wykładanym kołnierzykiem, i rudawa blondynka z długimi warkoczami, w podobnym stroju. Brunetka – aparat na zębach i ślady opryszczki. Łagodne, niebieskie oczy i ładne rysy, zdradzające chęć, by terażniejszość stała się przeszłością. Druga dziewczynka była piegowata, miała zadarty nos i ciemne oczy, odstające uszy, szeroki uśmiech i idealne zęby.

Na białym pasku pod oboma zdjęciami widniał krzyż z ciernistych pnączy, otoczony złotą wstęgą z napisem „Akademia Wiary Zwycięskiej, Gurney, Dakota Północna”.

Pod każdym zdjęciem własnoręczne pismo Mila:

*Brenda Hochlbeier.*

*Renèe Mittle.*

– Według rodziców, najlepsze przyjaciółki – oznajmił. – Ich koleżanki z klasy wiedziały, że to coś więcej. Pochodziły z fundamentalistycznych rodzin, nie sekt, ale blisko. Szkoła żeńska, spódnice do kostek. Obie zaczęły się buntować na początku liceum. Na miesiąc przed ukończeniem uciekły. Brenda miała siedemnaście i pół roku, Renee ledwie siedemnaście. Zwierzyły się jakimś koleżankom, że jadą do Nowego Jorku, by zostać rockettesami. Koleżanki puściły farbę i poszukiwania skupiły się na Wschodnim Wybrzeżu, biedni rodzice miotali się w tę i z powrotem, zatrudniali prywatnych detektywów, w tym dwóch „śledczych apostołskich”, którzy bezczelnie ich okradli. To, czy dziewczyny rzeczywiście pojechały na wschód, pozostaje niejasne. Tak samo jak to, co robiły między swoją ucieczką a początkiem kręcenia filmów tutaj, rok później.

– Byron Stark myślał, że są starsze, ale miały osiemnaście lat... –

powiedziałem. – Wyglądają na starsze.

– Fryzura, makijaż i chirurgia plastyczna robią cuda.

– Tak samo nastawienie – dodała Petra, patrząc na kadr z filmu. – Tu wyglądają jak doświadczone profesjonalistki. Z liceum do czegoś takiego w rok. Nieźle.

– Wszystko to masz od rodziców, Milo? – spytał Dave Saunders.

– Nie, od szeryfa w Gurney, Douga Brennera. Stróż prawa w drugim pokoleniu, kiedy dziewczyny zwiały, szeryfem był jego tata. Doug był od nich starszy o rok, śpiewał w kościelnym chórze, mówi, że wszystkie dzieciaki wiedziały, że to była ucieczka, bo Brenda i Renè nie mogły być sobą w tym środowisku.

– Zamierzacie, ty albo on, powiadomić rodziny?

– Powiedziałem mu, żeby się wstrzymał, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej.

– Dobra wiadomość jest taka, że państwa córki były lesbijskimi gwiazdkami porno – zadrwił Bouleau. – Zła, że nie mamy pojęcia, gdzie są.

– Ja bym powiedział, że były w tych workach na śmieci, dziesięć lat temu – rzucił Saunders, szturchając zdjęcie Brendy Hochlbeier. – Rany, to ohydne... jak się jest małym draniem, wielbicielem zwierzęcych szczątków, handlarzem narkotyków, psychopatycznym mordercą takim jak De Paine, Piotruś Pan, czy jak go tam nazwać, gdzie się porzuca fragmenty zwłok?

Patrzył na mnie.

– Wielu z takich gości chce móc wracać.

– Wiemy, że lubił wracać do filmowych wyczynów mamy – zauważył

Milo.

– A więc gdzieś stosunkowo blisko domu... – zasugerowała Petra. – Tata Starka zobaczył załadunek samochodu dopiero po ośmiu dniach od zniknięcia dziewczyn. Pete pewnie trzymał zwłoki w garażu, razem z innymi zabawkami.

– Pewnie tam je pociął – podrzucił Saunders.

Petra nawet nie mrugnęła.

– To też. Ale nie mógł ich tam trzymać w nieskończoność. Ani zakopać na podwórku, za duże ryzyko. A więc razem z Bandinim je wywiózł. Ale dokąd?

– Jeśli tak było, mówi nam to wiele o Mary – powiedział Milo. – Wyobrażam sobie, że jej syn mógł trzymać jakieś zwierzęce szczątki, może rzadko zaglądała do tej lodówki. Ale dwa ludzkie ciała?

– Matczyzna miłość – sapnęła Petra. – Dobry Boże.

– A jeśli worki zostały zabrane na inną jej nieruchomość? – spytałem.

– Jej nazwisko nie pojawia się w innych księgach wieczystych.

– To był jej sceniczny pseudonim – zauważyłem. – A nazwisko, z którym się urodziła?

– Oficjalnie je zmieniła. Czemu miałyby dalej handlować nieruchomościami jako Maria Baker?

– Mogła je kupić przed zmianą nazwiska. Myron Bedard mówił, że miała dom w Carthay Circle. To dziesięć minut jazdy z Czwartej, nie więcej.

– Carthay jest tak zaprojektowane, że nie ma tam dojazdu z głównych ulic – oświadczył Milo. – Niezła kryjówka.

Petra zaczęła na dodatkowe uwagi. Żadne nie padły.



– Warto spróbować – rzuciła i wyszła z sali.

Pięć minut później wróciła szybkim krokiem, wymachując jakimiś papierami, z płonącym wzrokiem.

– Dwie działki na Marię Baker za cenę jednej. Commodore Sloat i Del Valle, wciąż mają obie.

Ruszyła do drzwi.

– Jeszcze jedna ładna okolica – powiedział Milo, idąc za nią.

Saunders i Bouleau wstali na końcu.

– Te wszystkie drogie nieruchomości – rzekł Saunders. – Key i ja zaczynamy woleć Westside.

Carthay Circle to kilka kwartałów mieszkaniowego uroku, połączonych z niewiarą w miejską rzeczywistość. Enklawa ta, sąsiadująca z wieżowcami Wilshire od północy i gwarem Olympic od południa, jest mieszaniną ślicznie utrzymanych hiszpańskich, angielskich, śródziemnomorskich i kapsztadzkich domów. W stronę centrum dzielnicy, tuż przy San Vicente, znajduje się kompleks biurowy, w miejscu, gdzie kiedyś stał Carthay Circle Theater. W Carthay odbyła się premiera *Przeminęło z wiatrem*. Splendor i dramat ustąpiły miejsca szumowi rozmów prawników i tym podobnych.

Nocą ulice Carthay są ciemne i ciche; kawalkada detektywów wyróżniałaby się tu jak obiektywne dziennikarstwo. Petra odebrała crown victorię z parkingu Hollywood Division i wszyscy pięcioro upchnęliśmy się w środku. Petra prowadziła, Milo siedział na przednim miejscu pasażera. Dave Saunders i Kevin Bouleau jechali z tyłu, a ja wcisnąłem się między nich.

W samochodzie czuć było mokrym metalem i starym winylem. Bouleau poruszył ramionami, próbując usiąść wygodniej.

– Mam nadzieję, że wszyscy są w przyjaznych stosunkach ze swoimi dezodorantami.

– Zobaczymy po wycieczce – powiedział Milo.

Należący do Mary Whitbread dom do wynajęcia na Del Valle był otynkowanym na kremowo, zadbanym budynkiem w stylu hiszpańskim, z

maleńką atrapą dzwonnicy nad wejściem i niewielkim dziedzińcem z szemrzącą fontanną. Subtelne oświetlenie zmieniało pył wodny nad nią w bursztynową mgłę. Obok leżały dziecięce zabawki. Na podjeździe stała mazda RX7, za nią RAV4. Na zderzaku terenówki naklejka: „Moje dziecko to wzorowy uczeń Carthay Circle Magnet School”.

– A mój mały psychopata kopie mu tyłek – powiedział Bouleau. – Wygląda na to, że pani porno znalazła sobie miłych, porządnych lokatorów.

– Ciekawe, co by powiedzieli, gdyby psy zaczęły tu szukać trupów – zainteresował się Milo.

– To by dopiero była uciecha – dodała Petra. – Ale pewnie nie sprawdzimy. Równie dobrze mógł je wyrzucić w Coachella.

Nikt już nie brał pod uwagę możliwości, że nie ma żadnych zwłok. Wszyscy przetrawili fakty i zakładali, że dwie dziewczyny zginęły.

Petra pojechała na Commodore Sloat Drive. Kolejny hiszpański dom, bielony wapnem, nieco większy niż pierwszy. Bez dziedzińca, inne okna, witrażowe wstawki. Na podjeździe dwa bmw, szary Z3 i czarny 325i. W oknie z boku migotały światła. Petra zaparkowała dwa domy dalej, wysiadła, podkradła się na palcach do okna, chwilę postąła, wróciła.

– Przezroczyste zasłony w sypialni, miła parka po trzydziestce. Włączony telewizor, ona rozwiązuje krzyżówkę, on podłączył się do iPoda.

– Szczęśliwa rodzinka pod A, japiszony pod B. Bijąca w oczy nieobecność psychopatycznych morderców. – Dave Saunders ziewnął. – Muszę jechać do domu.

Detektywi wyjechali z parkingu posterunku swoimi samochodami.

– No, to było wielkie nic... – powiedziała Petra. – Alex, czy zrobiłbyś mi przysługę i spróbował zadzwonić do taty Starka jutro rano? Zostawiłam mu trzy wiadomości, bez odpowiedzi. Widocznie gardzi policją nie mogę powiedzieć, że mam do niego o to pretensje. Skoro jest pedagogiem, może lepiej odniesie się do ciebie.

– Pokażę mu najlepsze oblicze swojej zawodowej uprzejmości.

– Dzięki, jesteś słodki. – Stłumiła ziewnięcie. – Czy to zaraźliwe, doktorze?

– Nie mam pojęcia.

– Tajemnice nauki – rzuciła. – Chyba powinnam powypępiać trochę obowiązków domowych. Erie skończył właśnie miesięczny kontrakt. Systemy bezpieczeństwa w Arizonie, przemysłowe szpiegostwo, które okazało się paranoją. Jeździł w tę i z powrotem, nie widywaliśmy się za często. Jeśli coś z tego wyjdzie, wszystko zostanie po staremu.

– Do roboty, mała – zachęcił Milo. – Erie ma iPoda?

– Ha. Erie słucha muzyki tylko wtedy, kiedy ja ją włączę. Jeszcze nie widziałam, żeby ktoś potrafił tak siedzieć i nic nie robić. – Uśmiechnęła się, ale nie ruszyła. – A więc... w końcu ci dranie będą musieli się pokazać, prawda? – Złożyła ręce jak do modlitwy. – Mam nadzieję, że jutro dostanę billingi Mary. Na razie opowiem o wszystkim Raulowi. Świetnie się spisuje... powinnam mu to powiedzieć.

Z każdym zdaniem mówiła coraz ciszej, pod koniec mamrotała.

Zgarbiła się, głowa pochylila się odrobinę. Wyglądała na starszą i bardziej zmęczoną, ale tylko przez tych kilka sekund, które zajęło jej zebranie się w sobie i potrząśnięcie włosami.

– No, miejmy nadzieję, że zrobią coś głupiego... Jeszcze jedno, panowie, sprawa poufna. James Rahab, ten sierżant, który opisywał śmierć Rogera Bandiniego, jest na liście podejrzanych źródeł Fortuna w departamencie.

– Jak się tego dowiedziałeś? – spytał Milo.

– Stu usłyszał od swojego kumpla w federalnych. Który poinformował go także, że nie będziemy mieli więcej dostępu do Cudnego Maria.

– Bandinim się nie zajęto, bo Fortuno ustawił śledztwo dla Mary? – spytałem.

– Jeśli uznała, że poważne śledztwo w sprawie Bandiniego mogło zagrozić Pete'owi, miałyby powód, żeby prosić o przysługę. Z drugiej strony, to może być po prostu zbieg okoliczności. Rahab był wtedy na patrolu, szkolił żółtodzioba. A na pierwszy rzut oka śmierć Bandiniego rzeczywiście wyglądała na przedawkowanie. Wszystko to akademicka dyskusja, bo Rahab zmarł trzy lata temu na atak serca.

– Gdzie jest ten żółtodziób, którego szkolił? – spytał Milo.

– Nie mam nawet nazwiska. Federalny rzucił to Stu tylko jako nagrodę pocieszenia. Na zasadzie, to jest ostatnia rzecz, jaką od nas dostajecie.

– Albo chce skorzystać na naszym śledztwie. Odkryjemy coś, będzie mógł to dołączyć do zarzutów przeciwko Fortuno.

Petra się nad tym zastanowiła.

– Możliwe... tak czy inaczej, nie ma sensu bawić się w rozwiązywanie zagadek, kiedy nie mogę poradzić sobie przy ostatnim zabójstwie. Dobranoc, chłopaki.

O dziesiątej następnego dnia zatelefonowałem do Herberta Starka.

Usłyszałem śpiewny, damski głos.

– *Dodzwoniłeś się do Myry i Herba. Możemy być na rybach, na wycieczce albo po prostu się lenić. Zostaw wiadomość, a jeśli będzie interesująca, być może oddzwonimy.*

– Panie Stark, tu doktor Alex Delaware. Zrobię, co w mojej mocy, żeby to zabrzmiało fascynująco. Wiele lat temu spełnił pan swój obywatelski obowiązek i zderzył się z niewiarygodną niekompetencją policji. Gdyby zgodził się pan teraz otworzyć umysł... Przerwał mi niski, męski głos.

– Żeby wypadł mi mózg? Fascynujące? Raczej nie. Minimalnie intrygujące? Być może.

– Dziękuję, że...

– Byron powiedział, że sprawia pan wrażenie, cytuję, rozsądnego. Z ust mojego syna to duży komplement. Niewiele brakowało, a sam zostałbym psychologiem. Przeszkodził mi brak pieniędzy i za dużo rodzinnych zobowiązań. A więc policja w końcu postanowiła przyjrzeć się temu małemu socjopacie. Co zrobił tym razem?

– Zabił kilka osób – wyjaśniłem.

– Och, co za szok – powiedział Herbert Stark. – Zawsze tak jest, prawda? Właśnie skończyłem czytać książkę o seryjnych mordercach, nie jakąś tanią sensację, profesjonalny podręcznik napisany przez byłego śledczego, którego wykopali, bo mówił to, co myślał. Postawił tezę, że w dziewięćdziesięciu pięciu procentach przypadków morderca jest przesłuchiwany na samym początku śledztwa i policja ma nazwisko tuż przed nosem. Zgadza się pan z tym?

– Być może.

– Ja całkowicie. Byron mówił, że nie przykłada pan wagi do profilowania.

– Niewiele.

– Mają o to do pana pretensje w departamencie? – Ani trochę Stark chrząknął.

– Co według pana mogę jeszcze powiedzieć, czego nie próbowałem powiedzieć tym Einsteinom w niebieskim?

Chciałem go poprosić, żeby opowiedział o wszystkim, ale to by wywołało całą tyradę.

– Kiedy zaczął pan wierzyć, że te dwie dziewczyny zostały zabite, czy podzielił się pan podejrzeniami z kimś oprócz policji i pana żony?

– Oczywiście – potwierdził Stark. – Kiedy gliniarze usiedli z założonymi rękami, opowiedziałem o wszystkim paru osobom z sąsiedztwa. Uznałem, że jeśli odpowiednio dużo osób się oburzy, może spowoduje to ich do działania.

– Ilu osobom pan powiedział?

– Spodziewa się pan, że wyliczę wszystkich po tylu latach? Ograniczyłem się do ludzi, o których miałem dobre mniemanie. Niepotrzebnie, nikt się nie przejął.

– Czy jedną z tych osób była kobieta nazwiskiem Patty Bigelow?

– Tak – przyznał. – Ona była pierwsza. – Ponieważ...

– Po pierwsze, znałem ją. Po drugie, ufałem jej. Niedługo po tym, jak się wprowadziła, mój młodszy syn, Galen, upadł podczas jazdy na deskorolce i martwiliśmy się, że złamał nogę. Ale musiał się uczyć do egzaminu, nie chciał zawracać sobie głowy ostrym dyżurem, jeśli to nie

było złamanie. Moja żona rozmawiała kilka razy z Patty, wiedziała, że jest pielęgniarką, więc poszła za róg i poprosiła, żeby spojrzała na nogę Galena. Patty przyszła, obejrzała ją, powiedziała, że nie jest lekarzem, ale to nadwreżenie. Przyłożyła lód, założyła bandaż. Następnego dnia zabraliśmy Galena do pediatry i okazało się, że zrobiła wszystko idealnie. Opowiedziałem jej też o dziewczynach, bo miała córkę, małą dziewięć, dziesięć lat. Uznałem za swój obowiązek powiedzieć, że pomiot jej gospodyni to zaraza. Dlaczego pan o nią pyta?

– Zmarła niedawno z przyczyn naturalnych i robiła aluzję do jakichś strasznych rzeczy, które wydarzyły się, kiedy mieszkała przy Czwartej ulicy. Dlatego rozpoczęło się obecne śledztwo.

– Uwierzyła mi – powiedział Herbert Stark. – Mój Boże... nie powiedziałbym po jej reakcji.

– Co powiedziała?

– Nic, o to właśnie chodzi. Kiwnęła głową, podziękowała mi za informację i spytała, co u Galena, a potem odprowadziła mnie do drzwi. Pomyślałem, że to niewdzięczne i nieco nieuprzejme. Chciałem pomóc. Ale niedługo potem się wyprowadziła.

– Powiedziała, dlaczego się wyprowadza?

– Potem już nie rozmawialiśmy.

– Czy pana żona miała z nią kontakt?

– Wątpię, a nie mogę jej teraz zapytać. Jest w Seattle na jakiejś konwencji robótek ręcznych.

– Kiedy ostrzegał pan Patty, czy wymieniał pan Pete'a Whitbreada i Rogera Bandiniego z nazwiska?

– Oczywiście, nie było wątpliwości, kto ładował samochód.



Znaleźliście ciała?

– Jeszcze nie.

– Jakie są szanse? – spytał Stark. – Po tylu latach. A to wina nikogo innego, jak wspaniałego LAPD. Holmes i Marlowe turlają się ze śmiechu.

Klik.

Zadzwoiłem do Mila i Petry, wszędzie odezwała się poczta głosowa. Kiedy parzyłem kawę, zadzwoniła moja komórka. Herbert Stark przypomniał sobie jakiś szczegół?

– Doktorze – powiedziała telefonistka – mam na linii Kyle’a Bedarda.

– Doktor Delaware? – zabrzmiał ledwie słyszalny głos Kyle’a. – Przepraszam, że zawracam głowę, ale czy możemy się jakoś spotkać? Tanya ma właśnie dwugodzinne seminarium, więc gdyby miał pan akurat wolne...

– Coś się stało, Kyle?

– Ja... chciałbym porozmawiać z panem o kilku sprawach.

– Nie wolno mi rozmawiać o Tanyi, Kyle.

– Tak, tak, wiem, tajemnica zawodowa. Ale nic nie zabrania słuchać, prawda?

– O co ci chodzi?

– Naprawdę wolałbym się spotkać osobiście, doktorze Delaware. Tutaj, w laboratorium, prawie niemożliwe jest znalezienie spokojnego kąta, dlatego szepczę. Na zewnątrz jest kiepski odbiór, gmach psychologii zakłóca fale. Tanya powiedziała, że ma pan gabinet w Beverly Glen. Mogę tam być za dziesięć minut.

– Dobrze – przystałem.

– Naprawdę? Fantastycznie.

Tam, gdzie mieszkam w Glen, wysoko nad starym, sennym szlakiem konnym, nawet średni dzień wydaje się wspaniały. Ludzie, którzy odwiedzają mnie po raz pierwszy, często czują się w obowiązku skomentować zieleń wzgórz, zerkający znad Palisades pas Pacyfiku, karmelowe światło.

Odkąd mamy Blanche, nikt nie oparł się pokusie pogłaskania jej.

Kiedy otworzyłem drzwi Kyle'owi Bedardowi, przemaszerował obok niej i ścisnął za mocno moją dłoń.

– Jestem wdzięczny.

Włosy miał rozwiane, jakby wyszedł z tunelu aerodynamicznego, a flanelową koszulę, którą włożył do pogniecionych spodni khaki i wytartej, czerwonej koszulki, krzywo zapiętą. Blanche otarła się o jego nogę.

– Francuski buldog – mruknął, jakby odpowiadał na pytanie z quizu.

Zaprowadziłem go do gabinetu. Blanche wbiegła za nim, czekając na kontakt wzrokowy, którego się nie doczekała. Wskoczyła mi na kolana i zasnęła.

– Tata miał dość LA?

– LA, domu, którego nienawidzi, bo to było królestwo dziadka. Uznał, że wypełnił rodzicielski obowiązek, pora wrócić do życia. – Kyle wzruszył ramionami, pociągnął za przód koszuli, zobaczył, że jest krzywo zapięta i pospiesznie ją rozpiął. – Nie obyło się też bez porozumiewawczych gestów i mrugnięć. Troje to tłum, synu, nie chcę wam przeszkadzać. Powiedziałem mu, że tu nie chodzi o romanse, tylko o bezpieczeństwo Tanyi. Tata nie potrafi wyobrazić sobie, że ktoś może być sam na sam z atrakcyjną kobietą i nie chcieć natychmiast dobrać się jej do majtek. –

Nagły rumieniec. – Oczywiście, że ona mnie pociąga, jestem facetem. Ale nie o to chodzi. Chciałem z panem porozmawiać, bo Tanya nie śpi.

– W ogóle?

– Nie tyle, żeby to miało jakieś znaczenie. Pokój, w którym mieszka, jest bezpośrednio nad biblioteką i kiedy pracuję, słyszę, jak chodzi. Bez przerwy, potrafi tak godzinami.

– Ty najwyraźniej też nie sypiasz.

– Ze mną wszystko w porządku, pracuję, kiedy chcę, bo nie mam ustalonych godzin pracy. Czasami kimnę się nawet w laboratorium, jest tam materac, z którego korzystają wszyscy studenci. Ale z Tanyą jest inaczej. Prowadzi uporządkowane życie, ma swój rozkład dnia. Nie wiem, jak długo jeszcze wytrzyma.

– Rozmawiałeś z nią o tym?

– Nie, bo wiem, co by powiedziała.

– „Nic mi nie jest, Kyle”.

– Właśnie. Bardziej niż bezsenność martwi mnie to chodzenie. W tę i z powrotem, jakby... nie wiem... jakby była uwięziona. Czy powinienem się martwić?

Milczałem.

– Nie może mi pan powiedzieć nawet tego?

– Może trzymaj się stwierdzeń zamiast pytań i spróbujemy to jakoś rozwiązać.

– To zasadniczo wszystko... nie, kłamię. To nie tylko chodzenie. To obejmuje wszystko, co to chodzenie oznacza – wszystkie jej lęki. To reakcja na stres, prawda? Przepraszam, żadnych pytań. Zresztą to było głupie, oczywiście, że to lęki. Jest pewnie przerażona do nieprzytomności.

Nie wspominając o żalu po matce – o tym też nie wspomina.

– Ludzie mówią, kiedy są gotowi.

– Jak w tym starym dowcipie? – powiedział. – Ilu psychologów potrzeba do zmiany żarówki, ale żarówka musi chcieć się zmienić. Ale to takie trudne, kiedy ktoś... Do tego wszystkiego America, nasza gosposia, opowiedziała mi o innych nawykach, które ma Tanya. Zdarzyło się, że weszła, kiedy Tanya... fakt, jest trochę wścibska, właściwie nawet upierdliwa. Dużo bardziej lubiłem Cecilie, jej siostrę. America strasznie moralizuje, odkąd Tanya się wprowadziła, chodzi z obrażoną miną, jakby zjadła cytrynę. Na pewno myśli, że między Tanya i mną coś jest, więc może umyślnie weszła przypadkiem do pokoju Tanyi. Ale tak czy inaczej, widziała to.

– Co takiego widziała?

Kyle zapiął koszulę od góry do dołu. Sprawdził, czy dobrze.

– Może robię z igły widły... Za pokojem Tanyi jest garderoba, a za nią szafa wnękowa. W garderobie jest lustro, a ściany stoją pod takim kątem, że kiedy stoi się u wezłowania łóżka, widać część szafy. America twierdzi, że nie podglądała, tylko poprawiała Tanyi poduszki... Zobaczyła, jak Tanya chodzi po szafie i dotyka rzeczy. Są tam tony rzeczy w torbach, głównie taty, ubrania, których nie nosił od lat, nigdy niczego się nie pozbywa, wszystko trzyma w przekonaniu, że kiedyś mi się w końcu spodoba. Jakbym miał zacząć chodzić w marynarce i fularze... dobrze, dobrze, wracam do tematu. America mówi, że Tanya dotykała każdej torby trzy razy, potem wracała i powtarzała cztery razy, potem pięć, potem sześć, potem siedem.

– America patrzyła i liczyła – powiedziałem.

– Mówiłem panu, że jest wścibska. Zauważyła, że Tanya przestała przy siedmiu, potem zaczęła robić to samo z butami taty. Spytała, czy siedem to magiczna liczba, miała takie spojrzenie, jakby Tanya była wyznawcą diabła. To prosta kobieta, co ona może wiedzieć o reakcjach na stres?

– Wyjaśniłeś jej coś?

– Pewnie powinienem był, ale tylko się wkurzyłem. Powiedziałem, że Tanya to moja przyjaciółka, że może robić, co chce, i że nie życzę sobie donosów. Nie była zadowolona, ale mam to w dupie. Pracuje w domu dopiero pięć lat, a już mnie irytuje.

– Ale martwisz się nawykami Tanyi.

– Tanya opowiadała mi o swojej nerwicy natręctw, o tym, jak ją pan wyleczył.

Milczałem.

– A więc to też było wyparcie – powiedział. – Czy to wyleczalne?

– Ludzie mają różne skłonności – wyjaśniłem. – Stres je wydobywa. Nawyków można się oduczyć.

– A więc oczekuję od Tanyi w tej chwili zbyt wiele, a to ostatnia rzecz, jakiej chciałem.

– Ja słyszę troskę, nie oczekiwania.

– Nie martwię się kilkoma zachowaniami, doktorze Delaware. Niepokoi mnie pierwotna przyczyna. W jakim ona musi być stresie, skoro nie może o tym mówić. Jak mogę jej pomóc?

– Dałeś jej swoją przyjaźń i schronienie.

– To najwyraźniej nie wystarcza.

– Bo nie jest bez przerwy szczęśliwa?

Zacisnął zęby. Zamknął oczy i pomasaował powieki.

– Myślę o swoich zmartwieniach, zamiast o niej. Jezu, dlaczego nie mogę się skupić na tym, na czym trzeba?

– Robisz bardzo dobrą robotę, Kyle.

Machnął ręką.

– Czy powinienem o czymś z nią porozmawiać? Czy to by pomogło?

– W tej chwili nie.

– Dlaczego nie?

– Żarówkowa mądrość.

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– A więc co, mam jej pozwolić chodzić w kółko i nie spać, i udawać, że wszystko jest w porządku? – Stuknął pięścią w skroń. – Niech mnie pan posłucha. „Pozwolić jej”. Jakbym był jej rodzicem, skąd to się wzięło, do cholery?

– Z głębokiego uczucia.

Otworzył usta. Pochylił się gwałtownie, szarpnięciem rozwiązał but, zawiązał go z powrotem.

– Głębokie uczucie... tu pan trafił. Kocham ją jak diabli.

– Wiem.

Minęło kilka chwil. Kiedy znów się odezwał, głos miał cichy i niewyraźny.

– Czy jest jakaś szansa, że to wzajemne?

– Przyjęła twoją gościnę.

– Ale to mogła być desperacja, o cholera, znów się zaczyna, ego, ego, ego... a więc mówi pan, że mam nic nie robić?

– Mówię, żebyś dał jej prowadzić, był przy niej i słuchał.

– A to chodzenie, nawyki, to przejściowe, bo sytuacja jest do kitu?

Nie odpowiedziałem.

– Jasne, jasne – rzucił. Podrapał się w brodę. – Następny temat: jakieś postępy w kwestiach śledczych?

– Nic wstrząsającego, ale zajmują się tym odpowiedni ludzie. – Pete zabił własnego ojca – powiedział. – To więcej niż okropne... dobra, idę już, dziękuję, że znalazł pan czas. – Kiedy wychodził, pochylił się i pogłaskał Blanche. – Przepraszam, że cię ignorowałem. Jesteś rzeczywiście taka słodka, jak mówiła moja dziewczyna.

Położyłem mu dłoń na ramieniu. Poczulem drgnięcie.

– Naprawdę dobrze sobie radzisz, Kyle.

– Tak, tak, dzięki za pomoc, do widzenia.

O drugiej przyjechał Milo i usiedliśmy w kuchni, jedząc wystygłe meksykańskie potrawy.

– Żadne inne nieruchomości nie są zarejestrowane na Marię Baker ani Mary Whitbread w sześciu sąsiednich okręgach. Jeśli używa trzeciego nazwiska, będzie ciężko. Petra w końcu dostała jej billingi. Whitbread dzwoni głównie do sklepów w Beverly Hills i Brentwood. Wyjątkiem jest komórka, która odzywa się trzy albo cztery razy dziennie. Niestety, też jest zarejestrowana na nią.

– Kupiła telefon synkowi.

– Albo on kazał jej to zrobić dla kamuflażu. Kiedy go już znajdziemy, może uda nam się zamknąć najdroższą mamusię jako współniczkę. Gdy byłem w nieruchomościach, widziałem parę interesujących map satelitarnych, mają jakiś nowy kontrakt z GPS, wpisujesz adres działki i dostajesz ładne, ostre zdjęcie. Moja obywatelska połowa mówi, że Orwell

miął rację. Druga połowa, policyjna, przekonuje, że to fantastyczne, że możemy znaleźć jakieś zdjęcia nieruchomości Mary i zobaczyć, czy są ślady pochówku.

– Pochówek miał miejsce dziesięć lat temu.

– Rany, dzięki, teraz znów jestem zdołowany – powiedział Milo. – Myślałeś kiedyś o pracy w skarbowce?

– Oto wiadomość, która może poprawi ci nastrój: Patty na pewno wiedziała o dziewczynach, workach i samochodzie.

Powtórzyłem mu wszystko, czego się dowiedziałem od Herberta Starka.

– A to mi poprawi nastrój, bo...?

– Wyjaśnia sytuację. Kiedy Bandini próbował się włamać do Patty, wiedziała, kim był, i przygotowała się.

– Uzbrojona mamuśka – rzekł. – Nie ma czasu na pogaduszki, kiedy kilka metrów dalej śpi Tanya. Zaplanowała, jak opanować sytuację, udało się jej wpakować mu złoty strzał.

– Nakłucie nie było na potylicy ani w żadnym innym dziwnym miejscu – wyjaśniłem. – W zgięciu łokcia, tam, gdzie można się było go spodziewać. Do czegoś takiego musiał być całkowicie obezwładniony.

– Premedytacja w służbie macierzyńskiego obowiązku – powiedział Milo. – Niech to wygląda ładnie i naturalnie. Wyobrażam to sobie i żał mi jej. Musiała działać szybko, mieć nadzieję, że Tanya się nie obudzi. Wywlokła ciało na ulicę, modląc się, żeby żaden sąsiad tego nie zauważył. Ale miała dość przytomności umysłu, żeby zostawić pod zwłokami Bandiniego jego wytrychy.

– Patty była zawsze bardzo skoncentrowana.



– Kiedy skończyła, skupiła się na ucieczce. Czeka chwilę, żeby nikt nie powiązał jej z Bandinim, i mówi Whitbread, że nie stać jej na czynsz. Żyje dziesięć lat z tym sekretem, nie mówiąc nikomu.

– Oprócz Lestera Jordana.

– Wygadała się tacie Pete'a. Dlaczego to zrobiła?

– Może na początku chciała usłyszeć, że podejrzenia Herberta Starka co do zaginionych dziewczyn są bezpodstawne. Może zamiast uspokoić jej obawy, Jordan jeszcze je podsycił, opowiadając o innych zbrodniach synka.

– Sęp Armbruster.

– Jordan i Armbruster byli znanymi współnikami z narkotykowego świata. Jordan musiał wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać, że to jego syn zamordował Armbrustera.

– Wczesny kryminalista – zauważył Milo. – Jordan mówi: „Nie wiadomo, do czego mój chłopak jest zdolny”. Patty ładuje swoją dwudziestkędwójkę i czuwa nocą. Ale dlaczego Jordan ją ostrzegł?

– Patty nieraz uratowała mu życie. Łączyła ich więź na tyle głęboka, że Jordan napisał ten gniewny list, kiedy Patty wyprowadziła się z Cherokee. Patty zachowała list i zdjęcie ich dwojga, co znaczyło, że do jakiegoś stopnia odwzajemniała sympatię.

– Mimo to Jordan wie, że jego dzieciak jest niebezpieczny, ale go nie wydaje. Nawet nasączona narkotykami krew jest gęstsza od wody.

– Dziesięć lat później zjawiamy się my, poruszamy temat Patty, Jordan podejrzewa, że to ma coś wspólnego z Pete'em. Dzwoni do niego, może żeby go ostrzec, może powiedzieć: „A nie mówiłem”. A może nawet, że jak ciśnienie wzrośnie, nie będzie go krył. Pete od lat nienawidził ojca, a

teraz ojciec staje się bezpośrednim zagrożeniem – i to jest ostatnia kropla. Każe Fiskowi udusić ojca, a sam patrzy. Ma z tego podwójną satysfakcję, uciszył Jordana i zaspokoił swoje żądze.

– Uroczo – zachwycił się Milo i przyłożył dłoń do ucha. – Czy to grecki chór słyszę w tle?

Przez następne trzy dni Raul Biro śledził Mary Whitbread na zakupach. Zasadę miała prostą: kupowała naręcza drogich ubrań, oddawała wszystko następnego dnia, płaciła swoją platynową American Express.

Petra zdobyła dane o jej płatnościach i rachunki z Southwest Airlines. Mary regulowała zobowiązania w terminie, nie wykorzystywała punktów za przeloty, a w zakupach, które zrobiła przez ostatni rok, nie było nic, co by zdradzało miejsce pobytu jej syna albo Roberta Fiska.

Numer komórki, którą przypisywano Pete'owi Whitbreadowi, pozostawał nieaktywny do czwartej po południu trzeciego dnia, kiedy Mary pod niego zadzwoniła. Siedząc drogę sygnału między nadajnikami, udało się ustalić, że telefon przemieszcza się na południe z miejsca na wschód od Civic Center w śródmieściu. Kiedy rozmowa się skończyła, odbiorca był gdzieś na północ od Chinatown.

Parę minut od podjazdu na Sto Dziesiątą, gdzie porzucono ciało Mosesa Granta.

Dave Saunders i Kevin Bouleau pojechali więc z powrotem do opuszczonego warsztatu, gdzie Grant został zastrzelony. Rozmowy z mieszkańcami pozwoliły znaleźć jeszcze trzech bezdomnych, którzy widzieli czarnego hummera jeżdżącego po przemysłowej okolicy na wschód od Los Angeles Street późno w nocy. Żadnych szczegółów na temat kierowcy, pasażera ani celu jazdy. Saunders pojechał na miejsce porzucenia zwłok i popytał w Chinatown.

Milo został w domu i bawił się bazami danych. Nawet w Twarzy

Ameryki nie znalazło się nic na temat Pete'a Whitbreada/Blaise'a De Paine'a ani Roberta Fiska. Żaden nie złożył żadnego wniosku do ubezpieczenia społecznego ani nie płacił podatku dochodowego. Zdjęcia nieruchomości Mary Whitbread z lotu ptaka nie wykazały żadnych świeżych poruszeń ziemi. Archiwista w geodezji powiedział, że można spróbować badania sonarem. Kiedy Milo spytał, gdzie to załatwić, odparł:

– Widziałem to w jakimś serialu czy gdzieś.

Dwa razy zadzwoniłem do Tanyi, dwa razy zostałem zapewniony, że świetnie sobie radzi, że ma parę dużych egzaminów, na których musi się skupić. Głos miała słaby i zmęczony, ale może na moją opinię wpłynęła opowieść Kyle'a o jej bezsenności i kompulsywnych czynnościach.

Kyle nie próbował ponownie się ze mną skontaktować.

Nie mając nic do roboty, przyjąłem dwie kolejne konsultacje z sądu rodzinnego i przygotowałem się na nura w szambo znane jako konflikt o opiekę nad dzieckiem.

O dziewiątej wieczorem Robin czytała w łóżku. Właśnie skończyłem wieczorne spotkanie z mężczyzną, który nienawidził swojej byłej żony tak, że na dźwięk jej imienia oczy wyłaziły mu na wierzch i pęczniały żyły na szyi. Wcześniej tego samego dnia w tym samym fotelu siedziała ona; byłego męża nazywała pieszczotliwie „pieprzonym dupkiem”. Mieli dwoje dzieci, które moczyły się w nocy i nie dawały sobie rady w szkole. Oboje rodzice twierdzili, że są gotowi zrobić wszystko, „co będzie najlepsze dla Amy i Whitleya”.

Kiedy drzwi zamknęły się za mężem, poszedłem do szafki z alkoholami w jadalni, uznając, że to dobra okazja, by otworzyć podarowaną mi dawno temu butelkę Chivasa Century.

Zadzwoił telefon. Głos Miła był napięty.

– Robert Fisk właśnie pokazał się u Mary. Petra wezwała oddział specjalny. Już tam jadę, zaprosiłbym cię, ale tyle tu artylerii...

– Wymyśl jakiś sposób – zażądałem.

– Na co?

– Na przekonanie ich, że jestem *persona grata*.

Oddział SWAT upchnął swoje samochody za rogiem.

Starali się nie rzucać w oczy na tyle, na ile mogła drużyna mężczyzn o kwadratowych szczękach, z pełnym szturmowym wyposażeniem. Noc sprzyjała tajemnicy, ale w powietrzu wisiało napięcie.

Dowódcą oddziału był wysoki, chudy, wąsaty porucznik nazwiskiem A. M. Holzman, o siwych, ostrzyżonych na jeża włosach i przypominających odłamki lustra oczach o jeden ton jaśniejszych. Milo zwrócił się do niego per „Allen”, a Holzman przywitał go krótkim uśmiechem. Dawna znajomość nie prowadziła do pogawędek. Wszyscy koncentrowali się na domu Mary Whitbread, gdzie pół godziny temu wszedł Robert Fisk.

Fisk przyszedł pieszo La Cienega ze wschodu, ubrany w czarną koszulę, takie same spodnie od dresu i sandały. Pukając do drzwi, wkroczył w krąg światła lampy. Raul Biro wyraźnie zobaczył jego twarz i wezwał wsparcie.

Teraz streszczał sytuację Holzmanowi.

– Facet miał puste ręce, wyglądał na zrelaksowanego. Byłem na tyle blisko, żeby przyjrzeć się jego ubraniu i na pewno nie miał broni. Co do noża, nie powiem na sto procent, ale otworzyła drzwi i wpuściła go bez

oporu.

– Puka, *entrez-vous*? – spytał Holzman.

– Właśnie tak, panie poruczniku.

– Jesteśmy pewni, że Mary wie przynajmniej o niektórych z przestępstw syna – powiedziała Petra. – Co najmniej współudział po fakcie.

– A więc może ten cały Fisk został wysłany przez jej syna po pieniądze, jedzenie czy coś w tym rodzaju – podsunął Holzman.

– To by miało sens.

– Albo – kontynuował – dostał się do środka podstępem i zrobił mamusi coś złego. Mówimy o współniku kogoś, kto zabił już swojego tatę.

– Uśmiechnął się. – Pewnie będzie prosił o łagodny wyrok, bo jest sierotą.

– Jeśli tak, spóźniliśmy się, prawda? – spytała Petra.

– Chyba że właśnie ją torturuje.

– Jesteś fontanną optymizmu, Al – zauważył Milo.

– To wszystko wakacje w porównaniu z oddziałem antyterrorystycznym. – Zwrócił się do Petry: – Znasz Erica Stahla, prawda?

Petra się uśmiechnęła.

– Trochę.

– Nie załapałem się na wycieczkę do Tel Awiwu, gdzie powstrzymał tego zamachowca-samobójcę, a szkoda, mam kuzynów w Jerozolimie. Ale byliśmy razem w Dżakarcie, poleciliśmy na Bali, widzieliśmy zniszczenia. Dobra, dość pieprzenia, jak wygląda lista życzeń?

– W idealnym świecie – powiedziała Petra – wchodźcie tam i wyprowadzacie ich oboje żywych.

– W idealnym świecie wyciskam krew z wątroby Osamy, kiedy on siedzi w wannie kwasu i patrzy... dobra, zobaczymy, czy uda nam się przekonać sąsiadów z tyłu, żeby umożliwili obserwację tego domu od podwórka. Zależnie od tego, co zobaczymy albo usłyszymy, wymyślimy jakiś plan. Nie widzę konieczności pośpiechu. Jeśli ona żyje, są kumplami. Jeśli nie, pora na oddział specjalny z mopem i szczypczykami.

– Sąsiadem z góry jest niejaki doktor Stark – wyjaśniła Petra – jest właścicielem budynku i już z nami współpracował.

– Doskonale – ucieszył się Holzman. – Obywatelska postawa i tak dalej, co, Milo? Pamiętasz te seminaria Korpusu Pokoju, na które musieliśmy chodzić?

Milo kiwnął głową.

– Totalne pierdoły, to jest o wiele lepsze – oznajmił Holzman. – Dobra, znajdziemy doktora Starka i zaangażujemy go jeszcze trochę.

Byron Stark patrzył przez laserową lunetę, która, wycelowana z okna jego sypialni, ukazała, że tylne drzwi do mieszkania Mary Whitbread na parterze są uchylone.

Na centymetr.

– Jeśli jest pod prysznicem, nie słyszy dzwonka, on może wejść do środka? – powiedział Allen Holzman. – To ma sens, Milo?

– Teoria dobra jak każda inna, Al.

– Albo jest po prostu nieostrożna.

– Cały czas ma otwarte – wyjaśnił Stark.

Zaczerwienił się.

– Mamy tu chyba wyluzowaną paniusią – stwierdził Holzman. – Dobra, szybko wchodzimy.

Nie było granatów ogłuszających jak w telewizji. Oddział SWAT wszedł bezgłośnie i zajął mieszkanie w kilka sekund.

Mary Whitbread i Robert Fisk spali w łóżku. Sztuczny ogień na kominku lśnił pomarańczowo, nagranie na taśmie udawało trzask płomieni. Dobiegająca z głośników muzyka new age oblepiała wszystko jeszcze jedną warstwą aksamitnego spokoju. Na tacy na podłodze obok łóżka, po stronie Mary, leżały muffiny z miodem i orzeszkami makadamia, czekoladki Godiva, plasterki kiwi, kieliszki do szampana pełne czegoś, co później okazało się nektarem o smaku mango i chińskiej śliwki.

Whitbread i Fisk byli nadzy i przytuleni. Zanim do końca się obudzili, leżeli już na brzuchach i mieli ręce skute na plecach.

Mary Whitbread wrzasnęła, potem zaskomlała, potem zaczęła się hiperwentylować. Fisk rzucał się jak świeżo złowiony dorsz na śliskim pokładzie. Szturchnięcie lufą karabinu położyło temu kres.

– Silikonowe Cycki i pan Maczo Tatuaz Kickboxer – rzucił jeden z policjantów, kiedy zdejmowali kamizelki kuloodporne i pili gatorade.

– Silikonowe Cycki i Paróweczka – powiedział drugi.

– Miniaturowy kabanosik, wysuszony, skompresowany i przeciągnięty przez dziurkę po szpilce. Żadnych wymówek, stary, tam było ciepło – oznajmił trzeci.

– To przez nas mu się tak skurczył, stary. Panie Maczo Dupek Kickboxer Zabójca, dobraliśmy ci się do tyłka i opadł ci jak mokra kupa.

– Miniminimini, stary, nawet biorąc pod uwagę czynnik skurczenia. Kiepski wybór kariery, Ołówkowy Fiutku.

– Och, och, och... – przesadzony falset – ... włożyłeś go już, ogierze?



– Dobra robota, panowie – pochwalił Allen Holzman. – A teraz zamknijcie się, do cholery, i niech któryś się zgłosi na ochotnika do papierkowej roboty.

Karierą, którą wyśmiewali policjanci, była kariera aktora porno. Na nagraniach znalezionych w mieszkaniu Mary Whitbread uwiecznione były przesłuchania Roberta Fiska sprzed dwóch lat dla wytwórni z Canoga Park o nazwie Ostre i Prawdziwe.

Według dokumentów finansowych ze strychu Mary była ona udziałowcem firmy, która zwinęła się trzynastym miesiącu po wejściu do niej Mary.

Żadnego śladu, że Fisk pracował kiedykolwiek dla niej czy kogoś innego.

W małej piwniczce mnóstwo kaset i płyt pozostałych po Ostre i Prawdziwe, ale żadnych pamiątek z kariery Mary.

Żadnych śladów kopania ani tam, ani na podwórku.

Mary z przerażenia się zmoczyła, ale szybko się uspokoiła i poprosiła o szlafrok, preżąc ciało. Petra znalazła kimono i pomogła się jej ubrać.

– Gdzie jest Peterson?

– Ten gnojek? – spytała Mary. – Skąd miałabym wiedzieć? Dlaczego miałoby mnie to obchodzić?

– Robert Fisk to...

– Nie, nie, nie, nie! Proszę nic do mnie nie mówić, chcę mojego prawnika.

Robert Fisk nie prosił o adwokata.

Podziękował Petrze za to, że przyniosła mu butelkę wody, siedział spokojny jak Budda.

Groźna, łysa czaszka ze zdjęcia porosła ciemnymi włosami, schludnie ostrzyżonymi. Błada ramka wokół wąskich ust była wspomnieniem po niedawno zgolonych wąsach. Ust, delikatnych jak reszta jego ciała. Nie licząc tatuaży wystających spod mankietów i wypęczających nad kołnier, zupełnie pospolity człowiek.

Proste plecy zdradzały instruktora tańca albo osobistego trenera. Tylu ich w LA.

Wypatrzenie go na ciemnej ulicy, mając do dyspozycji jedynie niewyraźne zdjęcie, świadczyło doskonale o umiejętnościach Raula Biro. Biro siedział obok Petry, oboje patrzyli na Fiska przez stół. Milo i ja staliśmy za szybą.

Fisk napił się wody, odstawił kubek i się uśmiechnął. Mignięcie ostrych, wilczych zębów sprawiło, że Petra się wzdrygnęła. Fisk mógł wyczuć, że coś zdradził. Zamknął usta, zsunął się w dół na krześle, żeby zrobić wrażenie mniejszego.

– Przynieść panu coś jeszcze, panie Robercie?

– Nie, nie trzeba, detektyw Connor. Bardzo dziękuję.

– Wie pan, dlaczego pan tu jest?

– Niezupełnie, detektyw Connor.

– Spróbuje pan zgadnąć?

– Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

Petra przełożyła papiery, patrząc na rozmówcę. Fisk nie drgnął.

– Czy mówi coś panu nazwisko Lester Jordan?

– Oczywiście – powiedział Fisk. – Był ojcem Blaise’a. Blaise go zabił.

– A pan to wie, bo...?

– Byłem tam, detektyw Connor.

– Przy morderstwie.

– Blaise poprosił, żebym tam był, ale to, co się stało, zaskoczyło mnie.

– Dlaczego Blaise pana tam zaprosił?

– Jako wsparcie moralne – wyjaśnił Fisk. – Tak założyłem.

– Dlaczego Blaise potrzebował moralnego wsparcia?

– Lester go bił.

– Widział pan to?

– Blaise mi mówił. Lester, jako narkoman, był nieprzewidywalny.

– Jak dobrze znał pan Lestera?

– Widziałem go kilka razy. Zawsze z Blaise’em.

– Interesy ojca z synem.

– Nie miałem z tym nic wspólnego.

– Z czym?

– Z narkotykami. Nigdy w życiu nie tknąłem prochów. Nie wzięłem do ust alkoholu, moi rodzice pili, widziałem, co to z nimi zrobiło.

– Żyje pan higienicznie.

– Możecie przeprowadzić badania – oświadczył Fisk. – Moja krew jest czysta. Nie jem czerwonego mięsa ani rafinowanego cukru. Gdyby ludzie nie jedli mięsa, nie byłoby globalnego ocieplenia.

– Naprawdę? – spytała Petra.

– Krowy pierdzą i psują atmosferę.

– Może zacznijmy im dawać węgiel – zaproponował Raul Biro.

Petra się uśmiechnęła. Fisk nie.

– Wróćmy do Blaise’a i Lestera – powiedziała. – Był pan tam, kiedy Blaise sprzedawał swojemu ojcu narkotyki.

Długa cisza.

– Robercie?

– Blaise mi nie mówił.

– Chodził pan z nim jako ochrona.

– Moralne wsparcie.

– Kiedy przyszedł do mieszkania Lestera, wszedł pan frontowymi drzwiami z Blaise’em.

– Tak, proszę pani – potwierdził Fisk.

– Hm – mruknęła Petra. – W takim razie to zabawne, że pana odciski palców znalazły się na zewnętrznym parapecie Lestera Jordana.

Fisk poruszył dłońmi. Uśmiechnął się zaciśniętymi ustami.

– To dziwne.

– Dziwne, ale prawdziwe, Robercie. – Przysunęła w jego stronę zdjęcia odcisków z AFIS-u.

Fisk ledwie na nie zerknął.

– Nie pamiętam tego parapetu.

– Na zewnątrz okna sypialni Lestera Jordana.

– Rany – rzucił Fisk – to zupełnie niewiarygodne.

– Nie wszedł pan przez okno?

Fisk spojrział na sufit. Minęła minuta, potem druga. Petra założyła nogę na nogę. Raul Biro patrzył na Fiska.

- Pani pozwoli, że o coś zapytam, detektyw Connor – odezwał się Fisk.
- Teoretycznie.
- Oczywiście, panie Robercie.
- Jeśli okno jest już otwarte i ktoś przez nie wejdzie, czy to jest włamanie?
- Dureń jest zamknięty za morderstwo – mruknął Milo – a martwi się włamaniami.
- Hm, interesujące pytanie – rzekła Petra, odwracając się do Raula.
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem – przyznał Raul.
- Tak było, panie Robercie? Otwarte okno?
- Powiedzmy.
- Cóż – stwierdziła – w takim razie nie byłoby to włamanie, bo nic nie zostało złamane.
- Tak właśnie myślę – powiedział Robert Fisk.
- Kto zostawił otwarte okno?
- Blaise.
- Dlaczego to zrobił, panie Robercie?
- Taktyka – odparł Fisk. – Jak mówiłem, bał się Lestera, był przez niego bity.
- A to, że pan wszedł przez okno z tyłu, pomogło mu, bo...?
- Element zaskoczenia.
- Na wypadek...?
- Gdyby coś się stało.
- I coś się stało – zauważyła Petra. – Zdecydowanie coś się stało.
- Nie wiedziałem o tym, pani detektyw.
- Niech mi pan o tym opowie, Robercie.

– Wszedłem tak, jak mi kazał Blaise, zatrzymałem się i zacząłem nasłuchiwać, upewniłem się, że nie ma żadnych problemów.

– Blaise miał powód przypuszczać, że mogą być jakieś problemy.

Długa cisza.

– Lester zadzwonił do Blaise’a, żeby przyjechał, powiedział, że Blaise ma kłopoty.

– Jakie kłopoty?

– Nie wiem, ale Blaise’a to rozzłościło. – Fisk uciekł spojrzeniem w lewo. Petra nie naciskała. Niepotrzebna presja mogła spowodować prośbę o prawnika, której tak się bali. Mary Whitbread już została wypuszczona bez stawiania zarzutów, prokurator uznał, że można ją oskarżyć co najwyżej o utrudnianie działania wymiaru sprawiedliwości, a i to wątpliwe.

– A więc wszedł pan i słuchał – rzekła Petra. – Co potem?

– Było cicho – powiedział Fisk. – Uznałem, że nic się nie dzieje. Blaise mówi: „Jestem w sraczu, Robert”. Idę tam, drzwi są otwarte, Blaise stoi obok Lestera, Lester siedzi na kiblu, szpryca, łyżeczka i reszta sprzętu leżą na umywalce, jest załatwiony, totalnie naćpany.

– Towarem, który przyniósł mu Blaise.

– Chyba tak.

– Co potem?

– Blaise się śmieje tym swoim wariackim, ptasim śmiechem, klepie Lestera w policzek, Lester się nie budzi. Blaise klepie go mocniej, znów się śmieje, mówi: „Dałem mu nuklearną dawkę, wymiękł zupełnie, mogę z nim zrobić, co chcę”.

– Co chcę – powtórzyła Petra.

– Nie wiedziałem, że chodzi mu o to – przyznał Fisk.

– A o co?

Znów uciekł spojrzeniem w lewo.

– Właściwie powiedział coś innego.

Petra czekała.

– To trochę obrzydliwe – uprzedził Fisk.

– Jakoś wytrzymam, panie Robercie. Co Blaise powiedział?

– „Mógłbym mu wsadzić fiuta do gęby i by się nie zorientował”.

– Mówił tak o swoim ojcu?

– Ostrzegałem, że to obrzydliwe. Nie byli jak ojciec i syn. Raczej jak...

Blaise sprzedaje mu towar, nienawidzi go. Blaise wszystkich nienawidzi.

Jest szalony.

– Ta uwaga – powiedział Raul. – Jest gejem?

– Nie wiem.

– Zadawał się pan z nim przez wiele miesięcy.

– Nigdy nie widziałem go z mężczyzną – wyjaśnił Fisk. – Ani z kobietą. Najbardziej lubi patrzeć i... nie chcę przy pani opowiadać o takich obrzydliwościach, pani detektyw Connor.

– Miło mi, panie Robercie, ale wszystko, co może nam pan powiedzieć, bardzo nam pomoże.

– Lubi patrzeć i się dotykać. Jakby jedyną osobą, która go kręci, był on sam. Zrobił to tamtej nocy.

– W łazience?

– Tak – powiedział Fisk. – Śmiał się, że Lester był wyłączony, i zaczął się dotykać.

– Lester wtedy jeszcze żył.

– Ale był wyłączony.

– Blaise’a podniecało onanizowanie się przy ojcu.

– Wariat – stwierdził Fisk.

– Co było potem?

– Potem Blaise powiedział, żebym poszedł do kuchni i przyniósł mu colę. Wziąłem puszkę i wróciłem. W tym czasie Blaise zarzucił Lesterowi na szyję sznurek i go udusił.

– Jak długo pana nie było?

– Wystarczająco długo.

– Czy mógłby pan wyrażać się nieco konkretniej?

– Hm – powiedział Fisk. – Może kilka minut.

– Wrócił pan, a Lester nie żył.

– Aha.

– Sprawdził pan, czy nie żył?

– Wyglądał na nieżywego.

– Nie próbował go pan reanimować?

– Blaise powiedział, że nie żyje, wyglądał na nieżywego. Nie chciałem go dotykać. Blaise śmiał się z tego, wyszliśmy przez okno z tyłu.

– Jak się pan czuł, kiedy pan to zobaczył, Robercie?

– Źle – odparł Fisk bez emocji. – Byłem chyba zaskoczony. – Gwałtowna ucieczka wzrokiem. – Blaise nie mówił mi, że zamierza to zrobić.

– Dlaczego Blaise zamordował Lestera Jordana?

– Bo go nienawidził – rzekł Fisk. – On wszystkich nienawidzi.

– Co pan zrobił z puszką coli?

– Dałem ją Blaise’owi.



– Co on z nią zrobił?

– Wypił.

– A potem?

– Słucham?

– Czy zabrał puszkę ze sobą?

– Ja... nie, chyba nie.

– Nie znaleźliśmy żadnej coli w mieszkaniu – skłamała gładko Petra.

Kuchnia Jordana była składowiskiem pudełek po pizzy, butelek i puszek.

– A więc może ją zabrał, nie pamiętam – oświadczył Fisk.

Petra zanotowała coś w notesie.

– Pojechał pan z Blaise'em jako wsparcie moralne, bo on bał się jakichś kłopotów z Lesterem. Pete zaczekał, aż Lester dał sobie w żyłę, kazał przynieść panu coś do picia, a kiedy pan wrócił, Lester już nie żył.

– Tak.

Petra spojrzała na Raula. Raul wzruszył ramionami.

– Tak było – potwierdził Fisk.

– Problem w tym, Robercie, że mówimy tu o wielokrotnych zabójstwach, a pan jest facetem, który zostawił odciski palców na miejscu jednego z nich – powiedziała Petra.

– Wielokrotnych?

– Moses Grant.

Fisk zacisnął zęby.

– To... nie byłem ja.

Zgarbił się, wyprostował.

– Dlaczego Moses zginął, Robercie?

– O rany – westchnął Fisk. – Mogę prosić o sok? Najlepiej jabłkowy,

ale może być i pomarańczowy, jeśli macie, może być z mięszem.

– W automatach mamy tylko napoje gazowane i snapple.

– W takim razie dziękuję.

– Robercie – powiedziała Petra – jeśli chce pan sok bambusowo-kokosowo-pagopago, pewnie możemy go zdobyć. Ale jeśli chce pan odświeżyć swoją duszę, musi pan być całkowicie szczery.

Fisk chwilę się nad tym zastanawiał.

– Nigdy nikogo nie zabiłem. Niech pani zapisze, że w pełni współpracuję.

Mówił cicho, kręcił dłońmi i drapał paznokciami stół.

– Pan mówi, ale nie jestem pewna, czy coś pan nam przekazuje. – Do Raula: – Co pan o tym sądzi, detektywie Biro?

– Myślę, że opowiada nam niezłą bajeczkę.

– Byłby z tego niezły film.

– Z gwiazdorską obsadą.

– Mówię prawdę – upierał się Robert Fisk.

Detektywi nie przytaknęli ani nie zaprzeczyli.

– Dobrze – rzucił Fisk, błyskając ostrymi zębami. – Dajcie mi soku jabłkowo-guawowego, to wszystko wam powiem. I batonik PowerBar.

Pozostawienie podejrzanych samych czasem skutkuje najlepszymi informacjami. Ludzie, którzy zapominają, że są nagrywani, albo są zbyt głupi, żeby w ogóle o tym pomyśleć, mówią do siebie, zdradzają niepokój, który udało im się ukryć podczas przesłuchania. Detektywi zostawiają im czasem komórki i podsłuchują rozmowy. Motorola opłacana przez Mary Whitbread leżała na stole.

Przez pół godziny, które Robert Fisk przesiedział sam, ani razu jej nie dotknął. Po pięciu minutach zamknął oczy i zasnął.

Raul Biro wrócił ze sklepu całodobowego, zerknął za szybę.

– Jakiś jogin.

– Bezsenność wymaga sumienia – powiedziała Petra.

Ona, Milo i ja omawialiśmy historię Fiska. Jednogłośnie wniosek: jego siła i napastliwa natura świadczyły o tym, że udusił Lestera Jordana na rozkaz Blaise'a De Paine'a, prawdopodobnie zabił również Mosea Granta. Reszta to zwykłe wykręty kryminalisty.

Niezbyt zręczne; zdradził dość, by można go było oskarżyć o tuzin przestępstw.

Kiedy Petra i Raul weszli do pokoju, Fisk wyprostował się, wziął sok i batonik. Podziękował obojgu, używając nazwisk i stopni, napił się, zjadł, złożył opakowanie w równy mały kwadracik.

– Teraz lepiej, panie Robercie? – spytała Petra.

– Tak, dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Dlaczego udusił pan Lestera Jordana?

– Nie ja, on.

– Peterson Whitbread.

– Dla mnie to był zawsze Blaise.

– Jak mówi na niego matka?

Fisk się uśmiechnął.

– Najczęściej „ty gnoju”.

– Tata go bije, a mama nie kocha – zauważył Raul Biro.

– Od samego początku był dla niej kłopotem – powiedział Fisk. – Tak

go poznałem, chciała, żebym go niańczył.

– Mary płaciła, żeby pilnował pan Blaise’a? – spytała Petra.

– Tak.

– Ile?

– Setka tu, setka tam.

– Gotówką?

– Tak.

– Jak poznał pan Mary?

Fisk wzruszył ramionami.

– Ćwiczyłem pięć razy w tygodniu w Stalowni przy Santa Monica i La Cienega. Faceci opowiadali tam bez przerwy, ile pieniędzy zarabiają, grając w filmach dla dorosłych. Reżyserzy lubią facetów z niezłymi ciałami.

Pogładził własne przedramię.

– Filmy dla dorosłych – powtórzyła Petra.

Fisk kiwnął głową.

– Akurat byłem między kursami, jakiś facet na siłowni powiedział, że w Valley robią przesłuchanie, pomyślałem, czemu nie? Mary tam była.

– Mary też brała udział w przesłuchaniu?

– Nie, Mary je organizowała. Z jakimiś innymi ludźmi.

Petra zajrzała do notatek.

– Czy ta wytwórnia nazywała się Ostre i Prawdziwe?

– Tak.

– Między jakimi kursami akurat pan był?

– Uczyłem jogi, aerobiku, tae kwon do, kendo, jawajskiej włości, judo, co pani chce. Moim celem jest zostać koordynatorem walk.

- Kretyn wciąż mówi o sobie w czasie teraźniejszym – zauważył Milo.
- Koordynatorem walk w filmach? – spytała Petra.
- Walki nie zdarzają się ot tak – wyjaśnił Fisk. – Trzeba je ustawić.
- Choreografia.
- Tak jakby.
- A więc – kontynuowała Petra – był pan na przesłuchaniu u Mary.

Dostał pan rolę?

Spod kołnierza Fiska na jego płaskie, nieruchome policzki wypełził rumieniec.

- Rozmyśliłem się.
- Filmy dla dorosłych nie były dla pana.
- Raczej nie.
- Ale zaczął się pan spotykać z Mary – powiedziała Petra.
- Zaczęło się od szkolenia – uściślił Fisk. – Namówiłem ją na zaawansowany stretching, lekkie ciężarki, równowagę i sylwetkę. O serce dbała już na automatycznej bieżni. Jest w świetnej formie jak na czterdzieści siedem lat.

Według danych z prawa jazdy Mary Whitbread miała pięćdziesiąt trzy.

– To bardzo atrakcyjna kobieta – przyznała Petra. – A więc rozwinął się między wami związek seksualny.

- Niezupełnie – zaprotestował Fisk.
- Robercie, znaleźliśmy was w łóżku.
- Był seks, ale nie chodziło tylko o to.
- A o co?
- O intymność. Przyjaźń.
- Ale w tym zawierał się związek seksualny.

- To zależy, co się nazywa związkiem.
- Ten facet – mruknął Milo – powinien startować na prezydenta.
- Według nas oznacza to, że ją posuwałeś – rzucił Raul Biro.

Długie milczenie.

- Zdarzało się. Od czasu do czasu.

Biro pochylił się do przodu.

- Wstydzisz się tego z jakiegoś powodu, stary?

- Nie, ona... nie, nie przeszkadza mi to.

- Co? – naciskał Biro.

Fisk nie odpowiedział.

- Coś w tej dziedzinie szwankuje?

- Nie, nie, nic takiego – kręcił Fisk. – Jest starsza, to wszystko.

- Hej – rzekła Petra – wiek to kwestia umowna.

- To właśnie mi powiedziała.

– Zaczął was łączyć intymny związek i przyszedł pan dziś wieczorem się z nią zobaczyć.

– Nie widzieliśmy się od jakiegoś czasu, powiedziała, że robi wegańską kolację, tempeh i tofu. To ja ją wprowadziłem w weganizm, czasami chodziliśmy do Real Food Daily, wegetariańskiej restauracji.

- Ach, pułapki tragicznej miłości – powiedział Milo.

- Mary kazała się panu trzymać Blaise'a, żeby... – spytała Petra.

- Żeby nie zrobił czegoś głupiego.

– Nie martwiła się prochami, prawda, Robercie? Bała się czegoś naprawdę złego. Wiedziała o innych zbrodniach, które popełnił Blaise.

Cisza.

- Robercie, przynieśliśmy panu sok i PowerBara, kupiliśmy nawet

kilka butelek ekstra, stoją na zewnątrz na wypadek, gdyby znów zachciało się panu pić. Ale pan też musi dotrzymać umowy. Nie zapominajmy: to pana odciski palców były na parapecie Lestera Jordana. Jeśli Blaise powie nam co innego, to będzie jego słowo przeciwko pańskiemu i będziemy musieli kierować się dowodami rzeczowymi. Ale gdybyśmy wiedzieli, że Blaise dopuszczał się już przemocy, to by wszystko zmieniło.

– Chciałbym o coś zapytać – powiedział Fisk. – Znów teoretycznie.

– Proszę bardzo.

– Wiedzieć o czymś to nie przestępstwo, prawda?

– Nie, jeżeli nie miało się z przestępstwem nic wspólnego.

– Ten odcisk palca, pani detektyw Connor, mógł się tam znaleźć z różnych powodów. Może przechodziłem tamtędy innym razem i dotknąłem parapetu. Może Blaise zdobył odcisk mojego palca i go tam umieścił. A może ktoś się pomylił, tak bywa, prawda?

Petra się uśmiechnęła.

– Wszystko jest możliwe, panie Robercie. Ale nawet kiepskie dowody są lepsze niż żadne.

– Mogę opowiedzieć wam o ważniejszych rzeczach niż to, co się stało z Lesterem – zaproponował Fisk. – Ale wiem tylko tyle, ile powiedział Blaise. Mnie przy tym nie było.

– O jakich ważniejszych rzeczach?

– Mary też wiedziała. Macie rację, dlatego mnie zatrudniła.

– Intymność kończy się tam, gdzie i wszystkie inne pierdoły – zauważył Milo.

– Będziemy wdzięczni za wszystko, co pan powie, żeby pomóc nam i sobie – zapewniła Petra.

Fisk odetchnął przez zęby. Popatrzył na pusty papierowy kubek, który opróżnił pięć razy.

– Znow chce mi się pić.

Petra odchyliła się, założyła nogę na nogę.

– Detektyw Connor, wiem tylko tyle, ile powiedziała mi Mary. Powiedziała, że Blaise zabił jakichś gości za narkotyki, próbowali go oszukać, bo był młody, miał piętnaście, szesnaście lat. Myśleli, że będzie się za bardzo bał, żeby się stawiać, więc ich zastrzelili.

– Nazwiska?

– Powiedziała, że jeden był kumplem Lestera i Lesterowi się to nie podobało, sprząby Blaise'a, ale bał się, że Blaise też go zastrzeli.

– Paru anonimowych ćpunów – rzekł Raul.

– Nie znam nazwisk. Mówiła też, że zabił jakieś dziewczyny – powiedział Fisk. – Dwie, mieszkały nad nimi. Mary wiedziała, że Blaise to zrobił, prawdopodobnie z jakimś gościem, z którym się zadawał, ale nie umiała tego udowodnić.

– Jeszcze jeden anonimowy koleżka – odezwała się Petra.

– Jakiś amfiarz – wyjaśnił Fisk. – Sprzedawał Blaise'owi towar, a Blaise dawał mu spida.

– Dlaczego Mary uważała, że byli w to zamieszani?

– Którejś nocy ten facet przyjechał furgonetką, bardzo późno, pakował jakieś rzeczy z Pete'em.

– Rzeczy – zainteresowała się Petra.

– Worki na śmieci. Mary myślała, że to może ciała, bała się – wyjaśnił Fisk.

– Ale nie powiedziała nikomu oprócz pana.



– Bała się – powtórzył.

– Gdzie jest ten kumpel Blaise’a?

– Nie żyje, przedawkował. Na ich ulicy. Mary uznała, że przyszedł po działkę do Blaise’a, strzelił w żyłę i padł.

– Kolejny anonimowy narkoman gryzie piach – powiedział Raul.

Fisk poruszył się na krześle.

– Nie chcecie usłyszeć o tych dziewczynach?

– Pewnie – przyznała Petra – czemu nie.

– Aktorki – rzucił Fisk. – W filmach dla dorosłych.

– Dlaczego Blaise je zabił?

– Bo jest wariatem.

Petra zapisała coś w notesie.

– Bezimienni narkomani, bezimienne aktoreczki porno, bezimienny amfetaminiarz. Niezła lista. – Podniosła wzrok. – Coś jeszcze?

– To wszystko, o czym wiem... słyszałem.

– Ile lat temu te dziewczyny zostały podobno zabite?

– Na długo, zanim poznałem Mary. Dziesięć, piętnaście lat, nie wiem.

– Mary nigdy nikomu nie powiedziała.

– Ona się go boi – powtórzył Fisk. – Podglądał te dziewczyny i walił konia. Przyłapała go w garażu. Zamiast przeprosić, powiedział, że jak nie przestanie go śledzić, zrobi jej krzywdę.

– Groził swojej mamie, pana intymnej przyjaciółce – oburzyła się Petra.

– A pan i tak się z nim zadaje?

– Do mnie ma szacunek.

– Ten facet ma martwicę mózgu – stwierdził Milo.

– Fajnie musiało być kolegować się z kimś takim – zauważyła Petra.

– Nie, proszę pani, nie było fajnie.

– Blaise opowiadał panu kiedyś wprost o którymś z tych rzekomych morderstw?

– Nigdy – odparł Fisk, zbyt pospiesznie. – Chwalił się innymi rzeczami. Że jest poważnym producentem muzycznym.

– Mary wiedziała, że dawno temu zamordował dwie dziewczyny – ciągnęła Petra – i czekała tyle lat, by zatrudnić pana, żeby miał pan na niego oko? Dlaczego, jeśli nie wiedziała o innych morderstwach, które także popełnił?

Fisk nie odpowiedział.

– Robercie, co jeszcze zrobił Blaise De Paine?

– Nigdy nic nie widziałem ani nie słyszałem. Przysięgam.

– Dobrze, porozmawiajmy o Mosesie Grancie.

– Mogę dostać jeszcze soku?

– Najpierw niech nam pan opowie o Grancie.

– Tamtej nocy, kiedy Blaise zabił Lestera, Mosey prowadził, a potem czekał na ulicy w samochodzie. Blaise kazał mu zaparkować za rogiem.

– Hummera.

Kiwnięcie głową.

– Blaise wraca, wsiada, chwali się Moseyowi, co właśnie zrobił. Mosey myśli, że Blaise żartuje. Blaise wrzeszczy: „Ja nie żartuję, dupku!”

Mosey patrzy na mnie, sądząc, że on się zgrywa. Ja nie odpowiadam. Moseyowi zaczynają się trząść ręce, rusza, przejeżdża przez znak stopu, prawie zderzamy się z innym samochodem. Blaise wrzeszczy: „Uważaj, dupku, jak jedziesz”. Mosey się uspokaja, ale potem jest już inny. – Jak to?

- Zerka kątem oka, mało je, kiepsko śpi.
- Mimo to dalej trzymał się z panem i Blaise'em.
- Myślał, że Blaise pozna go z Pufrym, Dr Drem, Russellem

Simmonsem.

- Blaise miał takie kontakty?
- Mosey wierzył, że tak.
- Blaise prowadził go jak na sznurku – powiedziała Petra.

Kiwnięcie głową.

– Żeby Mosey go woził i robił dla niego różne rzeczy, a Blaise nie musiał mu płacić.

– Blaise'owi podobało się, że czarny jest jego niewolnikiem, odbierz moje koszule z pralni, gościu, kup mi to, kup mi tamto, gościu. Wszyscy myśleli, że Mosey to jego ochroniarz, ale on był miękki.

- Pan był ochroniarzem.
- Opiekowałem się Blaise'em dla Mary.
- Świetnie się spisałeś, baranie – rzucił Milo.
- Blaise chciał mieć świtę – powiedział Biro.
- Tak, proszę pana.
- Kim byli pozostali członkowie?

– To wszyscy.

– Pan i Moses.

Kiwnięcie głową.

- Dlaczego Blaise zmniejszył swoją świtę, zabijając Moseya?
- Mosey powtarzał, że wszystko jest okej, ale widać było, że kłamie.
- Blaise uznał, że może chlapnąć o Lesterze – podsunęła Petra.
- Gość był miękki.

– Dlaczego Blaise zabił Lestera?

– Lester zadzwonił do Blaise’a, powiedział, że interesujecie się dziewczynami, innymi dawnymi rzeczami, które Blaise zrobił, że powinien wyjechać z miasta. Blaise odparł, że jebać to, jest prostszy sposób.

– Właśnie się przyznał, że wiedział, że Blaise zamierzał zabić Lestera – zauważyłem.

Uśmiech Mila rozświetlił pokój obserwacyjny.

– Dzięki Ci, Panie, za głupich kryminalistów.

– A więc tak działa Blaise – powiedziała Petra. – Zabija ludzi, żeby ich uciszyć.

– Tak. – Głośne i zdecydowane. – A dziewczyny?

– Po prostu ich nienawidził – stwierdził Fisk. – Tak myślę.

– Nigdy o tym nie mówił?

– Nie, Mary mi powiedziała.

– Dobrze, Robercie, jest dobrze, jesteśmy wdzięczni za pana współpracę. Cofnijmy się na chwilę do Mosesa Granta. Jak i gdzie zginął?

– To był ten budynek, w którym mieszkaliśmy, kiedyś warsztat samochodowy czy coś, potem klub, wreszcie opustoszał. Jak, nie widziałem. Blaise wysłał mnie po jedzenie, pojechałem na Grand Central Market, to wielkie targowisko, gdzie Meksykanie mają tanio.

Szybkie zerknięcie na Bira.

– Kupił pan ręcznie zwijane *tamales*? – spytał Biro.

– Kupiłem jakieś gówno dla nich dwóch, świeże warzywa dla siebie – odparł Fisk. – Lubię fasolki edamame. Wracam, Mosey leży, Blaise bawi się swoim Pro Toolsem, robi jakiś miks, jakby nic się nie stało. Pytam, co

jest grane, Blaise mówi, że podrzucił Mosesowi do mleka rohypnol. Moses pił dużo mleka, lubił masło, ser, w ogóle nabiał. Tyle tłuszczu, dlatego tak wyglądał.

Dłońmi pokazał wydatny brzuch i się skrzywił.

– Jak Blaise zabił Mosesa? – spytała Petra.

– Zastrzelił go.

– Z czego?

– Z tej dwudziestkidwójki, którą nosi. Ma inne rzeczy, ale nosi ją.

– Jakie inne rzeczy?

– Strzelbę, czterdziestkęczwórkę, sporo noży. Dwudziestkadwójka mieści mu się w kieszeni.

– Jaka marka?

– Tania broń, czeska, rumuńska czy coś takiego. Nazywają swoją najlepszą przyjaciółką kupił ją na ulicy, kiedy zaczął handlować prochami w wieku trzynastu lat. Z niej zabił tamtych narkomanów.

– Tych bezimiennych.

– Nazywał ich prochowymi trupami.

– A więc wrócił pan z targu i znalazł Moseya martwego. To by był drugi raz, kiedy trafił pan na jedną z paskudnych scen Blaise'a, ale dalej się go pan trzymał.

– Byłem tym sfrustrowany – tłumaczył Fisk. – To właśnie robiłem dzisiaj u Mary. Przyszedłem powiedzieć jej, że mam dość.

– Zamiast tego poszliście do łóżka.

– Tak z nami bywa – przyznał Fisk. – Jest między nami chemia.

– A więc planował pan...

– Wydać wam Blaise'a. Jeśli chcecie go zwinąć, jedźcie do Mount

Washington, 13466 Hillside View, tam jest ten dom, w którym nocuje.

– On?

– On go znalazł. Ja zamierzałem jutro się wynieść.

Petra zapisała adres, wyszła.

Milo dzwonił już po SWAT. Kiedy wzywał grupę uderzeniową, Petra wróciła do Fiska, nie usiadła, popatrzyła na niego z góry.

– Dom należy do Mary?

– Nie, do jakiegoś didżeja, ma maszynę karaoke, Blaise poznał go w klubie.

– Nazwisko?

– Poczta przychodzi do Perry'ego Moore'a.

– Gdzie jest?

– Wyjechał – oznajmił Fisk. – Gra na jakimś statku rejsowym, tak powiedział Blaise.

– Czy pan Moore wie, że mieszkacie w jego domu?

Uciekł wzrokiem.

– Według Blaise'a.

– Blaise ma klucz?

– Powiedział, że zgubił.

– Jak weszliście do środka?

Fisk poruszył się na krześle.

– Wybił szybę.

– A kiedy on ją wybił, pan wszedł.

– Powiedział, że możemy.

Fisk szczęknął zębami. Zaczął kołysać nogą.

– Coś pana niepokoi, Robercie?

– Wciąż chce mi się pić – wyjaśnił. – Mogę dostać już ten sok? I  
adwokata?

Ciężka stopa Petry i puste o drugiej w nocy ulice pozwoliły szybko pokonać odległość z Hollywood do Mount Washington.

Kryjówką Blaise'a De Paine'a był mały, szary drewniany domek na końcu krótkiej, bocznej uliczki, tuż przy przelotówce z Chinatown, gdzie został porzucony Moses Grant. Cały kwartał blokowały samochody jednostki SWAT. Na tej wysokości przez opar mgły i sosny ładnie widać było czarne, adamaszkowe niebo.

W otwartych drzwiach garażu stał potężny hummer. W domu cztery niechlujne pokoiki były wypełnione przez ubrania, jedzenie i smród niedomytego ciała, ale ani śladu De Paine'a.

Drugi oddział SWAT był spokojniejszy niż faceci, którzy zwinęli Piska, wszyscy czuli się zawiedzeni, że nie mogli rozładować w akcji narastającego napięcia. Operacją dowodził zastępca dowódcy, krępy, krzywonogi i łysy mężczyzna nazwiskiem Lionel Harger, z czołem pooranym mięsistymi niczym parówki bruzdami i wielokrotnie złamanym nosem, którym węszył jak pies.

Wypadł z domu, zeskoczył z ganku, stanął przed Petrą i skrzyżował ramiona na gołębiej piersi.

– Dwóch jednej nocy? Powinniśmy wam liczyć, biurwy, od godziny.

– Cieszcie się, że nie płacimy wam od podejrzanego – powiedział Milo.

Broda Hagera skoczyła, jakby ktoś go szturchnął.

– To pan jest tym tak zwanym asem z West LA, który robi wszystko... po swojemu. – Krzywy uśmiech przy ostatnich słowach.



– To lepsze niż zebrania administracyjne i inne przypadkowe pierdoły – odparł Milo i wyprostował się na całą swoją wysokość.

Harger wytrzeszczył oczy, napiął mięśnie szyi.

– Proszę się skupić na swoich osiągnięciach, poruczniku, a komedię zostawić Robinowi Williamsowi.

Odmaszerował, zaczął zbierać swoich ludzi. Technicy policyjni roili się po całym terenie jak mrówki na piknikowym kocu, oglądając hummera, oświetlając latarkami plamy oleju na podjeździe, szukając śladów opon. Pięcioletniej mazdy miata zarejestrowanej na Perry’ego Moore’a nigdzie nie było. Petra pięć minut temu zgłosiła ją jako poszukiwaną.

Lionel Harger pomaszerował do opancerzonego forda expedition, zatrzymał się, żeby popatrzeć wilkiem, wsiadł i odjechał z rykiem.

– Zdobywanie przyjaciół i wpływanie na ludzi, oto porucznik Sturgis – powiedziała Petra.

– Ten palant tego nie pamięta – oznajmił Milo – ale był rok wyżej ode mnie w akademii. Różne podstępne indywidua podrzucały mi do szafki nienawistne drukowane wiadomości. Na Lionela zawsze można było liczyć, że zachichocze, przechodząc zupełnie przypadkiem obok, kiedy znajdowałem jakiś skarb.

Tym razem to on się odwrócił i odmaszerował w stronę domu, schylając się pod żółtą taśmą.

– Wszyscy padają z braku snu – powiedziała Petra, ale oczy miała szeroko otwarte i żywe. – Blaise to fartowny mały potworek, ciągle się nam wyślizguje.

– Kiedy Fisk się do niego nie odezwał, pewnie zrobił się nerwowy – rzekłem.

– Domyślasz się, gdzie mógł pojechać?

Pokręciłem głową.

– Dzwoniłeś do Tanyi? – spytała.

– Zostawiłem wiadomości na komórce jej i Kyle’a.

– O tej porze pewnie chrapią. Chociaż kiedy ja byłam na studiach, pamiętam, że trzecia w nocy to było popołudnie. Spróbujesz jeszcze raz?

Spróbowałem. Z tym samym rezultatem.

– Przynajmniej w rezydencji jest dobry system alarmowy – pocieszała Petra.

Zapisała jej komórka. Raul Biro informował, że Robert Fisk został zabrany do aresztu okręgowego. Petra wprowadziła go w sytuację, odwróciła się z powrotem do mnie.

– W końcu dopadniemy Blaise’a. Dopóki to się nie stanie, Tanya powinna wziąć urlop dziekański i wyjechać gdzieś daleko.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, z domu wyszedł wysoki, wąsaty technik, pokazując Petrze pogniecioną, czerwoną aksamitną kurtkę z haftowanym na złoto kołnierzem. W środku metka „Hollywood Elita, szycie na miarę”, adres w kiepskiej okolicy na wschodnim końcu Bouleyard, nad nią monogram BDP.

– Nasz chłopak – powiedziała.

– Elegant – rzucił technik. – Jeśli tak się ubiera, to kto wie, może nawet go znajdziecie.

Petra pokazała palcem.

– Idź kopać, krecie. – Technik zaśmiał się i wrócił do domu. – Myślisz, że przekonasz tę małą, żeby wyjechała z miasta, dopóki nie znajdziemy Blaise’a?

– Nie ma dokąd – odparłem.

– Żadnej rodziny?

– O żadnej mi nie wiadomo.

– Może wymyślimy jakiś plan... popatrz tylko, kto wraca różnym krokiem.

Milo zrobił kilka długich kroków, pomachał, żebyśmy podeszli. Podeszliśmy.

– Z tyłu – powiedział.

Jeden z techników zauważył poruszoną ziemię na końcu skromnego podwórka, wyglądającą na niedawny wykop w cieniu żywopłotu z jaśminowca. Nie licząc tego żywopłotu, cały teren był właściwie łachą suchej ziemi – ogrodnictwo nie było najwyraźniej pasją Perry'ego Moore'a.

Kopanie rękami chwilę trwało, kilka par dłoni odgrzebywało ziemię centymetr po centymetrze.

O trzeciej czterdzieści siedem rano śledczy biura koronera, Judy Sheinblum, natrafiła na coś miękkiego pół metra pod powierzchnią. Minutę później spojrzała w twarz owiniętą w przezroczystą folię.

Mężczyzna, typ kaukaski, trzydzieści parę lat, ciemne włosy, pomarańczowy kosmyk pod dolną wargą. Czarnozielony śluz wokół ust i oczodołów – pierwsze oznaki rozkładu. Kondensacja płynu na folii, ale żadnych robaków; folia była przemysłowa, mocna, związana sznurkiem od zasłon. Chłodne, suche noce spowolniły gnicie.

Wszyscy z Mission Road zgadzali się, że minęło kilka dni, nie tygodni.

Dalsze przeszukanie domu ujawniło tani, niebieski, nylonowy portfel

pod stosem brudnej bielizny. Zdjęcie na nieważnym prawie jazdy Perry'ego Moore'a przedstawiało twarz trupa. Pięć lat temu jego włosy i bródka były rude jak zupa pomidorowa.

Ciało wykopano, zbadano. Wgłębienie po lewej stronie czoła Moore'a wyglądało jak rana po tępym narzędziu. Potem dziura na jego potylicy zadała temu kłam.

– Kula wciąż jest w środku – stwierdziła Judy Sheinblum. – Nie ma rany wylotowej, bo za mała siła.

– Dwudziestkadwójka – rzekł Milo.

– Na to bym stawiała.

Sheinblum wróciła do zwłok.

Pozostali technicy zaczęli szukać innych śladów, nic jednak nie znaleźli. Petra mimo to zamówiła psa do poszukiwań, dowiedziała się, że musi poczekać dwa dni.

Wróciliśmy do jej samochodu. Oparła się o drzwi i ziewnęła.

– Blaise robi się nieostrożny. Pochował Moore'a w płytkim grobie, zostawił jego i swoje rzeczy.

– Nie spodziewał się, że zostanie znaleziony – podsunąłem.

– Fisk go wkopał – powiedział Milo. – Skoro o tym mowa, Fisk musiał wiedzieć o Moorze, ale nas tu skierował.

– Pewnie doszedł do wniosku, że to tylko kwestia czasu, a jeśli pójdzie nam na rękę, będzie łagodniej potraktowany.

– Karmiłam to złudzenie – wyjawiała Petra. – Cały czas, kiedy tańczyliśmy dookoła morderstwa, udawałam, że kupuję jego pieprzenie, żeby się nie schował za prawnikiem. A potem jeszcze raz wróciłam do

włamania, a on skończył rozmowę.

– Dureń skupia się na drobiazgach – zauważył Milo. – Wie, że go szukamy, ale mimo to odwiedza Mary na szybkie ruchanko i wchodzi prosto w pułapkę.

– Dzięki Bogu za kryminalistów z uszkodzeniem mózgu, co? Może Blaise też da ciała, skoro nie ma już świty. Teraz idę spać. – Otworzyła drzwi samochodu, potarła oczy. Zapatrzyła się na coś nad moim ramieniem.

Perry Moore, w oficjalnym worku krypty, był właśnie przewożony do furgonetki. W worku takim samym jak ten, w którym go pochowano.

– Zabiję cię, żeby zabrać ci dom – rzekła Petra.

– Okolica, okolica, okolica – odparł Milo.

Zabrałem seville'a z posterunku Hollywood i pojechałem do domu z Milem śpiącym na fotelu pasażera.

Przy Wilton i Melrose odezwał się, nie otwierając oczu.

– Jaka jest szansa, że Blaise odstawi wariata i pojedzie do Tanyi, zamiast zachować się rozsądnie i zniknąć?

– Nie wiem.

– Nie ma żadnego logicznego powodu, żeby się jej pozbywał dla ukrycia starych zbrodni. Ciało Perry'ego Moore'a wystarczy, żeby dostał dożywocie. Musi wiedzieć, że albo Fisk został złapany, albo postanowił go wsypać. Tak czy inaczej, wie, że Fisk może zacząć mówić o Lesterze i Mosesie Grancie, dorzucając jeszcze kilka wyroków dożywocia, a nawet igłę.

– Gdybym chciał ci poprawić humor, powiedziałbym Jasne” – odparłem. – Ale ukrywanie przeszłości to tylko drobna część tego, co on robi. Zabijał ludzi, zanim jeszcze zaczął się golić, i uchodziło mu to na sucho. Zawsze chodziło tylko o dreszcz podniecenia.

Milo chrząknął, odwrócił się do okna, zapadł w autentyczny sen, oddychając ustami.

Pięć minut potem poderwał się, trąc oczy.

– Musisz poważnie porozmawiać z Tanya, Alex. Kyle do niczego się nie przyda w poważnej konfrontacji. Dopóki Blaise nie będzie aresztowany, ona musi gdzieś pojechać.

– To samo powiedziała Petra.

– Wielkie umysły i tak dalej. Kiedy chcesz to zrobić?

– Jutro rano.

– Wpadnijmy do rezydencji rano, zanim oboje pojedą do szkoły, powiedzmy o siódmej.

– Dobrze – zgodziłem się. – Może ty powinienes trochę ich nastraszyć.

– Dlaczego ja?

– To bardziej twoja działka niż moja.

– W porządku – powiedział. – Niech ja będę tym złym, i tak już na takiego wyglądam. – Znow zmieniał pozycję, poklepał się po kieszeni. – Cholerstwo ma ustawione wibracje – mruknął – czuję się, jakby mi tam buszowała fretka. – Wyciągnął telefon. – Sturgis... – warknął. – O, cześć... co... to wszystko, co wiesz? Dobrze, jasne, jasne, i tak jesteśmy niedaleko. – Rozłączył się. – To był Biro, on chyba nie potrzebuje jedzenia, snu ani żadnego innego ludzkiego pokrzepienia. Monitorował wezwania, właśnie przyszło jedno z Hudson Avenue. Chyba od razu pojedziemy do rezydencji.

– Zabieraj łapy, brudasie! – wrzasnęła Iona Bedard, pijana, ze szklistymi oczami, w obcisłym kostiumie od Prady w kolorze oliwionego metalu, i wykręciła się jak korkociąg.

Funkcjonariusz zaglądający do radiowozu był białym mężczyzną o nazwisku Kenney, potężnym, muskularnym i rozbawionym. Jego partnerka, czarnoskóra kobieta Doultton, stała na schodach rezydencji i słuchała, jak detektyw Raul Biro rozmawiał z America. Gospoia miała na sobie długi, różowy szlafrok, co chwila mocniej ściagała pasek i pokazywała radiowóz, w którym siedziała Iona.

W kilku sąsiednich domach zamigotały bursztynowe światełka, ale większość Hudson Avenue pozostawała ciemna i cicha, nie licząc odgłosów gniewu Iony.

Dużo świateł paliło się w posiadłości Bedardów. Zielony Bentley stał na swoim miejscu na podjeździe. Białego Mercedesa ani śladu.

– Ty chamie!

Iona siedziała oklapnięta na tylnym siedzeniu radiowozu, z rękami skutymi wspaniałomyślnie z przodu. Włosy miała sterczące i rozczochrane, rozmazany tasz do rzęs upodabniał ją do kiepskiego obrazu smutnego clowna. Chude nogi rozrzuciła na boki, odsłaniając półksiężyc czarnych majtek pod rajstopami.

Gorzałą wyczułem od niej z odległości metra.

Iona zabębniła w fotel skutymi pięściami.

– Wypuście mnie, wypuście mnie!

– Została pani aresztowana za zakłócanie porządku – powiedział funkcjonariusz Kenney. – Proszę się uspokoić, zanim wpakuje się pani w większe kłopoty.

Iona wypchnęła dolną szczękę.

– To mój, kurwa, dom, a ty jesteś, kurwa, pracownikiem publicznym! Rozkazuję ci mnie wypuścić!

„Proszę pani...” Kenneya zostało przerwane stekiem wyzwisk. Zatrzasnął drzwi radiowozu.

Rozległo się ratatat, a okno samochodu zadygotało, Iona położyła się na plecach, zadarła nogi i zaczęła kopać w szybę pantoflami na szpilkach.

– Jak nie przestanie, będę musiał ją związać – ostrzegł Kenney.

– Proszę bardzo – odparł Milo.



- To nikt ważny?
  - Tylko w swoim mniemaniu.
- Kenney się uśmiechnął.
- Często tak bywa.

Kiedy radiowóz odjechał, Raul Biro skończył rozmawiać z America i pozwolił jej wrócić do rezydencji. Włosy miał zaczesane w tył, twarz gładką. Na jego niebieskim garniturze też nie było ani zmarszczki. Biała koszula – jak śnieg, złoty krawat zawiązany w idealnego półwindsora.

Ręka Mila powędrowała do jego własnej, smętnej poliestrowej wstążki.

– Według pani Frias, pokojówki – powiedział Biro – oto co się wydarzyło. Pani Bedard zjawiała się wczoraj wieczorem około siódmej, bez zapowiedzi. Nalegała, by ją wpuścić, co stawiało Frias w trudnej sytuacji, bo pan Bedard zostawił instrukcje, że nie wolno jej otwierać.

– Rodzinne ciepło – rzucił Milo.

– Frias mówi, że pani Bedard próbowała już tego wcześniej, ale zawsze pod obecność pana Bedarda. Pan Bedard załatwiał sprawę, nie prowokując konfrontacji. Tym razem, kiedy Frias próbowała zamknąć drzwi, pani Bedard odepchnęła ją na bok tak mocno, że prawie ją przewróciła, wdarła się do domu i zaczęła szukać Kyle'a i „tej dziewczyny”. Najwyraźniej Kyle rozmawiał z nią wcześniej tego samego dnia, opowiedział o Tanyi, a jej się to nie spodobało.

– Poinformował mamę – zdziwił się Milo. – Ciekawe po co?

Biro wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, pani Bedard znalazła Kyle'a i Tanyę w jednym z pokoiów na górze i zaczęła się na nich drzeć. Zrobiła się awantura, Kyle i

pani Bedard wrzeszczeli, pani Bedard rzucała przedmiotami, niektóre zniszczyła. Około siódmej piętnaście Kyle i Tanya opuścili dom, pani Bedard usiłowała zatrzymać syna siłą. Złapała go za rękaw kurtki, on wysliznął się z kurtki, tym razem to ona upadła. Wylądowała na tyłku, wrzasnęła, żeby Kyle pomógł jej wstać. Tanya zaczęła jej pomagać, ale pani Bedard ryknęła: „Nie ty!” Kyle się wściekł, wyszedł z Tanya.

– Wzięli mercedesa?

– Aha – przytaknął Biro. – Od tamtej pory się nie odzywali. Pani Bedard wystukiwała numer komórki Kyle’a ze sto razy, według Frias. W końcu poddała się, poszła do barku i zabrała się do prywatnego zapasiku whiskey pana Bedarda. O ósmej była już pijaniutka, zaczęła wyżywać się na pokojówce, jak ona mogła dopuścić do takiej hańby, „ta dziewczyna tu nie pasuje”, dlaczego Frias nie można powierzyć nawet prowadzenia domu i tak dalej. Najwyraźniej padło kilka uwag rasistowskich i Frias poszła do swojego pokoju, zamykając za sobą drzwi. Pani Bedard udała się za nią, zaczęła łomotać, krzyczeć, w końcu poddała się i wyszła. Potem o trzeciej w nocy odezwał się dzwonek. Frias otworzyła drzwi, bo bała się, że to Kyle i ma jakieś kłopoty. Tymczasem to znów pani Bedard, jeszcze bardziej pijana, spod domu odjeżdża taksówka, a ona ma walizkę, mówi, że wymeldowała się z Hiltona i wprowadza się do domu, dopóki nie zostanie tu zaprowadzony porządek. Frias próbuje zagrozić jej drogę. Dochodzi do szarpaniny, obie kobiety lądują na tyłkach. Frias znów ucieka do swojego pokoju, dzwoni na policję. Radiowóz z Wilshire pojawia się trzy minuty później, drzwi są szeroko otwarte, wychodzi z nich pani Bedard i rozkazuje funkcjonariuszom z patrolu aresztować „tę podpalaną sukę od zawijania *taco*, deportujcie ją z powrotem do *tacolandii*”.

W rezydencji zaczęły po kolei gasnąć światła. Biro przyjrzał się fasadzie domu.

– Może to faktycznie prawda, że pieniądze szczęścia nie dają. – Niewielki uśmiech. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby bieda była wielką pociechą, jeśli jest się po prostu wariatem.

Wszyscy trzej wróciliśmy do naszych samochodów. Biro prywatnie jeździł datsunem ZX z lat osiemdziesiątych, czekoladowo-brązowym, z alufelgami, doskonale utrzymanym.

– Co teraz, panie poruczniku?

– Lepiej znajdę te dzieciaki, przechowam je bezpiecznie, dopóki De Paine nie trafi za kratki.

– A co z panią Bedard? Kiedy wytrzeźwieje, wypuszczają.

– Nie wydaje mi się, żeby była dużym zagrożeniem, ale jeśli ktoś posieje gdzieś papiery na dzień czy dwa, nie będę płakał.

Biro się uśmiechnął.

– To się może zdarzyć. Co jeszcze mam zrobić?

– Pojechać do domu i się przespać.

Żadnej reakcji.

– Nie wierzysz w sen? – spytał Milo.

– Byłem jakiś czas w Afganistanie, cały zegar biologiczny mi się poprzestawiał. Od tamtej pory wystarczą mi trzy, cztery godziny.

– Nasłuchiwałeś snajperów.

– Między innymi – odparł Biro. – Pan też był w wojsku?

– Przed twoim urodzeniem – rzucił Milo.

– Azja? Mój tata też tam był. Teraz jeździ ciężarówką cateringową. Rozwozi *taco* i inne dobre rzeczy.

Biro odjechał. Kiedy warkot jego podrasowanego silnika ucichł w oddali, na Hudson Avenue wróciła cisza.

– Może awantura Iony wyjdzie na dobre – powiedział Milo. – Romeo i Julia się zdenerwowali i odjechali w niewiadomym kierunku.

– Wyobrażasz sobie tych dwoje uciekających do Vegas? – spytałem.

– Gdybym ja miał taką mamę, prysnąłbym, zmienił kod pocztowy, może nawet kierunkowy kraju.

– Ładna fantazja, ale za bardzo przygodowa.

– A gdzie pojechali według ciebie?

– Tanya wszystko straciła. Kyle był jej jasnym punktem, ale Iona właśnie to zniszczyła. Tanya jest niewolnicą swoich przyzwyczajień. Moim zdaniem może wrócić tylko do domu, który stworzyła dla niej Patty.

– Dokładnie tam, gdzie jej zabroniliśmy?

– Utrzymuje pozory kogoś dorosłego, Milo, ale to tylko udawanie. Myśli tak: „Nie będziecie mi mówić, co mam robić”.

– Tak, zlekceważyła naszą mądrość, kiedy zaczęła chodzić z Kyle’em... Dobra, sprawdzimy, może się mylisz.

– Mam nadzieję.

– Trzeba być prawdziwym mężczyzną, żeby coś takiego powiedzieć.

– Nie w tym wypadku.

Pół przecznicy od domu przy Canfield Milo rozgniół swoje niezapalone cygaro w popielniczce seville’a i zaklął.

– Prosto na widoku, mogli równie dobrze wywiesić szyld.

Biały mercedes kabrio blokował wyjazd z podjazdu. Van Tanyi stał za nim.

W budynku nie paliły się światła.

– Głupie, przemądrzałe bachory – zdenerwował się Milo. – Powinienem ich teraz obudzić i wygłosić najbardziej przerażającą przemowę wujka Mila. – Spojrzał na swojego timeksa. – Do świtu dwie godziny. Trzymajmy się tego, co ustaliliśmy. Siódma rano, wracamy tu i robimy im awanturę. Teraz zajrzę z tyłu, upewnię się, że wszystko wygląda koszerne. Żeby sam mógł zasnąć.

Wysiadł z samochodu.

– Jeśli nie...

– Tak, tak, piórnik.

– Czy pudełko na drugie śniadanie z Flashem Gordonem byłoby bardziej kuszące?

– Miałeś takie?

– Nie. Wszyscy kłamią, czemu nie ja?

Wyłączyłem silnik i siedziałem za kierownicą, patrząc, jak Milo idzie podjazdem i prześlizguje się przed vanem. Prawą dłońią dotykał kabury pod marynarką. Chyba mądrze postąpił, nie wyjmując broni. Przy takim zmęczeniu ryzyko odstrzelenia sobie przypadkiem palca u nogi było wysokie.

Kilka sekund po tym, jak zniknął za rogiem, rozbrzmiał wystrzał.

Nie kłaśnięcie pistoletu.

Głośny huk – strzelba.

Wyskoczyłem z samochodu, zacząłem biec, gotów bronić przyjaciela.

Czym?

Zatrzymałem się, zacząłem szukać telefonu. Wystukałem „911” tak mocno, że zapiekły mnie palce.

Znów huk, potem terkot kanonady z pistoletu, z tej odległości niepoważny jak rechot żab.

Dryń, dryń, dryń, dryń...

– 911 alarmowy...

Walczyłem, żeby nie stracić cierpliwości, gdy usłyszałem mechaniczne „proszę zachować spokój” dyżurnej.

– Proszę pana – powiedziała – musi pan odpowiadać na moje pytania. Podniosłem głos. Może „ranny policjant!” przebiło się przez kaftan bezpieczeństwa jej opanowania. A może usłyszała trzeci huk strzelby i odpowiedź balistycznego chóru. W kilka sekund, zdawałoby się, na południu zawyły upiory syren. Cztery pary reflektorów.

Kiedy radiowozy z Westside z rykiem podjechały pod dom, stałem na ulicy obok samochodu, z podniesionymi rękami, czując się jak nikomu niepotrzebny tchórz.

Nasłuchiwałem nowej, ohydnej ciszy.

Ośmioro gliniarzy ruszyło biegiem z wyciągniętą bronią. Powiedziałem swoje i zostawili przy mnie jedną policjantkę, żeby mnie pilnowała.

– Mój przyjaciel tam jest – powiedziałem. – Porucznik Sturgis.

– Będziemy musieli poczekać, proszę pana – odparła.

Minęło o wiele za dużo czasu, zanim wrócił sierżant.

– Może pan tam iść, doktorze.

– Nic mu nie jest?

Wyszło dwóch następnych policjantów, mieli ponure miny. Powtórzyłem pytanie.

– Żyje – odrzekł sierżant. – Posterunkowy Bernelli, sprawdźcie, dlaczego jeszcze nie ma karetki. I wezwijcie drugą.

Milo siedział na ostatnim stopniu tylnych schodów, z kolanami podciągniętymi prawie pod brodę i spuszczoną głową. Przyciskał coś do ramienia – zwiniętą w kłęb marynarkę. Biały rękaw koszuli był czerwony, twarz zielona.

Podniósł wzrok.

– Zapomnij o pudełku na śniadanie, to już nieaktualne.

– Jesteś...

– To tylko zadrapanie, Kimo Sabe. – Wyszczrzył się szeroko. – Zawsze chciałem to powiedzieć.

– Daj. – Usiadłem obok niego, przycisnąłem marynarkę.

– Potrzymany razem. – Znów uśmiech. – Jak w tej piosence z Ulicy Sezamkowej, *Współpraca*. Większość tych kukielek to prostaczki, ale Oskar daje radę.

– Ma niezłe momenty.

O jakich rzeczach się rozmawia, kiedy oddech twojego przyjaciela robi się chrapliwy, a krew ciągle płynie.

Przycisnąłem mocniej. Skrzywił się.

– Przepraszam.

– Hej! – rzucił. – To nic, czego nie da się wymienić.

Oczy uciekły mu pod czaszkę. Przez rękaw poczułem, że zadrżał.

Objąłem go ramieniem, przycisnąłem mocniej.

– Jak przytulnie – powiedział.

Siedzieliśmy. Wszyscy policjanci byli od frontu, nie licząc jednego, stojącego na szczycie tylnych schodów Tanyi.

Milo znów zadrżał. Co z tymi karetkami, do cholery?

Tylne drzwi do mieszkania Tanyi były w drzazgach, ale okienko zostało na miejscu.

– Było tak – odezwał się Milo – drań siedział tam przykucnięty, ja się napatoczyłem jak ostatni kretyń i żółtodziób, z pistoletem wciąż w kaburze. Po jaką cholere szukam kłopotów, skoro nie jestem na nie przygotowany? Strzelił, ale byłem poza zasięgiem, więc dostałem tylko troszkę. Odskokczyłem w tył w porę, żeby uniknąć drugiego strzału i trzeciego. W końcu wyciągnąłem mój wierny korkowiec.

– Tylko troszkę – powiedziałem.

– To nic poważnego, stary. Kiedy byłem mały, dostałem śrutem na przepiórki w tyłek, jak mojemu bratu Patrickowi odbiło. To chyba trochę większy kaliber, ale nic strasznego, może na jelenia.

– Dobrze, cicho...

– Tylko kilka śrucin znalazło drogę w głąb mojego męskiego bicepsu...

– Świetnie. Dość gadania.

– Śrut na jelenie? – rzucił policjant na schodach. – Musi boleć jak cholera.

– Nie bardziej niż leczenie kanałowe – odparł Miło.

– Miałem to w zeszłym roku – zdradził policjant. – Bolało jak cholera.

– Dzięki za współczucie. – Do mnie: – Przyciskaj tak mocno, jak chcesz. I nie martw się, dobrze? Wszystko jest w porządku. Tylko nie dla



niego.

Zaśmiał się.

– On...

– Idź, zobacz. Przeprowadź zaawansowaną psychoterapię. – Zostanę tutaj.

– Nie, nie, idź, zobacz, Alex. Może usłyszysz wyznanie na łożu śmierci. – Szczerzył się i broczył krwią. – Jutro się upijemy i będziemy z tego śmiać.

Nie wstałem.

– Idź – polecił. – To może być nasza ostatnia szansa. Sprawdziłem, czy trzyma mocno marynarkę, wstałem i ruszyłem w górę schodów.

– Dokąd pan idzie? – spytał policjant.

– Ja mu kazałem – odparł Milo.

– To niezbyt dobry pomysł, panie poruczniku. Ten pan nie jest...

– Niech pan nie będzie regulaminowym sztywniakiem, posterunkowy, i da doktorowi rzucić okiem. To rodzina, nie nasika do dowodów.

– Czyja rodzina?

– Moja.

Policjant się zawahał.

– Słyszał pan, co powiedziałem?

– Czy to bezpośredni rozkaz?

– Bardziej bezpośredni nie będzie. Przestań pyskować, człowieku, bo pójdę tam i na ciebie nakrwawię.

Policjant zaśmiał się niepewnie i odsunął na bok. Wszedłem na górę.

Peterson Whitbread/Blaise De Paine leżał rozciągnięty na plecach, z głową przekreśloną na bok, zalany białym światłem żarówki nad wejściem.

Ogolił głowę do połysku, w uchu miał dwukaratowy brylant, dwa wielkie pierścienie z brylantami na lewym ręku, trzy na prawym. Wyszadzana klejnotami bransoletka jego roleksa perpetuala była zrobiona dla kogoś o nadgarstku futbolisty i wisiała w połowie chudej, bladej dłoni.

Paznokcie pomalowane na srebrno-błękitno.

Szczupły młody mężczyzna, wąskie ramionka, nijaka dziecięca twarz, chłopięce nadgarstki. Drobna postać zmniejszona jeszcze przez zbyt wielki welurowy dres, czarno-żółtobiały, z logo Seana Johna. Czarne skórzane adidas z karbowanymi czubkami i żółtymi ozdobami na bokach, z bąbelkami powietrza takimi, jak w stolarskich poziomicach. Czyste podeszwy.

Nowe buty na wielką noc.

Na plecach bluzy napis „La Familia, Havana”.

Pod spodem: „Dobre życie”.

Czarny, żółty, biały. Mały rozdeptany trzmiel.

Na jednej z rąk równa, czarno-wiśniowa dziura. Wydęty welur w miejscach, gdzie kule weszły w brzuch.

Zamknięte oczy, rozdziawione usta, bezruch. Za późno na jakiegokolwiek wyznanie.

Wtedy zobaczyłem: płytkie unoszenie się i opadanie zakrwawionej piersi.

– Co jakiś czas oddycha – powiedział policjant – ale szkoda czasu. Powinni wezwać koronera.

Stałem i patrzyłem, jak Blaise De Paine gaśnie. Strzelba z orzechową kolbą leżała przy jego prawej nodze. Trzy wystrzelone łuski po śrucie układały się z grubsza w trójkąt za jego ciałem, tuż przy roztrzaskanych

drzwiach.

Światło za drzwiami, drzazgi na kuchennych płytkach.

– Ktoś tam jest? – spytałem.

– Mieszkańcy – odrzekł policjant.

– Chłopak i dziewczyna?

– Aha.

– Cali?

– To ona rozwalila tego gnoja, lepiej niech pan już wyjdzie, koroner będzie musiał potwierdzić...

– Ogląda pan za dużo telewizji, posterunkowy – zawołał Milo. Policjant przygryzł wargę.

– Na pana miejscu, panie poruczniku, unikałbym wysiłku. Niech pan utrzymuje niską przemianę materii, żeby niepotrzebnie nie krwawić.

– W przeciwieństwie do krwawienia potrzebnego?

– Panie poruczniku...

Obsceniczną ripostę Mila zagłuszył szcęk noszy na kółkach, ludzkie głosy, światła.

Sanitariusze wpadający z pełnymi entuzjazmu i adrenaliny minami, które mają ci dobrzy.

– Porucznik jest na dole – oznajmił policjant na schodach.

– Jakby to była jakaś tajemnica! Jeeezu – jęknął Milo. Wstał i zdjął marynarkę, pociekła krew. – Zero plus, gdyby kogoś to w ogóle interesowało – krzyknął, kiedy go wywozili.

Zacząłem schodzić po schodach, zatrzymał mnie dziwny gwizd za plecami.

Blaise De Paine otworzył oczy.

Jego usta zadrżały. Znów gwizd, wyższy, jak z czajnika, wydostał się spomiędzy jego warg.

To uciekał ostatni oddech.

Wargi wygięły się w uśmiech.

To nie mogło być zamierzone, musiał być w stanie, który już na nic nie pozwalał.

Wtedy jego oczy szybko się poruszyły.

Spojrzał w moim kierunku.

Skupił na mnie wzrok.

Podniósł głowę z ziemi. Opadła ciężko.

Skurcz? Jakiś śmiertelny neurologiczny atak – za dużo celowości.

Powtórzył to.

Patrzył na mnie?

Głowa uniosła się i opadła po raz trzeci.

Pospieszyłem do jego boku, nachyliłem się.

Poruszył ustami, wygiął je w uśmiech.

Ukląknęłam obok.

Zaskrzeczał. Spojrzał mi w oczy. Zaśmiał się gardłowo, czy wydał jakiś inny, okropnie podobny dźwięk.

Spojrzałam mu w oczy.

Poderwał się.

Splunął mi w twarz krwią.

Umarł.

Kiedy wycierałam twarz własną marynarką, zobaczyłam poruszenie za drzwiami. Tanya stała za potrząskaną sklejką, patrzyła przez okienko, które w cudowny sposób ocalało.

Wszystko ułożyło mi się w głowie.

De Paine walił do Mila, usłyszał coś za sobą, obrócił się, strzelił za nisko.

Posłał jeszcze jeden pocisk w drzwi, zanim wywalony w nich otwór pozwolił na odpowiedź ogniem, i nagły ból zapłonął w jego rękę, w brzuchu, w strzelbie.

Pomachałem do Tanyi.

Może mnie nie zauważyła. A może zauważyła i nie miało to znaczenia. Stała bez ruchu. Patrzyła na trupa.

Za nią zmaterializował się Kyle Bedard.

Policjant, który stał wcześniej na szczycie schodów, wrócił i wspiął się do połowy.

– Co z...

– Nie żyje.

– Musi pan zejść, proszę pana. Natychmiast.

– To moja pacjentka...

– Nie obchodzi mnie to, proszę pana.

– Przejdę nad nim – powiedziałem, wciąż czując w ustach smak krwi. I zrobiłem to.

Najpierw erupcja, potem drażnienie.

Z mojego punktu widzenia wymiar sprawiedliwości miał łatwiejsze zadanie.

Klucz znaleziony w bałaganie, który Blaise De Paine zostawił w domu Perry'ego Moore'a, został dopasowany do kontenera do wynajęcia w East Hollywood. Podwójnego, z jarzeniowym oświetleniem, kanapą do spania i podłączeniem do prądu.

W głębi przyjemnie mruczała lodówka. Obok stała zapieczętowana skrzynka heroiny w paczkach, środków przeciwbólowych na receptę i trzydzieści pięć kostek haszyszu wielkości mydła. W lodówce znajdowały się sześciopaki Jolt Coli, spora kolekcja domowej roboty piw i worek na śmieci pełen ludzkich kości, niektórych wciąż oproszonych wysuszonym mięsem. Badanie kości wykazało cztery różne wzory DNA, wszystkie kobiece. Droga badania DNA mitochondrialnego dopasowano je do Brendy Hochlbeier i Renèe Mittle, znanych jako Brandee Vixen i Rocksi Roli. Szczątki te wysłano do Gurney w Dakocie Północnej, gdzie rodziny dziewczyn podziękowały za możliwość urządzenia im chrześcijańskich pogrzebów.

Dwie pozostałe próbki pozostały bezimiennie.

Benjamin Baranelli zamieścił w „Adult Film News” reklamę, ogłaszającą reaktywację Vivacious Videos, zapoczątkowaną „pięciopłytyowym wznowieniem klasyków z udziałem naszych ukochanych

Brandee i Rocksi”.

Obrońca z urzędu Roberta Fiska zaproponował obniżenie kwalifikacji czynu do utrudniania pracy policji. Biuro prokuratora oznajmiło swój „niezachwiany” zamiar oskarżenia Fiska o wielokrotne morderstwo pierwszego stopnia. Kompromis osiągnięto cztery dni później; Fisk przyznał się do dwukrotnego dobrowolnego przypadkowego spowodowania śmierci i dostał piętnaście lat. Kupił to sobie, zdradzając fakt, że De Paine chwalił się zabiciem „dwóch dziwek z Compton”.

Dalsze badania niezidentyfikowanych kości potwierdziły prawdopodobne afroamerykańskie pochodzenie. Próby zidentyfikowania źródeł trwały.

Mary Whitbread nie została o nic oskarżona. W ciągu tygodnia od śmierci syna jej parterowe mieszkanie przy Czwartej ulicy zostało oddane pod wynajem, a ona wyjechała w nieznane strony.

Po mieście krążyły plotki, że Mario Fortuno oskarżył gromadę hollywoodzkich notabli o nielegalne podsłuchiwanie i że już szykują się akty oskarżenia. Gazety ze Wschodniego Wybrzeża opisywały to z większym entuzjazmem niż „LA Times”.

Petra, Raul Biro, David Saunders i Kevin Bouleau otrzymali pochwały. Biro był bliski szybkiego awansu na detektywa drugiej klasy.

Kiedy Milo został przywieziony na ostry dyżur do Cedars, powitał go Rick. Chirurg złamał własną zasadę nieleczenia krewnych i osobiście wydlubał Milowi śrut z ręki. Sprawa okazała się nieco bardziej skomplikowana, niż się wydawało, bo szycia wymagało kilka pomniejszych naczyń. Milo uparł się, żeby nie podawać mu nic mocniejszego od lokalnego znieczulenia. Odbiło mu po nim i zasypał salę

operacyjną nieprzyjemnymi uwagami.

Kilka dni później stwierdził, że jest już zdrowy, i wyrzucił temblak wbrew zaleceniom lekarza. Rick był na dyżurze i nie mógł na niego nakrzyczeć. Nie mieszałem się w to, nawet kiedy zauważyłem, że Milo się krzywi, podnosząc kubek z kawą.

Moje zadanie było najcięższe.

Spotykałem się z Tanya codziennie, czasami po kilka godzin. Kyle też przychodził, gdy go wzywałem.

Na dobry początek terapii musiałem skłamać: Patty nikogo nigdy nie zabiła, chodziło jej jedynie o śmierć handlującego narkotykami kolegi De Paine'a, który zginął z ręki De Paine'a. „Straszną rzeczą” było poczucie winy, że nie zgłosiła tej zbrodni.

Zacząłem usprawiedliwiać milczenie Patty. Inni już zawiadomili policję, z kiepskim rezultatem; ona czuła się zmuszona do ucieczki, żeby zapewnić bezpieczeństwo Tanyi. Wiele lat później spotkała się przypadkiem z De Paine'em, a on się uśmiechnął pod nosem, zagroził Tanyi. Zanim Patty zdążyła cokolwiek zrobić, zachorowała, musiała „pousadzać kury na grzędzie”.

Wyznanie na łożu śmierci, niejasne przez wpływ śmiertelnej choroby, miało ostrzec Tanyę.

– Jestem pewien – powiedziałem – że gdyby żyła, próbowałyby opowiedzieć ci więcej szczegółów.

Tanya siedziała w milczeniu.

– Bardzo cię kochała – dorzuciłem. – Wszystko sprowadza się właśnie do tego.

– Tak – odparła. – Wiem. Dziękuję.



Następny temat: fakt, że zabiła człowieka.

Rekonstrukcja wydarzeń potwierdziła to, co sobie wyobraziłem.

De Paine pierwszy strzał do Mila oddał ze szczytu schodów. Milo, trafiony, uciekł w ciemność, ściskając rękę i dobywając służbowy pistolet.

De Paine zszedł kilka stopni niżej, próbując wypatrzeć swoją ofiarę. Usłyszał coś za sobą albo wydawało mu się, że usłyszał. Obrócił się, strzelił w drzwi z niższej już pozycji, niszcząc drewno, ale zostawiając nietknięte okienko.

Tanya, słysząc huk, złapała dziewięciostrzałowego półautomatycznego walthera, którego pożyczyła ze zbrojowni pułkownika Bedarda, i ignorując błagania Kyle'a, pobiegła do kuchni.

Słyszając trzeci strzał De Paine'a i odpowiedź ogniem Mila, wycelowała rozdygotanymi rękami przez potrzaskane drzwi i opróżniła magazynek.

Jeden pocisk utkwiał w futrynie i został wydłubany przez techników. Pięć innych minęło De Paine'a, trafiło w betonowe stopnie i potoczyło się, spłaszczonych, na dół.

Jeden trafił De Paine'a w lewą dłoń, powodując niezagrażające życiu draśnięcie.

Dwa wbiły mu się w brzuch, rozrywając śledzionę i wątrobę.

Oczywisty przypadek obrony własnej. Tanya mówiła, że nie ma problemu z tym, co zrobiła. Może w końcu by nawet w to uwierzyła.

Kyle Bedard wprowadził się do mieszkania przy Canfield. Iona Bedard zaprotestowała i została zignorowana. Myron Bedard pozostawał w Europie, ale dwa razy zadzwonił, żeby „upewnić się, że z Kyle'em wszystko w porządku”. Poinformowany o niechęci byłej żony do „tej dziewczyny” wysłał Kyle'owi pięćdziesiąt tysięcy dolarów i poinstruował

go, żeby „zabrał swoją ślicznotkę na jakieś miłe wakacje i nie mówił swojej matce, dokąd jada”.

Kyle wpłacił pieniądze do banku i wrócił do pracy nad doktoratem.

Tanya powiedziała mi, że go kocha, ale musiała przywyknąć do spania z kimś innym. Od strzelaniny Kyle sypiał bardzo niespokojnie.

– Siada przez sen, ale wygląda na przerażonego, doktorze Delaware. Obejmuję go i mówię, że wszystko jest w porządku, a rano on nic nie pamięta. Co to jest, nocne lęki głębokiej fazy snu?

– Być może – powiedziałem.

– Jeśli to nie minie, może mógłby przyjść do pana. – A jak ty sypiasz, Tanyu?

– Ja? Świetnie.

Dalsze wypytywanie ujawniło, że przed położeniem się spać wykonuje przynajmniej godzinny zestaw rytuałów. Czasami wydłużało się to do półtorej godziny.

– Ale to był wyjątek, doktorze Delaware. Najczęściej wychodzi mi godzina albo nawet niecała.

– Mierzysz sobie czas.

– Żeby nad tym zapanować – wyjaśniła. – Oczywiście możliwe, że to mierzenie czasu samo stało się rytuałem. Ale mogę z tym żyć... przy okazji, mówiłam panu, że zmieniłam zdanie co do psychiatrii? Za bardzo niejasna, myślę o medycynie ratunkowej.

W ciągu następnego miesiąca jej kompulsywne nawyki się wzmogły. Skupiłem się na najpoważniejszych sprawach, zanim trzy tygodnie później była gotowa zająć się objawami. Hipnoza i terapia behawioralno-

poznawcza okazały się użyteczne, ale nie do końca. Zastanawiałem się nad leczeniem farmakologicznym. Być może Tanya to wyczuła, bo pół jednej sesji poświęciła artykułowi, który napisała o efektach ubocznych wybranych inhibitorów niedoboru serotoniny. Stwierdziła, że „nigdy nie grzebałabym sobie w mózgu, chyba że byłabym zupełną wariatką”.

– Ostatecznie to zależy od ciebie – stwierdziłem.

– Bo jestem dorosła?

Uśmiechnąłem się.

– Dorosłość to dość głupi koncept, prawda? – powiedziała. – Ludzie dorastają na najróżniejsze sposoby.

Mniej więcej wtedy, kiedy ręka Mila wróciła już do pełnej sprawności, na moją pocztę zadzwoniła niejaka Barb Smith, chcąc umówić się na wizytę z dzieckiem. Przyjmuję bardzo niewiele spraw terapeutycznych, a z powodu nerwicy Tanyi, pół tuzina konsultacji sądowych i chęci spędzania więcej czasu z Robin poinstruowałem operatorkę, żeby rutynowo przekazywała taką właśnie wiadomość.

– Próbowałam, panie doktorze – przyznała Lorraine. – Nie chciała słuchać, dzwoniła trzy razy.

– Natarczywa?

– Nie, właściwie nawet miła.

– Czyli powinienem przestać być nieugięty i oddzwonić.

– To pan jest lekarzem, doktorze.

– Niech mi pani poda numer.

– Jestem z pana dumna – powiedziała Lorraine.

Jeden z tych nic niemówiących prefiksów komórkowych. Barb Smith odebrała po pierwszym dzwonku. Młody głos, radiowa chryпка.

– Bardzo dziękuję za telefon, doktorze Delaware.

Wygłosiłem swoją krótką przemowę.

– Wszystko to rozumiem i szanuję – odparła – ale być może zmieni pan zdanie, kiedy pozna pan moje poprzednie nazwisko po mężu.

– Jakie to nazwisko?

– Fortuno.

– Och – rzuciłem. – Philip.

– Felipe – poprawiła. – Tak brzmi jego imię, ale Mario nie chce go używać, żeby mi dokuczyć. Poznał pan Maria.

– Jest dominujący.

– Stara się – przyznała cicho. – Kazał mi do pana zadzwonić kilka miesięcy temu. Uważam, że Felipe to wspaniały chłopiec, a problem tkwi w Mariu... porozmawiajmy o tym osobiście. Wiem, że liczy pan sobie za swój czas i nie chcę go panu podkraść. Czy mogłabym przyjechać sama, bez Felipe? A potem, gdyby uznał pan, że jest jakiś problem, mógłby się pan z nim zobaczyć?

– Oczywiście. Mieszka pani w Santa Barbara.

Wahanie.

– Mieszkałam.

– Przeprowadziła się pani – powiedziałem.

Znów chwila ciszy.

– Ta rozmowa... nic pan nie nagrywa, prawda?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Cóż – zauważyła – nie zawsze ma znaczenie to, co ludzie myślą, że wiedzą. Spotkajmy się może w połowie drogi. Między LA i Santa Barbara.

– Jasne. Gdzie?

– W Oxnard – zaproponowała. – Jest tam winiarnia, daleko od plaży, w parku przemysłowym przy Rice Avenue. Przyjemny mały lokalik, robią tam świetnego zinfandela, jeśli lubi pan wino.

– Nie w pracy.

– Zawsze może pan zabrać trochę do domu. Ja pewnie zabiorę.

Spotkaliśmy się następnego dnia w południe.

Winiarnia była piętrowym budynkiem z imitacji suszonej na słońcu gliny, stojącym na kilku tysiącach metrów trawnika z rolki z nieskazitelnie czystym parkingiem, dwadzieścia pięć kilometrów nad górnymi obrzeżami Malibu. Winogrona przywożono z Napa, Sonoma i Alexander Valley, ściśnięte i antyseptycznie zabutelkowane, w dogodnej, niewielkiej odległości była autostrada. Nie ta liga, co aromatyczna ziemia Krainy Win, ale w sali degustacyjnej było tłoczno, tak samo w restauracji z dziesięcioma stolikami w głębi.

Barb Smith zarezerwowała stolik w rogu. Była młoda i brązowoskóra, około trzydziestki, z długimi, falującymi czarnymi włosami, ciekawymi euroazjatyckimi oczami i szerokimi, miękkimi ustami. Jasnobłękitny kostium zakrywał ciało, ale nie mógł ukryć kształtów. Brązowa torebka Kate Spade, takie same sandały na wysokich obcasach, dyskretne szmaragdowe kolczyki, delikatny złoty naszyjnik.

Przed nią stał kieliszek wina. Uścisk dłoni miała mocny, wilgotny na brzegach.

Podziękowała mi za przyjazd, podała czek na trzykrotność mojego zwykłego honorarium i wyjęła z torebki małe zdjęcie.

Ciemnowłosy drobny chłopczyk, nieśmiało uśmiechnięty. Miał dużo z matki; jedynym śladem Fortuna był lekko cofnięty podbródek.

– Przystojny – stwierdziłem.

– I dobry. W środku, tam gdzie to się liczy.

Podeszła kelnerka.

– Dorsz w cieście jest niewiarygodny, jeśli lubi pan ryby – powiedziała Barb Smith. – Ja poproszę.

– Brzmi nieźle.

Kelnerka skinęła z aprobatą głową i odeszła.

– Nie w pracy – przypomniała Barb Smith. – Szanuję to. Moją jedyną pracą jest opiekowanie się Felipe, a on jest do trzeciej w szkole.

Czyli mieszkała gdzieś niedaleko Oxnard. Przyszła moja cola. Barb Smith napiła się wina.

– To nie zin, to mieszanka cabmerlot, jak to robią we Francji. Mario nie lubi merlota, mówi, że to cabernet dla dziewczyn. Ja piję, co chcę... gdybym uściskała pana, kiedy pan wszedł, pomyślałby pan, że jestem śmiała, prawda?

– Uściski potrafią być hollywoodzkimi uściskami dłoni – zauważyłem. Zaśmiała się.

– Kocham cię, skarbie, a teraz zupełnie się zmienić? Kiedyś myślałam, że chcę wziąć w tym udział. Wspomniałam o uściskach, bo nie miałyby to nic wspólnego z serdecznością. Tak Mario nauczył mnie szukać podsłuchów.

– Aha.

– Ale przy pana stroju, koszulce polo i spodniach, trudno byłoby coś ukryć. Chyba że byłby pan na bieżąco z najnowszą technologią.

– Dla mnie to oznacza stereo.

– Nieskomplikowany z pana facet, tak? Jakoś nie chce mi się wierzyć, ale jestem przekonana, że nie ma pan podsłuchu. Po co miałby go pan mieć, to ja do pana zadzwoniłam. Z dyspozycji Maria, to chyba dobre słowo, prawda? Pracuję nad swoim słownictwem, zawsze staram się poprawić. Felipe ma świetne słownictwo. Wszyscy mi mówią, że jest utalentowany. – Napiła się jeszcze, zerknęła w bok. – Nie chciałam tego robić, ale Mario... pewnie się pan zastanawia, co w nim widziałam. Czasami sama się zastanawiam. Ale jest ojcem mojego dziecka i wiem, że

przechodzi niewiarygodnie ciężkie chwile. Wiedział pan, że on ma chore serce? Dwa bypassy rok temu, ale nie wszystko zdołali naprawić. O tym nigdy nie piszą w gazetach. – Kąciki jej oczu zwilgotniały i wytarła je serwetką. – Niech pan tylko popatrzy – powiedziała. – Nienawidzę go, a wciąż mi go żal.

– Mówią, że jest charyzmatyczny.

– Interesuje pana, jak się z nim związałam? Czy to z mojej strony za duży egoizm?

– Niech pani opowie – zachęciłem.

– Wszystko zaczęło się od tego, co panu przed chwilą powiedziałam. Chciałam być częścią sceny. Myślałam, że jestem aktorką, studiowałam w miejskim college'u w... Skończyłam teatr, wszyscy mówili mi, że mam talent. Dlatego przyjechałam tutaj, podejmowałam się różnych tymczasowych prac, próbując się przebić. Jedną z nich była praca w firmie cateringowej, organizującej prestiżowe branżowe imprezy. Poznałam Maria na jednej z nich, był jedyną osobą, która na mnie spojrzała, kiedy weszłam z tacą krewetek w curry. Okropność, gdybym opowiedziała panu, co się działo w kuchni, nigdy więcej nie zjadłby pan nic na branżowym przyjęciu.

– Nigdy więcej? – Uśmiechnąłem się.

– Przepraszam – powiedziała. – Robię z siebie pretentioso. To jedno z wymyślonych słów Maria. Gardzi ludźmi, którzy mu płacą... W każdym razie tam go właśnie poznałam, a później, po przyjęciu, zabrał mnie na drinka i przewiózł swoim cadillakiem. Opowiedziałam mu historię swojego życia, Mario ma talent do słuchania, a on mi wyjaśnił, czym się zajmuje. Bawiło go to, że nie wiedziałam, kim jest. Usłyszałam „prywatny



detektyw” i wyobraziłam sobie jakiegoś gościa z biurem nad meksykańską restauracją, jak w telewizji, w sumie każdy może jeździć cadillakiem, prawda? Nie dotknął mnie ani razu, idealny dżentelmen, odwiózł mnie do domu i zaprosił na następną randkę. Zdenerwowany jak nastolatek. Później oczywiście dowiedziałam się, że udawał. Mario może człowiekowi wmówić, co chce. Gra lepiej niż te gwiazdy, dla których pracuje... W każdym razie powiedział mi, że mógłby wykorzystać moje talenty, prywatni detektywi bez przerwy zatrudniają początkujące aktorki. Zaczęłam dla niego pracować. I miał rację, bardzo dużo było w tym gry aktorskiej.

– Zadania w przebraniu? – spytałem.

– To też, ale głównie udawałam kogoś, kim nie byłam. Chodziłam do baru i zaczynałam flirtować z obiektem, żeby Mario mógł zrobić zdjęcia. Dla celów procesowych – niesamowite, jak łatwo wejść do czyjegoś domu czy biura, jeśli podniesie się rąbek spódnicy. – Dopła wina. – Robię z siebie jakąś prostytutkę, prawda?

– Raczej wabik.

– Miło z pana strony, że tak pan mówi, ale ja sprzedawałam seksapil. Nie zrobiłam nigdy nic nieprzyzwoitego, to wszystko były fałszywe obietnice. W trakcie zakochałam się w Mariu, a on twierdził, że czuje to samo. – Pokręciła głową. – Mógłby być moim ojcem, był żonaty cztery razy. Może pan to skatalogować jako „Co ja sobie wyobrażałam?” Tymczasem zaszłam w ciążę. Co okazało się najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła. Felipe to aniołek, jest taki słodki, nie mogłabym sobie życzyć bardziej idealnego chłopca.

– A mimo to Mario się o niego martwi.

– Mario uważa, że Felipe jest gejem.

– Bo jest cichy – powiedziałem.

Zaśmiała się.

– To znaczy, że Felipe się nie kłóci, nie lubi się bić ani uprawiać sportów. Bez przerwy ma nos w książkach, jest trochę mały na swój wiek. To po mojej rodzinie, moja mama jest Chinką... o, nasze jedzenie.

Jedliśmy w milczeniu.

– Może Felipe jest odrobinę zbyt łagodny – przyznała Barb Smith. – Tak, ma ładną twarzyczkę, kiedy był niemowlęciem, wszyscy brali go za dziewczynkę. Ale czy to znaczy, że jest gejem?

– W żadnym wypadku.

– Właśnie, doktorze Delaware. Powtarzam to Mariowi, ale on chce, żebym zmuszała Felipe do rzeczy, których nie znosi.

– Do sportów?

– Sportów, karate. – Odłożyła widelec. – Mówię panu, gdyby wdał się w jakąś przepychankę i zranił ten swój słodki nosek, byłabym zdruzgotana. Powiedziałam to Mariowi. Odrzekł, że jestem wariatką, że każdy facet potrzebuje paru blizn... ma pan blizny, doktorze Delaware?

Uśmiechnąłem się.

– Przepraszam, to było wścibskie. Mario ma blizny. Mnóstwo, z czasów, kiedy dorastał w Chicago. Dla mnie to wcale nie jest męskie. Męski jest ten, kto jest pewny, i nie musi niczego udowadniać.

– Nie martwi się pani o Felipe, a zna go pani najlepiej.

– Właśnie.

– Ale przyjechała pani...

– Żeby wypełnić zobowiązanie wobec Maria. Coś w rodzaju ostatniego

pocałunku, wie pan? Bo on odchodzi. Nie do więzienia, nie, jeśli zdradzi to, co myślę, że zdradzi. Ale kiedy wszystko się wyda, to będzie olbrzymia sprawa, doktorze Delaware. Posypią się głowy ludzi, których nigdy by pan nie podejrzewał.

– Lista A.

– Lista A plus – powiedziała. – Mówię tu o twarzach osób z czerwonych dywanów, ludzi, którzy prowadzą duże studia, korporacyjnych cesarzach. Największym atutem Maria było to, że nigdy nic nie mówił. Ale przy tym, co na niego mają, z jego chorym sercem, bez większości pieniędzy, wszystko powie. A potem będzie musiał gdzieś zniknąć, i nie zobaczę go już więcej, ani ja, ani Felipe. Dlatego doszłam do wniosku, że powinnam być dobra. Chociaż wiem, że Felipe nie jest gejem.

. – Czy Maria i Felipe łączą dobre stosunki?

– Mario nie spędzał z nim dużo czasu, ale Felipe go lubi. A najzabawniejsze jest to, że chociaż Mario domagał się, by Felipe traktować ostrzej, sam był dla niego łagodny. Grali w karty, siedzieli, rozmawiali. Prawda jest taka, że Mario też nie jest specjalnym siłaczem, widział go pan, to drobny facet.

– Mały facet z charyzmą wielkiego.

– Drugi Napoleon – powiedziała. – Nie wiem czemu, pociągają mnie tacy. Może to przez ojca... nieważne, nie chodzi tu o mnie, tylko o Felipe. Zgadza się pan, że wszystko z nim w porządku?

– Nic z tego, co pani powiedziała, nie wskazuje, że jest inaczej. A jeśli jest gejem, i tak nie mógłbym ani nie chciał nic na to poradzić.

Otarła usta.

– Sam nie jest pan gejem?

– Nie – powiedziałem. – Ale niektórzy z moich najlepszych przyjaciół... Zmiana orientacji przez terapię to nie jest coś, co bym w ogóle polecał.

– Zgadza się całkowicie. Ale Felipe nie jest gejem. Jest doskonale przystosowany.

– Mario wspominał o jakichś przykrościach w szkole i problemach toaletowych.

– To nic wielkiego – odparła Barb Smith. – Felipe jest mały i nie uprawia sportów, więc niektórzy starsi chłopcy mu dokuczali. Kazałam mu się im postawić, by pilnowali własnych spraw. To podziałało. Co do problemów toaletowych, pediatra mówi, że Felipe trzymał i nie wytrzymywał. Porozmawiałam z nim i powiedział, że nie lubi korzystać z toalety w szkole, bo jest brudna. Poszłam sprawdzić sama i rzeczywiście, to chlew, nie pozwoliłabym tam chodzić nawet psu. Ale nie chciałam, żeby Felipe miał problemy, więc zaczęłam mu dawać trochę oleju mineralnego, budzić go wcześniej na śniadanie i pół godziny później, dziesięć minut przed wyjściem, mógł się załatwić i nie potrzebował tego robić w szkole. Co do mniejszych problemów kazałam mu korzystać z pisuarów, tylko stawać tak, żeby niczego nie dotykać.

– Wygląda na to, że z wszystkim dała sobie pani radę.

– Tak myślałam. Dzięki, że się pan zgadza. – Szeroki uśmiech. – A więc zrobiłam to, co byłam winna Mariowi, i możemy w spokoju dokończyć obiad.

Resztę spotkania spędziła, wspominając sprawy, przy których pracowała. Wymieniała nazwiska, potem prosiła mnie o zachowanie ich w

tajemnicy, potem oznajmiła, że skoro mi zapłaciła i było to spotkanie zawodowe, w myśl prawa wszystko, co mi powiedziała, było poufne.

Kiedy skończyliśmy, uparła się, że zapłaci, ale podzieliliśmy się rachunkiem.

Odprowadziłem ją do samochodu. Szary ford taurus z naklejką Avisa.

Ostrożna kobieta.

– Dziękuję, że się pan ze mną spotkał, doktorze Delaware. Czuję się o wiele lepiej.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę pozdrowić Maria.

– Wątpię, czy będę z nim rozmawiała. Przy okazji, chce pan wiedzieć, dlaczego według mnie naprawdę Mario chciał, żebym się z panem spotkała? To nie ma nic wspólnego z Felipe, Felipe nic nie jest i to widać.

– Jaki jest prawdziwy powód? – spytałem.

– Poczucie winy, doktorze Delaware. Mario może i jest socjopatą ale wciąż jest zdolny do wyrzutów sumienia. I być może ja jestem jedyną osobą której mógł to okazać.

– Po czym ma wyrzuty sumienia?

– Nie po pracy – powiedziała. – Nie z powodu tych wszystkich żyć, które zrujnował swoimi podsłuchami i wymuszeniami, z tego jest dumny. Ale jako ojciec... wie, że poniósł klęskę. Powiedział mi to. Ma trzy córki z trzech różnych matek, czterech innych synów, i wszyscy mają problemy, dwóch było w więzieniu. Poza tym miał syna, do którego się nigdy nie przyznał i który skończył bardzo źle. Mario powiedział, że chłopak siedział w narkotykach i przestępstwach, i to poważnych. Winił głównie matkę, kogoś, z kim się nie ożenił, to była jednonocna przygoda. Ale kiedy rozmawiałam z nim po raz ostatni, kiedy rozkazał mi się z panem spotkać,

przyznał, że być może trochę winy spoczywa na nim, bo chronił chłopakowi tyłek i tamten nigdy nie nauczył się ponosić odpowiedzialności. Chociaż upierał się, że to głównie wina matki przez to, kim była.

– A kim była?

– Aktorką porno, zupełną szmatą według Maria. Powiedział, że zmieniła branżę i zajęła się jakimiś inwestycjami, ale pozostała tą samą pozbawioną zasad dziwką którą przez pomyłkę zaciążył, i oto rezultat.

– Mario nie miał kontaktu z tym synem? – spytałem.

– Nie, chłopak nie miał pojęcia, kim jest jego ojciec, bo Mario zapłacił tej kobiecie duże pieniądze, żeby skłamała i powiedziała, że to był ktoś inny. Za te pieniądze kupiła nieruchomości. Mario mawiał, że w LA mafia nie ma nic na ludzi z nieruchomościami. Spytałam go, dlaczego nigdy się nie przyznał, bo takie uniki były do niego niepodobne, a on wierzył w ojcowskie obowiązki, płacił alimenty na trzy córki i Felipe. Zrobił dziwną minę i nie odpowiedział. To był jedyny raz, kiedy w jego oczach widziałam strach. Tak czy inaczej, miło było pana poznać, doktorze Delaware. Powiedziałabym „do zobaczenia”, ale tak się przecież nie stanie.

Patrzyłem, jak odjeżdża.

Stałem tam, wdychałem powietrze pachnące oceanem i delikatnie fermentującymi winogronami. Myślałem, czy zadzwonić do Mila i dowiedzieć się, czy podczas aresztowania Maria Fortuna pobrano mu krew.

Rozmyśliłem się.

Miałem na głowie sześć sądowych konsultacji, dziewiętnastolatkę,

która będzie mnie potrzebować już zawsze. Kobieta, która mnie kocha.

Psa, który się uśmiecha.

Czy cokolwiek innego się liczy?